INNA EUROPA INNA LITERATURA

Serhij Żadan

WOROSZYŁOWGRAD

Serhij Żadan

WOROSZYŁOWGRAD

Przełożył Michał Petryk

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału ukraińskiego Ворошиловград

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ
Fotografia Autora © by WŁADYSŁAW HETMAN

The original Ukrainian edition was published in 2010 by Publishing House Folio
Copyright © by SUHRKAMP VERLAG BERLIN, 2010
All rights reserved by and controlled through Suhrkamp Verlag Berlin.
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013
Copyright © for the Polish translation by MICHAŁ PETRYK, 2013

Redakcja TERESA LEŚNIAK
Korekta JOANNA MIKA-ORZĄDAŁA / D2D.PL, ALICJA LISTWAN / D2D.PL
Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

The translation was made possible thanks to financial assistance of Arseniy Yatseniuk "Open Ukraine" Foundation

Переклад здійснено за фінансової підтримки фонду Арсенія Яценюка "Open Ukraine"

OpenUkraine
Arseniy Yatsenyuk Foundation

ISBN 978-83-7536-581-8

Cena: 31,90 zł

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Telefony istnieją, by informować o różnych nieprzyjemnościach. Telefoniczne głosy brzmią chłodno i oficjalnie, oficjalnym tonem łatwiej przekazywać złe wiadomości. Wiem, o czym mówię. Całe życie walczyłem z aparatami telefonicznymi, choć bez większego powodzenia. Telefoniści całego świata dalej podsłuchują rozmowy, wypisując sobie na kartkach najważniejsze słowa i sformułowania, a w pokojach hotelowych leżą psałterze i książki telefoniczne – wszystko, czego trzeba, żeby nie stracić wiary.

Spałem w ubraniu. W dżinsach i rozciągniętej podkoszulce. Budziłem się i chodziłem po mieszkaniu, przewracałem puste butelki po lemoniadzie, szklanki, puszki i popielniczki, usmarowane sosem talerze, buty, wściekle rozgniatałem stopami jabłka, pistacje i tłuste daktyle przypominające karaluchy. Kiedy wynajmujesz mieszkanie i żyjesz wśród cudzych mebli, uczysz się traktować rzeczy ostrożnie. Trzymałem w domu pełno badziewia, jak handlarz, pod kanapą chowałem płyty gramofonowe i kije hokejowe, zostawione przez kogoś kobiece ubrania i znalezione gdzieś wielkie blaszane znaki drogowe. Nie mogłem niczego wyrzucić, bo nie wiedziałem, co z tego wszystkiego należy do mnie, a co jest własnością kogoś innego.

Ale od pierwszego dnia, od chwili, gdy się tu znalazłem, aparat telefoniczny leżał na podłodze na środku pokoju, budząc nienawiść i swoim głosem, i milczeniem. Kiedy kładłem się spać, przykrywałem go wielkim kartonowym pudłem, rano wynosiłem je na balkon. Szatański aparat tkwił na środku pokoju i natarczywym brzękiem informował, że jestem komuś potrzebny.

I właśnie teraz ktoś zadzwonił. Czwartek, piąta rano. Wylazłem spod koca, zrzuciłem pudełko, wziąłem telefon i poszedłem na balkon. Na podwórku było cicho i pusto. Przez tylne drzwi banku wyszedł ochroniarz i urządził sobie poranną przerwę na papierosa. Kiedy ktoś do ciebie dzwoni o piątej rano, nic dobrego z tego nie wyniknie. Powstrzymując rozdrażnienie, podniosłem słuchawkę. I tak się wszystko zaczęło.

– Bracie. – Od razu poznałem Koczę. Głos miał przepalony, jakby zamiast płuc zamontowali mu stare zrypane głośniki. – Her, bracie, nie śpisz? – Głośniki chrypiały i wypluwały spółgłoski. Piąta rano, czwartek. – Halo, Her.

– Halo – powiedziałem.

– Bracie – dodał niskich rejestrów Kocza. – Her.

– Kocza, czego chcesz? Jest piąta rano.

– Her, posłuchaj – Kocza przeszedł na ufny świst. – Nie budziłbym cię. Ale taka sprawa jest. Nie spałem w nocy, rozumiesz? Wczoraj twój brat dzwonił.

– No i?

– No i wyjechał, Herman – oddech Koczy straszliwie zagwizdał po tamtej stronie.

– Daleko? – trudno było się przyzwyczaić do tych jego głosowych przemian.

– Daleko, Herman – włączył się Kocza. Kiedy zaczynał nowe zdanie, jego głos odbijał się echem. – Do Berlina albo do Amsterdamu, w końcu nie zrozumiałem.

– Może przez Berlin do Amsterdamu?

– Może i tak, Her, może i tak – wychrypiał.

– A kiedy wraca? – już się rozluźniłem.

Pomyślałem, że to po prostu pracowa sytuacja, że po prostu przekazuje rodzinną wiadomość.

– Wychodzi na to, Her, że nigdy – słuchawka znów zaszumiała.

– Kiedy?

– Nigdy, Her, nigdy. Na zawsze wyjechał. Wczoraj dzwonił, prosił, żeby ci powiedzieć.

– Jak to na zawsze? – nie zrozumiałem. – A u was tam wszystko w porządku?

– W porządku, bracie – Kocza osiągnął wysokie częstotliwości. – Wszystko w porządku. Tylko twój brat wszystko tu na mnie zrzucił, rozumiesz?! A ja, Her, już stary jestem, sam nie pociągnę.

– Jak to zrzucił? – nie mogłem zrozumieć. – Co powiedział?

– Powiedział, że jest w Amsterdamie, poprosił, żebym do ciebie zadzwonił. Powiedział, że nie wróci.

– A stacja?

– A stacja, Her, wychodzi, że na mojej głowie. Tylko że ja – Kocza znów zaprawił swoje chrypienie ufnością – sam nie pociągnę. Mam problemy ze snem, widzisz, piąta rano, a ja nie śpię…

– Dawno wyjechał? – przerwałem mu.

– Tak, tydzień temu – poinformował. – Myślałem, że wiesz. A tu taka sprawa wychodzi.

– A dlaczego nic mi nie powiedział?

– Nie wiem, Her, nie wiem, bracie. On nikomu nic nie powiedział, po prostu wziął i spierdolił. Może chciał, żeby nikt nie wiedział.

– O czym?

– O tym, że spierdala – wyjaśnił.

– A kogo to obchodzi?

– No, nie wiem, Her – zakręcił głosem Kocza – nie wiem.

– Kocza, co się tam u was stało?

– Her, przecież mnie znasz – zaskrzypiał. – Ja się w jego sprawy nie mieszałem. A on mi nic nie wyjaśniał. Po prostu wziął i spierdolił. A ja, bracie, sam nie pociągnę. Przyjechałbyś, zorientujesz się na miejscu, co?

– W czym się zorientuję?

– No, nie wiem, może coś ci mówił.

– Kocza, ja go pół roku nie widziałem.

– No, nie wiem – całkiem pogubił się Kocza. – Her, bracie, przyjedź, bo ja tu sam, no nie ma jak, zrozum mnie dobrze.

– Kocza, kręcisz coś. Powiedz normalnie, co się tam u was stało.

– Ale wszystko w porządku jest, Her – zakrztusił się. – Wszystko tip-top. Znaczy, ja ci powiedziałem, a ty rób, co chcesz. Idę, mam klientów. Na razie, bracie, na razie. – I rzucił słuchawkę.

Klientów ma, pomyślałem. O piątej rano.

*

Wynajmowaliśmy dwa pokoje w starym komunalnym mieszkaniu w wyludnionej kamienicy w samym centrum, przy cichym podwórku obsadzonym lipami. Lolek miał pokój przechodni przy korytarzu, a ja dalszy, w którym wychodziło się na balkon. Pozostałe były zamknięte na głucho. Co kryło się za drzwiami, nikt nie wiedział. Pokoje wynajmował nam stary zatwardziały emeryt, były inkasent Fiodor Michajłowicz. Mówiłem na niego Dostojewski. W latach dziewięćdziesiątych postanowili z żoną emigrować i Fiodor Michajłowicz wyrobił sobie paszport. Ale kiedy dostał do rąk nowe dokumenty, nagle

zmienił zdanie na temat wyjazdu i postanowił właśnie teraz rozpocząć nowe życie. Tak że na emigrację jego żona ruszyła sama, a on został w Charkowie, niby żeby pilnować mieszkania. Kiedy poczuł wolność, wynajął pokoje nam, a sam się gdzieś ukrywał. Kuchnia, korytarze, nawet łazienka tego na pół zrujnowanego mieszkania zapchane były przedwojennymi meblami, pomiętymi książkami i stosami pisma „Ogoniok". Stoły, krzesła i podłoga zawalone były naczyniami i kolorowymi szmatami, do których Fiodor Michajłowicz odnosił się z czułością i nie pozwalał niczego wyrzucić. I nie wyrzucaliśmy, więc do cudzego badziewia doszło jeszcze nasze. Szafki, półki i szuflady stołu w kuchni zastawione były ciemnymi butelkami i słoikami, w których pobłyskiwały olej i miód, ocet i czerwone wino, gasiliśmy w nim niedopałki. Po stole turlały się orzechy włoskie i miedziane monety, kapsle od piwa i guziki od wojskowych szyneli, z żyrandola zwisały stare krawaty Fiodora Michajłowicza. Ze zrozumieniem odnosiliśmy się do naszego gospodarza i jego pirackich skarbów, do porcelanowych figurek Lenina, ciężkich widelców z fałszywego srebra, zakurzonych zasłon, przez które przebijało się, rozganiając kurz i przeciągi, żółte niczym masło śmietankowe słońce. Wieczorami siedzieliśmy w kuchni i czytaliśmy zapiski, które Fiodor Michajłowicz porobił na ścianach, jakieś numery telefonów, adresy, schematy tras autobusów namalowane chemicznym ołówkiem wprost na tapecie, oglądaliśmy wycinki z kalendarzy i fotograficzne portrety nieznajomych kuzynów, które poprzypinał do ścian pineskami. Kuzyni wyglądali surowo i uroczyście, w odróżnieniu od samego Fiodora Michajłowicza, który w skrzypiących sandałach i szpanerskiej czapeczce od czasu do czasu też wpadał do swojego ciepłego gniazda, zbierał po nas puste butelki i znikał między lipami na podwórku, kiedy tylko dostał pieniądze za kolejny miesiąc.

Był maj, utrzymywała się ciepła pogoda, podwórko zarastało trawą. Czasami w nocy z ulicy przychodziły czujne pary i kochały się na ławce zaścielonej starymi dywanikami. Czasami nad ranem ochroniarze z banku siadywali na ławce i kręcili jointy długie jak majowe poranki. W ciągu dnia przybiegały uliczne psy, obwąchiwały wszystkie te ślady miłości i, zakłopotane, z powrotem wybiegały na główne ulice miasta. Słońce wstawało akurat nad naszym domem.

*

Kiedy wszedłem do kuchni, Lolek już kręcił się koło lodówki w swoim garniturze – ciemnej marynarce, szarym krawacie i olbrzymich spodniach, które wisiały na nim jak flaga w bezwietrzną pogodę. Otworzyłem lodówkę, uważnie obejrzałem puste półki.

– Cześć. – Padłem na krzesło, Lolek niezadowolony usiadł naprzeciwko, nie wypuszczając z ręki torebki z mlekiem. – Jest sprawa, chodź, pojedziemy do mojego brata.

– Po co? – nie zrozumiał.

– Tak po prostu. Chcę się rozejrzeć.

– A co tam u twojego brata? Ma jakieś problemy?

– Nie, wszystko w porządku. Jest w Amsterdamie.

– To ty chcesz jechać do Amsterdamu?

– Nie do Amsterdamu. Do domu, do niego. Chodź, pojedziemy w weekend.

– Nie wiem – zawahał się Lolek. – Chciałem samochód oddać do przeglądu.

– Mój brat pracuje na stacji. Jedziemy.

– No, nie wiem – odpowiedział niepewnie Lolek. – Lepiej pogadaj z nim przez telefon. – I kiedy dopił, co miał, dodał: – Zbieraj się, jesteśmy spóźnieni.

*

W ciągu dnia kilka razy dzwoniłem do brata. Słuchałem długich sygnałów. Nikt nie odbierał. Po południu zatelefonowałem do Koczy. Też bezskutecznie. Dziwne, pomyślałem, brat może po prostu nie odbierać, ma roaming. Ale Kocza powinien być na stanowisku pracy. Wykręciłem jeszcze raz, znów bez rezultatu. Wieczorem zadzwoniłem do rodziców. Słuchawkę podniosła mama.

– Cześć – powiedziałem – brat nie dzwonił?

– Nie – odpowiedziała. – A co?

– A tak, po prostu.

I zacząłem mówić o czym innym.

*

Następnego dnia rano znów podszedłem do Lolka.

– Lolek, no i jak, jedziemy?

– No, wiesz – jęknął – no co ty, ten mój stary grat jeszcze się gdzieś zepsuje po drodze.

– Lolek – zacząłem naciskać – brat zrobi kapitalny remont twojego samochodu. No weź pomóż. Nie będę się przecież podmiejskimi tłukł.

– No, nie wiem. A praca?

– Jutro jest wolne, weź się nie wymiguj.

– Nie wiem – powtórzył Lolek. – Muszę z Borą pogadać. Jak on nic nie będzie chciał…

– Chodź, idziemy, pogadamy z nim – pociągnąłem go do sąsiedniego gabinetu.

Bora i Losza – Bolek i Lolek – byli braćmi ciotecznymi. Znałem ich z uniwersytetu, skończyliśmy razem historię. Nie byli do siebie podobni. Bora wyglądał elegancko, był chudy i ufryzowany, nosił szkła kontaktowe i chyba nawet robił sobie manicure. Losza natomiast był przy kości i niezbyt bystry.

Nosił tanie ubrania, strzygł się rzadko, szkoda mu było pieniędzy na szkła kontaktowe, więc miał okulary w metalowych oprawkach. Bora wyglądał na bardziej zadbanego, a Losza na solidniejszego. Bora był starszy o pół roku i czuł się odpowiedzialny, miał kompleks brata. Pochodził z dobrego domu, jego ojciec pracował w komsomole, potem zrobił karierę w jakiejś partii, był szefem okręgowej administracji, działał też w opozycji. Ostatnimi laty miał jakąś posadę przy gubernatorze. Losza natomiast pochodził z prostej rodziny – jego matka była nauczycielką, a ojciec miał fuchę gdzieś w Rosji już od lat osiemdziesiątych. Mieszkali w małym miasteczku pod Charkowem, więc Lolek był biednym kuzynem i wszyscy go za to lubili, jak mu się zdawało. Po studiach Bora od razu wciągnął się w biznes ojca, a my z Lolkiem próbowaliśmy samodzielnie stanąć na nogi. Pracowaliśmy w agencji reklamowej, w gazecie z darmowymi ogłoszeniami, w serwisie prasowym kongresu nacjonalistów, a nawet we własnym kantorze bukmacherskim, który padł w drugim miesiącu istnienia. Parę lat temu Bora, martwiąc się o nasz żywot i pamiętając beztroską studencką młodość, zaproponował, żebyśmy pracowali razem z nim w administracji. Jego ojciec zarejestrował na niego kilka organizacji młodzieżowych, przez które przechodziły różne granty i które prały niewielkie, ale regularne sumy pieniędzy. Pracowaliśmy więc razem. Było to zajęcie dziwne i nieprzewidywalne. Redagowaliśmy czyjeś przemówienia, prowadziliśmy seminaria dla młodych liderów i treningi dla obserwatorów wyborczych, układaliśmy programy polityczne dla nowych partii, rąbaliśmy drewno na daczy taty Bolka, w telewizyjnych *talk-show* broniliśmy demokracji i praliśmy, praliśmy, praliśmy kasę, która przechodziła przez nasze konta. Na mojej wizytówce napisane było „niezależny ekspert". Po roku takiej pracy kupiłem sobie wypasiony

komputer, a Lolek poobijanego volkswagena. Mieszkanie wynajmowaliśmy z Lolkiem na spółkę. Bora często przychodził do nas w gości, siadał na podłodze w moim pokoju, brał telefon i dzwonił do prostytutek. Krótko mówiąc, normalny korporacyjny duch. Lolek nie lubił brata. Zresztą mnie chyba też. Ale już od kilku lat mieszkaliśmy w sąsiednich pokojach, więc nasze relacje były spokojne, a nawet pełne zaufania. Ciągle pożyczałem od niego ubrania, a on ode mnie pieniądze. Różnica polegała na tym, że ubrania zawsze oddawałem. W ciągu ostatnich miesięcy coś z bratem mącili, jakiś nowy rodzinny biznes, do którego się nie pchałem, bo pieniądze były partyjne i różnie mogło się to skończyć. Oszczędności, paczkę baksów, trzymałem z dala od nich, ukrywając je na półce z książkami pomiędzy stronicami Hegla. Ogólnie to im ufałem, chociaż rozumiałem też, że już czas poszukać sobie normalnej pracy.

*

Bora siedział u siebie i opracowywał dokumenty. Na biurku przed nim leżały paczki z rezultatami jakichś socjologicznych sondaży. Kiedy nas zobaczył, otworzył na monitorze stronę administracji obwodowej.

– Cześć pracy – powiedział energicznie, jak przystało kierownikowi. – No jak? Jak leci?

– Bora – zacząłem – chcemy jechać do mojego brata. Znasz go, nie?

– Znam – odpowiedział Bolek i zaczął się uważnie przyglądać swoim paznokciom.

– Jutro nic nie mamy?

Bolek pomyślał, znów popatrzył na paznokcie, gwałtownie schował dłonie za plecami.

– Jutro jest wolne – odpowiedział.

– To znaczy jedziemy – powiedziałem Loszy i odwróciłem się w kierunku drzwi.

– Poczekajcie – zatrzymał mnie nagle Bolek. – Ja też z wami pojadę.

– Myślisz? – zapytałem z niedowierzaniem.

Nie chciało mi się brać go z sobą. Lolek chyba też trochę się spiął.

– Tak – potwierdził Bolek. – Pojedziemy razem. Przecież nie macie nic przeciwko?

Lolek milczał niezadowolony.

– Bora – zapytałem go – a po co ty masz jechać?

– Tak po prostu – odpowiedział Bolek. – Nie będę przeszkadzać.

Lolka najwyraźniej peszyła konieczność wyjazdu dokądś z bratem, który dokładnie go kontrolował i nie chciał ani na chwilę zostawić w spokoju.

– Ale my wyjeżdżamy wcześnie – spróbowałem się bronić. – Gdzieś o piątej.

– O piątej? – upewnił się Lolek.

– O piątej! – krzyknął Bolek.

– O piątej – powtórzyłem i ruszyłem w kierunku drzwi.

A zresztą, pomyślałem, niech się sami dogadują.

*

W ciągu dnia znów telefonowałem do Koczy. Nikt nie odpowiadał. Może umarł, pomyślałem. Przy czym pomyślałem z nadzieją.

*

Wieczorem siedzieliśmy z Lolkiem w domu, w kuchni.

– Słuchaj – zaczął nagle – może nie pojedziemy? Może jeszcze raz zadzwonisz?

– Losza – odpowiedziałem twardo – jedziemy tylko na jeden dzień. W niedzielę będziemy w domu. Nie napinaj się.

– Sam się nie napinaj – powiedział Lolek.

– Dobrze – odpowiedziałem.

Chociaż co dobrze? Mam trzydzieści trzy lata. Od dawna, szczęśliwie, mieszkałem sam, z rodzicami widywałem się rzadko, z bratem utrzymywałem normalne stosunki. Miałem nikomu niepotrzebne wykształcenie. Pracowałem nie wiadomo z kim. Pieniędzy starczało mi dokładnie na to, do czego się przyzwyczaiłem. Na nowe przyzwyczajenia było już za późno. Wszystko mi pasowało. Z tego, co mi nie pasowało, nie korzystałem. Tydzień temu znikł mój brat. Znikł i nawet nie uprzedził. Według mnie miałem udane życie.

*

Parking był pusty i wyglądaliśmy na nim podejrzanie. Bora się spóźniał. Zaproponowałem, żebyśmy jechali, ale Lolek stawiał opór, chodził do supermarketu po kawę z automatu, zdążył poznać się z ochroniarzami, którzy właśnie tu mieszkali – pod wielkim oświetlonym supermarketem. W porannym powietrzu witryny świeciły na żółto. Supermarket przypominał liniowiec, który osiadł na mieliźnie. Od czasu do czasu przez parking przebiegały zgraje psów, nieufnie wąchały mokry asfalt i zadzierały głowy do porannego słońca. Lolek rozparł się na fotelu kierowcy, palił jednego za drugim i nerwowo wyciągał komórkę, wydzwaniając do brata. Ostatnio w ogóle często się zdzwaniali, gadali o czymś nerwowo i często się kłócili. Jakby sobie nawzajem nie ufali. Lolek jeszcze raz poleciał do automatu z kawą, kiedy wrócił, wylał ją na swój garnitur, starannie wycierał plamy wilgotnymi serwetkami i przeklinał brata za niepunktualność. Z Lolkiem zawsze tak – latem się pocił, zimą marzł, za

kierownicą było mu niewygodnie, a w garniturze czuł się niepewnie. Brat na niego naciskał i wciągał w wątpliwą sytuację. Radziłem mu, żeby nie inwestował, jednak Lolek nie słuchał: możliwość łatwego zarobku wprowadzała go w jakiś stupor. Pozostawało mi obserwować jego próby machinacji finansowych, ciesząc się, że nie dałem im się w to wkręcić. Też poszedłem po kawę, pogadałem z ochroniarzami, pokarmiłem psy chipsami. Trzeba było jechać. Ale bez brata Lolek jechać nie mógł.

*

Wybiegł zza rogu, rozpaczliwie się oglądając i odganiając psy. Lolek zatrąbił, Bora zauważył nas i ruszył do samochodu. Psy biegły za nim z podkulonymi poszarpanymi ogonami. Otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka. Ubrany był w garnitur i zieloną, mocno wymiętą koszulę.

– Bora, co jest, kurwa?

– Losza – Bolek na to – nawet, kurwa, nic nie mów.

Potem Bolek przywitał się ze mną i wyciągnął z kieszeni kilka płyt.

– Co to? – zapytałem.

– Nagrałem dla nas muzykę – wyjaśnił Bolek. – Do słuchania po drodze.

– Ale ja mam swoją.

– To nic, posłuchamy z Loszą.

Losza skrzywił się w odpowiedzi.

– Lolek – zaśmiałem się – za ciebie brat decyduje, czego będziesz słuchać?

– Nie decyduje – powiedział obrażony Lolek.

– A co to za muzyka? – zaciekawiłem się.

– Parker.

– Tylko?

– Tak. Dziesięć płyt Parkera. Nic innego ciekawego nie znalazłem – wyjaśnił Bolek.

– Palant – powiedział na to Lolek i pojechaliśmy.

*

Volkswagen drżał od muzyki jak puszka konserw uderzana kijem. Bora siedział z tyłu, rozluźnił węzeł krawata i uważnie oglądał blokowiska. Minęliśmy fabrykę traktorów i przejechawszy koło bazarku, w końcu wydostaliśmy się na obwodnicę. Drogówka stała na posterunku. Jeden z milicjantów leniwie popatrzył w naszą stronę, nie zobaczył nic ciekawego i odwrócił się do swoich kolegów. Spróbowałem spojrzeć na nas jego oczami. Czarny volkswagen odkupiony od partnerów, garnitury ze sklepu, buty z zeszłorocznej kolekcji, zegarki z wyprzedaży, zapalniczki podarowane przez kolegów na gwiazdkę, okulary słoneczne kupione w supermarketach – porządne, niedrogie rzeczy, nie za bardzo używane, niezbyt jaskrawe, żadnych zbędnych dodatków, nic szczególnego. Nawet mandatu nie chce się dawać.

*

Po obu stronach trasy ciągnęły się zielone wzgórza, maj był ciepły i wietrzny, ptaki przelatywały z jednego pola na drugie, nurkując hałaśliwymi zgrajami w potokach powietrza. Przed nami na horyzoncie błyszczały białe bloki, nad nimi płonęło czerwone słońce, które przypominało gorącą piłkę do koszykówki.

– Trzeba zatankować – powiedział Lolek.

– Niedługo będzie stacja – odpowiedziałem.

– I napić się czegoś – wtrącił Bolek.

– Borygo – zaproponował jego brat.

Na stacji poszliśmy z Borą kupić kawę. Kiedy Lolek tankował, wyszliśmy na drogę, stało tam kilka plastikowych stolików.

Za drucianą siatką ciągnęło się pole kukurydzy. Majowa zieleń, lepka i barwna, wpadała w oczy, wżerając się w siatkówkę. Na parkingu było kilka ciężarówek, kierowcy oczywiście odsypiali. Bora podszedł do stolika na skraju, wziął plastikowy fotel, przetarł go serwetką i ostrożnie usiadł. Ja też usiadłem. Po chwili przyszedł Lolek.

– W porządku – powiedział – możemy jechać. Daleko jeszcze?

– Jakieś dwieście kilometrów – odpowiedziałem. – Za kilka godzin dojedziemy.

– Czego słuchasz? – zapytał Lolek, pokazując na odtwarzacz, który położyłem na stole.

– Wszystkiego, jak leci – odpowiedziałem mu. – Czemu sobie takiego nie kupisz?

– Mam kompakt w samochodzie.

– No i słuchasz, co ci brat wypali.

– Ja mu porządną muzykę nagrywam – obruszył się Bolek.

– Radia słucham – dodał Losza.

– Ja na twoim miejscu nie wierzyłbym jego muzycznym gustom – powiedziałem Lolkowi. – Trzeba słuchać muzyki, którą sam lubisz.

– Co ty, Herman – nie zgodził się Bolek. – Trzeba sobie ufać. Prawda, Losza?

– Uhm – niepewnie odpowiedział Lolek.

– Dobra – powiedziałem – wszystko mi jedno. Słuchajcie sobie, czego chcecie.

– Ty, Herman, zbyt nieufny jesteś – dodał Bolek. – Partnerom nie ufasz. Tak nie można. Ale i tak na nas zawsze możesz polegać. A w ogóle to dokąd jedziemy?

– Do domu – odpowiedziałem. – Zaufaj mi.

Lepiej dojechać jak najwcześniej, pomyślałem. Tym bardziej że nie wiadomo, na jak długo tam utkniemy.

*

Bora podsuwał mi płyty Parkera. Posłusznie puszczałem je jedną po drugiej. Parker rwał powietrze swoim altem. Saksofon wybuchał jak broń chemiczna wybijająca wrogie wojska. Parker oddychał przez ustnik, wydmuchiwał złote płomienie słusznego gniewu, jego czarne palce sięgały do jątrzących się ran powietrza, wyciągając z nich miedziane monety i suszone owoce. Przesłuchane kompakty rzucałem do mojego podartego skórzanego plecaka. Po godzinie wjechaliśmy do miasteczka. Minęliśmy centrum, wyskoczyliśmy na most i trafiliśmy na wypadek.

Na środku mostu stała ciężarówka, całkowicie blokując ruch w obu kierunkach. Auta wjeżdżały na most i trafiały w umiejętnie zastawioną pułapkę – do przodu jechać się nie dało, do tyłu też, kierowcy trąbili, ci, którzy byli bliżej, wychodzili z samochodów i szli popatrzeć, co się stało. To była stara ciężarówka wiozące ptaki, oblepiona piórami i liśćmi, wyładowana klatkami z kurami. Były ich setki – tych klatek, tłoczyły się w nich, bijąc skrzydłami i dziobami, wielkie, niezdarne ptaki. Zdaje się, że kierowca wjechał w żelazne listwy, które odgradzały chodnik, samochód skręcił i zablokował przejazd. Klatki z samej góry rozsypały się po asfalcie i teraz zdziwione kury kręciły się wokół ciężarówki, wskakiwały na maski samochodów, stały na poręczach mostu i wysiadywały jajka pod kołami ciężarówek. Kierowca od razu uciekł z miejsca wypadku. Kluczyki wziął z sobą. Wokół ciężarówki, nie wiedząc, co robić, krążyło dwóch milicjantów. Z nienawiścią rozganiali kury, rozpytując świadków o kierowcę. Zeznania były sprzeczne. Ktoś twierdził, że skoczył z mostu do wody, ktoś widział, jak wsiadł do innej ciężarówki, a ktoś jeszcze przekonywał szeptem, że samochód jechał w ogóle bez kierowcy. Milicjanci rozkładali ręce i starali się połączyć przez radio ze sztabem.

– No, to potrwa – powiedział Losza, po tym jak pogadał z milicjantami i wrócił do samochodu. – Chcą gdzieś znaleźć ciągnik. Tylko że dziś jest wolne i chuja znajdą.

Za nami utworzyła się już kolejka, samochodów ciągle przybywało.

– Może objedziemy? – zaproponowałem.

– Jak? – skrzywił się Losza. – Teraz nie wyjedziesz. Trzeba było w domu siedzieć.

Nagle na maskę wskoczyła ciężka, wypasiona kura. Ostrożnie zrobiła kilka kroków i zamarła.

– Zwiastun śmierci – powiedział Bolek. – Ciekawe, czy jest gdzieś tu sklep z lodówkami.

– Chcesz kupić lodówkę? – zapytał brat.

– Chcę zimnej wody – wyjaśnił Bolek.

Losza zatrąbił, ptak przestraszony zatrzepotał skrzydłami i przeleciawszy nad czarnymi poręczami, poszybował w nieznane. Może tak właśnie trzeba je uczyć latać.

– Dobra – nie wytrzymałem – wracajcie, a ja pójdę.

– Dokąd pójdziesz? – nie zrozumiał Lolek. – Siedź. Zaraz ciągnik to odholuje, zawrócimy i pojedziemy do domu.

– Sami jedźcie. Ja przejdę piechotą, a potem jakoś dojadę.

– Czekaj – zaniepokoił się Lolek – niczym nie dojedziesz.

– Dojadę – powiedziałem. – Jutro wrócę. Jedźcie ostrożnie.

Milicjanci się denerwowali. Jeden złapał kurę i trzymając ją za nogę, kopnął z prawego czuba. Kura wystrzeliła w powietrze jak piłka, przeleciała nad paroma osobówkami i znikła pod kołami. Jego partner też złapał gniewnie kolejnego ptaka, podrzucił i z pierwszej posłał w majowe niebo. Przeskoczyłem przez balustradę, obszedłem ciężarówkę, prześlizgnąłem się między kierowcami, przeszedłem przez most i ruszyłem poranną szosą.

*

Potem długo stałem pod ciepłym niebem, na skraju pustej szosy podobnej do metra w nocy – tak samo beznadziejnie było dookoła, równie długo ciągnęły się minuty, które tu spędzałem. Za skrzyżowaniem przy wyjeździe z miasta był przystanek autobusowy, precyzyjnie zdezelowany przez nieznanych podróżnych. Na ścianach namazane były czarne i czerwone malunki, zamiast podłogi klepisko starannie usłane tłuczonym szkłem, spod ceglanej podmurówki wyrastała ciemna trawa, w której chowały się jaszczurki i pająki. Nie odważyłem się wejść do środka, stanąłem w cieniu i czekałem. A czekać musiałem długo. Przypadkowe ciężarówki sunęły na północ, pozostawiając po sobie kurz i beznadzieję, w odwrotnym kierunku w ogóle nikt nie jechał. Cień stopniowo uciekał spod moich stóp. Myślałem już, żeby wracać, zastanawiałem się, ile to zajmie czasu i gdzie mogą teraz być moi przyjaciele, kiedy nagle, skądś z boku, na szosę wypadł krwawego koloru ikarus. Zakołysał się na kołach jak pies, który otrząsa się po kąpieli, ciężko złapał oddech i ruszył w moim kierunku. Zamarłem z zaskoczenia, tak było to nieoczekiwane, stałem i patrzyłem na ten masywny środek komunikacji oblepiony kurzem, usmarowany krwią i mazutem. Autobus powoli podtoczył się do przystanku i skrzypiąc wszystkimi swoimi częściami, zatrzymał się. Otworzyły się drzwi. Z wnętrza powiało śmiercią i nikotyną. Kierowca, goły do pasa i mokry z gorąca, wytarł pot z czoła i krzyknął:

– Co jest, synek, jedziesz?

– Jadę – odpowiedziałem i wszedłem do środka.

Nie było wolnych miejsc. Autobus wypełniała senna, nieruchawa publiczność. Były tu kobiety w stanikach i spodniach od dresu z jaskrawym makijażem i tipsami, byli mężczyźni

z saszetkami i dziarami, też w spodniach od dresu i w chińskich adidasach, były dzieci w bejsbolówkach i dresach, z kijami bejsbolowymi i kastetami w dłoniach. I wszyscy spali albo starali się zasnąć, więc nikt na mnie nie zwracał uwagi. Nad tym wszystkim unosiła się indyjska muzyka, brzęczała jak zgraja kolibrów i latała po autobusie, usiłując wyrwać się ze słodkiej komory gazowej. Ale muzyka nikomu nie przeszkadzała. Przeszedłem do końca, szukając wolnego miejsca, ale go nie znalazłem, więc wróciłem do kierowcy. Szyba przed nim była gęsto oblepiona prawosławnymi ikonkami i obwieszona sakralnymi fantami, oczywiście właśnie one chroniły samochód przed ostatecznym rozpadem – pluszowe niedźwiadki i gliniane szkielety z połamanymi żebrami, korale z kogucich głów i proporczyki Manchester United, skoczem przylepione były zdjęcia pornograficzne, portrety Stalina i odbite na ksero portrety świętego Franciszka. A na desce przed kierowcą kurzyły się mapy samochodowe, kilka „Hustlerów", którymi tłukł muchy, latarki, noże ze śladami krwi, jabłka, z których wyłaziły robaki, i malutkie drewniane ikonki z obliczami wielkich męczenników. Sam kierowca sapał, jedną ręką wczepił się w kierownicę, a drugą trzymał wielką butlę z wodą.

– Co, synek? – spytał. – Wszystko zajęte?

– Uhm.

– Postój przy mnie, bo zaraz też zasnę. Dobrze im, popadali i śpią. A ja jestem odpowiedzialny.

– Za co?

– Za towar, synku, za towar – wyjaśnił mi jak rodzonemu.

I opowiedział smutne rzeczy. Byli to handlowcy z Donbasu, całe rodziny drobnych handlarzy. Dwa dni temu załadowali towar w Charkowie – dresy, chińskie adidasy i inne gówno. I ruszyli do domu. Ale ledwie wyjechali z miasta, a już

autobus zepsuł się beznadziejnie, podwozie, synku, kłopoty z podwoziem, ostatni raz remontowali je przed olimpiadą w Moskwie! Pierwszą noc spędzili przy szosie. Kierowca pełzał jak wąż między kołami, a drobni handlarze rozstawili warty, palili do rana ognisko i śpiewali z gitarą. Nawet im się podobało. Rano kierowca poszedł do najbliższej wsi i sprowadził rolników z traktorem. Ci odholowali ich do warsztatu na stacji kolejowej. Tam spędzili następny dzień i jeszcze jedną noc. Handlarze uparcie nie spali, strzegąc towaru i śpiewając przy dźwiękach gitary, tylko raz polecieli na dworzec kupić chlanie i nowe struny. W końcu kierowca doprowadził podwozie do porządku, załadował, jak mógł, handlarzy i kontynuował gorzki szlak do rodzimych hałd. Kiedy trafił na zator przy moście, nie poddał się, zrobił niemały hak, jakimiś okrężnymi ścieżkami, przez stare kładki przedostał się na lewy brzeg. I teraz nic nie mogło go zatrzymać. Tak właśnie powiedział.

Ikarus wjechał na wzgórze i ciężko się zakrztusił. Przed nami leżała szeroka słoneczna dolina z sałatowymi polami kukurydzy i złotymi jarami. Kierowca zdecydowanie ruszył naprzód. Autobus zsuwał się jak lawina śnieżna wywołana nieostrożnymi okrzykami japońskich turystów. Wiatr świszczał, trąc o ciepłe boki, żuki tłukły w przednią szybę niczym krople majowego deszczu, lecieliśmy w dół, nabierając prędkości, a wokół rozpływały się głosy indyjskich śpiewaków, wieszcząc długą radość i bezbolesną śmierć. Stoczywszy się na dno doliny, autobus rozpędem wyskoczył na pierwszy pagórek i wtedy kierowca spróbował włączyć silnik. Ikarus zatrząsł się, rozległ się gwałtowny zgrzyt żelaza o żelazo i samochód stanął. Kierowca milczał rozpaczliwie. Niezręcznie było zadawać jakiekolwiek pytania. W końcu spuścił głowę na kierownicę i jakoś zamarł, od czasu do czasu

unosząc ramiona. Pomyślałem, że płacze, było to na swój sposób wzruszające. Jednak kiedy posłuchałem uważniej, zrozumiałem, że już śpi. Reszta pasażerów ikarusa widma też spała. I nikt nawet nie myślał o pilnowaniu towaru. Znów przeszedłem między siedzeniami i wyjrzałem przez okno. Wiatr delikatnie muskał młodą kukurydzę, wokół panowała cisza i słońce wżerało się w dolinę jak plama oleju w płótno. Niespodziewanie ktoś dotknął mojej dłoni. Obejrzałem się. Na końcu autobusu były jakieś zasłonki, ciemnobrunatne i dawno nieprane. Zdawało mi się, że za tymi zasłonkami nic nie ma, że tam jest ściana, no, albo może okno czy coś takiego. Ale stamtąd wysunęła się ręka, chwyciła mnie lekko i pociągnęła do środka. Prześlizgnąłem się przez niewidoczne wejście i znalazłem się w niewielkim pokoiku. Był to taki sobie chillout, miejsce do medytacji i miłości, cela zamieszkana przez duchy i cienie. Ściany zawieszono chińskimi syntetycznymi dywanami z dziwnymi ornamentami i rysunkami, na których przedstawiono sceny polowań na jelenie, picie herbaty i powitanie towarzysza Mao przez pionierów. Pod ścianami stały dwie niewielkie kanapy. Na nich siedzieli trzej Murzyni i jedna Murzynka. Mężczyźni mieli na sobie białą, a kobieta szarą sportową bieliznę. Ciężkie naszyjniki z czaszkami kołysały się, zwisając z jej szyi, a z włosów zamiast grzebienia sterczał nóż do papieru. Na jej kolanach leżał termos. Oczy drapieżnie błyskały w mroku, żółtawe białka świeciły w ciemności jak bursztyn. Murzynka patrzyła mi prosto w oczy i nie puszczając mojej dłoni, zapytała:

– Kto ty jesteś?

– A ty? – zapytałem, czując ciepło jej dłoni i ciężar srebrnych pierścieni na palcach.

– Karolina – powiedziała i nagle cofnęła dłoń.

Jeden z Murzynów, oglądając się na mnie, szeptał coś do sąsiada, a ten krótko się zaśmiał.

– Dokąd jedziesz? – znów zapytała Karolina.

– Do domu – odpowiedziałem.

– A kto tam na ciebie czeka?

Wyciągnęła nóż ze swojej fryzury i gęste włosy rozsypały się, zasłaniając jej oczy.

– Nikt na mnie nie czeka.

Karolina też się zaśmiała.

– Po co jechać tam, gdzie nikt na ciebie nie czeka? – zapytała i wyciągnąwszy skądś granat, rozkroiła go na pół.

– Co za różnica? – nie zrozumiałem. – Po prostu dawno tam nie byłem.

– Masz – podała mi połówkę granatu. – Co będziesz robić tam, gdzie nikt na ciebie nie czeka?

– Na krótko jadę. Jutro ruszam z powrotem.

– Tak się boisz tam wrócić? – znów się zaśmiała, przysysając się do swojej połówki grantu.

– Dlaczego tak myślisz?

– Jeszcze nie dojechałeś, a już zamierzasz wracać. Boisz się.

– Mam różne sprawy – wyjaśniłem. – Nie mogę tam dłużej zostać.

– Możesz – powiedziała. – Jeśli zechcesz.

– Nie – powtórzyłem niezadowolony – nie mogę.

– Myślę, że tak szybko uciekasz, bo zapomniałeś wszystko, co z tobą było. Kiedy sobie przypomnisz, nie tak łatwo będzie stamtąd wyjechać. Masz.

I podała mi filiżankę, do której nalała coś z termosu. Napój pachniał cynamonem i walerianą. Spróbowałem. W smaku był cierpki i ostry. Od razu odpadłem.

*

Lotnisko otaczały pola pszenicy. Przy samym pasie startowym rosły jaskrawo żrące kwiaty, nad którymi, jak nad trupami, przeciągle wisiały osy. Rano słońce nagrzewało asfalt i suszyło trawę, która przebijała się przez betonowe płyty. Z boku nad budką kontrolera lotów strzępiły się na wietrze płótna flag, dalej, za budynkiem administracji, ciągnęły się drzewa oblepione pajęczynami i płonące ostrym porannym światłem. W polach pszenicy ukrywały się dziwne przeciągi niczym zwierzęta, które co noc wychodziły z ciemności ku zielonym światłom budki kontrolera lotów, a rano znów zaszywały się między źdźbłami, chowając się przed gorącym czerwcowym słońcem. Nagrzany asfalt odbijał słoneczne światło, oślepiając ptaki, które przelatywały nad pasem startowym. Przy ogrodzeniu stały cysterny i dwa ciągniki, ciemniały też puste garaże, z których słodko zawiewało stojącą wodą i smarem. Po jakimś czasie zjawiali się mechanicy, przebierali się w czarne kombinezony i zaczynali ryć w swoich maszynach. Nad lotniskiem wisiało niebo wczesnego czerwca, rozwijało się na wietrze jak świeżo wyprane prześcieradła, dźwięcznie trzepocząc, unosiło się i opadało, dotykając asfaltu. Zawsze o tej samej godzinie, koło ósmej, w powietrzu zjawiało się, stopniowo narastało i wypadało z atmosferycznych głębin zmęczone brzęczenie silnika. Samego samolotu pod słońce nie było jeszcze widać, ale jego cień mknął już po pszenicznych polach, płosząc ptaki i lisy. Powierzchnia nieba pękała jak porcelana i nad głowami mechaników dumnie przelatywał stary dobry AN-2, kukuruźnik-zabójca, chluba radzieckiego lotnictwa, i pewnie podchodził do lądowania. Ogłuszał ranek przedpotopowym silnikiem i zawracał nad drzemiącym miasteczkiem, budząc je z lekkiego i złudnego letniego snu. Piloci przyglądali się gospodarstwom, polom gęsto polanym słonecznym miodem,

świeżej zieleni parowów i nasypów kolejowych, złotu rzecznego piasku i stołowemu srebru kredowych brzegów. Miasto zostawało z tyłu z kominami fabryk i koleją, samolot lądował, światło zalewało kabinę i zimno błyszczało na metalu. Przetaczał się pasem startowym, podskakując na grubych kołach nad spękanym asfaltem. Piloci zeskakiwali na ziemię i pomagali tragarzom wyciągać wielkie brezentowe worki z prasą okręgową i stołeczną, z listami i banderolami, a kiedy rozładowali samolot, szli do budynków, zostawiając go, by nagrzewał się na słońcu.

Mieszkaliśmy z przyjaciółmi po drugiej stronie pól, w białych blokach, wokół których rosły sosny. Pod wieczór wyruszaliśmy z naszej dzielnicy, brnęliśmy przez pszenicę, chowając się przed przypadkowymi samochodami, skokami przebiegaliśmy przy płocie, kładliśmy się w zakurzonej trawie i oglądaliśmy samoloty. AN-2 ze swym metalowym kadłubem i płóciennym pokryciem skrzydeł wydawał się nam maszyną, którą z tamtego świata przyleciały demony wypalić niebo nad nami benzyną i ołowiem. Wysłannicy bogów siedzieli w jego wnętrzu, a potężne śmigło rozrywało niebiańską krę i wysyłało na tamten świat puch z topoli. Wracaliśmy do domu już w nocy, brnęliśmy przez gęstą, gorącą pszenicę, myśląc o lotnictwie. Wszyscy chcieliśmy być pilotami. Większość z nas została loserami.

Od czasu do czasu śnią mi się lotnicy. Za każdym razem wykonują przymusowe lądowanie gdzieś w polach pszenicy, płócienne pokrycie dźwięcznie pęka w czerwonym popołudniu, pszenica wkręca się w podwozie i maszyna latająca martwo grzęźnie w czarnym suchym gruncie. Piloci wyskakują z rozpalonych kabin, padają w pszenicę, która od razu oplątuje im nogi, wstają, usiłują wypatrzeć coś na horyzoncie. Jednak na horyzoncie nie ma nic oprócz pól pszenicy,

ciągną się bez końca i wydostać się z nich – to beznadziejna sprawa. Porzucają więc swe maszyny, które stopniowo stygną w wieczornym mroku, i suną na zachód za szybko gasnącym słońcem. Pszenica jest wysoka i gęsta, piloci z trudem torują sobie przez nią drogę, przebijając niewidoczną ścianę przed sobą, bez żadnych szans, by dokądkolwiek dojść. Mają skórzane pilotki, gogle i ciężkie rękawice, a za nimi wloką się rozłożone spadochrony, których z jakiegoś powodu nie chcą odczepić, ciągnąc je za sobą jak długie, ciężkie krokodyle ogony.

*

Obudziła mnie spokojna praca silnika. Na kanapach obok spało trzech Murzynów, Karoliny nie było. Zajrzałem za zasłonkę. Zrobiło się już dość późno, za oknem po prawej stronie czerwonymi wybuchami rozlewało się wieczorne słońce. Ciekawe, która godzina? Podszedłem do jednego z handlarzy, uniosłem jego rękę i popatrzyłem na zegarek. Pół do dziesiątej. Cholera, pomyślałem, czyżbym zaspał? I ruszyłem do kierowcy. Przywitał się ze mną jak ze starym przyjacielem, nie odrywając oczu od szosy. Wyjrzałem przez okno. Gdzieś niedaleko powinien być rozjazd, ale jeśliby nie zakręcić, tylko jechać prosto, parę kilometrów dalej będzie właśnie to miejsce, gdzie chcę dojechać. Jednak na rozjeździe kierowca przyhamował.

– Ojciec, no jak – powiedziałem – weź mnie podrzuć do stacji. To parę kilometrów.

– To na górze? – zapytał kierowca.

– Yhy.

– Koło wieży.

– No.

– Nie – powiedział. – Skręcamy.

– Poczekaj – zacząłem się targować. – Masz coś z podwoziem. A mój brat ma warsztat. Pełny przegląd ci zrobi.

– Synek, tam jest miasto – odpowiedział twardo i z przekonaniem. – A my do miasta nie możemy wjechać. Mamy towar.

*

Wysiadłem z autobusu. Słońce zaszło i od razu zrobiło się chłodno. Założyłem kurtkę i ruszyłem szosą. Po jakichś dwudziestu minutach doszedłem do stacji. Obok widać było ciemne okna warsztatu. Światło nigdzie się nie paliło. Ciekawe, gdzie jest Kocza? pomyślałem. Podszedłem do stacji. Wszędzie ciemno i pusto. Na drzwiach wisiała kłódka. Postanowiłem poczekać. Poszedłem za budynek, tam w trawie i krzakach stała mała przyczepa, w której mieszkał Kocza, za nią widać było kilka starych rozwalonych aut. Przyczepa też była zamknięta. W ciemnościach zbliżyłem się do oderwanej kabiny kamaza. Wszedłem do środka, zrzuciłem adidasy. Przede mną w dolinie leżało miasto, w którym się urodziłem i wychowałem. Podłożyłem pod głowę plecak i zasnąłem.

2

Ostrożny i czujny pies w błotniście czarnym kolorze skradał się w wysokiej trawie. Uginał kark i starał się poruszać niepostrzeżenie. Zbliżał się cicho, rozgarniając trawę bojowymi łapami i zasłaniając sobą poranne słońce. Promienie złociły mu łeb o szklistych oczach, w których widać już było moje odbicie. Zrobił sprężysty krok, potem jeszcze jeden, zamarł na chwilę i powoli wyciągnął do mnie pysk. Oczy łypnęły głodnym błyskiem i trawa za jego plecami zamknęła się szmaragdową falą, chowając w sobie krwawy słoneczny skrzep.

Instynktownie wyciągnąłem przed siebie dłoń, reagując przez sen na jego ruch.

– Hera, brachu!

Poderwałem się, uderzając stopami o pogięte żelastwo.

– Hera! Bracie! Jesteś! – Kocza zbliżał się, chcąc mnie objąć, wymachiwał długimi chudymi rękami, kręcił łysą czaszką. Ale nie mógł się przecisnąć przez wybite boczne okno kabiny, więc tylko pobłyskiwał wielkimi okularami, stojąc twarzą do słońca, które zdążyło wzejść i teraz lekko unosiło się na konieczną dla niego wysokość. – No co tu leżysz! – chrypiał, wyciągając do mnie łapy. – Brachu!

Spróbowałem wstać. Ciało po spaniu na niewygodnym siedzeniu słabo się mnie słuchało. Podciągnąłem nogi, przechyliłem się i wpadłem prosto w objęcia Koczy.

– Bracie! – zdaje się, cieszył się z mojego przyjazdu.

– Cześć, Kocza – odpowiedziałem i długo ściskaliśmy sobie dłonie, klepaliśmy się po ramionach i plecach, na wszystkie sposoby pokazując, że to super, że spędziłem tę noc w pustej kabinie, a on mnie obudził o szóstej rano.

– Dawno przyjechałeś? – zapytał Kocza, kiedy opadła pierwsza fala radości. Zadał to pytanie, nie wypuszczając mojej dłoni.

– Wczoraj w nocy – odpowiedziałem, usiłując się wyrwać i założyć buty.

– Czemu nie zadzwoniłeś? – nie zamierzał puścić mojej ręki.

– Kocza, zarazo jedna – w końcu się wyrwałem i nie wiedziałem teraz, co robić z odzyskaną ręką. – Dwa dni do ciebie dzwoniłem. Dlaczego nie odbierasz?

– Kiedy dzwoniłeś? – zapytał.

– W dzień – udało mi się jednak wyciągnąć z kabiny adidasy.

– No to spałem – odpowiedział mi na to. – Mam ostatnio problemy ze snem. W dzień śpię, a w nocy przychodzę

do pracy. Ale w nocy nie ma klientów. – Podreptał chwilę w miejscu i pociągnął mnie za sobą. – A przede wszystkim, to telefon nam wyłączyli za niezapłacone rachunki. Wczoraj pojechałem do miasta, no i właśnie wróciłem. Chodź, wszystko ci pokażę.

*

Poszedł pierwszy. Ruszyłem za nim. Ominąłem rozwalonego moskwicza ze spalonymi kołami, jakąś górę żelastwa, części samolotów, chłodni i kuchenek gazowych, i wyszedłem za Koczą do dystrybutorów. Stacja leżała jakieś sto metrów od szosy, która biegła w kierunku północnym. Niżej, ze dwa kilometry stąd, w ciepłej dolinie leżało miasteczko, przez które właśnie biegła ta szosa. Na południe od ostatnich miejskich ulic, za terenami fabryk zaczynały się pola i kończyły się po drugiej stronie doliny, od północy miasto obejmowała rzeka płynąca z rosyjskiego terytorium w kierunku Donbasu. Lewy jej brzeg był płaski, natomiast wzdłuż prawego ciągnęły się wysokie kredowe góry na szczytach porośnięte piołunem i ciernistymi krzewami. Na najwyższej, niemal wiszącej nad miastem, sterczała wieża telewizyjna, widoczna z każdego miejsca w dolinie. A zaraz obok na sąsiednim wzgórzu była stacja. Zbudowali ją gdzieś w latach siedemdziesiątych. Wtedy w mieście pojawiła się baza paliw i przy niej dwie stacje benzynowe – jedna na południowym wyjeździe z miasta, a druga na północnym. W latach dziewięćdziesiątych baza spłonęła, jedna ze stacji też, została ta na drodze charkowskiej. Mój brat zdążył się tu zaczepić jeszcze na początku dziewięćdziesiątych, kiedy baza dokonywała żywota, i przejął ten biznes. Sama stacja nie wyglądała najlepiej – cztery stare dystrybutory, budka z kasą, pusty maszt, na którym jeśliby się miało ochotę, można by kogoś powiesić. Jeszcze

dalej znajdował się zimny magazyn nafaszerowany żelazem – brat wkładał pieniądze nie w rozwój infrastruktury, a w poprawę obsługi, ściągając ze wszystkich stron różne narzędzia i mechanizmy, za pomocą których mógł naprawić wszystko. Mieszkał w mieście, przyjeżdżał tu co rano i wracał do doliny dopiero nocą. Razem z nim pracowała zezwierzęcona brygada: Kocza i Szura Traumowany, inżynierowie-samoucy, którzy uratowali życie niejednej ciężarówce, z czego byli dumni. Szura Traumowany też mieszkał w mieście, a Kocza pozbawiony był własnego mieszkania, dlatego ciągle siedział na stacji, nocował w przyczepie dla budowlańców, urządzonej zgodnie z wszystkimi zasadami *feng shui*. Koło stacji był asfaltowy placyk z kanałem do napraw, dalej pod lipami stało kilka wkopanych w ziemię żelaznych stołów. Za stacją zaczynały się wąwozy i sady z jabłoniami ciągnące się wzdłuż kredowych gór, a od północy otwierał się step, z którego od czasu do czasu wyjeżdżała hałaśliwa rolnicza maszyneria. Za przyczepą powstało składowisko rozwalonych maszyn, stały resztki rozebranych na części samochodów, zgromadzone były koła. Z boku, w krzakach malin, ukrywała się kabina kamaza, z której rozpościerała się panorama na zalaną słońcem dolinę i bezbronne miasto. Ale chodziło nie o infrastrukturę i nie o stare dystrybutory. Chodziło o lokalizację. Mój brat dobrze to rozumiał, wybierając właśnie tę stację. Rzecz w tym, że następne miejsce, gdzie była benzyna, znajdowało się jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północ, a trasa biegła przez podejrzane miejsca, gdzie nieobecne były organa władzy i ludność jako taka. Nawet zasięgu na północ, zdaje się, nie było. Kierowcy o tym wiedzieli, dlatego starali się zatankować u mojego brata. Poza tym pracował tu Szura Traumowany – najlepszy mechanik w okolicy, bóg wałów kardana i układów kierowniczych. Krótko mówiąc – żyła złota.

*

Przy ceglanej budce obok dystrybutorów stały dwa fotele samochodowe, przyniesione tu w celach wypoczynkowych. Przykryte były czarnymi skórami nieznanych mi zwierząt, wystawały z nich na wszystkie strony sprężyny, do jednego przymocowano jakąś dziwaczną dźwignię, całkiem możliwe, że była to katapulta. Kocza zmęczony padł na katapultę, wyciągnął skręty i zapaliwszy, wskazał dłonią – siadaj, brachu. Tak też zrobiłem. Słońce się rozgrzewało jak kamienie na brzegu i niebo jak żaglowe płótno falowało na wietrze. Niedziela, koniec maja, najlepszy czas na to, żeby stąd wyjechać.

– Na długo? – ze świstem i zatrzymując w płucach dym, zapytał Kocza.

– Wieczorem wracam – odpowiedziałem.

– Co tak szybko? Zostań na parę dni. Pójdziemy na ryby.

– Kocza, gdzie jest mój brat?

– Mówiłem ci przecież. W Amsterdamie.

– Dlaczego nie powiedział, że wyjeżdża?

– Her, nie wiem. Nie miał zamiaru wyjeżdżać. Wziął i wszystko rzucił. Powiedział, że nie wraca.

– A co, miał jakieś problemy z biznesem?

– Jakie tam problemy, Herman? – gorączkował się Kocza. – Tu ani problemów nie ma, ani biznesu. Tylko płakać. Przecież widzisz.

– No, co teraz robić?

– Nie wiem, rób, co chcesz.

Kocza zgasił niedopałek i rzucił go do wiadra z napisem „Zakaz palenia". Wystawił twarz do słońca i ucichł. Cholera, pomyślałem, ciekawe, co się teraz dzieje w jego głowie, co tam jest namotane? Przecież na pewno coś ukrywa, siedzi i coś mąci.

*

Kocza miał koło pięćdziesiątki. Jak na swoje lata był energiczny, łysy i społecznie nieprzystosowany. Na głowie dookoła łysiny sterczały mu na wszystkie strony resztki kiedyś wspaniałej czupryny, którą dobrze pamiętałem z dzieciństwa. Koczę w ogóle pamiętałem z dzieciństwa, po rodzicach, sąsiadach i kuzynach był pierwszą żywą istotą, którą odnotowałem w świadomości. Potem dorastałem, a Kocza się starzał. Mieszkaliśmy w sąsiednich domach na nowym osiedlu, które przez cały czas się rozbudowywało, więc dorastałem niemal na placu budowy. W domach mieszkali przeważnie robotnicy z niedużych okolicznych fabryk – w mieście nie było wielkich przedsiębiorstw, kolejarze i różnorakie inteligenckie pojebstwo: nauczyciele, urzędnicy, a także wojskowi (mój tata, na przykład), no i komsomolskie kadry, perspektywiczna młodzież, można powiedzieć. Kocza, o ile pamiętam, wprowadził się do nas później, ale w dzielnicy mieszkał, zdaje się, od zawsze. Należał właśnie do perspektywicznej młodzieży, wychowywał się bez rodziców, już w szkole miał problemy z organami ścigania, stopniowo stając się postrachem osiedla. Osiedle w latach siedemdziesiątych dopiero budowano, więc burzliwa młodość Koczy zbiegła się z intensywnym rozwojem komunalnej infrastruktury – okradał nowe spożywczaki, obrabiał świeżo otwarte kioski z prasą, właził nocą do niedokończonego urzędu stanu cywilnego, w ogóle szedł z duchem czasu. Organa ścigania, wykazując pełną bezradność, wypuściły Koczę za poręczeniem komsomołu. Komsomoł z jakiegoś powodu postanowił, że Kocza nie jest całkowicie stracony dla kadr młodzieży komunistycznej i wziął się do przekonywania go. Na początku umieścili go w technikum. Skąd Kocza już w drugim tygodniu wyniósł tokarkę i zmuszeni byli go wyrzucić. Pokręciwszy się

po dzielnicy jeszcze rok czy półtora, trafił w kamasze. Służył w batalionie budowlanym pod Żytomierzem, jednak wrócił do domu z dziarami wojsk desantowych. Był to jego gwiezdny czas. Po dzielnicy chodził z pagonami i bił wszystkich, którzy go nie poznawali. My, chłopaki, zachwycaliśmy się Koczą, był dla nas złym przykładem. Komsomoł podjął ostatnią żałosną próbę walki o jego duszę i podarował mu dwupokojowe mieszkanie w sąsiednim budynku. Kocza wprowadził się i od razu urządził sobie w domu jaskinię rozpusty. Przez jego mieszkanie na początku osiemdziesiątych przeszła cała postępowa młodzież dzielnicy – chłopcy zdobywali tu męskość, dziewczynki – doświadczenie. Sam Kocza pił coraz więcej i rozpad kraju umknął jego uwadze. Pod koniec osiemdziesiątych, kiedy w mieście pojawił się seryjny morderca, władza i organy ścigania podejrzewały Koczę. Jednak nie odważyli się go aresztować, bo się go po prostu bali. Sąsiedzi też byli przekonani, że to Kocza w gwiaździste pachnące noce gwałci pracownice mleczarni, rozpruwając je potem ostrym metalowym przedmiotem. Mężczyźni go za to szanowali, kobietom się podobał. Na początku lat dziewięćdziesiątych, ponieważ komsomołu już nie było, sprawę musiały wziąć w swoje ręce organa ścigania. Pewnego razu, przebywając w długotrwałym wesołym ciągu, Kocza podpalił tablicę reklamową nowo powstałej spółki akcyjnej, co stało się kroplą, która przepełniła czarę ludowej cierpliwości. Wzięli go we własnym mieszkaniu. Kiedy wyprowadzali go na dwór, zebrała się niewielka demonstracja. My, już dorośli kolesie, byliśmy za Koczą. Jednak nas nikt nie słuchał. Dostał rok. Odsiedział gdzieś w Donbasie i skumał się w więzieniu z jakimiś mormonami. Ci przekazywali mu swoją literaturę, a także na jego prośbę wodę kolońską i skręty. Po roku wyklepał i wrócił do domu jako bohater. Po jakimś czasie

mormoni przyjechali po jego duszę. Byli to trzej młodzi aktywiści w tanich, ale przyzwoitych garniturach. Kocza wpuścił ich do domu, wysłuchał, wyciągnął z kanapy strzelbę i zagonił mormonów do łazienki. Trzymał ich tam dwa dni. Na trzeci dzień nieopatrznie postanowił się umyć, otworzył drzwi i mormoni wydostali się na wolność. Pobiegli na milicję i spróbowali zgłosić całe zdarzenie, jednak milicjanci rozważnie postanowili, że prościej będzie odizolować właśnie mormonów i zamknęli ich celem ustalenia tożsamości. Przez następne parę lat Kocza bez efektu usiłował pójść po rozum do głowy, trzy razy się żenił i trzy rozwodził, przy czym wciąż z tą samą kobietą. Życie osobiste wyraźnie mu się nie układało i Kocza dalej żegnał się z młodością. Pożegnał się z nią gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych, trafiając do szpitala z odgryzionym palcem i przebitym brzuchem. Palec odgryzła mu żona w czasie kłótni, a kto przebił mu przy tym brzuch, Kocza nie chciał powiedzieć. Mniej więcej wtedy zaczął mu pomagać mój brat, od czasu do czasu załatwiał mu pracę, dawał pieniądze, w ogóle go wspierał. Mieli ze sobą coś do czynienia w minionym życiu, była jakaś historia, brat parę razy o niej wspominał, ale opowiadać nie chciał, po prostu mówił, że Koczy można zaufać, w razie czego nie zawiedzie. Kilka lat temu Koczę z mieszkania wygonili Cyganie i wtedy przeprowadził się tutaj, na stację. Mieszkał w przyczepie, prowadził spokojne, uporządkowane życie, przeszłość wspominał z nostalgią, jednak nie chciał wracać do swego mieszkania. Wyglądał kolorowo, jego łysina miała odcień delikatnie różowy, a w okularach stawał się podobny do szalonego chemika, który właśnie wynalazł alternatywną, ekologicznie czystą kokainę i przeprowadzał na sobie eksperymenty. I badania te dały wynik pozytywny. Nosił pomarańczowy kombinezon, rozchodzone wojskowe buty,

miał w ogóle dużo ciuchów z wojskowych second-handów, nawet zagraniczne wojskowe skarpetki – na prawej napisane było R, a na lewej – L, żeby ich nie pomylić. Nadgarstki owijał chustkami i zakrwawionymi bandażami, twarz i dłonie zawsze miał podrapane czy pocięte i w ogóle wyglądał tak, jakby jadł pizzę palcami.

*

A teraz wygrzewał się na słońcu i mówił coś mało przekonującego.

– Jasne – powiedziałem mu – nie chcesz mówić, nie mów. A kto się u was zajmuje księgowością?

– Księgowością? – Kocza otworzył oczy. – Po co ci księgowość?

– Chcę się dowiedzieć, ile macie kasy.

– Aha, Hera, kasy mamy od chuja – zaśmiał się nerwowo i dodał: – z Olgą musisz porozmawiać. Jura, twój brat, z nią pracował. Ma firmę w mieście.

– To jego laska?

– Jaka laska?! – oburzył się Kocza. – Mówię przecież: Jura interesy z nią robił.

– A gdzie ma biuro?

– Co ty? Teraz od razu chcesz do niej iść?

– No, nie będę przecież z tobą tu siedzieć.

– Niedziela dzisiaj, Hera, brachu, wolne.

– A jutro?

– Co jutro?

– Pracuje?

– Nie wiem, może.

– Dobra, Kocza, ty się zajmij klientami – powiedziałem, spoglądając na pustą szosę. – Ja bym pospał.

– Idź do przyczepy – powiedział Kocza – I śpij.

*

Światło przebijało się przez zasłonę, wypełniając wnętrze plamami i słonecznym kurzem. Gorące smugi ciągnęły się po podłodze jak rozsypana mąka. Nad drzwiami przyczepione były jakieś własnej roboty instalacje zrobione z taśm filmowych. Widać Kocza długo nad nimi pracował. Wszedłem, nie zamykając za sobą drzwi, i rozejrzałem się wokół. Przeciąg dotykał klisz, które lekko szeleściły jak liście kukurydzy. Pod ścianami stały dwie wygniecione kanapy, po prawej urządzono kuchnię, z kuchenką, starodawną lodówką i różnymi naczyniami na ścianach, a po lewej w kącie stało biurko zawalone podejrzanym śmieciem, w którym ryć nie miałem ochoty. Nad tym wszystkim unosił się dziwny zapach. Byłem pewien, że w pomieszczeniu, w którym mieszka przyjaciel Kocza, powinno śmierdzieć. Czym? Czymkolwiek – krwią, spermą, benzyną w końcu. Jednak w przyczepie pachniało dobrze urządzoną męską codziennością; to taki dziwny zapach, zawsze pachną tak mieszkania, gdzie mieszkają wdowcy, ale jak by to dobrze wyrazić – zadowoleni z siebie wdowcy z dobrą samooceną. Otóż z samooceną Koczy, oczywiście, wszystko było doskonale, pomyślałem, padając na kanapę, która wydała mi się mniej wygnieciona i czystsza. Padłem, zdjąłem adidasy i nagle poczułem zamroczenie całej tej podróży – przejazdów, przystanków, towarzyszy drogi, przypomniały mi się Karolina i jej słodki napój, czarne niebo nad krzakami malin i twarda blacha, na której spałem. Cały ranek jakoś dziwnie nijak nie mógł się skończyć, jakby coś się rozłączyło w mechanizmach, które nim kierowały. Coś nie grało. Jakbym stał w obszernym pomieszczeniu, do którego wpuszczono wielu nieznanych mi ludzi, a następnie wyłączono światło. I chociaż znałem to pomieszczenie, obecność tych obcych, którzy stali obok i milczeli, coś przede

mną ukrywając, budziła niepokój. Dobrze, pomyślałem, już zasypiając – zawsze można wrócić do domu.

Ściana nad kanapą zalepiona była zdjęciami, wycinkami z czasopism i kolorowymi obrazkami. Kocza niczym maniak gęsto ponaklejał tu fragmenty twarzy, kontury ciał, poszatkowane tłumy, z których wyrywały się czyjeś oczy lub usta. Były to radosne kolaże, tak jakby długo sklejał fragmenty różnych historii, wycinki z przypadkowych wydawnictw, po prostu papier, można było tam wyróżnić etykietki alkoholu i ulotki polityczne, fotografie z żurnali mód i czarno-białe zdjęcia pornograficzne, piłkarskie kalendarzyki i czyjąś książeczkę wojskową. Z daleka z tego wszystkiego powstawał ulotny obraz, jakby ktoś długo znęcał się nad fototapetą. Z bliska rzucało się w oczy mnóstwo szczegółów: pożółkły papier gazetowych wycinków, wydłubane oczy manekinów, świeżo rozlany klej i szkarłatne krople dżemu truskawkowego przypominające zaschnięty lakier do paznokci. I wszystko to połączone było jakimś wspólnym tłem, gliniano-sałatowym wypełnieniem, drobno pokreślonym literami i znakami, liniami przerywanymi i zmianami kolorów. Długo się przyglądałem, ale nie mogłem pojąć, w czym rzecz. W końcu podważyłem palcem portret Koczy z wyjścia do rezerwy, pociągnąłem do siebie i oderwałem. Pod zdjęciem znajdowała się wielka litera C. To była mapa. Najprawdopodobniej Związku Radzieckiego i raczej geograficzna: glina to Karpaty, Kaukaz i Mongolia, sałata – tajga i Nizina Nadkaspijska, tam, gdzie glina zastygała, nabierając kredowej suchości, powinny być pustynie. Ocean Spokojny był ciemnoniebieski, Arktyczny – w kolorze błękitnej miki. W miejscu bieguna północnego wisiała goła baba z obciętą głową. Kółko młodego krajoznawcy. Zapadłem w ciszę.

*

Obudziły mnie głosy, które od razu mi się nie spodobały. Szybko zeskoczyłem z kanapy i wyszedłem na dwór. Głosy dobiegały od stacji, krzyczało kilku ludzi naraz, rozpoznałem tylko przestraszonego Koczę.

Koło budki rozwalili się na fotelach dwaj kolesie w marynarkach i dżinsach. Jeden miał krawat, drugi – chyba ważniejszy – rozpięty kołnierzyk; jeden był w adidasach, a ważniejszy – w skórzanych pantoflach. Trzeci koleś, w dżinsach i kurtce adiadasa, trzymał Koczę za fraki i od czasu do czasu mocno nim potrząsał. Kocza krzyczał coś, zaprzeczając, kolesie na fotelach zaczęli się śmiać. Aha, pomyślałem, i ruszyłem w ich kierunku.

– Ej! – krzyknąłem. – Co jest grane?

Przyjebię pierwszemu, a potem w razie czego ucieknę. Tylko co z Koczą zrobić?

Zaskoczony koleś puścił Koczę, ten upadł na asfalt. Dwóch na fotelach z niezadowoleniem spojrzało w moją stronę.

– Co jest, kurwa? – powiedziałem, starannie dobierając słowa.

– A ty coś za jeden? – zapytał groźnie ten, który potrząsał Koczą.

– A ty? – zapytałem.

– E, słaby – koleś trącił nogą Koczę, który siedział na asfalcie i rozcierał szyję. – Kto to?

– Herman – powiedział Kocza. – Brat Jurika. Właściciel.

– Właściciel? – spytał ważniejszy i powoli wstał. Drugi, w krawacie, też się podniósł.

– Właściciel – potwierdził Kocza.

– Jak to właściciel? – nie zrozumiał ważniejszy. – A Jurik?

– Jurika nie ma – wyjaśnił Kocza.

– No, a gdzie jest? – zapytał z niezadowoleniem ważniejszy.

– Na kursie – powiedziałem – podnoszącym kwalifikacje.

Kątem oka zobaczyłem, że z szosy skręca osobówka. W niej była cała nadzieja.

– I kiedy wróci? – ważniejszy też zobaczył samochód i mówił z mniejszą pewnością.

– Jak podniesie kwalifikacje… to wróci. A o co chodzi?

Osobówka wpadła na placyk przed stacją i zahamowała z przeciągłym skrzypieniem. Opadł kurz, a z samochodu wysiadł Traumowany. Obrzucił złym wzrokiem towarzystwo i ruszył w naszym kierunku. Podszedł do budki, zatrzymał się, nic nie mówiąc, ale uważnie wszystko obserwując.

– To o co chodzi? – zapytałem jeszcze raz na wszelki wypadek.

– Benzynę macie chrzczoną – z wściekłością w głosie odpowiedział ważniejszy.

– Sprawdzimy – obiecałem.

– Sprawdzajcie – popatrzył z niezadowoleniem i ruszył do jeepa, który stał nieopodal.

Dwóch pozostałych poszło jego śladem. Ten, który trzymał Koczę, zamachnął się, żeby go jeszcze raz kopnąć, ale natknął się na spojrzenie Traumowanego i odszedł.

Za jeepem na asfalcie ciągnął się ślad. Chyba wcześniej ostro hamowali. Do dystrybutorów ten ślad nie prowadził. Zdaje się, nikt nawet nie miał zamiaru tankować. Kolesie wsiedli, wdusili gaz i wyrwali w kierunku szosy. Kocza wstał i zaczął się otrzepywać.

– Kto to? – zapytałem.

– Bandytierka – nerwowo odpowiedział Kocza. – Kukurydziani króle.

– Czego chcieli?

– Niczego nie chcieli – Kocza założył okulary i prześlizgnąwszy się obok mnie, zniknął za rogiem budynku.

– Cześć, Herman – Traumowany podszedł i uścisnął mi dłoń.

– Cześć. Co tu się u was dzieje?

– Sam widzisz – skinął głową w stronę szosy. – Do tego twój brat wyjechał.

– A dlaczego wyjechał?

– A skąd mam wiedzieć – odpowiedział gwałtownie. – Myślę, że go wszystko zmęczyło i wkurwiło, no i pojechał. Ja też wyjadę. Tylko skończę robić karburator jednemu chujowi z Kramatorska i wyjadę. Pewnie, że tak. – Traumowany pochmurnie rozejrzał się wokół, ale nie widząc nikogo, kogo to dotyczyło, odwrócił się i poszedł do garażu.

*

Nastrój Traumowanego mnie nie zdziwił. On ciągle był z wszystkiego niezadowolony. Zawsze szukał zwady. Chociaż jednak raczej się bronił. Traumowany był ode mnie dziesięć lat starszy. Był żywą legendą, najlepszym strzelcem w całej historii sportu w naszym mieście. Na początku lat dziewięćdziesiątych zdążyliśmy pograć w jednej drużynie. Odejście z wielkiego sportu stało się dla niego ciężką traumą – Traumowany rozwścieczył się i otłuścił. Był niewysoki, z obleśnymi wąsikami i poważnym bebechem przypominał nie napastnika, ale jakiegoś klubowego masażystę. Albo komentatora piłkarskiego. Kiedy zaczął nowe życie, szybko zdobył sławę dobrego mechanika, jednak pracować dla kogoś nie chciał, tylko bratu udało się z nim umówić – wziął Traumowanego na wspólnika, nie wnikając w jego sprawy i mało się interesując jego problemami. Traumowanemu to odpowiadało. Przyjeżdżał, kiedy chciał, odjeżdżał, kiedy chciał, i robił to, co mu się podobało. Miał jeszcze jedną namiętność, która objawiała się w czasie wolnym od pracy.

Już w czasach swej gwiazdorskiej kariery strzeleckiej miał nadmierny pociąg do kobiet. Właśnie przez to się nie ożenił, bo z kim miał się żenić, jeśli spał jednocześnie z sześcioma kobietami? I co ciekawe, po zakończeniu kariery sportowej ich liczba się nie zmniejszyła. Raczej przeciwnie – z wiekiem Traumowany nabrał pewnego szarmu, starannie pielęgnował i podtrzymywał dziwną aurę – czterdziestoletniego brzuchatego wielbiciela kobiet. One go uwielbiały, a on, skubany, o tym wiedział. W kieszeni śnieżnobiałej koszuli zawsze nosił metalowy grzebyk, którym od czasu do czasu poprawiał wąsiki. Zawsze miał przy sobie wodę kolońską i kasety z romantycznymi melodiami albo – jak sam mawiał – muzyką miłości. Czasami Traumowanemu dostawało się od obrażonych mężów. Wtedy zamykał się w garażu, siedział tam całymi dniami i przykręcał jakieś śruby. Dobry był z niego facet, jednak troszkę spięty, być może dlatego czasem zachowywał się po chamsku. Byłem do tego przyzwyczajony.

*

Mniejsza z tym. Na co wychodziło? Wychodziło, że jakieś chuje pomiatały tu Koczą i gdyby nie Traumowany, to całkiem możliwe, że wzięliby się do mnie, właściciela stacji. Skoro właśnie mnie uznano za oficjalnego właściciela. Brat, czegoś się obawiając, z pięć lat temu zapobiegliwie wypełnił całą dokumentację na moje nazwisko. Wiedział, że nawet jeśli zechcę zrobić coś złego z interesem, to i tak nie będę umiał, więc tylko poprosił mnie, żebym się nie martwił i podpisał w odpowiednich miejscach. Potem nauczył się podrabiać mój podpis, więc nawet nie wiedziałem, jak tam u niego leci, które podatki płaci i jakie ma dochody. Miał własne problemy, a ja do niedawna w ogóle nie miałem problemów. A tu nagle okazało się, że mam ich, tych problemów, całą kupę. I trzeba

było coś zdecydować. Można, co prawda, to wszystko olać. I też wyjechać do Amsterdamu. Najgorsze, że brat nic mi nie powiedział. I co mam teraz robić, nawet się nie domyślałem. Jeszcze kilka dni temu uważałem się za wolnego, niezależnego eksperta, który walczy, nie wiadomo z kim, o demokrację, a teraz wisiała na mnie nieruchomość, z którą trzeba było coś zrobić, a skoro brata nie było w okolicy, to i podrabiać mojego podpisu nie miał kto.

Tak czy inaczej trzeba było iść do tej Olgi i czegoś się dowiedzieć. Do domu dzisiaj w żaden sposób nie mogłem jechać. Lepiej zatelefonować do Lolka i go uprzedzić. Poszedłem do budki. Na ścianie wisiał aparat. Podniosłem słuchawkę.

– Nie działa – Kocza stał na progu i patrzył na słuchawkę w mojej dłoni. – Przecież ci mówiłem.

– A komórkę masz?

– Mam, ale też nie działa.

– A Traumowany?

– On ma, ale nie da.

– Chuja tam nie da – nie uwierzyłem i odepchnąwszy Koczę, poszedłem do garażu.

Traumowany zdążył się przebrać w niebieski kombinezon i założyć czarny beret. Przed nim bujało się podwieszone jakieś żelastwo, które obmacywał jak rzeźnik krowią tuszę.

– Szura, daj komórkę. Zostaję tu u was do jutra, muszę swoich uprzedzić.

– Zostajesz? – popatrzył na mnie Traumowany. – Dobra. Tylko że nie mam kasy na karcie, więc kicha.

– A skąd można zatelefonować?

– Idź na wieżę telewizyjną, to tu niedaleko. I nie przeszkadzajcie mi, kurwa! – krzyknął za mną.

*

Okrążyłem budkę, minąłem przyczepę i ruszyłem ścieżką przed siebie. Zszedłem do parowu, wlazłem na górę, przedarłem się przez krzaki malin i wydostałem na asfaltową drogę, która biegła od szosy. Zbliżyłem się do ogrodzenia, które ciągnęło się wokół wieży. Na bramie napisane było „Wstęp wzbroniony". Jednak była otwarta. Wszedłem na podwórze. Ścieżka prowadziła do parterowego budynku, w którym oczywiście znajdowała się tablica kontrolna, czy co tam jest w takich miejscach. Sama wieża wznosiła się nieopodal, obsadzona kwiatami i opleciona drutem kolczastym. Zza rogu wybiegł stary owczarek, leniwie obwąchał moje buty i poszedł swoją drogą. Ani śladu człowieka. Nawet jeśli za transmisję telewizyjną odpowiadał tu owczarek, to swe obowiązki otwarcie zaniedbywał. Postałem, poczekałem, aż ktoś wyjdzie, i nie doczekawszy się, podszedłem do budynku. Drzwi były zamknięte. Zastukałem. Ciemno i pusto. Nagle w środku pokazała się twarz. Cofnąłem się przestraszony. Twarz znikła, słychać było kroki, drzwi się otworzyły, na progu stanęła mniej więcej szesnastoletnia dziewczynka. Miała krótko ostrzyżone włosy, wielkie szare oczy i plastikowe kolczyki. Do tego jasną koszulkę i dżinsową spódniczkę, a na nogach lekkie sandały.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odpowiedziałem. – Jestem Herman ze stacji benzynowej.

– Herman – upewniła się. – Brat Jury?

– Znasz go?

– Tu wszyscy się znają – wyjaśniła.

– Macie tu telefon? Muszę zadzwonić, a u nas wyłączyli. Kocza mówi, że za niezapłacone rachunki.

– Znów ten Kocza – powiedziała dziewczynka i odsunęła się na bok, żeby mnie przepuścić.

Przeszedłem przez korytarz, trafiłem do pokoju z łóżkiem pod jedną ścianą i stołem pod drugą. Na stole zobaczyłem telefon. Dziewczynka weszła za mną, stała na progu, uważnie mi się przyglądając.

– Można? – zapytałem.

– Pewnie – odpowiedziała. Ale z pokoju nie wyszła.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem mój domowy numer.

– Tak – usłyszałem niezadowolony głos Lolka.

– Cześć, to ja.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Jestem u brata, wszystko w porządku. Jak dojechaliście?

– Chujowo. Rzucało tak, że ledwie dociągnęliśmy.

– No, a teraz wszystko dobrze?

– Tak, w porządku. Kiedy wracasz?

– Słuchaj, braciszku, jest taka sprawa, jeszcze dzień zostanę. Muszę się jutro spotkać z księgową. – Dziewczynka za plecami mruknęła. – Więc będę we wtorek. Powiesz Borze, dobra?

– No, nie wiem. Może sam mu powiesz?

– No weź już, załatw to dla mnie. Zgoda?

– Porozmawiałbyś z Borą, co? Żeby problemów nie było.

– Jakie problemy, Lolek? Nie pierdol. Przyjaciołom trzeba ufać.

– No dobra.

– Babę ci przywiozę. Gumową.

– Lepiej kardan mi przywieź.

– Będziesz to robił z kardanem?

– Palant – powiedział Lolek i odłożył słuchawkę.

Dziewczynka odprowadziła mnie do drzwi.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Nie ma za co. Pozdrów ode mnie brata.

– Gdzieś pojechał.

– A ty? Też gdzieś pojedziesz?

– A chciałabyś, żebym został?

– Akurat mi jesteś potrzebny – mówiła spokojnie i rozważnie.

– Nie boisz się tu sama?

– Nie boję się – powiedziała. – Idź. Bo cię psem poszczuję.

Doszedłem do bramy i zatrzymałem się. Wyglądając przez okno, czujnie mnie obserwowała. Pomachałem do niej. Zrozumiawszy, że została zdemaskowana, roześmiała się i odmachała. A potem szybkim niespodziewanym ruchem zadarła koszulkę i pokazała wszystko, co pod nią miała. I po chwili znikła. Nie wierzyłem własnym oczom, postałem chwilę, czekając, czy się znów nie pojawi. Ale jej nie było. Bardzo dziwne, pomyślałem.

*

Dzień roboczy był w pełnym rozkwicie. Kocza półleżał na fotelu z katapultą i słodko spał z prawą dłonią między chudymi udami. Poszedłem do garażu. Traumowany, goły do pasa, mokry i niezadowolony ze wszystkiego na świecie, kręcił się wokół podwieszonego żelastwa, od czasu do czasu zawadzając o coś brzuchem. Na mój widok machnął ręką, wytarł pot z czoła i postanowił zrobić sobie przerwę na papierosa.

– Dodzwoniłeś się?

– Yhm. Jutro jadę.

– No, no – popatrzył na mnie surowo.

– Szura, co to za licealistka tam siedzi przy wieży? – zmieniłem temat.

– Katia? – oczy Traumowanego natychmiast przysłoniła ciepła rozmarzona wilgoć, a na pełnych wargach pojawił się ojcowski uśmiech. – Co mówiła?

– Nic nie mówiła. Porządna dziewczyna. Skromna.

– Trzymaj się od niej z daleka – powiedział pokojowo Traumowany. – Już ja was znam.

– Ona tam pracuje?

– Jej ojciec tam pracuje. A ona mu przynosi obiady.

– Normalnie Czerwony Kapturek.

– Co?

– Nic.

– Herman, co ty robisz zawodowo? – zapytał nagle Traumowany.

– Jestem niezależnym ekspertem – odpowiedziałem.

– I co robisz?

– Jak by tu powiedzieć… Nic.

– Wiesz, Herman – popatrzył na mnie. – Nie wierzę ci. Wybacz, ale powiem ci, co myślę.

– Wal.

– Nie wierzę ci, krótko mówiąc. Oszukasz nas. Dlatego że tobie po chuju to wszystko. I Koczy też po chuju. Nawet nie wiesz, czym się zajmujesz. Twój brat to co innego.

– Tak? To dlaczego wyjechał?

– Co za różnica?

– Wielka różnica. Kto to byli ci z jeepa?

– Boisz się?

– Czego mam się bać?

– Boisz się, boisz, przecież widzę. I Kocza też się boi. Wszyscy się boją. A twój brat się nie bał.

– Co się tak zaciąłeś: brat, brat!

– Dobra, nie złość się. – Traumowany narzucił kurtkę i wrócił do pracy. Włączył jakąś maszynę, od razu zatkało mi uszy.

– Szura! – krzyknąłem. Zatrzymał się i popatrzył w moją stronę, maszyny jednak nie wyłączył. – Nie boję się. Czego mam się bać? Po prostu wy macie swoje życie, a ja swoje.

Traumowany skinął głową potakująco. Możliwe, że mnie nie usłyszał.

Wieczorem Szura bez słowa pożegnał się ze wszystkimi i pojechał do domu. Kocza wciąż siedział na katapulcie, pokryty pomarańczowo-niebieskim wieczornym kurzem, pogrążony w jakimś półsennym stanie, z którego nie wyprowadziły go ani wyjazd Traumowanego, ani regularne domaganie się kierowców ciężarówek, żeby je zatankował. Traumowany pokazał mi, jak działa dystrybutor, więc tak, jak umiałem, nalewałem benzynę do trzech nieludzkich rozmiarów ciężarówek przypominających ciężkie, wygłodniałe jaszczury. Słońce staczało się gdzieś po drugiej stronie szosy i ciemności otwierały się w powietrzu jak słoneczniki. Razem z mrokiem ożywał Kocza. Gdzieś koło dziewiątej wstał, zamknął budkę na kłódkę i zmęczony powlókł się na podwórko. Ciężko wzdychając, ze smutkiem krążył wokół kabiny, w której spałem ubiegłej nocy, wreszcie wcisnął się do środka i rozłożył się na fotelu kierowcy, a nogi wystawił na zewnątrz przez wybite okno. Wszedłem za nim, usiadłem obok. Dolina na dole zapadała się w mrok. Na wschodzie niebo zaciągało się już przyćmioną mgłą, z zachodu, dokładnie nad naszymi głowami, po całej dolinie rozlewały się czerwone ognie, zwiastując nadejście nocy. Nad rzeką unosiła się mgła, chowając w sobie malutkie postaci wędkarzy i najbliższe domy, wyciekając w górę i wpełzając na przedmieścia. W parowach też stała biała mgła i cała dolina miękko rozlewała się przed oczami niczym dno rzeki, zapadając się w ciemność, chociaż tu, na wzgórzach, było jeszcze całkiem jasno. Kocza patrzył na to wszystko okrągłymi ze zdziwienia oczami, nie mrugając i nie odwracając spojrzenia od nocy, która nadciągała.

– Trzymaj – podałem mu mój odtwarzacz.

Założył słuchawki na swoją łysinę i podregulował głośność.

– A co to? – zapytał.

– Parker – odpowiedziałem. – Dziesięć albumów.

Kocza słuchał jakiś czas, potem odłożył słuchawki na bok.

– Wiesz, co jest naprawdę dobre? – powiedziałem. – Nad wami tutaj w ogóle nie latają samoloty.

Popatrzył w górę. Samolotów rzeczywiście nie było. Po niebie przelatywały jakieś błyski, zapalały się zielone iskry, przetaczały się złociste kule, tak że chmury były ostro podświetlone, kiedy pełzły na północ.

– Sputniki latają – odpowiedział w końcu. – W nocy dobrze widać. Zawsze je widuję, kiedy nie śpię.

– Stary, a dlaczego nie śpisz po nocach?

– No, rozumiesz – zaczął Kocza, poskrzypując spółgłoskami – mam problemy ze snem. Jeszcze z czasów wojska, Her. No, wiesz, desant, spadochrony, adrenalina, to zostaje na całe życie.

– Mhm.

– No i kupiłem tabletki nasenne. Prosiłem, żeby dali coś, co zwala z nóg. Wziąłem jakąś chemię. Zacząłem łykać. I rozumiesz, nie działa. Specjalnie zwiększyłem dawkę, a i tak nie mogę zasnąć. Za to popatrz: zacząłem spać w dzień. Paradoks.

– A co bierzesz? Pokaż.

Kocza pogrzebał w kieszeniach kombinezonu, wyciągnął buteleczkę z etykietką w żrących kolorach. Wziąłem ją od niego, próbowałem przeczytać. Jakiś nieznany język.

– Może to coś na karaluchy? Gdzie to w ogóle produkują?

– Podobno we Francji.

– Twoim zdaniem to francuski? Te hieroglify? Dobra, daj, też spróbuję.

Otworzyłem pokrywkę, wyciągnąłem fioletową tabletkę i wrzuciłem ją do ust.

– Lepiej nie, Her, brachu – Kocza zabrał buteleczkę. – Co ty, jedna nie kręci. Ja co najmniej pięć łykam.

I jakby na potwierdzenie swoich słów wysypał z buteleczki prosto do gardła kilka tabletek.

– Dawaj to – zabrałem mu buteleczkę, wysypałem sobie na dłoń kilka tabletek i szybkim ruchem wrzuciłem je do ust.

Siedziałem i wsłuchiwałem się w siebie.

– Kocz, wychodzi na to, że nie klepie.

– Mówiłem.

– Może trzeba zapijać?

– Próbowałem. Winem.

– I co?

– Nic. Siki są potem czerwone.

Ciemności gęstniały, wlewały się między gałęzie na drzewach i zastygały w ciepłej zakurzonej trawie wokoło. W dolinie mgłę przepalały pomarańczowe światła. Niebo robiło się ciemne i wysokie, konstelacje pojawiały się na nim jak twarz na taśmie filmowej. Najważniejsze, że zupełnie nie chciało się spać. Kocza znów założył słuchawki i zaczął się lekko huśtać w rytm niesłyszalnej muzyki.

Niespodziewanie dostrzegłem na dole, na zboczu, jakiś ruch. Od strony rzeki ktoś ciągnął w górę stromym stokiem, tonąc we mgle. Trudno było pojąć, kto tam właściwie szedł, wydawało się, że ktoś jakby gnał od wody przestraszone zwierzęta.

– Widzisz to? Słyszysz? – zapytałem z niepokojem Koczę.

– Tak, tak – z zadowoleniem kiwał głową.

– Kto to?

– Tak, tak – dalej kręcił głową Kocza, oglądając noc, która niespodziewanie nadciągnęła.

Zamarłem, przysłuchując się głosom, które odbijały się echem coraz wyraźniej, zbliżały się w cierpkiej, wilgotnej

mgle. Zdawało się, że mgła podświetlona od dołu, z doliny, wypełniona jest ruchem i cieniami. Nad nią powietrze było przejrzyste, przemykały od czasu do czasu nietoperze, kręcąc koła nad naszymi głowami i gwałtownie wpadając z powrotem w mokrą maź. Głosy nasiliły się, kroki stały się zupełnie wyraźne i nagle, wprost przed nami, z mgły zaczęły wyłazić postaci, szybko zbliżające się po gęstej gorącej trawie. Poruszały się lekko, wchodząc na górę, i było ich coraz więcej i więcej. Widziałem już twarze tych z przodu, a z mgły dobiegały wciąż nowe i nowe głosy, brzmiały słodko i przenikliwie, lecąc w niebo niczym dymy z kominów. Kiedy podeszli pierwsi z nich, chciałem ich zawołać, powiedzieć coś, co mogłoby ich zatrzymać, jednak nie znalazłem słów i obserwowałem tylko w milczeniu, jak podchodzą całkiem blisko i, nie zauważając nas, podążają dalej przed siebie, nie zatrzymując się i znikając w nocnych mgłach. Niejasne było, kim są, jakieś dziwne istoty, niemal bezcielesne. Mężczyźni, którzy chowali w płucach skrzepy mgły. Byli wysocy, mieli długie, nieuczesane włosy związane z tyłu albo zebrane w irokezy, na ich ciemnych twarzach widniały szramy, niektórzy mieli wymalowane na czołach dziwne znaki i litery, niektórzy mieli kolczyki w uszach i nosach, twarze innych zakryte były chustkami. Na ich szyjach kołysały się medaliony i lornetki, na ramionach nieśli wędki i strzelby, ktoś miał flagi, inny – długą tyczkę z psią głową na końcu, ktoś niósł krzyż, inni worki z ziarnem, wielu miało bębny, jednak nie uderzali w nie, tylko nieśli na plecach. Ubrani byli niedbale i kolorowo, niektórzy byli w oficerskich kurtkach, inni narzucili na ramiona owcze kożuchy, wielu miało na sobie proste długie szaty, gęsto poznaczone kurzą krwią. Niektórzy szli bez koszul i rozległe tatuaże pobłyskiwały niebiesko w świetle gwiazd. Niektórzy mieli wojskowe buty,

inni wiązane sandały, ale większość szła boso, rozgniatając stopami żuki i polne myszy, nadeptując na kolce i zupełnie nie okazując bólu. Za mężczyznami szły kobiety, cicho rozmawiały w ciemności i od czasu do czasu parskały krótkim śmiechem. Miały wysoko upięte włosy, wiele nosiło dredy, choć zdarzały się całkiem łyse, co prawda z pomalowanymi na czerwono i niebiesko czaszkami. Na szyjach niosły ikonki i pentagramy, a na plecach dzieci, senne, głodne, z wielkimi, pustymi oczami, w które wsączała się otaczająca ciemność. Suknie kobiet były długie i jaskrawe, wyglądało to, jakby owinięte były flagami jakichś republik. Na nogach miały bransolety i plecione opaski, niektóre nosiły na palcach niewielkie srebrne pierścionki. Kiedy i one przeszły, z mgły zaczęły wyłaniać się ciemne postaci w ogóle do niczego niepodobne. Jedne miały na głowie baranie rogi owinięte wstążkami i złotym papierem, ciała innych pokryte były gęstą sierścią, jeszcze innym na plecach łopotały indycze skrzydła, a ostatnie, najciemniejsze i najbardziej milczące, miały powykręcane ciała, jakby pozrastały się ze sobą, i tak szły – z dwoma głowami na ramionach, z dwoma sercami w piersiach i dwoma śmierciami w zapasie. A za nimi z mgły wynurzały się krowie głowy, nie wiadomo, jak je tu przygnali, jak zaciągnęli na wysokie zbocza. Krowy ciągnęły brony, na których leżały ślepe węże i martwe psy do walk. I brony te zamiatały ślady niewiarygodnego korowodu, który właśnie koło nas przeszedł. Ubrani w czarne palta i szare szynele pastuchowie poganiali krowy, gnali zwierzęta przez noc, ostrożnie pilnując, by nie zostawić śladów, dzięki którym można by ich znaleźć. Znałem twarze niektórych pastuchów, tyle że nie mogłem sobie przypomnieć, kim są. I oni też mnie zauważyli, i patrzyli mi prosto w oczy, przez co całkiem straciłem rozum i spokój, choć przechodzili dalej, zostawiając

rozżarzony zapach żelaza i spalonej skóry. Tam, skąd przyszli, już bielało niebo i kiedy tylko znikli, powietrze zajęło się równym szarym światłem, napełniając się jak naczynie wodą nowym porankiem. Czerwone pęknięcie przecięło niebo i ranek zaczął zalewać dolinę. Kocza siedział obok i chyba spał. Ale spał z otwartymi oczami. Gwałtownie wciągnąłem nozdrzami powietrze. Ranek był gorzki, zostawiał posmak głosów, które dopiero co tu wybrzmiały. Wrażenie było takie, jakby właśnie przeszła obok mnie śmierć. Albo przejechał pociąg towarowy.

3

Rano wypiliśmy zaparzoną przez Koczę herbatę, wyjaśnił mi, jak znaleźć Olgę, i wsadził do ciężarówki, którą wcześniej zatankował.

– Daj tę truciznę – powiedziałem. – Dowiem się przynajmniej, co bierzesz. Gdzie to kupiłeś?

– Na placu – odpowiedział Kocza. – W aptece.

*

Na dole, od razu za mostem, zaczynała się lipowa aleja, drzewa ciągnęły się wzdłuż szosy, słońce odbijało się od liści i oślepiało. Kierowca założył okulary przeciwsłoneczne, a ja zamknąłem oczy. Po lewej stronie biegł wał usypany na wypadek powodzi. Wiosną, kiedy rzeka wylewała, wokół powstawały wielkie jeziora, czasami przerywały wał i zalewały podwórka. Wtoczyliśmy się do miasta, minęliśmy pierwsze budynki i zatrzymaliśmy się na pustym skrzyżowaniu.

– To by było na tyle, bracie, tutaj skręcam w prawo – powiedział kierowca.

– Dobra – odpowiedziałem i zeskoczyłem na piasek.

Na ulicach było pusto. Słońce powoli, jakby z prądem, spływało na zachód. Przemieszczało się nad skrzyżowaniami, przez co powietrze robiło się gęste i ciepłe i światło osiadało w nim jak rzeczny muł. Była to stara część miasta, stały tu parterowe i piętrowe budynki z czerwonej, popękanej cegły. Chodniki całkowicie zasypane były piaskiem, na podwórkach przebijała się zieleń, tak jakby miasto opustoszało i zarastało teraz trawą i drzewami. Zieleń wypełniała wszystkie szpary i prężyła się w powietrzu lekko i uparcie. Minąłem kilka małych sklepów z otwartymi drzwiami. Ze środka pachniało chlebem i mydłem. Niejasne było, gdzie podziali się kupujący. Przed jednym sklepem, opierając się o drzwi, stała rozleniwiona słońcem sprzedawczyni w krótkiej czerwonej sukience. Miała starannie ułożone ciężkie, smoliste włosy, opaloną skórę i wielkie piersi i na tej ciemnej skórze pojawiał się pot podobny do kropli świeżego miodu. Na szyi korale i łańcuszki z kilkoma złotymi krzyżykami, na każdej ręce złoty zegarek, zresztą, może mi się tylko wydawało. Przywitałem się, przechodząc. Skinęła w odpowiedzi, patrząc na mnie uważnie, ale nie poznając. Ale jest czujna, pomyślałem, jakby na kogoś czekała. Minąłem parę przecznic i dotarłem do poczty. W środku było wilgotno i bulgotliwie jak w akwarium, koło okienka kasy stali dwaj miejscowi kowboje w koszulkach, które odsłaniały ramiona gęsto pokryte tatuażami. Doczekawszy się, aż kowboje się zwiną, zapłaciłem za telefon i wyszedłem na dwór. Skręciłem za róg, przeszedłem uliczką z zamkniętymi kioskami i znalazłem się na placu. Przypominał basen, z którego spuszczono wodę. Pomiędzy wybielonymi przez deszcze kamiennymi płytami rosła trawa, zaczynało to wyglądać jak boisko piłkarskie. Po drugiej stronie placu był ratusz. Wszedłem do apteki. Za ladą stała tleniona dziewczynka

w białym fartuchu włożonym na gołe ciało. Widząc mnie, dyskretnie wsunęła stopy w sandały, które stały obok niej na chłodnej kamiennej podłodze.

– Cześć – powiedziałem. – Mój dziadek u was leki kupił. Możesz powiedzieć, co to jest?

– A co z pana dziadkiem? – zapytała nieufnie dziewczyna.

– Problemy.

– Jakie?

– Z głową.

Wzięła ode mnie buteleczkę i podejrzliwie się jej przyjrzała.

– To nie jest na głowę.

– Poważnie?

– To na żołądek.

– Wzmacnia czy osłabia? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Wzmacnia – powiedziała. – A potem osłabia. Ale to jest przeterminowane. Jak on się czuje?

– Mocniej – odpowiedziałem. – Daj jakieś witaminy.

*

Biuro było obok w cichym, zacienionym zaułku. Koło drzwi rosła rozłożysta morwa, a obok niej stał poobijany skuter. Kiedyś, w czasach mojego dzieciństwa, była tu księgarnia. Ciężkie, obite blachą i pomalowane na pomarańczowo drzwi zostały jeszcze z tych czasów. Otworzyłem je i wszedłem.

Olga siedziała przy oknie na stercie papierów. Była gdzieś w wieku mojego brata, ale wyglądała bardzo dobrze, miała kędzierzawe rude włosy i kredową, jakby podświetloną od środka jarzeniówkami skórę. Prawie nie używała kosmetyków, możliwe, że to ją odmładzało. Była w długiej sukience, na nogach miała firmowe białe adidasy. Siedziała na dokumentach i paliła.

– Cześć – przywitałem się.

– Dzień dobry – rozproszyła dłonią dym i obejrzała mnie od stóp do głów. – Herman?

– Znasz mnie?

– Szura mówił, że wpadniesz.

– Traumowany?

– Tak. Siadaj – wstała z papierów, wskazując mi krzesło przy biurku.

W tym momencie papiery się posypały. Schyliłem się, żeby je zebrać, ale Olga mnie zatrzymała:

– Zostaw, niech leżą. I tak dawno trzeba je było wyrzucić.

Usiadła na swoim starym skajowym fotelu i położyła nogi na biurku jak gliniarze w filmach, przygniatając adidasami jakieś sprawozdania i formularze. Sukienka na chwilę się zsunęła. Nogi miała ładne – długie, szczupłe łydki i wysokie uda.

– Na co patrzysz? – zapytała.

– Na formularze – odpowiedziałem i usiadłem naprzeciwko. – Olu, chciałbym pogadać. Masz parę minut?

– Mam godzinę – odpowiedziała. – Chcesz porozmawiać o bracie?

– Dokładnie.

– Jasne. Wiesz co – gwałtownie zdjęła nogi, łydki znów mignęły mi przed oczami – chodźmy do parku. Tu nie ma czym oddychać. Jesteś samochodem?

– Okazją – odpowiedziałem.

– Nic nie szkodzi. Mam skuter.

Wyszliśmy, zamknęła drzwi na kłódkę i wsiadła na skuter. Zapalił za trzecią próbą. Skinęła na mnie, wsiadłem i lekko chwyciłem ją za ramiona.

– Herman! – odwróciła się, przekrzykując silnik – jeździłeś kiedyś na skuterze?

– Jeździłem!

– Wiesz, jak trzeba ręce trzymać?

Z zakłopotaniem zabrałem dłonie z jej ramion i objąłem ją w talii, czując bieliznę pod sukienką.

– Nie rozmarz się za bardzo – poradziła i pojechaliśmy.

Park był naprzeciwko, wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy. Ale Olga pomknęła jezdnią, wjechała na chodnik i zanurkowała między gęste krzaki, którymi obsadzono teren parku. Była tu ścieżka. Olga umiejętnie prześlizgnęła się między drzewami i niebawem wyskoczyliśmy na asfaltową ścieżkę. Alejki były słoneczne i puste, za drzewami migały parkowe atrakcje, huśtawki zarastające młodymi drzewami, plac zabaw z piaskownicami, z których biła w górę trawa, budki, gdzie kiedyś sprzedawano kwiaty, a teraz gruchały tam senne gołębie i chowały się uliczne psy. Olga objechała fontannę, skręciła w boczną alejkę, przeskoczyła obok dwóch dziewczynek, które wyprowadzały jamniki na spacer, i zatrzymała się przy starym barze nad rzeką. Bar stał tu od dawna, pod koniec lat osiemdziesiątych, pamiętam, w jednym z jego pomieszczeń otwarto przegrywalnię, gdzie kopiowano winyle na taśmy i kasety. Tutaj, kiedy jeszcze byłem pionierem, przegrywałem heavy metal. Jak się okazało, lokal wciąż był czynny. Weszliśmy do środka. Było to całkiem przestronne pomieszczenie, całkowicie przesycone zapachem nikotyny. Ściany obite boazerią, okna zasłonięte ciężkimi zasłonami w wielu miejscach podziurawionymi niedopałkami i wymazanymi szminką. Za barem stał jakiś mniej więcej sześćdziesięcioletni koleś o cygańskim wyglądzie; mam na myśli białą koszulę i złote zęby. Olga przywitała się z nim, a on skinął w odpowiedzi.

– Nie wiedziałem, że ten bar wciąż działa – powiedziałem.

– Sama nie byłam tu ze sto lat – wyjaśniła Olga. – Nie chciałam rozmawiać z tobą w biurze. Tu jest spokojniej.

Podszedł Cygan.

– Jest dżin z tonikiem? – zapytała Olga.

– Nie ma – odpowiedział bez wahania.

– No, a co jest? – zakłopotała się. – Herman, na co masz ochotę? – zwróciła się do mnie. – Dżinu z tonikiem nie mają.

– A wino jest? – zapytałem Cygana.

– Białe – odpowiedział.

– Poproszę – zgodziłem się. – Ola?

– No dobrze – zgodziła się i ona – napijemy się wina.

– Dawno się widziałeś z bratem?

– Pół roku temu. Wiesz, gdzie on jest?

– Nie, nie wiem. A ty?

– Też nie wiem. Byliście blisko?

– Tak. Jestem jego księgową – powiedziała Olga. Wyciągnęła papierosa i zapaliła. – Można powiedzieć, że to całkiem blisko.

– Nie obrażaj się.

– Nic nie szkodzi.

Przyszedł Cygan z winem rozlanym do szklanek, takich jak te, w których podaje się herbatę w pociągach. Tylko spodków nie było.

– I co chcesz robić dalej? – zapytała Olga, upiwszy ostrożnie łyk.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Przyjechałem tylko na kilka dni.

– Jasne. A czym się zajmujesz?

– Takie tam. Właściwie niczym. Masz – wyciągnąłem z dżinsów wizytówkę.

– Ekspert?

– Dokładnie – powiedziałem i wypiłem swoje wino. – Ola, wiesz, że całe to przedsiębiorstwo jest na mnie zapisane?

– Wiem.

– I co mam robić?

– Nie wiem.

– No, a nie mogę tego tak po prostu zostawić?

– Chyba nie możesz.

– Będę miał problemy?

– Możliwe.

– To co mam robić?

– Próbowałeś skontaktować się z bratem? – zapytała, pomilczawszy chwilę.

– Próbowałem. Ale nie odbiera. Nie wiem, gdzie jest. Kocza mówi, że w Amsterdamie.

– Znów ten Kocza – powiedziała Olga i pomachała do Cygana, żeby przyniósł jeszcze.

Cygan z niezadowoleniem przyczłapał zza baru, postawił przed nami napoczętą butelkę i wyszedł na dwór, oczywiście, żebyśmy mu więcej nie zawracali głowy.

– A ta stacja to w ogóle jest dochodowa?

– Jak by ci tu powiedzieć – zaczęła, kiedy nalałem i znów wypiła. – Pieniędzy, które zarabiał twój brat, wystarczało, żeby dalej działać. Ale nie wystarczało, żeby otworzyć następną stację.

– Yhm. A brat nie chciał jej sprzedać?

– Nie chciał.

– A proponowali mu?

– Proponowali.

– Kto?

– Jest tu taka załoga.

– I kto to?

– Pastuszek, Marlen Władlenowicz. On się kukurydzą zajmuje.

– A, chyba wiem, o kim mówisz.

– I on poza tym jest deputowanym z partii komunistycznej.

– Komunista?

– Dokładnie. Ma całą sieć stacji w Donbasie. No i teraz tu wszystko skupuje. Nawet nie wiem, gdzie on mieszka. Proponował Jurze pięćdziesiąt tysięcy, jeśli się nie mylę.

– Pięćdziesiąt tysięcy? Za co?

– Za miejsce – wyjaśniła Olga.

– I dlaczego się nie zgodził?

– A ty byś się zgodził?

– No, nie wiem – przyznałem się.

– A ja wiem. Zgodziłbyś się.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo ty, Herman, jesteś słabiak. I przestań się gapić na moje cycki.

Rzeczywiście od jakiegoś czasu wpatrywałem się w jej sukienkę, dekolt był głęboki, a Olga nie nosiła stanika. Pod jej oczami pojawiły się zmarszczki, co sprawiało, że twarz stawała się sympatyczniejsza. Czterdziestu lat na pewno nikt by jej nie dał.

– To po prostu nie moje, Olu, rozumiesz? – próbowałem mówić pojednawczo. – Nigdy nie pchałem nosa w jego sprawy.

– Teraz to właśnie są twoje sprawy.

– A ty, Olu, sprzedałabyś, gdyby to była twoja stacja?

– Pastuszkowi? – zamyśliła się. – Prędzej bym spaliła. Razem ze złomem.

– Dlaczego?

– Herman – dopiła wino – są dwie kategorie ludzi, których nienawidzę. Pierwsza to słabiaki.

– A druga?

– Druga to kolejarze. Ale to sprawa osobista – wyjaśniła – po prostu mi się przypomniało.

– A co tu ma do rzeczy Pastuszek?

– Nic. Po prostu nie ugięłabym się przed nim. A ty rób, co chcesz. W końcu to twój interes.

– Wygląda na to, że nie mam wyboru?

– Zdaje się, że po prostu nie wiesz, czy go masz.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Rozlałem resztkę wina. Stuknęliśmy się w milczeniu.

– Wiesz – zaczęła Olga, kiedy cisza się przeciągała – tu obok jest dyskoteka.

– Wiem. Straciłem tam dziewictwo.

– O? – zakłopotała się.

– A propos. W tym barze też kiedyś uprawiałem seks. Na Nowy Rok.

– Może niepotrzebnie cię tu przywiozłam – powiedziała Olga po namyśle.

– E tam. Wszystko w porządku. Lubię ten park. Kiedy graliśmy w piłkę, zawsze przychodziliśmy tu po meczu. Przełaziliśmy przez płot stadionu i szliśmy tutaj. Pić za zwycięstwo.

– Wyobrażam sobie.

– Olu – powiedziałem – a gdybym tak postanowił zostać? Pracowałabyś dla mnie? Ile ci płacił mój brat?

– Ty w każdym razie musiałbyś płacić więcej. – Wyciągnęła telefon. – O! dwunasta. Muszę iść.

Zapłaciła za wino. Moje próby uregulowania rachunku zignorowała, powiedziała, że dobrze zarabia i nie chce żadnych wygłupów.

Wyszliśmy na dwór. Zupełnie nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, jednak pytać ją o cokolwiek nie miałem ochoty. Nagle zapiszczał jej telefon.

– Tak – odpowiedziała Olga. – A tak – jej głos natychmiast nabrał dystansu. – Tak, ze mną. Dać mu słuchawkę? Jak pan uważa. Koło fontanny. No, proszę – zwróciła się do mnie – sam z nimi porozmawiasz.

– Z kim?

– Kukuruźnikami.

– Jak oni mnie znaleźli.

– Herman, tu w ogóle mało ludzi mieszka. Więc całkiem łatwo jest kogoś znaleźć. Proszą, żebyś poczekał na nich przy fontannie. No, na razie, powodzenia.

Wsiadła na skuter, narobiła gęstego dymu i znikła w gęstwinie parku kultury i wypoczynku.

*

Ale jak ja ich rozpoznam? pomyślałem. Już od dziesięciu minut siedziałem na ceglanym murku przy wyschniętym basenie z dnem porośniętym trawą. Zdawało się, że ona tu rośnie wszędzie. Z drugiej strony, poza mną, dwoma nastolatkami z jamnikami i Cyganem z winem w parku nie było nikogo. Niespodziewanie zza rogu, płosząc gołębie i trąbiąc klaksonem w błękitne niebiosa, wytoczył się jeep, którego widziałem wczoraj. Rozpoznam ich, pomyślałem.

Samochód wykonał rundę honorową wokół basenu i zatrzymał się wprost przede mną. Tylne drzwi otworzyły się, wychylił się łysy facecik w lekkiej podkoszulce i białych spodniach. Wczoraj go nie było. Uśmiechnął się do mnie całym swym metalem i ceramiką. Z samochodu jednak nie wysiadł.

– Herman Serhijowycz?

– Dzień dobry! – odpowiedziałem, też nie wstając z murka.

– Długo pan czeka? – Łysy półleżał na skórzanym siedzeniu, nachylając się w moim kierunku i okazując w ten sposób swą przychylność.

– Nie bardzo! – odpowiedziałem.

– Niech pan wybaczy. – Kolesiowi leżało się chyba niewygodnie, jednak wstać uparcie nie chciał. Oczywiście była to próba sił, kto pierwszy wstanie. – Dopiero co tu dojechaliśmy.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałem, sadowiąc się wygodniej.

– Patrzę, to pan czy nie pan! – zaśmiał się łysy, pokręcił się i nie mogąc się utrzymać na śliskiej skórze, nagle zjechał na dół pod siedzenia.

Rzuciłem się w jego kierunku. Ale zręcznie się wyprostował i przyjął teraz wygodną pozycję, energicznie wyciągnął do mnie dłoń. Nie pozostało mi nic innego niż wejść do środka i się przywitać.

– Nikołaj Nikołaicz – przywitał się i wyciągnął skądś spod siebie wizytówkę – dla pana po prostu Nikołaicz.

Wyciągnąłem swoją. Na której napisane było „asystent deputowanego".

– Pan dokąd?

– Nie wiem – odpowiedziałem – chyba do domu.

– Podwieziemy pana, to dla nas po drodze. Kola, jedziemy.

Kierowca też miał na imię Kola. Wygląda na to, że to był u nich konieczny warunek przyjęcia do pracy. Jeśli, powiedzmy, nie jesteś Kola, szanse zatrudnienia gwałtownie spadają. Obok Koli na fotelu leżał stary makarow, z jakimiś nacięciami na rączce. Pomyślałem, że takie lekkomyślne traktowanie broni z pewnością doprowadzi do czyjejś śmierci.

– Drzwi – powiedział z niezadowoleniem Kola.

– Co? – nie zrozumiałem.

– Drzwi zamknij.

Zamknąłem i jeep wierzgnął w krzaki. Kola jechał na przełaj, jakby kierował się kompasem, niespecjalnie zważając na drogę. Przetoczył się przez plac zabaw, wyorał koleinę przy dyskotece, w której straciłem dziewictwo, wyskoczył na krawężnik i wypadł na drogę. Ale i tu nie szukał najłatwiejszej trasy, zakręcił w jakiś ślepy zaułek, gdzie zamiast drogi wysypana była potłuczona cegła, przebrnął przez jakąś budowę

i przelatując nad dołem wykopanym pod fundament, wyjechał na trasę. I przez cały czas słuchał ciężkiej gitarowej muzyki, jakiegoś Rammsteina czy czegoś takiego.

– Ukrywacie się przed kimś? – zapytałem Nikołaicza.

– Nie, nie, po prostu Kola zna tu wszystkie drogi, więc zawsze jedzie skrótem.

Przez chwilę milczeliśmy. Jednak Nikołaicz nie wytrzymał.

– Kola! – krzyknął do kierowcy, ale ten go nie usłyszał. – Kola, kurwa! Wyłącz tych faszystów! – Kola obejrzał się niezadowolony, ale muzykę wyłączył. – Hermanie Serhijowyczu – zaczął Nikołaicz.

– Może pan mówić po prostu Herman – przerwałem.

– Tak, tak, naturalnie – zgodził się Nikołaicz. – Chciałem z panem porozmawiać.

– To porozmawiajmy.

– Tak.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Doskonale. Kola! – krzyknął Nikołaicz.

Właśnie wjechaliśmy na most. Na środku Kola nagle się zatrzymał i wyłączył silnik.

– No, jak się panu tu u nas podoba? – zapytał Nikołaicz, tak jakbyśmy nie stali na środku drogi.

– W porządku – odpowiedziałem niepewnie. – Tęskniłem za rodzinnymi stronami. Co, nie jedziemy dalej? – wyjrzałem przez okno.

– Nie, nie – uspokoił Nikołaicz – odwieziemy pana tam, gdzie trzeba. A w ogóle na długo pan przyjechał?

– Nie wiem – zaczynałem się denerwować. – Zobaczymy. Mój brat wyjechał, wie pan…

– Wiem – przerwał mi Nikołaicz. – Ja z Jurijem Serhijowyczem, z Jurą – popatrzył na mnie – miałem partnerski układ.

– To dobrze – powiedziałem niepewnie.

– To doskonale – zgodził się Nikołaicz. – Co może być lepszego niż układy partnerskie.

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem – przyznał nagle.

Za nami zatrzymała się cysterna z mlekiem. Kierowca zatrąbił. Za cysterną, zauważyłem, podjeżdżała jeszcze inna ciężarówka.

– Kola! – znów krzyknął Nikołaicz.

Kola wyskoczył z samochodu i leniwie ruszył w stronę cysterny. Podszedł, stanął na podnóżku, przysunął do kierowcy wielką głowę i coś powiedział. Kierowca zgasił silnik. Kola zeskoczył na asfalt i poszedł do ciężarówki.

– Zmierzam do tego, panie Hermanie – kontynuował Nikołaicz – że jest pan człowiekiem młodym, energicznym. Ma pan wiele ambicji. Osobiście chciałbym, żeby nasze stosunki również były partnerskie. Co pan sądzi?

– To by było doskonale – zgodziłem się.

– Nie wiem, czy Olga Mychajliwna panu mówiła, ale jesteśmy zainteresowani nabyciem pana biznesu. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Dobrze, że pan rozumie. Z pana bratem, Jurą, nie zdążyliśmy się dogadać…

– Dlaczego?

– No, wie pan, nie zdążyliśmy omówić wszystkich szczegółów.

– No to jak wróci, omówicie.

– A kiedy wróci? – spojrzał wyczekująco Nikołaicz.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że niedługo.

– A jeśli nie wróci?

– No, jak to nie wróci?

– No, tak. Jeśli tak się ułoży.

– Proszę głupot nie gadać, Nikołaju Nikołaiczu – powiedziałem. – To jego biznes i na pewno wróci. Ja nie mam zamiaru nic sprzedawać.

Za nami ustawiła się kolumna samochodów. Ci, którzy jechali z przeciwka, zatrzymywali się, pytając Kolę, czy wszystko w porządku. Kola coś mówił i samochody szybko odjeżdżały.

– Niech pan się nie denerwuje – powiedział uspokajająco Nikołaicz. – Rozumiem, że nie będzie pan do razu sprzedawał nieznajomemu człowiekowi biznesu swojego brata. Ja to dobrze rozumiem. Niech pan pomyśli, ma pan czas. Z bratem umówić się nie zdążyliśmy, ale z panem, mam nadzieję, wszystko ułoży się jak należy. To dla pana jedyne wyjście. Interes słabo się kręci, wiem. Pana brata też rozumiałem, w końcu rozkręcił ten biznes od zera. Ale biznes, panie Hermanie, musi się rozwijać. Rozumie pan? Dostanie pan pieniądze. Podzieli się pan z bratem, jeśli on wróci. Niech pan pomyśli, dobrze?

– Oczywiście.

– Obiecuje pan?

– Przysięgam – odpowiedziałem, starając się jakoś zakończyć tę rozmowę i przywrócić ruch drogowy.

– No, to się umówiliśmy – Nikołaicz z zadowoleniem rozciągnął się na fotelu. – Kola! – krzyknął.

Kola bez pośpiechu usiadł za kierownicą, włączył silnik i z wolna ruszyliśmy. Za nami ruszyła cała kolumna. Za mostem lekko wskoczyliśmy na górę, zakręciliśmy w stronę stacji. Kiedy dojechaliśmy, Kola ostro zahamował. Otworzyłem drzwi, na fotelach wygrzewali się Kocza i Traumowany. Na mój widok ze zdziwieniem wymienili spojrzenia.

– No cóż – powiedział, żegnając się, Nikołaicz – dobrze, że znaleźliśmy wspólny język.

– Niech pan posłucha – zwróciłem się do niego, jakbym sobie coś przypomniał. – A co będzie, jeśli odmówię?

– A ma pan wybór? – zdziwił się Nikołaicz i nagle, szeroko się uśmiechając, dodał: – Dobrze, panie Hermanie, przyjadę za tydzień. Wszystkiego dobrego.

Kocza siedział w swoim pomarańczowym kombinezonie rozpiętym na piersi i grzał w słońcu blade truchło. Traumowany miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i starannie wyprasowane czarne spodnie. Na nogach lakierki z ostrymi noskami. Przypominał rolnika, który wydaje córkę za mąż. Obaj patrzyli na mnie z nieukrywaną wrogością, Traumowany przypiekał mnie wzrokiem i gładził palcem smużkę wąsów, Kocza pobłyskiwał psimi szkłami okularów.

– Co jest, Herman? – zapytał na wszelki wypadek Traumowany.

– Bili cię? – dodał Kocza.

– Żartujesz? Nikt mnie nie bił. Po prostu porozmawialiśmy. Podwieźli mnie.

– Nowi przyjaciele? – zapytał pochmurno Traumowany.

– Yhm. Przyjaciele. Stację chcą kupić.

– Wiemy, Herman – powiedział na to Traumowany.

– Wiecie? Wspaniale. A dlaczego mi nie powiedzieliście?

– Bo nie pytałeś – wyjaśnił obrażony Traumowany.

– O co miałem was pytać?

– O nic – odpowiedział z niezadowoleniem.

– Tak właśnie myślałem.

– No i co wymyśliłeś? – zapytał Traumowany po chwili milczenia.

– Nie wiem. Pięćdziesiąt tysia, za cały ten złom niezła cena.

– Niezła cena, mówisz. – Traumowany wstał, wyprostował swoje piłkarskie brzuszysko. – Niezła cena?

– Moim zdaniem w porządku.

– Aha. – Traumowany nad czymś się zastanawiał, przyglądając się noskom swoich lakierków. – W porządku. Popatrz, Herman – odezwał się w końcu. – Namieszasz, a potem się nie wygrzebiesz. Najłatwiej sprzedać wszystko w chuj, mam rację?

– Może i tak – zgodziłem się.

– Może i tak, może i tak – powtórzył Traumowany, odwrócił się i poszedł do garażu.

Padłem na fotel obok Koczy. Ten chował oczy za szkłami i patrzył gdzieś w górę na ciężkie chmury, które nagle nadciągnęły i teraz pełzły nad głową, niemal ocierając się o samotny maszt nad budką, niczym przeciążone barki przepływające nad mielizną.

– Masz – dałem Koczy witaminy.

Obejrzał buteleczkę, popatrzył na nią pod światło.

– Co to? – spytał z niedowierzaniem.

– Witaminy.

– Na bezsenność?

– Na bezsenność.

– A skąd są?

– Z Holandii – powiedziałem. – Widzisz te hieroglify? To flamandzki. Oni tam grzybów dodają. Białych. Więc spać będziesz jak zabity.

– Dzięki, Hera – powiedział Kocza. – Nie zwracaj za bardzo uwagi na Szurę. Sprzedasz tę stację i chuj z nią. To nie koniec świata.

– Myślisz?

– Mówię ci.

Z otwartej bramy garażu wyleciała skórzana piłka, ciężko uderzyła w nagrzany asfalt i potoczyła się po placyku. Za nią

z czarnej jamy garażu wyszedł Traumowany. Nawet na nas nie spojrzał. Podszedł do piłki, lekko, jak na swoją wagę, zaczepił ją czubem, podrzucił w powietrze i równie lekko przyjął lewą, znów podrzucił. Zaczął żonglować, nie dając piłce upaść. Robił to swobodnie, umiejętnie wciągał brzuch, by nie przeszkadzać jej w locie, czasami podbijał piłkę ramieniem, czasami głową. Zamarliśmy z Koczą i w milczeniu obserwowaliśmy te cuda zwinności. Traumowany, zdawało się, zupełnie nie stracił formy, nawet się nie spocił, tak – miał tylko lekko rozpalone oczy i szybszy oddech. I ten brzuch, którym kręcił we wszystkich kierunkach, żeby nie przeszkadzał.

Od szosy podjechały trzy ciężarówki. Wyskoczyli z nich kierowcy, przywitali się z Koczą i też zaczęli obserwować Traumowanego.

– Szura! – W końcu jeden nie wytrzymał. – Podaj!

Traumowany spojrzał na niego i niespodziewanie lekko podał. Kierowca nadepnął na piłkę, trochę niezręcznie wypuścił ją przed siebie i przykopał z całej siły z powrotem do Traumowanego. Szura przyjął, zrobił krok i przepuścił piłkę między nogami. Kierowcy nie wytrzymali i z krzykiem rzucili się na Traumowanego. Zaczęła się sieka. Traumowany wykręcał się kierowcom, nie tracąc piłki, zmuszał przeciwników, żeby ganiali dookoła niego, zmuszał ich do upadków i podstawiania sobie nawzajem nóg. Kierowcy atakowali go jak psy sennego niedźwiedzia, jednak nic nie mogli zrobić, strasznie się złościli i strzelali sobie nawzajem karczycha. W końcu Traumowany dostał zadyszki, zaczął się cofać w głąb asfaltowego placyku, parę razy zarobił po nogach i teraz trochę kulał. Kierowcy poczuli krew i rzucili się na niego jeszcze gwałtowniej. Traumowany kolejny raz się obrócił, przepuścił pod brzuchem jednego, ten z rozpędu uderzył głową drugiego i zwalili się na asfalt.

Trzeci rzucił się, żeby ich podnosić. Szura złapał oddech i popatrzył w naszą stronę.

– Herman! – krzyknął. – No chodź! Bo jest trzech na jednego!

Natychmiast rzuciłem się przed siebie. Traumowany podał do mnie, przyjąłem piłkę i pognałem przez placyk. Kierowcy pobiegli za mną. Kiedy zrobili parę kółek wokół placyku, też zaczęli dyszeć, zatrzymali się. Opierali dłonie na kolanach i z trudem łapali oddech, wystawiając języki jak zmarli. Przypominali z daleka kasowniki tramwajowe. Zatrzymałem się i spojrzałem pytająco na Traumowanego. Ten machnął ręką w stronę kierowców, jakby mówił: daj im trochę pograć. Kopnąłem do najwyższego, tego, który stał najbliżej. Radośnie rzucił się na piłkę i znachalił się z całej siły z półobrotu. Piłka wystrzeliła w niebo, przecinając powietrze i ginąc w chmurach, potem znikła w trawie rosnącej za placykiem. Wśród kierowców zapanowało rozczarowanie. Ale popatrzywszy po sobie, ruszyli w zarośla. Traumowany i ja powlekliśmy się za nimi. Nawet Kocza się podniósł. Rozdzieliliśmy się i weszliśmy w kurz i ciepło jak afrykańscy myśliwi, którzy wypłaszają lwy z traw. Piłka leżała gdzieś w gąszczach, słychać było jej przestraszone chrypienie i ledwie wyczuwalne bicie skórzanego serca. Stąpaliśmy ostrożnie, usiłując ją dojrzeć, od czasu do czasu pokrzykiwaliśmy do siebie i patrzyliśmy w niebo, po którym sunęły coraz to nowe chmury.

Nagle coś mi to zaczęło przypominać – ci mężczyźni, którzy ostrożnie brną po pas w trawie, rozgarniając rękami wysokie źdźbła, uważnie wpatrując się w sploty pędów, przysłuchując się głosom dobiegającym z chaszczy, płosząc z traw przestraszone ptaki, powoli przecinając bezkresne pole. Kiedyś to wiedziałem. Napięte plecy, postaci, które zamierają w mroku, białe koszule, które świecą z ciemności.

Kiedy to było? Chyba w dziewięćdziesiątym. Tak, lato tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Zwycięstwo z Woroszyłowgradem. Gol Traumowanego w ostatnich minutach. Chyba najlepszy jego mecz. Restauracja Ukraina koło parku, naprzeciwko straży pożarnej. Jakieś wieczorne świętowanie zwycięstwa, bandyci i nasi gracze, jakieś kobiety w odświętnych sukienkach, mężczyźni w białych koszulach i dresach, kelnerzy, spółdzielcy, my, młodzi, siedzimy przy jednym stole z gangsterami, gorące fale alkoholu przelewają się przez głowę, to jakby wbiegać w nocne morze, przykrywa cię czarna słodko-gorzka fala i na brzeg wybiegasz już doroślejszy. Skrzynki z wódką, bezkresny stół, przy którym zmieści się każdy, kogo znasz, głośna parszywa muzyka, za oknami wilgotne ciemności, mokre od deszczu drzewa, głosy, które zlewają się ze sobą i przypominają deszcz, jakieś rozmowy kobiet i mężczyzn, poczucie otchłani, która zaczyna się tuż obok, skąd wieją gorące nieznośne przeciągi, które zapierają dech i rozszerzają źrenice, podskórne poczucie tych niewidocznych żył, przez które płynie krew tego świata, i nagle pośród tego całego złotego migotania wybucha szkło, i powietrze rozsypuje się na miliony kryształowych odłamków – ktoś z Woroszyłowgradu wyśledził naszą imprezę i wrzucił cegłówkę przez okno restauracji, które od razu się rozsypało, i niebieska noc wtargnęła do sali, trzeźwiąc głowy i studząc krew. I nagle po krótkim milczeniu ogólne poruszenie, wściekłość w głosach, odwaga, która budziła się w każdym, gwarne wyskakiwanie przez drzwi i rozbite okno, stukot butów na mokrym asfalcie, białe koszule, które skaczą w bzową noc i świecą z niej, przy oknie postaci kobiet z napięciem wpatrujących się w ciemność. Bandyci i spółdzielcy, piłkarze i kibice z nowego osiedla – wszyscy rozsypują się w ciemności i przeczesują pustkowie, które zaczyna się za parkiem, biegną w kierunku rzeki, goniąc niewidoczną

ofiarę, nie dając się jej wyślizgnąć, dziwna pogoń, pełna podniecenia i radości, nikt nie chce zostać z tyłu, każdy wpatruje się w czerń lata, pochyla się nad ziemią, starając się wypatrzyć wroga, za rzeką palą się w oddali elektryczne światła, jakby w trawie chowały się żółtozielone słońca, które chcemy wygonić, by rozproszyć wokół siebie ciemność, gęstniejącą niczym krew i nagrzewającą się naszym oddechem niczym silnikami spalinowymi.

4

Tej nocy spał mocno i spokojnie, jakby ktoś przeganiał przez niego sny. Przetaczały się jak wagony towarowe przez stację węzłową i oglądał wszystkie sny jak naczelnik stacji, przez co wygląd miał skupiony i odpowiedzialny. Spał na dworze, na swojej ulubionej katapulcie, gdzie wczoraj w nocy wypił przyniesione przeze mnie witaminy. Przyniosłem z przyczepy stary szynel, nakryłem go, ale w nocy i tak parę razy budziłem się i chodziłem sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Pod jego nogami spały psy, które przybiegły tu z szosy. Wiatr miotał po placyku papierowe torebki. Na jego ramieniu siadały ptaki, a po otwartych dłoniach łaziły mrówki, zlizując ze skóry czerwone plamy witamin. Nocą ostatnie chmury odeszły na północ, po niebie rozsypały się konstelacje i pogoda znów przypominała początek czerwca. Czerwiec w tych okolicach mijał szybko i intensywnie – źdźbła wypełniały się gorzkawym sokiem, liście szeleściły jak skóra na mrozie. Z dnia na dzień przybywało kurzu i piasku, który trafiał do butów i między fałdy ubrania, skrzypiał między zębami i wysypywał się z włosów. W czerwcu powietrze się nagrzewało jak namioty wojskowe i zaczynała się ciepła pora nieruchawych mężczyzn na ulicach i hałaśliwych dzieci na kąpieliskach. Już od rana wiadomo było,

że trzeba szykować się na gorące lato, które trwać będzie bez końca i wypali wszystko, co nawinie się pod rękę, łącznie ze skórą i włosami. I nawet letnie deszcze nikogo nie uratują.

Kocza budził się długo i czuł rano smutek jak w dzieciństwie, kiedy musiał wstawać razem z rodzicami, którzy spieszyli się do pracy i zmuszali go, by szedł do szkoły. Kiedy się obudził, chodził wokół garażu, karmił psy czarnym chlebem, z zadumą oglądał dolinę, w końcu przyszedł obudzić mnie. Usiadł na kanapie obok i długo opowiadał jakieś pourywane przypadkowe historie o swojej byłej żonie, wyciągał zdjęcia, znalazł gdzieś pod kanapą swój album rezerwisty oprawiony w materiał z wojskowego płaszcza, wciskał mi go. Leniwie się broniłem, usiłując znów zasnąć, ale po albumie rezerwisty nie było to takie łatwe. W końcu usiadłem i, owinięty w kłujący szpitalny koc, zacząłem słuchać. Kocza opowiadał o miłości, o seksie na przednim siedzeniu starej wołgi. Dlaczego nie na tylnym? – zapytałem – przecież wszyscy robią to na tylnym; bracie – wyjaśnił Kocza – w starej wołdze przednie siedzenie to kanapa, tak jak tylne, więc nie ma żadnej różnicy, gdzie to robisz, rozumiesz? Rozumiem – odpowiedziałem – nie ma żadnej różnicy. I Kocza z wdzięcznością pokiwał głową: no właśnie, bracie, wszystko kumasz – i zaraz potem poszedł gotować czaj.

Po jakimś czasie na stacji zatrąbił pierwszy samochód. Kocza z rozdrażnieniem założył okulary i ruszył do wyjścia.

– Kocza – powiedziałem – pomogę ci.

– A tam – machnął ręką – dużo możesz pomóc…

– No, a kogo masz jeszcze do wyboru…

– No to dawaj – czekał w drzwiach, kiedy szukałem ubrań. – Weź załóż coś innego. Gdzie będziesz w dżinsach? Tam pod łóżkiem mam jakieś stare rzeczy, poszukaj, dobra?

I poszedł.

*

Pod kanapą leżały dwie walizki wypchane ciuchami. Wszystko waliło tytoniem i wodą po goleniu. Z obrzydzeniem grzebałem w pierwszej, znalazłem czarne wojskowe spodnie połatane na kolanach, ale jeszcze całkiem przyzwoite, mocno pachniały wodą kolońską. Otworzyłem drugą, wyciągnąłem kurtkę bundeswery, wymiętą, ale nie podartą. Wbiłem się w nią. Kurtka była za ciasna, możliwe, że dlatego Kocza jej nie nosił, skoro byliśmy podobnej budowy. Ale nie bardzo było z czego wybierać. Popatrzyłem w okno. Odbicie rozproszone było przez słońce i znikało w jego promieniach. Można było rozpoznać tylko jakieś kontury, cień. Przypominałem czołgistę, którego czołg dawno się spalił, ale on dalej wykazuje wolę walki. Z tymi myślami ruszyłem do pracy.

*

O dziewiątej przyjechał Traumowany. Krytycznie przyjrzał się mojej odzieży roboczej, chrząknął i poszedł do siebie do garażu. Ogólnie rzecz biorąc, nie tyle pomagałem, ile przeszkadzałem. Parę razy rozlałem benzynę, długo rozmawiałem z jakimś tirowcem, który jechał do Polski, ciągle zaczepiałem Koczę, nie dając mu wykonywać obowiązków służbowych. W końcu stary nie wytrzymał i odprawił mnie do Traumowanego. Ten wszystko zrozumiał, dał mi nasączoną benzyną szmatę i nakazał czyścić jakiś złom oblepiony mułem, rdzą i tłustą farbą. Po półgodzinie takiej pracy ostatecznie się znudziłem, wieloletni brak pracy fizycznej jednak dawał się we znaki. Szura – zwróciłem się do Traumowanego – chodź, zapalimy. Tu się nie pali – odpowiedział na to Traumowany – to przecież stacja benzynowa. Dobra – powiedział po chwili – idź, odpocznij, potem wrócisz. Tak właśnie zrobiłem.

*

Koło południa włączyli telefon. Wykręciłem numer Bolka. Miał głuchy i rozdrażniony głos.

– Herman! – krzyczał do mnie. – Jak tam?

– W porządku – odpowiedziałem. – Tu jest całkiem jak w kurorcie. Nad rzeką. Szczupaki można łapać.

– Herman! – starał się dokrzyczeć do mnie Bolek. – Jakie, kurwa, szczupaki? Co za szczupaki, Herman? Mamy przedwyborczą konferencję w tym tygodniu. A tu ni chuja nic nie gotowe, bracie. I w ogóle potrzebujemy cię tu w biznesie. Kiedy będziesz?

– No właśnie, Bora! Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać! – krzyczałem. – Zostaję jeszcze.

– Co, Hera? Co mówiłeś?

– Zostaję, powiedziałem, zostaję!

– Jak to zostajesz? Na długo?

– Maksimum tydzień. Nie więcej.

– Herman? – nagle poważnym głosem zapytał Bolek. – U ciebie wszystko w porządku? Może trzeba jakoś pomóc?

– Nie, wyluzuj – mówiłem swobodnie i przekonująco. – Będę za tydzień.

– Nie zostaniesz tam chyba, co? – w głosie Bolka naprawdę słychać było jakieś skrępowanie czy niedowierzanie, a może nadzieję.

– Nie, no co ty.

– Herman, już ja cię znam.

– Tym bardziej.

– Nie zrobisz przecież tego?

– Nie martw się, powiedziałem przecież.

– Herman, po prostu zanim zrobisz głupotę, pomyśl, dobrze?

– Dobrze.

– Pomyśl o nas, twoich przyjaciołach.
– Myślę o was.
– Zanim zrobisz coś głupiego.
– No pewnie.
– Pomyśl, Herman, dobrze?
– No jasne.
– Dobra, bracie, trzymaj się. Kochamy cię.
– I ja was też, Bora, też was kocham. Obu. Ciebie bardziej.
– Nie pierdol. – Bolek w końcu odłożył słuchawkę.
– Tak, tak – krzyczałem, słuchając krótkich sygnałów z tamtej strony – i ja za tobą też! Bardzo!

*

Potem kilka razy dzwoniłem do brata. A on uparcie nie odbierał. Słońce zalewało pokój, kurz unosił się jak zamulona woda w rzece. Patrzyłem przez okno i czułem, jak ciepłe wnętrze czerwca opada, dotykając wszystkiego, co żywe na tej trasie. Co robić? Mogłem jeszcze raz zejść w dolinę, spróbować znaleźć przyjaciół i znajomych, których nie widziałem sto lat, porozmawiać z nimi, dowiedzieć się, jak im leci, zapytać o życie. Mogłem jeszcze dziś stąd wyjechać jakąś okazją, wyrwać się jak najdalej od tego piekła z tysiącem promieni i wspomnień, które zatykały mi płuca i oślepiały. Najprościej byłoby, oczywiście, wszystko to sprzedać. A kasę rozdać kolegom. Brat pewnie by się nie obraził. A nawet jeśli, co by to zmieniło? Zbyt wielu możliwości mi nie zostawił. Można przez jakiś czas posiedzieć tu z Koczą, póki ciepło, i można łapać szczupaki, sprawiać wrażenie, że chcę pomóc, tankować benzynę do ciężarówek. Ale wcześniej czy później będę miał do czynienia z dokumentami, podatkami, z całym tym bałaganem, od którego zawsze stroniłem. Teraz historia z rejestrowaniem firmy na moje nazwisko wydała mi się dziwna

i niezrozumiała, brat musiał to wszystko przewidzieć, on, w odróżnieniu ode mnie, wszystko zawsze rozważał, po co mnie podstawiał, jednak nie zrozumiałem. A najważniejsze – dlaczego teraz znikł, niczego nie wyjaśniając, nie zostawiając żadnych dyspozycji: rób, co chcesz, oddaj biednym, przerejestruj na dom dziecka, niech same tankują cały ten kowbojski transport samochodowy, a jak chcesz, po prostu podpal tę budę razem ze świadectwem rejestracji i jedź do domu, gdzie czekają przyjaciele i ciekawa praca. Ale żadnych dyspozycji nie zostawił. Po prostu znikł jak turysta z hotelu, wyciągając mnie na osmalone słońcem wzgórza, gdzie zawsze czułem się niepewnie, od dzieciństwa, od pierwszych wspomnień aż do ostatnich lat, które tu spędziłem, aż do tego pięknego jesiennego dnia, kiedy z rodzicami stąd wyjechaliśmy, kiedy nasz tata, emerytowany wojskowy nikomu niepotrzebnej armii, dostał mieszkanie na przedmieściach Charkowa. Brat wtedy został, nie chciał wyjeżdżać, nawet rozmawiać o tym nie chciał, od razu powiedział, że zostaje, i chyba do końca nie przebaczył nam tej ucieczki. Otwarcie nigdy o tym nie mówił, ale zawsze czułem dystans z jego strony, szczególnie w stosunku do rodziców, którzy poddali się i porzucili dolinę z całym jej słońcem, piaskiem i morwami. On został, okopał się na wzgórzach i ostrzeliwał na wszystkie strony, nie chcąc oddać swojego terytorium. Niczym nieusprawiedliwiony upór, którego nigdy nie rozumiałem, to nas różniło; on skłonny był do końca trzymać się pustej ziemi, ja łatwo poddawałem się pustce, starając się jej pozbyć. Zresztą, życie ustawiło nas po swojemu: on siedział w Amsterdamie, a ja utknąłem na tym wzgórzu, z którego, jak się zdawało, widać było koniec świata, i wyraźnie mi się to nie podobało.

*

Kocza całkiem stracił siły, siedział na katapulcie i leniwie bronił się przed kierowcą, jakimś swoim starym przyjacielem, którzy równie leniwie starał się pobudzić go do dalszej pracy, czyli żeby nalał mu paliwa na daleką drogę. Wyszedłem na dwór i zastąpiłem starego na posterunku bojowym. Słońce pachniało benzyną i wisiało nad naszymi głowami jak benzynowa gruszka.

*

Praca wprowadziła w moje zamieszanie pewien rytm i porządek. Kiedy masz się czym zająć, mniej myślisz o korytarzach przyszłości, którymi tak czy inaczej trzeba przejść. Pomagałem kolegom, do wieczora kręciłem się pod pomarańczowym czerwcowym niebem, a wieczorem Kocza wyciągnął konserwy, nabił gandzią kilka papierosów i założył moje słuchawki. Siedzieliśmy pod gałęziami jabłoni milczący i rozluźnieni, czując skórą, jak opada słońce i od strony rzeki powoli unosi się świeżość. Kiedy całkiem się ściemniło, Traumowany zaczął się zbierać, mył się przy żółtej plastikowej umywalce, polewał perfumami. Włożył świeżą szpanerską białą koszulę i zszedł w dolinę, do złotej elektryczności i bzowych cieni w zaułkach, gdzie otwierając okna na czarną i świeżą noc, czekały na niego kochanki.

*

Od świeżego powietrza i słodkich jointów sen stawał się głęboki i miarowy jak stara rzeka. Skóra rozpalona słońcem do rana stygła, chociaż prześcieradło jeszcze długo trzymało ciepło, które przejęło od ciała. Rano Kocza obudził mnie swoimi gadkami, zrobił śniadanie i wygonił mnie na dwór, żebym umył zęby. Wszystko to przypominało jakąś dziecięcą wyprawę turystyczną, zupełnie straciłem poczucie czasu,

niespodziewanie dostałem urlop, wycieczkowy rejs na stację benzynową i teraz, nieco otumaniony, błąkałem się pomiędzy oponami oplecionymi trawą i zardzewiałym żelastwem, w którym chowały się polne ptaki. Traumowany patrzył na mnie wciąż z niedowierzaniem, ale niezbyt surowo. Następnego wieczoru, w środę, znów wyciągnął piłkę, wyniósł z garażu dwie puszki po farbie i postawiwszy mnie w tej improwizowanej bramce, długo szlifował uderzenie z lewej. Niektórzy kierowcy mnie rozpoznawali, witali się, pytali, jak leci, czy na długo przyjechałem i gdzie jest mój brat. Unikałem prostych bezpośrednich odpowiedzi, mówiąc, że wszystko w porządku, chociaż wiedziałem, że mówię nieszczerze. Zresztą, kogo to obchodziło.

*

W czwartek po południu zjawiła się Olga. Przyjechała na swoim skuterze z wielkim wiklinowym koszykiem na ramieniu. Koszyk tłukł o kierownicę i przeszkadzał jej, Olga lekkomyślnie wyprzedziła ciężarówkę, zeskoczyła z szosy, pomknęła w kierunku stacji i wyłoniła się przed nami. Siedzieliśmy z Koczą na fotelach i oganialiśmy się przed wielkimi osami, które krążyły wokół, zamroczone zapachem tytoniu i wody po goleniu. Olga zeskoczyła ze skutera, przywitała się z Koczą i skinęła mi głową.

– A ty wciąż tutaj? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałem. – Postanowiłem wziąć urlop. Bezpłatny.

– Rozumiem. A jak tam twoi przyjaciele?

– Jacy przyjaciele?

– Z jeepa.

– A, ci. Doskonale. Okazało się, że to nadzwyczaj mili ludzie.

– Poważnie? – nie uwierzyła Olga.

– Puszczali mi muzykę, proponowali przyjaźń.

– No i jak?

– Muzyka? Gówniana.

– A przyjaźń?

– Zastanawiam się – wyznałem.

– No, no – powiedziała chłodno Olga. – Masz, Kocza.

Podała staremu koszyk i poszła do garażu do Traumowanego. Kocza nie zdążył podziękować.

W koszyku były świeży chleb i mleko w plastikowej butelce po coca-coli. Kocza z zadowoleniem odłamał kawał chleba i chwycił go w swoje żółte i silne jak psie zęby. Podał mi butelkę z mlekiem. Odmówiłem. Skuter błyszczał białymi bokami, szybko nagrzewając się w promieniach słońca. W dolinie było cicho, między drzewami krążyły ptaki, jakby usiłowały znaleźć najmniej nagrzane części powietrza.

Po pewnym czasie z garażu wyszła Olga. Za nią, w roboczym ubraniu, wycierając szyję śnieżnobiałą chustką, dyszał Traumowany. W ręku trzymał jakieś papiery, które oczywiście właśnie dostał od Olgi, z niezadowoleniem nimi wymachiwał i usiłował coś jej wyjaśnić. Ale ona go nie słuchała.

– Szura – powiedziała – czego ty ode mnie chcesz?

Traumowany zmiął papiery, wsunął do kieszeni kurtki i wymachując pięściami, zniknął w garażu.

– Co z wami? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Nic – odpowiedziała krótko Olga. Wsiadła na skuter, odpaliła go, posiedziała tak chwilę i wyłączyła silnik. – Herman, masz teraz dużo pracy?

– W ogóle to dużo – zakłopotałem się – ale teraz akurat mam przerwę.

– Chodźmy nad rzekę – zaproponowała. – Kocza – zwróciła się do starego – nie masz nic przeciwko?

Kocza na znak zgody pociągnął wielki łyk.

– No to jak, idziesz? – Olga zeskoczyła ze skutera i ruszyła zboczem w dół.

Nie pozostało mi nic innego niż wstać i pójść jej śladem.

Szła przodem, znajdując ścieżkę pomiędzy gęstymi ciernistymi krzewami i młodymi malwami. Zbocze było strome, trawa wciskała się w buty, ze źdźbeł wzlatywały motyle i osy, pod nogami migotały szmaragdowe jaszczurki. Ledwie za nią nadążałem, resztką sił biegnąc w rozpalonym powietrzu. Zieleni przybywało, dolina to wyłaniała się zza wysokich gałęzi, to chowała za nimi, kilka razy ścieżka po prostu znikała, wtedy Olga lekko zeskakiwała w trawę i przebijała się naprzód. W końcu nie utrzymałem się na nogach i potoczyłem w dół przez gorzki piołun, porzucając wszystko na świecie.

– Ej, co jest? – zawołała Olga gdzieś z dołu. – Wszystko w porządku?

– W porządku, w porządku – odpowiedziałem z niezadowoleniem.

Nie podobało mi się, że zauważyła moje zmęczenie, i to, że się stoczyłem, i to, że nie wytrzymuję tempa, które ona narzuciła jeszcze tam na górze. No, chodź, chodź, podejdź i podaj mi pomocną dłoń. Po co mnie zaciągnęłaś w te chaszcze? Chodź, podejdź do mnie.

Ale ona nie zamierzała podejść. Stała gdzieś na dole, za trawami, niewidoczna i rozpalona przez bieg, stała i czekała, więc musiałem się podnieść i wygrzebując z kieszeni piasek, ruszyć przed siebie, w kierunku jej oddechu. Dalej szliśmy w milczeniu. Rzeka była wcale nie tak blisko stacji, łatwiej było tu zejść szosą, ale Olga uparcie omijała drzewa i krzaki, przedzierała się przez burzany, przeskakiwała nad norami i dołami, aż nagle ścieżka się urwała – na dole pod nami połyskiwała rzeka. Olga zrobiła krok do przodu i ślizgając się po stromym kredowym zboczu, lekko zjechała do wody. Skazańczo stoczyłem się za

nią. Na brzegu była niewielka łacha piasku otoczona ze wszystkich stron trzcinami.

– Tylko nie patrz. Nie mam kostiumu.

– Widzę – odpowiedziałem.

Zdjęła długą sukienkę, pod którą, jak się okazało, miała tylko białe majtki, i weszła do wody. Chciałem się odwrócić i nie zdążyłem.

– I pływać też nie umiem – powiedziała, stojąc po szyję w wodzie.

– Ja też – odpowiedziałem i zrzuciłem swój rynsztunek czołgisty.

Woda była ciepła, kredowe zbocza nagrzewały ją, odbijając promienie słońca, w takiej wodzie zupełnie nie chciało się ruszać.

– Kiedyś – powiedziała Olga – byłam drużynową na obozie pionierskim. Jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. I codziennie z koleżanką musiałyśmy wyciągać z rzeki pionierów.

– Topielców czy jak? – nie zrozumiałem.

– Nie, jakich tam topielców! Normalnych żywych pionierów. Wpływali w trzciny i chowali się tam do wieczora. Wiedzieli, że nie umiemy pływać. Wyobrażasz sobie, co za odpowiedzialność?

– Wyobrażam – powiedziałem. – A my z kolegami biliśmy tu ryby.

– Tu są ryby?

– Nie ma. Ale i tak biliśmy.

– Jasne. – Krople wody w jej rudych włosach połyskiwały jak miedź, a zmarszczki pod oczami zupełnie się wygładziły przez ciepłą wodę. – Masz tu dużo przyjaciół?

– Tak. Przyjaciół z dzieciństwa.

– Czym oni się różnią od innych przyjaciół?

– Wiele pamiętają.

– Herman, ty masz kompleksy.

– Mam wiele kompleksów. Na przykład nie umiem pływać.

– Ja też nie umiem pływać – powiedziała ostro Olga. – Ale nie mam kompleksów z tego powodu.

– No i tak się utopisz, bez kompleksów.

– Nie utopię się – powiedziała z przekonaniem. – Nie możesz utopić się w rzece, w której pływasz całe życie.

– Może i tak. Po prostu dawno w niej nie pływałem.

Owady sunęły po powierzchni wody niczym wędkarze zimą po szarym lodzie.

– Co postanowiłeś? – nie wytrzymała Olga. – Z tą stacją?

– Nie wiem. Postanowiłem poczekać. Czas mam. Może brat wróci.

– Jasne. I jak długo będziesz czekać?

– Nie wiem. Lato jest długie.

– Wiesz, Herman – powiedziała nagle, odganiając osy od włosów – pomogę ci, jeśli będzie trzeba.

– Dobrze.

– Ale chciałabym, żebyś zrozumiał: to tylko interesy. Jasne?

– Jasne.

– To co się znów na mnie gapisz? Mówiłam, że nie mam kostiumu.

Woda niosła gałęzie i toczyła po piaszczystym dnie czarną trawę, owady wisiały nad nią, lgnąc do jej lepkiej powierzchni, grząska rzeka nie tyle płynęła, ile trwała.

Po jakimś czasie wyszliśmy na brzeg i zaczęliśmy się zbierać. Olga znów poprosiła, żebym nie patrzył, szybko zdjęła mokre majtki i ściskając je w ręce, zaczęła zakładać sukienkę. Ruszyliśmy. Kiedy wspięliśmy się na kredową skarpę, zaczęliśmy brnąć pod górę za wieczornym słońcem, które już wtoczyło się za wzgórza. Olga szła przodem, mocno ściskając w dłoni majtki, sukienka lepiła się do jej mokrego ciała i w ogóle starałem się

na nią nie patrzeć. Na stacji wzięła od Koczy pusty koszyk, wrzuciła do niego bieliznę, poszeptała chwilę z Traumowanym, a on spojrzał na mnie surowo, wsiadła na skuter i rozpłynęła się w wieczornym powietrzu, jakby jej tu nigdy nie było.

*

Wieczorem Kocza ochryple opowiadał o swoich kobietach, o tym, jakie są podstępne, nierozsądne i czułe, za co je kochał. Konserwy się skończyły, dałem mu pieniądze, a on wsiadł na starą ukrainę i pojechał na dół po prowiant. Ja zostałem w fotelu, przyglądając się, jak nad szosą przelatują czerwone potoki, powietrze zastyga od kurzu i ciemności, a niebo staje się podobne do koncentratu pomidorowego.

*

To były dziwne dni – znalazłem się pośród dawnych znajomych i całkiem nieznajomych ludzi, którzy patrzyli na mnie uważnie, czegoś ode mnie wymagając, oczekując jakichś uczynków. Jakby wszyscy zamarli, nasłuchując, cóż ja teraz powiem, zaciekawieni, co zrobię. Wyraźnie mnie to spinało. Przywykłem odpowiadać za siebie i swoje uczynki. Ale to był zupełnie inny przypadek, inna odpowiedzialność. Zwaliła się na mnie jak kuzyni z dworca i pozbyć się jej nie tyle się nie dało, ile po prostu byłoby jakoś niezręcznie. Żyłem swoim życiem, sam rozwiązywałem swoje problemy i starałem się bez potrzeby nie dawać nieznajomym numeru telefonu. A tu nagle znalazłem się w tłumie, czując, że tak łatwo mnie nie puszczą, że będę musiał wyjaśniać nasze stosunki i wychodzić jakoś z zaistniałej sytuacji. Najwyraźniej liczyli tu na mnie. Wcale mi się to nie podobało. A przede wszystkim – bardzo mi się chciało gorącej pizzy.

*

Następnego dnia, czyli w piątek, pod wieczór przyjechał do nas dziwny osobnik. Od razu zwrócił na mnie uwagę i ja go też zauważyłem. Przyjechał starym uazem, kiedyś takimi samochodami jeździli agronomowie i oficerowie, przyjechał z północy, wracał do miasta, ubrany był, tak jak i ja, w wojskowe spodnie i koszulkę w kamuflaż. Na głowie miał jakąś esesmańską czapkę. Patrzył na wszystkich badawczo i podejrzliwie. W milczeniu przywitał się z Koczą, oddał honory Traumowanemu i poszedł z nim do garażu. Zobaczywszy moją kurtkę z bundeswery, podszedł i się przywitał.

– Ładna kurtka – powiedział.

– W porządku – zgodziłem się.

– Ładny materiał. Ty jesteś Herman?

– Herman – odpowiedziałem.

– Korolow? Brat Jurika?

– No.

– Pewnie mnie nie pamiętasz, robiłem interesy z twoim bratem.

– Tutaj wszyscy z nim robili interesy – powiedziałem z lekkim rozdrażnieniem.

– Mieliśmy specjalne układy – postarał się podkreślić słowo „specjalne". – Brał ode mnie paliwo lotnicze i sprzedawał gdzieś do Polski. Rolnikom.

– Od ciebie, to znaczy skąd?

– Z lotniska.

– Pracujesz na lotnisku?

– Na tym, co z niego zostało. Ernst – przedstawił się i wyciągnął rękę.

– Co ty masz za imię?

– To nie imię, to ksywa.

– No, a jak się nazywasz?

– Tak mnie nazywaj. Ernst. Już się przyzwyczaiłem. Kim jesteś z wykształcenia?

– Historykiem.

Zmienił się na twarzy. Uważnie przyjrzał mi się od stóp do głów, ostrożnie wziął za łokieć, wyprowadził z garażu i odciągnął od zdziwionych Koczy i Traumowanego.

– Wiesz, Herman – wciąż trzymał mnie za łokieć, wciąż odciągając dalej od stacji. – Ja też jestem historykiem. Ta praca na lotnisku… po prostu tak się złożyło. Co kończyłeś?

– Uniwersytet Charkowski.

– Historię?

– Historię.

– Miałeś praktyki?

– Tak, pod Charkowem.

– Kopałeś?

– Kopałem.

– A co możesz powiedzieć na temat „martwej głowy"?

– Jakiej głowy?

– Martwej. Była taka dywizja.

– No – zawahałem się – nic dobrego.

– Wiesz co, Herman – boleśnie ścisnął mój łokieć. – Koniecznie musisz przyjechać do mnie na lotnisko. Otworzę ci oczy.

– Na co? – nie zrozumiałem.

– Na wszystko. Ty nic nie rozumiesz.

– A ty rozumiesz?

– A ja rozumiem. Ja, Herman, przekopałem tu wszystko, aż do Donbasu. Jednym słowem tak: czekam na ciebie w poniedziałek. Przyjedziesz?

– Przyjadę – obiecałem.

– Trafisz?

– Trafię.

– No to dobrze.

Odwrócił się gwałtownie i ruszył do uaza. Podszedł do Koczy, wcisnął mu kasę za benzynę i wskoczył do kabiny.

– W poniedziałek! – zawołał na pożegnanie.

Kiedy rozwiał się za nim kurz, podszedłem do Koczy.

– Kto to? – zapytałem.

– Ernst Thälmann – odpowiedział z zadowoleniem Kocza – najlepszy przyjaciel niemieckich pionierów.

– Co to za imię?

– Normalne – roześmiał się. – Jest mechanikiem na lotnisku.

– Może go jednak znam.

– Tutaj wszyscy wszystkich znają – jakby powtórzył po kimś Kocza.

– Zlewał na spirytus z jakichś lotniczych zapasów. Dwadzieścia lat temu – zacząłem sobie przypominać.

– No widzisz.

– A dlaczego Ernst?

– Pół doliny tu przekopał. Szuka niemieckich czołgów.

– Czołgów?

– Yhm.

– Po co mu czołgi?

– Nie wiem – wyznał Kocza. – Do samorealizacji. Mówi, że gdzieś tu w naszych okolicach zostało kilka czołgów. No i teraz szuka. Ma w domu cały faszystowski arsenał: automaty, amunicję, ordery. Ale nie jest faszystą – uprzedził Kocza. – Dlatego Ernst Thälmann.

– Jasne – zrozumiałem.

– Niemiecki czołg – dodał zbliżający się Traumowany – jest wart wielkie pieniądze. Tylko za chuja go nie wykopie.

– Dlaczego? – nie zrozumiałem.

– Hera – powiedział z rozdrażnieniem Traumowany – to przecież nie worek kartofli, to sześćdziesiąt ton żelaza. Czym

go będzie wykopywać? Saperką? Dobra, zabieramy się do roboty.

Niezadowolony odwrócił się i znikł w garażu. Powlokłem się za nim. Faktycznie – pomyślałem – sześćdziesiąt ton to nie worek kartofli.

*

Odkryłem, że praca może przynosić jeśli nie satysfakcję, to przynajmniej poczucie dobrze wykonanego obowiązku. Ostatnio coś podobnego czułem w trzeciej klasie tutejszej szkoły, kiedy wywozili nas na zbieranie jabłek w kołchozowych sadach, a my sumiennie szukaliśmy w zimnej wrześniowej trawie ciężkich owoców. W sobotę samochodów było więcej niż zazwyczaj. Jechały na północ, w stronę Charkowa. Kocza radośnie liczył kasę, martwiąc się, czy wystarczy zapasów paliwa, bo cysterna miała przyjechać dopiero następnego dnia.

*

W ciągu dnia, kiedy kolejka się zmniejszyła, a słońce wytoczyło się na najwyższy punkt, zrzuciłem ciężkie rękawice, uprzedziłem Koczę, że nie będzie mnie przez godzinę, i ruszyłem wzdłuż grzbietu wzgórza, oddalając się od szosy. Nawet nie wiem, dokąd miałem zamiar iść, chyba najbardziej chodziło o to, że musiałem od tego wszystkiego odpocząć, pospacerować po malowniczych okolicach, można powiedzieć. Zszedłem ze wzgórza do parowu, a kiedy wydostałem się znów na górę, znalazłem się na bezkresnych polach kukurydzy, które ciągnęły się aż po horyzont, zresztą za horyzontem pewnie też się ciągnęły. Nie było tu żadnej drogi, więc poszedłem po prostu przed siebie, starając się, by słońce świeciło mi w plecy i nie raziło w oczy. Krajobraz

był sałatowo zielony od młodej kukurydzy i czarny od suchej ziemi, gdzieniegdzie zdarzały się niewielkie zagłębienia, okolica przypominała pole golfowe, na którym z jakiegoś powodu zasiano kukurydzę. Nagle jakieś dwieście metrów przede mną zauważyłem postać, ktoś zamarł, przysłuchując się ciszy wokół. Nie mogłem dostrzec, kto to właściwie jest, i pomyślałem, że chyba dziwnie tu wyglądamy – w kukurydzy, na czarnoziemach – dziwnie i podejrzanie. Kiedy podszedłem, poznałem Katię. Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki, w którym chyba trudno się było poruszać w takim upale. Pod nimi jaskrawożółtą podkoszulkę. Na nogach te same sandały co poprzednim razem. Też mnie zauważyła, stała i czekała, aż podejdę.

– Co tu robisz? – zapytałem zamiast powitania.

– A ty? – Chyba zupełnie się nie zdziwiła na mój widok.

– Ciebie szukam.

– Opowiadasz! – patrzyła zimno i z niedowierzaniem.

– Cześć – wyciągnąłem rękę.

Przez moment się zastanawiała, a potem podała swoją. Nawet się uśmiechnęła, chociaż raczej szyderczo niż przyjaźnie.

– No to co tu robisz? – powtórzyłem pytanie.

– Szukam Pachmutowej.

– Kogo? – nie zrozumiałem.

– Pachmutowej. Owczarka. Ona ciągle tu wybiega na pola.

– Wróci. Psy są mądre.

– Ale ona jest bardzo stara – powiedziała Katia z niepokojem. – Ma sklerozę. Już parę razy wybiegała na szosę, ledwie ją potem znajdowałam. Dobrze, że wszyscy ją tu znają, więc dają jej spokój.

– To przywiąż ją, żeby nie uciekała.

– Chodź, ciebie przywiążę – zezłościła się Katia. – Żebyś nie uciekał.

– No już dobrze, dobrze – powiedziałem pojednawczo.

Ale Katia już nie słuchała. Odwróciła się i zaczęła wołać owczarka.

– Pachmutowa! – krzyczała w puste pola. – Pachmutooowa!

I wtedy pojawił się dziwny dźwięk. Narastał, rozpadając się na brzękliwe nuty i rozwalając ciszę jak lodołamacz kry na rzece. Katia natychmiast się spięła i popatrzyła w górę. Po niebie przemieszczał się dziwny przedmiot. Sunął w naszą stronę i po chwili zrozumiałem, że to kukuruźnik, AN-2. Niespodziewanie Katia rzuciła się do mnie i ciągnąc za rękę, padła na ziemię. Upadłem na nią. Nieźle, pomyślałem. A Katia zaszeptała:

– Leż cicho i nie ruszaj się. I zasłoń mnie. Mam jasną podkoszulkę, mogą zauważyć.

– Kto? – nie zrozumiałem.

– Kukuruźnicy.

– A to jest co? Ich lotnictwo?

– Tak. Lepiej im się nie pokazywać. Oni nie lubią, jak ktoś wchodzi na ich teren, mogą być problemy.

– No dobra.

Próbowałem się podnieść, ale Katia gwałtownie pociągnęła mnie na siebie i powiedziała z nieudawanym przestrachem:

– Leż, mówiłam!

Położyłem twarz na jej ramieniu. Ziemia pod jej włosami była sucha i popękana, po źdźbłach kukurydzy biegały mrówki i kurz wbijał się w czarne włosy Katii. Oczy miała koloru kurzu, jakby usiłowała się zlać z okolicą i pozostać niezauważona. Samolot tymczasem nadlatywał, buczał szaleńczo i groźnie i w którejś chwili całkiem przykryłem Katię sobą, wciskając się w nią jak w trawę. Oddychała ostrożnie i nagle wsunęła rękę pod moją podkoszulkę.

– Cały jesteś mokry – powiedziała zdziwiona.

– To od słońca.

– Leż cicho – powtórzyła.

– Jakie masz niewygodne ogrodniczki.

Usiłowałem rozpiąć guziki na szelkach i wsunąć dłoń pod koszulkę, ale się nie poddawały, na próżno szarpałem i ciągnąłem do siebie, denerwowałem się i złościłem, a ona jakoś nieobecnie i nieważko dotykała mojej skóry, nawet na mnie nie patrząc. Cała skupiła się na tym samolocie, który nagle ciężkim cieniem przeleciał po naszych ciałach i zaczął się szybko oddalać, zostawiając po sobie dym, czad i pustkę. Udało mi się w końcu rozpiąć jeden guzik, ale wtedy ona chyba poczuła, że niebezpieczeństwo minęło, i wyciągnąwszy nagle rękę spod mojej podkoszulki, lekko mnie odepchnęła.

– Koniec, dość – powiedziała i wstała.

– Poczekaj – nie zrozumiałem. – Dokąd?

– Wstawaj.

– Gdzie idziesz? Poczekaj.

– Dość – powtórzyła spokojnie i zapięła guzik, z którym tak długo walczyłem.

Cholera, pomyślałem.

I nagle poczułem nad głową ciężkie dyszenie. Kiedy się uniosłem, zobaczyłem obok owczarka. Nawet nie zauważyłem, kiedy podszedł. Teraz babcia Pachmutowa stała obok i patrzyła na mnie z jakimś niekłamanym zadziwieniem – jakby pytała: czego ty od nas chcesz. I nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

– Już, idziemy – Katia ruszyła w stronę wieży telewizyjnej, która sterczała nad horyzontem.

Pachmutowa ochoczo ruszyła za nią. Wstałem, otrzepałem się z kurzu i posępnie ruszyłem za nimi.

Po drodze Katia milczała, nie zwracała uwagi na moje próby nawiązania rozmowy, coś mruczała do siebie pod nosem i rozmawiała głównie z Pachmutową. Koło bramy zatrzymała się i podała mi rękę.

– Dziękuję – powiedziałem. – Wybacz, jeśli coś jest nie tak.

– No dobra – odpowiedziała spokojnie. – Wszystko dobrze. Nie właź w kukurydzę.

– Czemu tak się ich boisz?

– Nie boję się. Tylko ich znam. Dobra, idę.

– Czekaj – zatrzymałem ją. – Co robisz wieczorem?

– Wieczorem? Uczę się. I rano też – dodała.

Pachmutowa na koniec obwąchała moje buty i także ruszyła do domu. Wieczór po ciężkim dniu, pomyślałem.

*

Traumowany popatrzył na mnie podejrzliwie, jakby wszystko wiedział i rozumiał. Ale zmilczał. A już zbierając się do domu, podszedł i powiedział:

– Słowem, Herman – jego głos brzmiał głucho, ale ufnie – będziesz nam jutro potrzebny.

– Jakim wam?

– Zobaczysz – uchylił się od odpowiedzi. – Zajedziemy o jedenastej. Bądź gotowy. Sprawa jest poważna. Można na ciebie liczyć?

– No jasne, Szura, co za pytanie.

– Tak właśnie myślałem – powiedział na to Traumowany, wsiadł do samochodu i potoczył się w kierunku szosy.

No to, pomyślałem, zaczęło się. I nie mów, że nie byłeś na to przygotowany.

5

Długo rozmyślałem nad tą historią. Jak do tego doszło, że wciągnęli mnie do swoich porachunków? Co ja tu robię? Czemu jeszcze stąd nie wyjechałem? I przede wszystkim – co sobie Traumowany wymyślił? Znając jego charakter i złożone relacje z rzeczywistością, można się było wszystkiego spodziewać. Ale jak daleko mógł zajść? Przecież sprawa, myślałem, dotyczy biznesu, więc na ile jest gotów go bronić? I jaką rolę w tym układzie przygotował dla mnie? Starałem się zrozumieć, co czeka mnie jutro, czy dożyję następnego wieczoru i czy nie lepiej będzie spadać stąd właśnie teraz. Nikt nie mógł mi zagwarantować, że wszystko skończy się spokojnie i bezkrwawo, gotowi są podejść do tego pryncypialnie – i Traumowany, i ci piloci kukuruźnicy, wszyscy mają zbyt wiele ambicji, żeby rozwiązywać kwestie organizacyjne bez trupów. Tak jakby wszystko wróciło, lata szkolne, świat dorosłych, który znajduje się obok, jakby ktoś otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i widziałbyś wszystko, co tam się dzieje, a najważniejsze – że nie ma tam nic dobrego, ale teraz, kiedy drzwi pokoju są otwarte, też jesteś w to zamieszany. Z takimi myślami trudno czekać, wymagają decyzji. A decyzja zależy tylko od ciebie. Wszystko rozstrzyga się wtedy, kiedy obok ciebie stoją towarzysze broni. Ale gdzie oni są, ci bracia, i kim są? Stałem w ciemności, czując ostrożne oddechy i gorące bicie energicznych serc. Noc gorąca jak świeży asfalt, do rana nie zostało ani czasu, ani cierpliwości. Być może to w tym momencie trzeba było się zdecydować – zostać czy się stąd zabrać. I ten moment przespałem.

*

Obudziłem się rano, wiedząc, że czas na odwrót został stracony i wycofywać się po prostu nie ma dokąd. Wyjście tak wprost w słoneczne światło, które pewnie zalewało pokój, i porzucenie tego miejsca, zdawało się niemożliwe. Nocą jeszcze mógłbym to zrobić, ale nie teraz. Od razu łatwiej było myśleć, wstałem i usiłując nie obudzić Koczy, zacząłem się zbierać. Założyłem bojówki czołgisty, znalazłem pod łóżkiem ciężkie wojskowe buty, znoszone, jednak wciąż solidne. Pomyślałem, że lepiej je dziś założyć na wypadek krwawych utarczek. Naciągnąłem podkoszulkę, wziąłem zegarek i wyszedłem na dwór. Pośród złomu znalazłem wygodną gazrurkę. Zważyłem ją w dłoni. Dokładnie to, co trzeba, pomyślałem i poszedłem na spotkanie z nieznanym.

Nieznane jednak zwlekało. Po dwugodzinnym opalaniu się na fotelu chciało mi się spać i jeść, jednak wiedziałem, że przed tego typu wyprawami bojowymi lepiej w ogóle nie jeść. I w takim mniej więcej nastroju zapadłem w słodki poranny sen.

Całkiem blisko mnie, w odległości kilku kroków, nagle otworzyło się powietrze i pojawił niezrozumiały przeciąg. Ciągnęło gorącym wiatrem i ciężkim głębokim żarem. Ten żar wdzierał się w mój sen, tak że zdawało mi się w pewnym momencie, że jednak uciekłem, zebrałem siły i wyskoczyłem z powrotem do zwyczajnego życia. I nawet kiedy się obudziłem, jeszcze jakiś czas czułem, jak trwa to słoneczno-mdłe poczucie drogi, jak płonie przede mną ogień i grzeje popiół, przez które robiło się słodko i strasznie. Sen już odszedł, jednak poczucie pewności nie zajęło jego miejsca. Nawet nie otwierając oczu, domyślałem się, w czym rzecz i co stało przede mną, dysząc piekielnym żarem. A stał przede mną wprost przy moim fotelu ciężki i gorący niczym sierpniowe powietrze ikarus. Tego zapachu nie można z niczym pomylić, tak czuć trupy po zmartwychwstaniu. Stał z wyłączonym

silnikiem i ciemnymi oknami, tak że zupełnie nie było widać, co jest w środku, choć tam bez wątpienia coś było, słyszałem stłumione głosy i czujne oddechy, więc energicznie wstałem i spróbowałem zajrzeć do wnętrza. Nagle drzwi się otworzyły. Na schodkach stał Traumowany. Był w biało-błękitnej koszulce reprezentacji Argentyny i ze zdziwieniem przyglądał się moim wojskowym butom.

– A ty co? – zapytał. – Tak chcesz jechać?

– No – odpowiedziałem niepewnie, chowając gazrurkę za plecami.

– A po co ci gazrurka? – dalej dziwił się Traumowany. – Od psów się nią opędzasz?

– Nie, tak po prostu – zakłopotałem się i cisnąłem moją broń w chaszcze.

– No, no – powiedział tylko Traumowany i odsuwając się na bok, skinął głową: chodź, dał do zrozumienia, wsiadaj.

Wszedłem do środka. Przywitałem się z kierowcą, ten obojętnie skinął w odpowiedzi, wszedłem na następny stopień i obejrzałem wnętrze. Panował półmrok, początkowo nawet nie dostrzegłem, kto tam siedział. Przestąpiłem z nogi na nogę, obejrzałem się na Traumowanego, znów obrzuciłem spojrzeniem autobusowe mroki i niepewnie pomachałem ręką, jakby próbując przywitać się z pasażerami tego martwego środka komunikacji. I to był sygnał. Autobus jednak wybuchł, przez wnętrze przetoczył się radosny gwizd i gwar i ktoś krzyknął pierwszy:

– Siema, Herycz, zdrówko, patałachu!

– Siema! – przyłączyły się od razu mocne gardła. – Siema, patałach!

Ostrożnie i na wszelki wypadek przyjaźnie uśmiechnąłem się w odpowiedzi, nie do końca wiedząc, co się dzieje. Aż nagle Traumowany lekko trącił moje ramię i od razu zwaliłem się

w przyjacielskie objęcia. Dopiero teraz dostrzegłem wszystkie twarze.

Byli tu wszyscy: i Sasza Pyton ze szklanym okiem, i Andriucha Michael Jackson z niebieskimi cerkiewnymi kopułami na piersiach, i Semen Czarny Chuj z odgryzionym uchem i przyszytymi palcami prawej ręki, i Dimycz Konduktor z dziarami na powiekach, i bracia Bałałajesznikow – wszyscy trzej z jedną komórką, i Kola Półtorej Nogi z farbowaną na biało łysiną i hitlerowskim wąsikiem, i Iwan Petrowycz Pasza z kanciastą za sprawą kilku pęknięć czaszką, i Karpo z Kątówką w rękach, i Wasia Zaparty z zabandażowanymi pięściami; jeszcze dalej siedzieli Giesza Szpryca i Siroża Gwałciciel, i Żora Frajer, i Gogi Prawosławny. Jednym słowem cały złoty skład Melioratora-91 – drużyna marzeń, która rwała na strzępy kluby sportowe stąd do samego Donbasu i wygrała nawet Puchar Obwodu; zasłużeni mistrzowie sportu z tej słonecznej doliny. Wszyscy siedzieli tu przede mną, wesoło klepali mnie po ramieniu, przyjacielsko czochrali mi włosy i radośnie śmiali się w ciemnościach autobusu wszystkimi swoimi złotymi i stalowymi koronkami.

– Co tu robicie? – zapytałem, kiedy opadła pierwsza fala radości.

Na chwilę zapadła cisza. Aż nagle głośny ryk przetoczył się nade mną – przyjaciele spoglądali po sobie wesoło i otwarcie cieszyli się, patrząc na mój zagubiony pysk.

– Herycz! – krzyczał Gogi Prawosławny – Kochany! Nieźle dajesz!

– Ale dałeś, Hera! – poparli go bracia Bałałajesznikow, padając na rozchybotane fotele. – Ale dałeś, bracie!

Wszyscy inni też głośno rechotali, klepiąc mnie po plecach, a Sasza Pyton aż zakrztusił się swoim camelem, Siroża Gwałciciel ryczał ze śmiechu, trącając w pierś Wasię Zapartego,

któremu się to nie bardzo podobało. Pokazując mnie palcem, śmiał się też Żora Frajer, Karpo z Kątówką ze śmiechem wymachiwał szlifierką, demonstrując cały swój bojowy zapał. Aż znów Traumowany podszedł od tyłu i spokojnie położył mi dłoń na ramieniu. Wszyscy ucichli.

– Herman, co dzisiaj jest za dzień? – zapytał.

Ktoś parsknął śmiechem, ale dostał blachę i od razu zamilkł.

– Niedziela – odpowiedziałem niepewnie, nie rozumiejąc, o co biega.

– Właśnie, Herman, właśnie. To znaczy, że dzisiaj jest co? – zapytał, oglądając się na przyjaciół.

– MECZ! – wypalili jednym tchem i znów ryknęli radośnie.

– Zrozumiałeś? – zapytał Traumowany, kiedy opadła fala euforii.

– Zrozumiałem – nie mogłem zrozumieć. – Myślałem, że już od dawna nie gracie.

– W ogóle to nie gramy – powiedział na to Traumowany. – Ale dzisiaj, Herman, wyjątkowy dzień. Dzisiaj GRAMY. Co więcej – dzisiaj gramy z GAZOWNIKAMI!

I całe towarzystwo znów odpowiedziało podnieconym rykiem.

– Dlatego chodź, bracie – szturchnął mnie Traumowany. – Siadaj na swoim miejscu. Jesteś nam potrzebny.

Przeszedłem między fotelami, znalazłem wolny, usiadłem i rozejrzałem się. Autobus tymczasem ruszył, kierowca zawracał na popękanym asfalcie, omijając liczne dziury, w końcu wypełzł na drogę i przyhamował.

– Ej, ojciec! – krzyknął do kierowcy Wasia Zaparty. – Weź puść jakąś muzykę!

– Dawaj, ojciec! – radośnie podchwycili Bałałajesznikowowie. – Dawaj muzykę!

– No dawaj, kochany! – ryknął za nimi Gogi. – Dawaj muzę!

I reszta drużyny też zawyła, żądając muzyki, a kiedy kierowca odwrócił się z niezadowoleniem, obrzucili go starymi porwanymi koszulkami i sztywnymi od potu podkolanówkami, aż w końcu nie wytrzymał i puścił na cały regulator jakieś potworne nagrania, jakieś ac/dc z osiemdziesiątego pierwszego, z powrotem w czerń, z powrotem donikąd, przez śmierć do narodzin, bliżej boga i diabła, którzy siedzieli na tylnych siedzeniach w rozżarzonym autobusie i podśpiewywali razem z całą resztą. Ikarus gwałtownie zerwał się z miejsca, piłkarze popadali na fotele; radośnie przekrzykując głośniki, ściągali pasiaste marynarskie koszulki i swetry, wyjmowali z wielkich sportowych toreb koszulki z namalowanymi przez szablon numerami na plecach, szukali w siatkach czarnych szortów, bandaży i ochraniaczy, całej swojej amunicji, przebierali się w tym mroku, zderzając się głowami i lądując na fotelach, kiedy autobus trafiał w kolejną dziurę.

– Ej, a dla Herycza? – krzyknął nagle jeden z braci Bałałajesznikow, młodszy, Rawzan.

– No właśnie, a dla Herycza? – przypomnieli sobie o mnie wszyscy i znów zaczęli grzebać w torbach.

Żora Frajer rzucił mi koszulkę, wilgotną jak kolejowe prześcieradła, a Andriucha Michael Jackson ściągnął spodenki, pod którymi miał jeszcze jedne takie same, i oddał mi, jakby odrywał sobie od serca to, co najdroższe. A Sasza Pyton, błyskając szklanym okiem, wyciągnął nowiutkie podkolanówki i też mi rzucił. Dawaj, Herycz, krzyczeli wszyscy, ubieraj się, dojebiemy dzisiaj gazownikom, dojebiemy po całości! Zdjąłem rynsztunek i założyłem strój. Koszulka była za duża, w spodenkach przypominałem żołnierza kursanta, który odbywa szkolenie w walce wręcz, ale to wszystko były drobnostki. Czegoś brakowało. Czułem, że nie jestem gotowy

do gry, i zagubiony zaglądałem pod fotele, jakbym tam miał znaleźć odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

– Chłopaki! – znów krzyknął Rawzan. – On przecież jest bosy!

Ożeż ty, kurwa! zgodziły się chłopaki, rzeczywiście! Dajcie mu korki! niech ktoś mu da korki! – błagali się nawzajem.

Ale zapasowych korków nikt nie miał – ani Sasza Pyton, ani Semen Czarny Chuj, ani nawet Andriucha Michael Jackson, który ściągnął z siebie jeszcze jedne czarne szorty i oddał je starszemu Bałałajesznikowowi. Ogarnęło nas rozczarowanie, cała akcja nagle straciła sens, bo jaki ze mnie pożytek, jeśli nie mam korkerów. Nie wyjdę przecież na boisko w glanach. Zagubiony popatrzyłem na Traumowanego i rozłożyłem ręce, jakbym przepraszał za swoją krótkowzroczność. I reszta drużyny też popatrzyła na Traumowanego, jakby czekali na to, że uczyni cud, jakby spodziewali się, że zaraz nakarmi nas wszystkich pięcioma chlebami i obuje podstawową jedenastkę w jakieś zaczarowane korki, które doprowadzą nas do całkowitego i bezsprzecznego zwycięstwa. Traumowany też poczuł tę ogólną presję, zrozumiał wagę chwili, od której, być może, zależeć będzie morale drużyny i poziom sportowej zawziętości, schylił się, wyciągnął spod foteli swoją wytartą dyplomatkę, taką, z jakimi w latach osiemdziesiątych chodzili pionierzy, inżynierowie i dowódcy wojskowi, położył sobie na kolanie, balansując między fotelami na jednej nodze, otworzył powoli i lekkim ruchem wyciągnął stamtąd swoje stare zapasowe adidasy, w których grał już piętnaście lat temu. Drużyna patrzyła na adidasy jak zaczarowana. Przecież to były złote buty Traumowanego! W kilku miejscach zszyte żyłką, bez paru korków w podeszwie, niewiadomego koloru, pachniały trawą boiska, która wżarła się na wieki w przetartą na wylot skórę. I podając mi je, Traumowany powiedział:

– Trzymaj, Herycz, to specjalnie dla ciebie.

Drużyna poparła swojego kapitana przyjacielskim rykiem, pełnym szczerej sympatii. Wziąłem korki i usiadłem na swoim miejscu.

Autobus tymczasem mknął szosą, słońce ostrymi kłującymi promieniami przebijało się do środka, dzięki czemu oczy przyjaciół błyskały drapieżnie, a skóra jaśniała jak u topielców. Przede mną przebierali się bracia Bałałajesznikow. Młodszy, Rawzan, na lewym ramieniu wydziaraną miał głowę kota, na prawym udzie kobieta płonęła na stosie, na lewym był jakiś diabeł przecięty ostrym nożem. Kot, który zgodnie z zamysłem miał wyglądać na drapieżnego i niezależnego, wyglądał dość domowo, być może dlatego, że Rawzan od czasu tatuowania tego rysunku mocno przytył, więc i kot rozciągnął się po całym przedramieniu. Kobieta na stosie podobna była do naszej nauczycielki chemii, a przecięty nożem diabeł też kogoś nieuchwytnie przypominał, ale nie mogłem ustalić kogo. Średni Bałałajesznikow, Szamil, na piersi pod lewym sutkiem miał wydziaranych kilka gwiazdek, wszystko to przypominało dziecięcą zabawę w generałów, kiedy ordery i medale maluje się wprost na skórze. Pod medalami gotykiem napisane było „nie ma Boga prócz Allacha". Najstarszy z braci, Baruch, również miał na skórze gęsto rozsypane gwiazdy, krzyże i ukrzyżowania, a w okolicy brzucha przedstawiono orła z walizką w dziobie, co, o ile wiem, miało symbolizować skłonność Barucha do ucieczek z miejsc pozbawienia wolności. Walizka przypominała dyplomatkę, z którą chodził Traumowany. Przyglądając się reszcie starych przyjaciół, zauważałem na ich obitych przez życie i przeciwników ciałach podobne liczne obrazy, które miękko ciemniały w jaskrawym słonecznym świetle. Ich plecy i karki, piersi i łopatki poznaczone były czaszkami

i sierpami, kobiecymi twarzami i niejasnymi kombinacjami cyfr, kościotrupami i obrazami Matki Boskiej, chmurnymi przysięgami i pełnymi godności formułami. Najbardziej ascetycznie wyglądał Semen Czarny Chuj, na którego piersiach można było przeczytać „Adolf Hitler – moim Bogiem", a na plecach – odpowiednio – „Gławnyj w zonie – wor w zakonie".

Stopniowo drużyna ucichła, wszyscy przeczuwali zbliżającą się wielką bitwę i w myślach zadawali sobie pytanie, czy są gotowi jeszcze raz tego dokonać – przeskoczyć samych siebie, dać z siebie wszystko, zagrać wbrew niemożności i wyjebać gazowników. Tymczasem kierowca przyhamował i stoczył się z trasy, zjechał na popękaną asfaltówkę, która odbijała w lewo od głównej drogi i znikała za najbliższymi wzgórzami. Wyjrzałem przez okno, starając się rozpoznać znajome miejsca. Kiedy byłem tu po raz ostatni? Jakieś piętnaście lat temu wiosną jechałem z tą samą drużyną, tylko moi przyjaciele nie wyglądali jak zombie z pomalowanymi kończynami, wszyscy byli młodsi, chociaż lepsi chyba nie byli. Ile razy przejechaliśmy tą drogą i kluczyliśmy wśród wzgórz, starając się dostać do przeklętych i zagubionych miejsc zasiedlonych przez gazowników? Ile lat niczym polarnicy na lodzie siedzieli tu gazownicy?

*

Pojawili się gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych. Okazało się, że w najsuchszych miejscach międzyrzecza, tam gdzie kończył się asfalt i nie było władzy radzieckiej, w czarnoziemach znajdują się złoża gazu. Skądś z Karpat przysłano tu całą kolonię gazowników, którzy mieli się okopać i pompować na miejscu gaz dla dobra ojczyzny. Nadjechali długim taborem, jak Cyganie, z północnego zachodu, przekroczywszy Dniepr w okolicach Krzemieńczuka. Mieszkali

w przyczepach budowlanych, a transportowali te przyczepy za pomocą ciężkich wojskowych ciągników w kolorze błota. Oddzielnie wieźli kuchnię polową. Trafiwszy na bezkresne pola, gazownicy zaskoczeni byli ilością czarnoziemu i nieobecnością jakichkolwiek żywych istot. To nie były Karpaty. Zostali – kraj potrzebował gazu. Jednak gaz chował się przed nimi jak oddział mudżahedinów, wyprowadzał ich w głąb błękitnych słodkich stepów, drwił z nich, drażnił, i wciąż nie dawał się złapać. Na początku lat dziewięćdziesiątych poszukiwania na jakiś czas wstrzymano, ktoś z nowych władz szybko przejął jednak całe to przedsiębiorstwo i w ten sposób kolonia ocalała. Od początku miejscowi nieufnie odnosili się do przybyszów, kiedy przyjeżdżali ciągnikami do miasta, żeby kupić chleb albo pójść do kina, urządzali na nich pułapki i zasadzki, rzetelnie ich bili, wyrzucali z tanecznych parkietów. Trzeba oddać sprawiedliwość gazownikom: szybko przyzwyczaili się do nowych warunków życia, do miasta przyjeżdżali tylko grupowo i sami od czasu do czasu urządzali mordobicia z miejscowymi. Kilka razy bandyci próbowali spalić przyczepy razem z wieżami gazowymi, ale milicja radziła, żeby gazowników nie zaczepiać, bo podlegali bezpośrednio ministerstwu i kierowano nimi bezpośrednio z Kijowa.

Poza tym od razu stworzyli drużynę piłkarską. Między wieżami, pośród rozpalonych słońcem pól urządzili boisko i wymiatali wszystkich, którzy do nich przyjeżdżali. Grali brutalnie i gwałtownie, nikt nie miał odwagi się z nimi sprzeczać. Nikt poza nami. My graliśmy z nimi jak równy z równym i jeśli przegrywaliśmy na ich boisku, to zawsze rewanżowaliśmy się u siebie. Wychodziło to poza granice sportu, dotyczyło rzeczy o wiele bardziej zasadniczych. Gazownicy przyjeżdżali do miasta oblepionymi mułem ciągnikami

niczym batalion mścicieli z celem zadeptania wszystkiego, co trafi im pod nogi, napotkawszy na boisku godny opór, szybko zabierali się ze stadionu i rozpływali w błękitnej zorzy stepów pełnych przywidzeń i gazu naturalnego. Czasami na boisku wszczynali bijatykę. Wtedy z Kijowa do naszego kierownictwa dzwonili z ministerstwa i urządzali histerie. Stopniowo gazownicy dziwaczeli, coraz rzadziej wyjeżdżali na szosę. Najpierw sprowadzali im od czasu do czasu kino i książki z biblioteki, później, kiedy zmienili się właściciele, dowożono im helikopterem konserwy i prasę bulwarową, żeby chociaż trochę podtrzymać ich produkcyjny entuzjazm. Większość przyzwyczaiła się do samotności i monotonii krajobrazu, wracać, ogólnie rzecz biorąc, nie było dokąd – dokąd można wrócić z nirwany, sami pomyślcie. Jak wyglądała ich codzienność w ostatnich latach, nie miałem pojęcia. Dziwne, wszystko jakby się powtarzało, wracało – wracało donikąd, z powrotem w pustkę.

*

Wielkie żółtoczerwone słońce przepełzło nad nami, trąciwszy dach, przewaliło się za sąsiednie wzgórze i powoli ruszyło na zachód, wlokąc za sobą promienie jak prąd morski wodorosty w otwarte morze. Było gdzieś koło trzeciej, brnęliśmy powoli gruntowymi drogami, robiąc pętle wśród zielonych pól i starając się wypatrzyć na horyzoncie gazowe wieże. Kierowca niby znał drogę, zresztą wszyscy dobrze znali te okolice, dlatego przez dłuższy czas nikt nie zwracał uwagi na to, gdzie jesteśmy i dokąd staramy się dostać. Początkowo kierowca pewnie wspinał się gorącą maszyną na kolejne wzgórze, wjeżdżał pomiędzy gęstą, świeżą trawę, omijał cierniste krzewy i wilcze nory. Stopniowo robiło się coraz bardziej upalnie, kurz wpadał przez okna i osiadał

na wystrzyżonych głowach pasażerów, kierowca złościł się i pomstował, gnając samochodem przez szmaragdowe drogi, błąkał się i gubił wśród całego tego bezkresu, który rozciągał się przed nami, nie zwiastując nic dobrego. Słońce oślepiało, ptaki siadały na dachu ikarusa, kiedy zatrzymywał się na kolejnym rozjeździe, a wież nigdzie nie było. Po jakimś czasie Traumowany stanął obok kierowcy i zaczął pokazywać mu drogę, nerwowo wyglądając przez boczne okno. Jednak i to nie pomagało – jakbyśmy przemieszczali się przez teren pozbawiony perspektywy, on po prostu trwał bez żadnych koordynat, tylko trawa i kukurydza, kurz i gaz, ten sam gaz, na który polowali tak uparcie nasi dzisiejsi przeciwnicy. Siedząc w autobusie wśród sennych przyjaciół, w martwej ciszy czułem obecność tego gazu gdzieś na poziomie wody w gruntach wokół, wyobrażałem sobie, jak wypełnia tam wszystkie pustki i szpary, jak porusza się podziemnymi korytami, jak wyrywa się na zewnątrz o północy i płonie, paląc niebo tak, jak spirytus pali gardło. Gaz nie pozwala rozrastać się pustkom, pomaga zachować kruchą równowagę, która istnieje wokół nas, tak myślałem w tamtym upale, jest jak woda źródlana, szuka wyjścia na zewnątrz, przebijając się przez grunt starymi studniami i lisimi norami.

*

Pod wieczór kierowca zatrzymał się na środku płaskiej doliny i odmówił dalszej jazdy. Traumowany nie nalegał, trzeba się było rozejrzeć. Chłopaki z miną skazańców zaczęli leniwie wyłazić z rozpalonej mikrofalówki ikarusa. Bracia Bałałajesznikow wyciągnęli spirytus w dwulitrowej butelce po pepsi. Popatrzyłem na Traumowanego, czyżby naprawdę chcieli zacząć pić, a co z grą, pomyślałem, ale Traumowany spojrzał na mnie surowo i pierwszy łyknął z butelki.

Kolesie walali się po trawie, nawet rozmawiać im się nie chciało. Kierowca nie wychodził z samochodu, oczywiście z poczucia winy. Było cicho i gorąco, chociaż upał stopniowo opadał. Słońce staczało się coraz dalej, a nasze cienie były coraz dłuższe i smutniejsze. Nad trawą latały jaskółki. Bałałajesznikowowie wyciągnęli drugą butelkę. Podszedłem do Traumowanego.

– Szura, podsadź mnie – powiedziałem.

Początkowo nie zrozumiał, ale w końcu do niego dotarło. Podszedł do ikarusa i oparł się o niego rękami. Wskoczyłem mu na plecy i trzymając za lusterko, twardo stanąłem na jego ramionach.

– Ostrożnie tam, kurwa – poprosił, całkiem zresztą pokojowo.

Był niski i musiałem podskoczyć. Zarzuciłem nogę na lusterko, podciągnąłem się na rękach i wypełzłem na dach. Tak chyba czuje się ryba, kiedy rzucają ją na rozpaloną patelnię – poczucie euforii szybko zamienia się w pewien dyskomfort. Dach był wyblakły i pokryty gęstą warstwą kurzu. Wstałem.

– Ej, Herycz – zawołał z dołu Rawzan. – Czekaj, idę do ciebie.

– O, i ja też – podchwycił Szamil.

– I ja, i ja – zapalił się Baruch.

Szybko podnieśli się z ciepłej trawy i zwinnie jak jaszczurki wleźli na dach. We czterech staliśmy na górze i wypatrywaliśmy jakiejkolwiek drogi.

Z zachodu skośnie padały gorące smugi światła, zapalając trawę i źdźbła kukurydzy. Nasze cienie rozlewały się w wieczornym słońcu niczym tłuste plamy na papierze pakowym. Niebo było podświetlone jak woda w akwarium. Nad horyzontem zorza wisiała tak, jakby wyparowywała i unosiła się

w górę z niewidocznych akwenów. Trudno było coś dojrzeć, słoneczne promienie przebijały migoczące powietrze, całkiem rozmywając widok. Jednak po jakimś czasie oczy się przyzwyczajały i przez słoneczne odblaski przebijało ciemnobłękitne tło zabarwiające się wieczornym mrokiem. Z daleka przypominało to wielką wiązkę światła zmaterializowaną i zebraną w jednym miejscu, światło to gromadziło się i rosło, podparte od dołu dziwnymi wzmocnieniami, które przecinały powietrze pionowo.

– Co to? – zapytał Szamil, pokazując ręką w kierunku ledwo widocznych konstrukcji.

– Wieże – powiedziałem.

– Właśnie, wieże – przytaknął Baruch i roześmiał się radośnie.

*

Kiedy w końcu dojechaliśmy, był cichy, spokojny wieczór, słońce stoczyło się za kukurydziane plantacje i ciepłe powietrze unosiło się powoli. Gazownicy, nie doczekawszy się nas i zaliczywszy nam przegraną walkowerem, rozpalili na boisku ogniska, siedzieli przy nich i gotowali w wielkich kotłach jakąś lurę. Za ich plecami wznosiły się wieże, wokół boiska stały brudne ciągniki i przyczepy mieszkalne. Po okolicy kręciły się owczarki i owce, podchodziły do ognia i brały jedzenie z rąk gazowników. Było jeszcze widno, więc ogień płonął całkiem niewidocznie w promieniach zachodzącego słońca. Gazownicy siedzieli na wydeptanym boisku i gotowali baraninę. Przypominali Mongołów odpoczywających po zwycięskim ataku na wieże gazowe Rusi Kijowskiej. Kiedy zobaczyli autobus, który wtoczył się pomiędzy ciągniki i zamarł, spięli się, oderwali swoje mongolskie tyłki od ziemi i w milczeniu czekali na dalszy rozwój wypadków. Niemal wszyscy byli

niewysocy, niemal wszyscy krótko ostrzyżeni, przeważnie mieli gołe torsy i spodnie od dresu. Wielu miało złote zęby, niektórzy nosili na szyi krzyżyki, tatuaży nie miał nikt. Patrzyli na nas z wrogością i niedowierzaniem.

– No dobra, jesteśmy – powiedział Traumowany i pierwszy wyszedł z autobusu z dyplomatką w rękach.

Wysypaliśmy się za nim. Brnęliśmy przez boisko w zwartej grupie. Gazownicy ruszyli w naszą stronę. Powoli się zeszliśmy. Gazownicy chmurzyli się i spluwali w trawę. Nasi rozprostowywali pięści, trzaskając knykciami. Stojące z dala psy zanosiły się niesamowitym szczekiem. W końcu brygadzista gazowników – krzywonogi, złotozęby facet w białej koszulce i niebieskich trampkach – nie wytrzymał:

– Poszły stąd! – krzyknął na psy, a te niechętnie odbiegły za ciągniki. Zrobiło się cicho.

– Cześć, sępownicy – powiedział Traumowany.

– Gazownicy – poprawił go z urazą brygadzista.

– Jeden chuj – odpowiedział Andriucha Michael Jackson i wszyscy nasi pokiwali głowami, że niby rzeczywiście jeden chuj.

– Spóźniliście się – ostro stwierdził brygadzista.

– No i co? – nie zrozumiał go Traumowany.

– Uznano, że przegraliście mecz walkowerem – wyjaśnił facet w okularach i ze szramami na brzuchu, który oczywiście był księgowym.

– Kto uznał? – zapytał Traumowany.

– Federacja – zaczepnie wyjaśnił księgowy.

– Jaka federacja? – popatrzył na niego Traumowany. – Federacja sępowników?

– Gazowników – poprawił go brygadzista.

Nasza drużyna roześmiała się nieszczerze, ale przyjaźnie. Kiedy śmiechy ustały, znów zagadał brygadzista.

– Szura – zwrócił się do Traumowanego – nie unoś się, naprawdę się spóźniliście.

– I co teraz? Nie będziecie z nami grać? – zapytał Traumowany obojętnie.

– Przegraliście walkowerem – powtórzył brygadzista już mniej pewnie.

– No to jak – naciskał Traumowany – będziecie grać? Czy się boicie?

– Nie boimy się! – odpalił tamten ostro.

– No to gramy – podsumował Traumowany.

Brygadzista wrócił do swoich. Stanęli w kółko i zaczęli cicho szeptać, nachylając do siebie wygolone czoła. W końcu brygadzista wrócił do nas.

– Dobrze. Zagramy z wami. Nie boimy się. Ale i tak się spóźniliście!

– No to napisz skargę – odpowiedział mu Traumowany. – Do federacji.

No i zostało postanowione.

Gazownicy zgasili ogniska, sprzątnęli kotły z baraniną i stanęli do boju. Do sędziowania wziął się nasz kierowca. Gazowników było dwunastu z księgowym włącznie. Jak apostołów. Można powiedzieć, że ich ławka rezerwowych była beznadziejnie krótka, bo siedział na niej księgowy, którego nie wystawiali ze względu na krótkowzroczność. Zostawiwszy księgowego w rezerwie, gazownicy rozsypali się po boisku. Wszyscy byli podobni i jakoś trudno ich było odróżnić. Brygadzista założył damskie skórzane rękawiczki i stanął na bramce. Traumowany zebrał nas i postawił pod nogami dyplomatkę.

– Znaczy tak: wszyscy pracują. Jasne?

– Jasne, Szura – odpowiedział za wszystkich Wasia Zaparty.

– Jasne – potwierdzili bracia Bałałajesznikow.

– Jasne – dodałem.

Na naszej bramce Traumowany postawił Semena Czarnego Chuja, długiego i chudego. Ten podbiegł do bramki, podskoczył i zawisł na poprzeczce. Bałałajesznikowowie grali w obronie. Pozostali też przyjęli te same pozycje co zazwyczaj. Mnie Traumowany powiedział, żebym grał z nim na przedzie. Karpo z Kątówką i Wasia Zaparty, dla których nie znalazło się miejsce w głównym składzie, rozczarowani powlekli się za bramkę, gdzie czekała na nich reszta rezerwowych. Karpo groźnie wymachiwał szlifierką, a Wasia padł w ciepłą trawę, podłożył pod głowę dyplomatkę Traumowanego i beztrosko zasnął. Kapitanowie spotkali się na środku, obok nich kręcił się kierowca, trzymając w rękach piłkę starego typu, ze sznurówką.

– Znaczy, tak, Szura – rzeczowo zaczął brygadzista. – Na boisku bez mordobicia. Wszystkie zastrzeżenia po meczu.

– Jak chcesz, jak chcesz – nie spierał się Traumowany.

Słońce już gasło, tak czy inaczej trzeba było zaczynać. Zaczęliśmy.

*

Gra od samego początku się nie kleiła. Gazownicy, być może po baraninie, biegali ciężko i nie przesuwali się do przodu. U nas za to denerwowali się Bałałajesznikowowie – nie trafiali w piłkę, przeszkadzali sobie nawzajem, kłócili się z arbitrem. Już w piątej minucie Rawzan kolejny raz skaszanił i dostał karczycho od Szamila. Sędzia zatrzymał grę i nie wymyślił nic lepszego niż wolny dla przeciwników. Chciał nawet wykluczyć Szamila z gry, ale wstawił się za nim sam poszkodowany, powiedział, że to ich rodzinne sprawy i poradził kierowcy, żeby trzymał się od nich z daleka. Któryś z gazowników wybił piłkę, raczej przypadkiem, prześlizgnęła się przez gęstą trawę i mijając Semena, wleciała do naszej bramki.

Przeciwnicy tryumfowali, w odpowiedzi na ich krzyki znów odezwały się psy i dały głos owce. Ale cieszyli się niedługo – już w następnym ataku Traumowany sam przebiegł pół boiska i wtoczył piłkę do bramki brygadzisty, który rzucił się, ale w złym momencie i całkiem nieudanie, a na koniec jeszcze zaplątał się w siatce jak wielki sum i musiały go wyciągać obie drużyny. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Gazownicy uparcie nie atakowali, nasi też preferowali grę pozycyjną i kiedy tylko któryś z przeciwników dostawał piłkę, od razu zwalali go z nóg i biegli kłócić się z sędzią. Ten też okazał się ślepawy, piłki w ciemnościach w ogóle nie widział, więc po prostu wierzył na słowo. Niebawem Traumowany jeszcze raz strzelił. Stało się to zupełnie niespodziewanie: któryś z gazowników wziął go w ciemności za swojego, pomylił się, a strzelić z dwudziestu metrów było dla Szury kwestią honoru. Prowadziliśmy. Aż w końcu gazownicy zmobilizowali się i poszli do przodu, zostawiając samotnego brygadzistę w bramce, wokół której smutno beczały niedokarmione owce. Trzeciego gola Traumowany strzelił podczas gwałtownego kontrataku, po prostu wrócił pod naszą bramkę, odebrał gazownikom piłkę, przeszedł z nią całe boisko, minął w pędzie brygadzistę i nie zatrzymując się, wbiegł między owce. Ale chwilę później Bałałajesznikowowie przewrócili w polu karnym od razu trzech gazowników – jednego Rawzan i dwóch Szamil – i sędzia podyktował karnego. Gazownicy strzelili. Traumowany strasznie się złościł, ale nie chciał zmieniać Bałałajesznikowowów. Ogólnie wyglądało, że wszyscy mu przeszkadzamy. Do końca połowy jeszcze dwa razy mijał brygadzistę, a Semen też przepuścił dwa strzały gazowników. Komentatorzy w podobnych wypadkach mówią: publiczności powinien się podobać taki przebieg gry. Tutaj też tak było – publiczność ograniczała się do księgowego, a jemu się

to wyraźnie podobało. W przerwie gospodarze podjechali ciągnikami bliżej boiska, włączyli silniki i zapalili światła, potężne jak reflektory teatralne, w ciemnościach płonęły oczy owczarków i szkła okularów księgowego. Traumowany zebrał nas wokół siebie, przykucnął, położył przed sobą dyplomatkę, wyciągnął z niej butelkę ze spirytusem i puścił w kółko. Wszyscy patrzyli na kapitana z szacunkiem.

– Pracujemy, chłopaki – powtarzał Traumowany – pracujemy.

Wszyscy sięgali po butelkę i kiwali głowami na znak zgody. Bałałajesznikowowie stali z boku i mówili sobie nawzajem jakieś nieprzyjemne rzeczy, co dokładnie – nie było słychać.

Druga połowa nie wniosła szczególnych zmian do obrazu gry. Siroża Gwałciciel, który wyszedł zamiast Pytona, usiłował uspokoić braci Bałałajesznikow, krzyczał na nich, poganiał, nawoływał, żeby grali uważniej, zajmował ich pozycje i plątał się im pod nogami. Skończyło się tym, że starając się wybić, strzelił gola do naszej bramki. Po czym sam zszedł z boiska. Za niego wszedł Karpo z Kątówką, jednak żadnej korzyści drużynie nie przyniósł. Gra zmierzała do swego logicznego zakończenia, gazownicy się wycofali, remis, sądząc z tego wszystkiego, ich całkiem urządzał, a naszej drużynie nie starczało sił, by zmienić bieg gry na swoją korzyść. Traumowany, jak mógł, przerywał obronę przeciwnika, jednak nec hercules i choćby nie wiem jak walczył, po raz szósty ograć samemu jedenastu rozwścieczonych gazowników mu się nie udawało. Mecz powinien się już skończyć, jednak sędzia, mrużąc oczy, wciąż nie mógł wypatrzyć, jak tam jest z tym czasem, więc graliśmy ponad piętnaście minut dłużej. Wszyscy popatrywali w stronę autobusu, który ciemniał w oddali, zastanawiając się, czy uda się do niego dotrzeć w całości. Nawet Traumowany już się chyba uspokoił. Semen po

raz ostatni wybił piłkę na połowę przeciwnika, tam przechwycił ją Andriucha Michael Jackson i przerzuciwszy nad dwoma gazownikami, pobiegł do przodu. Wyglądało, że znalazł się sam na sam z brygadzistą, ale któryś z gazowników w ostatniej chwili wybił na róg. Przy bramce gazowników zebrały się obie drużyny. Nawet Semen przybiegł, zrzuciwszy rękawice bramkarskie. Traumowany poszedł wykonać rzut rożny. Dośrodkował z lewej, którą zwykle nie grał, i piłka jakąś nieprawdopodobną trajektorią wkręciła się w pole karne gazowników. Trafiła w jednego z nich, odbiła się do drugiego, ten podał do brygadzisty, który wściekle pchnął ją nogą, piłka jak nabój trafiła w moją głowę i wpadła do bramki. Nawet nie widziałem, jak to się stało, bo byłem odwrócony plecami. To było zwycięstwo. Wykończeni gazownicy bezsilnie posypali się na trawę, brygadzista wycierał pot i łzy, nasi wzięli mnie na ramiona i pobiegli przez boisko do ławki rezerwowych. Przodem, uciekając przed gniewem gazowników, biegł sędzia. Ostatni, uśmiechając się z zadowoleniem, kuśtykał Traumowany. Za nami biegły owczarki i wyły rozpaczliwie w ciemne niebiosa, których nie rozświetlały nawet reflektory ciągników.

Nasze serca wypełnione były radością i poczuciem sprawiedliwości, przecież wszystko stało się tak, jak powinno się stać, któżby wątpił w ostateczne zwycięstwo, ta podróż musiała zakończyć się tryumfem, więc nikogo on nie zdziwił. Ściskałem dłonie przyjaciół, cieszyłem z całej przygody, która tak dobrze się skończyła, dziwiąc się, że minęło tyle lat, a wszystko znów wróciło na swoje miejsce, wszystko było tak jak dawniej, zgodnie z zasadami. Uspokajało i pobudzało to jednocześnie, oto one: radość poznania i radość powrotu, to, czego brakowało mi przez ostatnie lata, faktycznie – od czasu ostatniego meczu. I myśląc o tym, kątem oka zobaczyłem, że gazownicy

już doszli do siebie po porażce, wstali i teraz powoli, ale nieodwracalnie szli w naszym kierunku. Chyba nie mieli zamiaru nas tak po prostu puścić. Któryś z nas przechwycił moje spojrzenie i też dostrzegł ich nadejście. Ucichły gratulacje. Nasi ruszyli im naprzeciw. Drużyny zbliżały się. W końcu, pomyślałem, tak to się właśnie miało skończyć. Nawet księgowy szedł teraz na nas, ale oczywiście był bez okularów, żeby ich nie stłuc, więc wyglądał, jakby szedł po omacku. Gazownicy zatrzymali się, ciężko dysząc. Nasi też stali. Reflektory waliły prosto w oczy i czyniły nasze postaci przejrzystymi, niemal niewidocznymi, jakby zebrały się tu jedne zjawy, by wyrównać rachunki z innymi. W światłach ciągników tu i ówdzie błyskały złote zęby i krzyżyki. Brygadzista wyszedł przed szereg.

– Szura – zwrócił się do Traumowanego – znaczy, ostatni gol się nie liczy.

– Kiego chuja? – żartobliwie zapytał Traumowany.

– Spalony był – wyjaśnił księgowy.

– Ty jełopie – odezwał się na to Andriucha Michael Jackson – zaraz tobą owce nakarmię.

– Nie unoś się, bracie – pochmurnie przemówił brygadzista. – Był spalony.

– Spalony? – zapytał Traumowany.

– Spalony – z niezadowoleniem i uporem powtórzyli gazownicy.

– No cóż – powiedział Traumowany i wyciągnął nie wiadomo skąd kastet.

I reszta naszych zaczęła wyjmować kastety, nunczaka i kije bejsbolowe. Gazownicy też wyciągnęli zza pleców sztachety, wojskowe paski z wszytym ołowiem i cegłówki. Zaczynało się coś w rodzaju dogrywki.

Nagle na przód wyszli bracia Bałałajesznikow – Razan i Szamil.

– Co za chujówa! – nie tyle zapytał, ile stwierdził Rawzan. – Jaki spalony? Spalony to mieliśmy w pierwszej połowie.

– Nie było spalonego w pierwszej połowie – niespodziewanie poprawił go Szamil.

– Jak to nie było? – zdziwił się Rawzan. – Był. Najprawdziwszy spalony.

– Ni chuja – obstawał przy swoim Szamil.

– Bracie – zirytował się Rawzan – co ty pierdolisz? Nie było cię tam. A ja widziałem, najprawdziwszy spalony.

– Nie – twardo powtórzył Szamil.

– Zamknij się, dobra?

– Nie było wtedy spalonego – upierał się Szamil.

– No, co ty pierdolisz? – zawrócił do niego Rawzan. – Nie no, co ty pierdolisz?

Drużyny nie odważyły się wtrącić choćby słowa.

– A co? – przyjął wyzwanie Szamil.

– No co? – wpienił się Rawzan.

– A jak nawet, to co? – też się wpienił Szamil.

– Nie ma chuja! – powiedział Rawzan i znienacka ostro przywalił Szamilowi w szczękę.

Szamil potoczył się po trawie, ale szybko stanął na nogach, wyrwał komuś kij bejsbolowy i machnął nim w brata. Ten się schylił i kij śmignął nad jego uchem. Rawzan krzyknął i rzucił się na przeciwnika. Powalił go po raz drugi i zaczął tłuc, jednak Szamil szybko się wykręcił, wlazł na niego i teraz to on tłukł Rawzana. Niespodziewanie z tłumu wyleciał Baruch, kopniakami rozdzielił braci, złapał ich za szyje, stuknął czołami, przewrócił na trawę i zaczął tłuc obu. Szamil i Rawzan nie spodziewali się czegoś takiego i przez jakiś czas się bronili, ale szybko doszli do siebie i złapawszy Barucha za nogi, powalili go na murawę. Siedli na nim i zaczęli tłuc go we dwóch. Jednak niedługo, bo Baruch jak wąż wyślizgnął się spod ich

ciężkich ciał, wlazł na nich i zaczął gnieść jak worki kartofli. Po jakichś pięciu minutach wszyscy trzej bezsilnie potoczyli się po trawie i ciężko łapiąc oddech, pluli na murawę krwawą śliną. Gazownicy patrzyli na to wszystko oszołomieni. Stali w milczeniu i bali się ruszyć. W końcu brygadzista ostrożnie zawołał do Traumowanego.

– Ej, Szura – jego głos brzmiał sucho i strachliwie – chuj z tym. Zabierajcie się stąd.

– A co ze spalonym? – zapytał na wszelki wypadek Traumowany.

– Nie było spalonego – rozwiał jego wątpliwości brygadzista. – Nie było.

*

Wyjechaliśmy na szosę nocą. Księżyc wytoczył się nam naprzeciw i oświetlił żółtym światłem wnętrze autobusu. Jego promienie padały na twarze moich przyjaciół, którzy w większości spali. Ich oczy w tym półmroku zapadły się, pojawiły się pod nimi cienie, kości policzkowe się zaostrzyły, głowy pokornie zwisały z ramion. Przy stacji kierowca przyhamował. Pomachałem ręką, ale wszyscy spali i nie było się z kim żegnać. Tylko Traumowany podszedł i uścisnął mi rękę. Ale nic nie powiedział. Zeskoczyłem. Drzwi się zamknęły. Autobus powoli ruszył i zniknął za drzewami.

6

Ernst sam zadzwonił. Nie zdążyłem sobie o nim nawet przypomnieć, a już telefonował, żeby zapytać, kiedy u niego będę. Spróbowałem się przemówić, tłumaczyłem, że jestem zajęty, że mam ważne spotkanie, że czekam na specjalnego klienta, że niezbyt dobrze się czuję, i zaproponowałem, żebyśmy

się spotkali innym razem. Ernst cierpliwie wysłuchał tego wszystkiego i w końcu powiedział:

– Czasami człowiek nie wie, czego odmawia. Dlatego czasami lepiej w ogóle nie odmawiać. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziałem.

– Kiedy mam się ciebie spodziewać?

– Może o drugiej – poddałem się.

– Wpół do drugiej – odpowiedział Ernst i odłożył słuchawkę.

Poszedłem do Traumowanego. Wysłuchał mnie i z udawaną złością powiedział, że zamiast chociaż raz mu pomóc, robię nie wiadomo co i szwendam się gdzieś z różnymi chujami, że nigdzie mnie nie zawiezie i żebym w końcu oprzytomniał.

– Herman – krzyczał – pomyśl, po co ci czołg?!

– Będę nim kosić – odpowiedziałem z rozdrażnieniem. – Co z tobą? Benzyny się nakirałeś?

– Nic nie kirałem – odpowiedział Traumowany, zrzucił brudne rękawice i poszedł na dwór odpalać samochód.

Jechaliśmy w milczeniu. Stoczyliśmy się w dolinę, przelecieliśmy przez most i wpadliśmy do miasta. Traumowany od czasu do czasu kiwał głową do przechodzących kobiet, które go poznawały. Minęliśmy dworzec autobusowy, elewator, dojechaliśmy do przejazdu kolejowego. Tu Szura zatrzymał się.

– Wysiadka – powiedział. – Dalej nie jadę. Nie chcę, żeby mnie tam widzieli.

– Dlaczego?

– Mam tam znajomą – wyjaśnił. – Myśli, że jestem teraz w Polsce. Powiedziałem jej, że jadę w interesach, rozumiesz? Nie chcę się wysypać. Dalej pójdziesz piechotą, to niedaleko.

– Wiem – odpowiedziałem i otworzyłem drzwi.

Przedmieścia przeszły w pojedyncze budynki, dalej zaczynały się pola, ludzi było coraz mniej, a zwierząt coraz więcej. Pasły się krowy, przywiązane mocnymi sznurami jak

sterowce. Droga, która odchodziła od szosy w kierunku lotniska, zupełnie zarosła, topole stały osierocone. Żelazna brama zardzewiała, czarne metalowe gwiazdy wisiały jak umarłe planety. Podszedłem i pchnąłem bramę. Otworzyła się z ciężkim skrzypnięciem. Na podwórku stał Ernst. Chyba mnie zobaczył na drodze, a teraz czekał w pełnym uzbrojeniu. Był w bluzie brytyjskiego strażaka założonej na czarną wojskową koszulkę i dżinsowych szortach, które trzymały się na niemieckim pasku z napisem „*Gott mit uns*" na klamrze. Na nogach miał trampki. Przypominał fana Iron Maiden. Podszedł i w milczeniu uścisnął mi dłoń.

– Dobrze, że przyjechałeś – powiedział.

– Wiesz – chciałem, żeby zrozumiał, ile mnie kosztowało dostanie się tutaj – lepiej byłoby, gdybyśmy jednak przełożyli to nasze spotkanie.

– Czas, Herman, czas – odpowiedział Ernst Thälmann. – Kto wie, ile ci go jeszcze zostało.

– Do czego pijesz? – nie zrozumiałem.

– Do tego, że trzeba wchodzić w drzwi, które się przed nami otwierają.

Powiedział to zamyślony i poszedł przodem. Ruszyłem za nim. Minęliśmy garaże i budynek administracji i znaleźliśmy się przy wielkim pomieszczeniu przypominającym hangar. Na podwórzu rosła gęsta zieleń, ściany budynków pokryło dzikie wino, za nimi widać było pas startowy, pusty jak szosa o poranku. We wszystkim czuło się upadek. Sam Ernst przypominał dezertera, który został z tyłu i teraz ukrywa się w magazynach żywności w oczekiwaniu na sąd. Otworzył metalowe drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. Była to stołówka, w której, o ile dobrze rozumiem, wcześniej odżywiał się personel lotniska. Wyobrażałem sobie, jak odważni piloci, asy lotnictwa rolniczego, wracając z niebezpiecznych rejsów nad bezkresnym

kukurydzianym oceanem, przylatywali do tej cichej, przytulnej przystani, gdzie czekali na nich wierni mechanicy, mądrzy dyspozytorzy i ciepły kompot. Sala była przestronna, zastawiona starymi stołami i metalowymi krzesłami. Na ścianach porozwieszano plakaty propagandowe przedstawiające potęgę niezwyciężonego czerwonego lotnictwa, a także wyjaśniające obywatelom sens stosowania w czasie pokoju chemicznych oprysków upraw polowych. Przez ostatnie dwadzieścia lat niewiele się tu zmieniło. Chyba tylko to, że miałem na sobie niemiecką wojskową koszulę, a Ernst – brytyjską bluzę.

Ernst zaprosił mnie do stołu, przyniósł spod ściany dziesięciolitrowy metalowy kanister, usiadł naprzeciwko, postawił kanister pod nogami i wyciągnął z kieszeni dwie musztardówki, pomazane od spodu czerwoną farbą. Postawił je na stole. Zajrzałem do środka, na dnie mojej napisane było 7, a jego – 12. Ernst podniósł kanister, otworzył i po kolei napełnił naczynia czerwonym winem.

– To wino – powiedział, podając mi szklankę – sam robię. – Stuknęliśmy się. – Z winogron, które tutaj rosną. Można powiedzieć, że to wszystko, co zostało z radzieckiego lotnictwa.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedziałem i wypiłem.

Wino było cierpkie i gorące.

– Co ci powiem, Herman. – Ernst też wypił i nalał jeszcze po jednym. – Możliwe, że to najgorsze, co zrobili. Bez lotnictwa nie może być demokracji. Samoloty to podstawa społeczeństwa obywatelskiego.

Zaproponowałem, żeby za to wypić. Ernst nie odmówił. Z boku mogło to wyglądać, jakbyśmy pili benzynę.

– Jak tam Szura? – zapytał po chwili.

Kiedy nalewał, zapadło niezręczne milczenie. Nie wiedziałem, co mówić w takich wypadkach. On oczywiście też poczuł, że się denerwuję, i spróbował zmienić temat.

– W porządku – odpowiedziałem. – W piłkę gra.

– W piłkę? – zdziwił się Ernst. – Naprawdę wciąż gra?

– Oni wszyscy grają. Wczoraj ograliśmy gazowników.

– Kto wszyscy?

– No, wszyscy, z którymi grałem wcześniej. Pyton, Konduktor, Andriucha Michael Jackson. – Ernst popatrzył na mnie z niedowierzaniem. – Bracia Bałałajesznikow – dodałem mniej pewnie.

– Bałałajesznikowowie? – spytał Ernst. – Ci, co spalili się kilka lat temu we własnym kinie?

– Jak się spalili? Wczoraj z nimi w piłkę grałem.

– Zresztą – wesoło powiedział Ernst – komu i kiedy to przeszkadzało grać w piłkę. Więc co tam u Szury? – zapytał znowu.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Nie chciał mnie tu puścić. Powiedział, że te twoje czołgi to wariactwo.

– Tak powiedział?

– Tak powiedział.

– I mówił o czołgach?

– Mówił.

– Hm – zasmucił się Ernst. – Szura to facet impulsywny – przemówił w końcu. – Taki ma charakter, nie może długo koncentrować się na jednym. Z kobietami ma ten sam problem, wiesz? – popatrzył pytająco.

– Domyślam się.

– A wiesz – dodał nagle Ernst – że właśnie Szura pomagał mi wykopywać trzech niemieckich grenadierów?

– Jak to wykopywać?

– No, jak to jak – nie wiedział Ernst, jak wyjaśnić. – Z mroku niebytu. Znalazłem ich wykrywaczem min. Mieli żelazne koronki, więc zareagował. Szura zresztą od razu zgodził się mi pomóc. Wydaje mi się, że niemieckie marki go interesowały. No, ale jakie tam marki mogli mieć grenadierzy.

– No i jak się skończyło?

– Jak? – zapytał Ernst i znów nalał z kanistra. – Skończyło się źle. Okazało się, że nie tylko ich znaleźliśmy, ale pochowaliśmy jeszcze raz. Bo wyszło na to, że w czasie wojny ich zakopali, co prawda bez żadnych nagrobków. Więc oskarżyli mnie o bezczeszczenie grobów wojennych. Ledwie się wykręciłem. Ale blachę – pokazał – noszę do dziś. A Szura od tej pory podchodzi do tego sceptycznie.

I Ernst wlał w siebie kolejną dawkę. A ja za nim, żeby nie zostać w tyle.

– Rozumiem. I co teraz? Chcesz znaleźć czołg?

Ernst popatrzył uważnie i badawczo. Poczułem się nieswojo.

– Herman – zapytał – co byś zrobił, gdybyś nagle miał dużo pieniędzy? Powiedzmy, milion – rzucił hojnie.

– Milion?

– Yhm.

– Marek?

– Dolarów.

– Kupiłbym sobie dom w Afryce.

– Po co ci dom w Afryce?

– Zawsze chciałem mieszkać w kraju, gdzie nie ma rasizmu.

– Jasne – kiwnął głową Ernst. – A wiesz, co ja bym zrobił?

– Co?

– Kupiłbym samolot. I wznowiłbym połączenia lotnicze.

– Po co? – nie zrozumiałem.

– Dlatego że bez problemu mogę mieszkać tam, gdzie jest rasizm. Ale w mieście, w którym nie ma lotniska, mieszkać nie mogę.

– To takie ważne?

– Rozumiesz – Ernst coraz bardziej przechylał kanister, żeby napełnić naczynia – nie chodzi o połączenia lotnicze same w sobie. W ogóle gdyby nie ja, całe to gospodarstwo – machnął

ręką dookoła – dawno by już wykupili. Asfalt by zerwali i zasiali kukurydzę. Wszystko, Herman, rozumiesz, wszystko, co tu jest zbudowane, oni obsialiby kukurydzą!

– Dlaczego tego jeszcze nie zrobili?

– Dlatego że to wciąż jest państwowe. Ale uwierz mi, kiedy tylko mnie zwolnią, zaczną wszystko skupować. Dlatego że niczego nie potrzebują poza tą ich kukurydzą, rozumiesz? – Ernst najwyraźniej się upił, mówił niewyraźnie, ale z sensem. – Im samoloty potrzebne są tylko po to, żeby dbać o kukurydzę. Oni nie kochają lotnictwa, Herman. A dla mnie samoloty to nie tylko zawód. Wiesz, od dzieciństwa marzyłem o niebie, w szkole rysowałem w zeszytach modele, które mkną gdzieś tam w górze, nad nami. Pamiętasz, Herman, przecież wszyscy w dzieciństwie chcieliśmy być pilotami, trafić do nieba! Nas przecież wszystkich nazywali na cześć kosmonautów, koleś!

– Szczególnie ciebie.

– Dobra. – Machnął ręką. – I co się stało z naszymi marzeniami? Kto odebrał nam bilety do nieba? Dlaczego zagnali nas w te zaułki, pytam?! – Nerwowo pokręcił głową i zamilkł.

Też milczałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu znów zaczął mówić.

– Dla mnie to kwestia zasad. Chcę wznowić przewozy lotnicze w tym mieście, gdzie wszyscy okazali się słabiakami i zasrańcami i pozwolili różnym palantom sobą pomiatać. Można powiedzieć, że to kwestia całego mojego życia.

– Dobrze – chciałem jakoś go poprzeć. – A po co czołg?

– Herman, jesteś historykiem?

– Zgadza się.

– Powiedz, ile Reich wypuścił tygrysów?

– Jakiego modelu?

– Wszystko jedno.

– Prawie półtora tysiąca.

– Właśnie – ucieszył się Ernst. – Dokładnie tysiąc trzysta pięćdziesiąt pięć. Dużo twoim zdaniem?

– Mało – powiedziałem po zastanowieniu.

– Bardzo mało – zgodził się Ernst. – A wiesz, ile się zachowało do naszych czasów?

– Jakieś sto sztuk – zgadywałem.

– Sześć, Herman, wszystkiego sześć sztuk. Ile według ciebie kosztuje dzisiaj tygrys?

– Milion?

– Milion. Co najmniej milion.

– A ty wiesz, gdzie go znaleźć? – zapytałem, usiłując ukryć powątpiewanie.

– Nie wiem – odpowiedział Ernst. – Ale gdzieś jest. Czuję go. Kiedyś go wyciągnę i wtedy leję na wszystkich tych biznesmenów, którzy kupują złom w kołchozach. Sprzedali lotnictwo, zasrańcy.

Znów nalał.

Dopiero teraz zobaczyłem, jaki jest pijany. Dlatego nie chciałem się z nim spierać. W końcu, pomyślałem, dlaczego nie przewozy lotnicze. Nie najgorsze marzenie dla kogoś, kto mieszka w dawnej stołówce.

– Dobrze, Herman – znów przemówił Ernst. – Czas jest po naszej stronie. I w ogóle – zaczął na inny temat – historia niczego nas nie uczy. Wyobrażasz sobie, co to jest wojna na czołgi? To wielkie przesiedlenie narodów. Wyobraź sobie tych prostych niemieckich mechaników, młodych chłopców, większość po raz pierwszy wyjechała tak daleko od domów rodzinnych. Powiedzmy, urodziłeś się i dorosłeś w niewielkim niemieckim miasteczku, chodziłeś tam do kościoła, do szkoły, spotkałeś pierwszą miłość, bez szczególnego zainteresowania obserwowałeś politykę, zmianę kanclerza, powiedzmy. Potem

zaczęła się wojna i wzięli cię do wojska. Przeszedłeś szkolenie, zostałeś czołgistą. I zacząłeś przemieszczać się na Wschód, coraz dalej i dalej w kierunku wschodnim, przekraczając granice, zajmując obce miasta, niszcząc wrogie uzbrojenie i żołnierzy przeciwnika. Ale wszędzie, rozumiesz, wszędzie, to były mniej więcej takie same miasta i takie same krajobrazy jak w twojej ojczyźnie. I ludzie, ogólnie rzecz biorąc, no, jeśli nie liczyć komunistów i Cyganów, też byli tacy sami jak w twojej ojczyźnie i kobiety były tak samo piękne, a dzieci tak samo bezpośrednie i beztroskie. I zajmowałeś ich stolice, nieszczególnie przejmując się tym, co czeka na ciebie dalej i dokąd jutro powiedzie twój szlak. I w ten sposób przeszedłeś Czechosłowację, potem Polskę, aż w końcu wjechałeś czołgiem tutaj, do krainy rozwiniętego socjalizmu. I początkowo wszystko było dobrze: wojna błyskawiczna, strategiczny geniusz twoich generałów, szybki ruch na wschód. Mniej więcej bezproblemowo przekroczyłeś Dniepr. I tu zaczęło się najgorsze. Niespodziewanie trafiasz w taki teren, gdzie znika wszystko, i miasta, i mieszkańcy, i infrastruktura. I nawet wrogowie gdzieś znikają, w tej sytuacji nawet cieszyłbyś się z ich obecności, ale oni też znikają i im dalej na Wschód, tym bardziej się boisz. A kiedy w końcu trafiasz tutaj – Ernst szerokim gestem wskazał powietrze wokół siebie – zaczynasz być przerażony, dlatego że tu, za ostatnimi płotami, wystarczy odjechać trzysta metrów od nasypu kolejowego, kończą się wszystkie twoje wyobrażenia o wojnie, o Europie i o krajobrazie jako takim, dlatego że dalej zaczyna się bezkresna pustka, bez treści, bez formy i podtekstu, w której nawet nie ma się czego złapać. A z drugiej strony tej pustki jest Stalingrad. Oto wojna na czołgi, Herman – zakończył Ernst i niechcący przewrócił kanister.

*

Pod wieczór Ernst odprowadził mnie do bramy. Ledwo trzymał się na nogach, jednak patrzył na mnie jak na wspólnika, oczywiście wiedział, że udała mu się ta sztuczka z czołgami i winem i ta opowieść o pustce też mu się udała, ziarno wątpliwości trafiło do mojego serca, i teraz pozostawało czekać, kiedy wykiełkuje i przyniesie plon. Poklepał mnie po plecach i wypchnął za bramę. Rozejrzałem się. Droga do szosy pogrążona była w ciemności, gwiazdy na bramie pochłonął wieczorny mrok. Nagle uderzyło mnie w twarz ostre światło i zasłoniłem oczy dłonią. W oddali stał czarny jeep. Ruszyłem w jego kierunku. Wino przepełniało całą tę przygodę poczuciem beztroskiego niebezpieczeństwa, podobnego do tego, które odczuwa się, wsiadając na diabelski młyn – nawet jeśli dostaniesz tam na górze nudności, nikt nie będzie miał ci tego za złe, przecież to park kultury i rozrywki, a rzyganie z diabelskiego młyna – jeśli nie jest kulturą, to w każdym razie można je zaliczyć do rozrywek. Podszedłem. Otworzyłem tylne drzwi. Bez zaproszenia wszedłem do środka. Na szerokim fotelu półleżał zdziwiony Nikołaicz, pewnie zaskoczyła go moja uległość i łatwość, z jaką wszedłem do jeepa. Jednak szybko się opanował i rozciągnął twarz w szerokim uśmiechu.

– Herman! – zagaił życzliwie.

Ale ja nie dałem mu skończyć, po bratersku uścisnąłem maleńkiego Nikołaicza, całym sobą pokazując, że to super, że mnie znaleźli. Moją głową zabawiało się wino.

Nikołaicz zakłopotał się jeszcze bardziej. Chyba inaczej wyobrażał sobie nasze spotkanie i szykował się na długą i nieprzyjemną rozmowę, a tu nagle taka szczerość i brak jakichkolwiek komunikacyjnych barier.

– Szukaliśmy pana – powiedział w końcu. – No jak, jedziemy? – dodał, odsuwając się ode mnie w kąt.

– Jedziemy – powiedziałem beztrosko.

– Drzwi! – krzyknął Kola z fotela kierowcy.

– Spierdalaj – odpowiedziałem równie beztrosko.

Zapadło milczenie. Nikołaicz skulił się, Kola sapał za kierownicą, ja uśmiechałem się przyjacielsko, starając się pokazać, jak się cieszę, że mnie znaleźli.

– Kola! – nie wytrzymał Nikołaicz.

Kola w milczeniu wysiadł z samochodu, obszedł jeepa i wściekle trzasnął drzwiami z mojej strony. Siadł za kierownicą i ruszyliśmy. Wyjechaliśmy na trasę i skręciliśmy w stronę miasta. To był dobry znak, znaczy, nie chcieli mnie dziś zakopać w kukurydzy.

– Jak leci? – zagadał Nikołaicz.

– Doskonale – odpowiedziałem. – Ograliśmy wczoraj gazowników.

– Poważnie? – zasępił się. – A kiedy do domu?

– Nie wiem. Trochę jeszcze zostanę.

– Poważnie?

– Yhm. Muszę dokumenty pozałatwiać.

– Poważnie? – Nikołaicz też próbował mówić przyjaźnie. – Herman, po co ci to? Wracaj do domu.

– Nikołaicz, niech pan powie, bili pana w dzieciństwie? – spytałem go niespodziewanie.

– Skąd panu to przyszło do głowy? – spiął się Nikołaicz.

– Ma pan po prostu taką budowę ciała, no, niezbyt waleczną, rozumie pan? Jaki ma pan rozmiar buta?

– Trzydzieści dziewięć – odpowiedział nerwowo. – Nikt mnie nie bił – dodał. – Zawsze umiałem się ze wszystkimi dogadać.

– A mnie parę razy pobili – przyznałem się. – Grupowo. Też kogoś biłem. Ale, rozumie pan, chodzi o to, że wspominam te bójki bez urazy i nie mam do nikogo pretensji. Wie pan

dlaczego? Dlatego że kiedy bijesz się z kimś i dostajesz w łeb, nie ma w tym nic obraźliwego. Przecież bijesz się otwarcie. Co w tym obraźliwego? Rozumie mnie pan?

– Rozumiem – odpowiedział Nikołaicz. – A pan nie chce się z nami dogadać?

– Nie chcę.

Jeep wjechał na przejazd kolejowy. Tory błysnęły w świetle księżyca.

– Kola! – krzyknął nagle Nikołaicz.

Kola przyhamował i wyłączył silnik. Zatrzymaliśmy się dokładnie na środku torów. Z budki wyskoczył koleś w pomarańczowej kamizelce i podbiegł do nas, ale Kola wychylił się z okna, coś mu powiedział i ten ze spuszczoną głową pobiegł z powrotem do budki.

– Herman – zaczął chłodno Nikołaicz, była to chyba przemowa przygotowana wcześniej na taki wypadek – wie pan, jestem człowiekiem interesu, przywykłem, że mam do czynienia z różnymi partnerami. Ale najmniej mi się podoba mieć do czynienia z partnerami, którzy…

Światła przy budce zaczęły migać, zwiastując zbliżanie się pociągu. Szlabany się opuściły i zamknęły jeepa z obu stron. Kola aż gwizdnął z zaskoczenia, Nikołaicz też się naprężył, jednak w dalszym ciągu usiłował nie okazywać zakłopotania, zebrał myśli i kontynuował:

– …którzy nie potrafią się dogadać, rozumie pan, Hermanie?

– Co rozumiem? – zapytałem.

– Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

– Nie całkiem.

– Spróbuję wyjaśnić…

– Nikołaicz – przerwał mu Kola.

– Chodzi o to… – starał się nie zwracać na niego uwagi Nikołaicz.

– Nikołaicz – bardziej zdecydowanie powiedział Kola, w jego głosie dało się wyczuć strach.

– Kola, spierdalaj – z rozdrażnieniem rzucił Nikołaicz. – No więc – zwrócił się znów do mnie, starając się przypomnieć, w którym miejscu przerwał – co chciałem panu powiedzieć…

– Pozwoli pan? – przerwałem mu.

Już od jakiegoś czasu czułem się nieswojo, wino rwało się do góry niczym gaz naturalny z czarnoziemnych głębin. Póki mogłem, nie zwracałem na to uwagi, słuchając Nikołaicza, jednak czułem się coraz gorzej.

– Co? – z nie mniejszym rozdrażnieniem zapytał Nikołaicz, starając się nadać swojemu głosowi metaliczne brzmienie.

– Sekundę – powiedziałem, otworzyłem drzwi i gwałtownie wychyliłem się na zewnątrz.

Natychmiast mnie ruszyło. Ciężko chwytałem oddech, jednak na wszelki wypadek postanowiłem zaczekać.

Kola przeklinał wszystkich, których znał, Nikołaicz z napięciem wpatrywał się w ciemności, z których w każdej chwili mógł wyskoczyć moskiewski ekspres, i przypominał sobie sformułowania przygotowane specjalnie na tę rozmowę. Sapiąc, bezsilnie opadłem z powrotem na skórzane siedzenie, zamknąwszy za sobą drzwi.

– Tak więc, panie Hermanie – wrócił do swojej gadki Nikołaicz, mówił jednak trochę za szybko – jestem człowiekiem interesu…

– Sekundę! – przerwałem mu znowu i gwałtownie otworzywszy drzwi, jeszcze raz wychyliłem się na dwór.

– Twoja mać! – rozpaczliwie wrzasnął Kola, a Nikołaicz zesztywniał, kuląc się jak jeż i podciągając nóżki.

Znów padłem na siedzenie, ciężko oddychając i zalewając Nikołaicza zapachem dzikich szczepów winogron. Z lewej,

z szarych wieczornych mgieł wytoczył się na nas pociąg. Był jeszcze oddalony o kilkaset metrów i błyszczał świątecznymi wieczornymi światłami.

– Pierdolić to! – krzyknął Kola, zapalił silnik i wdusił gaz. Jeep wyrwał z miejsca, jakimś cudem ominął szlaban i pomknął asfaltem.

Po chwili Kola przyhamował i odwrócił się:

– Nikołaicz! – krzyknął. – Niech pan wypierdoli stąd tego pedała! W pizdu go wypierdolić! Nikołaicz!

– Sam wysiądę – powiedziałem, ale zanim to zrobiłem, nachyliłem się w kierunku Nikołaicza. – Myślę, że nic z tego nie będzie. Tak się tego nie załatwia. Do widzenia.

I jeszcze raz zalewając ich gronowym zapachem, zamknąłem za sobą drzwi.

7

I chociaż mój wygląd mówił sam za siebie, chociaż cała podstępność prywatnego winiarstwa odbijała się w moich oczach i moje ubranie oraz włosy woniały dzikimi gałęziami winorośli, Kocza nie powiedział ani słowa. Tylko chodził dookoła lękliwie jak kot w obcym mieszkaniu, węszący rano nowe zapachy, parzył herbatę, odganiał osy, które latały nade mną jak mewy nad zatopionym tankowcem. I przez cały czas mówił, chyba raczej do siebie, opowiadał o swojej żonie, ta historia nie dawała mu spokoju, a on nie dawał spokoju mnie, któryż to raz mi ją opowiadając.

– Baby – bredził – Hera, baby, wszystko przez te baby.

– Jakie baby – dziwiłem się, wyganiając osy z włosów. – Co tu mają baby do rzeczy?

A Kocza tylko smutno wzruszał ramionami i pił herbatę czarną jak ropa.

– Przecież widzę, co się z tobą dzieje, Hera, przecież widzę, bracie, to wszystko przez nie, przez nie.

Wytrząsałem z włosów uprzykrzone osy, kładłem je na dłoni, a one odlatywały, Kocza zaś mówił i mówił, przegadując mój ból głowy.

– Znałeś ją? Moją żonę?

– Znałem – odpowiadałem. – Znałem: czarna taka, wesoła.

– Dokładnie – ochryple cieszył się Kocza. – To ona. Młodsza ode mnie o pięć lat. Ale nigdy bym nie powiedział, że jest młodsza. Kiedy się poznaliśmy, umiała takie rzeczy, że nie pomyślałbyś, że ma siedemnaście lat.

– Gdzie ją poznałeś?

– Na boisku – powiedział Kocza po zastanowieniu. – Latem, przyjechała zdawać na akademię medyczną. Gdzieś w tamtej okolicy spotkałem ją pierwszy raz. One, południowe kobiety, mają zawsze skórę jednego i tego samego koloru, nie opala im się, wiesz?

– Przecież ona nie jest z południa.

– Z Gruzji – powiedział Kocza po zastanowieniu. – Miała czarne włosy i długie nogi.

– To pamiętam – potwierdziłem.

– A kiedy zaczęła studiować, no, na akademii, zawsze nosiła śnieżnobiały fartuch. Herman, kręcą cię lekarki?

– Nie, w ogóle boję się lekarzy.

– A mnie kręcą – wyjaśnił Kocza. – Kiedyś leżałem w szpitalu, aż nie mogłem wytrzymać… Ale ja chcę ci opowiedzieć o Tamarze. Zaraz wszystko ci opowiem, bracie.

Myślę, że nie tak znowu dużo mi opowiedział, więcej sam sobie przypomniałem już później, myśląc o tym i dziwiąc się, jak wiele można pomieścić w zwyczajnej pamięci i jak trudno potem coś w niej znaleźć. Jak działają te mechanizmy? Co tak naprawdę mi opowiedział? Coś o ubraniu, powiedział

coś o jej ubraniu. Długie włosy, ciemna, ale nieopalona skóra i ubranie. Jak to – nieopalona skóra? Co miał na myśli? Nagle przypomniałem sobie, miała czarną sukienkę, tylko ona w mieście taką nosiła. Ale nam wszystkim – chłopakom z blokowiska – na jej widok zamierało serce. Rzeczywiście nosiła tę suknię, tak czarną, że jej skóra zdawała się blada nawet na tle śnieżnobiałego fartucha. Ale co my mogliśmy wtedy widzieć? A Kocza widział znacznie więcej od nas, widział ją całą, w ubraniu i bez, więc kto, jeśli nie on, mógł opowiedzieć o jej opaleniźnie. Nagle wyraźnie przypomniałem sobie wieczorny mrok, ciepły piasek na chodnikach, czerwony od owoców morwy, i Koczę, który targa za włosy dwóch Azerów, tłucze nimi o płot jakiegoś domu, gdzieś za zakładem remontowym, obok ciągnie się bezkresne ogrodzenie, w oddali stoimy my, stoimy i nie wtrącamy się, bo Kocza sam poradzi sobie z napastnikami. I Tamara coś ostro i nerwowo krzyczy, starając się go powstrzymać. Krzyczy, że nikt jej nie zaczepiał i Azerowie też krzyczą, że nikogo nie zaczepiali, ale Kocza dalej rozwala nimi płot i ona biegnie, i znika w ciemności. Kocza rzuca się za nią, a my pomagamy Azerom wstać i obmyć rany wódką, bo wiemy, że oni naprawdę nikogo nie zaczepiali.

– Aha – wyrwał mnie z zamyślenia Kocza – rozumiesz, bracie, kiedy ją spotkałem, miała siedemnaście lat, ale mówię ci, czegoś takiego nawet w burdelach nie widziałem.

– A w ilu byłeś burdelach? – zapytałem z niedowierzaniem.

– No, Hera – powiedział z urazą Kocza – jestem komandosem. Wszystkie baby były nasze.

– Jasne.

– Trzy lata się o nią biłem – ciągnął dalej. – Nie można jej było zostawić samej, uwierzysz?

– Wierzę.

– Wtedy postanowiła uciec. Rodzice i tak nie pozwalali jej za mnie wyjść. Prawa gór, bracie, prawa gór.

– I co, uciekła?

– A chuj tam – z zadowoleniem odpowiedział Kocza. – Dowiedziałem się o tym i wsiadłem do tego samego pociągu. I nawet do tego samego wagonu. Przez tydzień włóczyliśmy się po dworcach, stąd do Rostowa. Kilka razy próbowała wyskoczyć. Ale ją zatrzymywałem. Spaliśmy na dworcach, piliśmy szampana w wagonach restauracyjnych, biliśmy się do krwi, uwierzysz? – Kocza wspominał złote lata i leniwie rozwalił się na krześle, od czasu do czasu wyglądając przez okno. – I wróciła. Taka historia. I została ze mną. Ale był problem z rodzicami. Oni mnie po prostu nienawidzili. To im powiedzieliśmy, że jest w ciąży, rozumiesz? I się zgodzili.

– A ona naprawdę była w ciąży?

– Nie, no co ty – odpowiedział Kocza. – Nie chciałem, żeby zaszła w ciążę.

– A dlaczego?

– Bałem się, że dziecko nie będzie moje. Ona takie rzeczy robiła, bracie, o…

Kocza zamilkł rozmarzony. A potem kontynuował:

– No, ale i tak nic nam z tego nie wyszło. Przyjechali jej rodzice, no, na wesele, i zostali, żeby z nami zamieszkać. Więc nic nam z tego nie wyszło. Cyganie, jednym słowem.

– Cyganie? – nie zrozumiałem.

– Yhm, Cyganie.

– Co tu Cyganie mają do rzeczy?

– Właśnie to – nie wyjaśnił Kocza. – Cała sprawa w nich, widzę, bracie, co się z tobą dzieje. Rozumiem, od czego głupiejesz.

– Dobra, dobra – odpowiedziałem.

– Wszystko widzę, Herman, wszystko widzę.

I zobaczył coś za oknem, i wyszedł na dwór.

Co też ona takiego mogła robić, pomyślałem. Wyjątkowego? Słońce zalewało pokój, koc był szorstki i gorący jak uliczny piasek, który schnie po deszczu i twardnieje, tracąc wilgotność. Leżałem z zamkniętymi oczami w pustym pokoju, czując miarowe kołysanie się drzew w wieczornym parku i bzowy mrok, który przylepiał się do mokrych liści, i złote błyski w szybach wieży pożarowej, i rozsypane ostre srebro potłuczonego szkła w talerzach z sałatką, ale to nie wszystko, było coś więcej i jak się to skończyło. Co tam mogło być? Czy nie o tym mówił Kocza? Co takiego on pamiętał, o czym dawno zapomnieli wszyscy inni? Co ona mogła robić? Tam było jeszcze inne wyjście, w tej restauracji, przez boczne drzwi, trzeba było przejść przez kuchnię i trafiałeś od razu do parku, i drzewa cię obstępowały – mokro i lękliwie, trzeba było uważać, bo trawa wokół usiana była tłuczonym szkłem i łatwo można się było skaleczyć, chociaż nikt i tak na to nie zważał; krew biła niewidocznymi kanałami w świeżym nocnym powietrzu i tak czy inaczej miała się polać. Kwestia polegała na tym, czyja krew się poleje. Jakoś na początku tej imprezy, nie pamiętam dlaczego, wyszedłem właśnie przez te boczne drzwi. Ale dlaczego? Miałem się z kimś spotkać. Tylko z kim? Było zupełnie ciemno, nikt nie widział, jak znalazłem się na dworze. I właśnie tam, w całym tym mokrym mroku była Tamara, w wilgotnym powietrzu świeciła jej skóra, nawet nie zrzuciła sukienki. I co ona z nimi robiła! Było ich dwóch i obu dawała radę, odwróciwszy się do jednego twarzą, a do drugiego plecami. Nawet nie zdjęła sukienki. Jakoś mnie to wtedy poraziło, byłem przekonany, że sukienka w takich wypadkach przeszkadza. Ale to oczywiście był zupełnie nie taki wypadek. Nijak nie mogłem wypatrzyć, kto to był, ale Koczy tam nie było na pewno, zresztą trudno przypuszczać, że Kocza miałby się zajmować czymś takim. Po

jakimś czasie oderwała się od pierwszego, podniosła głowę i poprosiła o papierosa. Ogień błysnął aż nazbyt jaskrawo, niepostrzeżenie otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się do środka. Wracając do sali, natknąłem się na pochmurnego, złego Koczę. Popatrzył na mnie i zrozumiałem, że wie o wszystkim. Ciemność podświetlona elektrycznym światłem wybuchła setkami srebrnych odłamków i powietrze wdarło się do wnętrza, mieszając się z zapachem alkoholu, już wiedziałem, że tak łatwo się to nie skończy. Nie tym razem.

– No i co ci mówiłem? – Kocza wpadł do przyczepy zmartwiony. – Idź, ona już do ciebie telefonuje.

*

– Herman? – Stałem, przyciskając do ucha nagrzaną na słońcu słuchawkę. – Jak leci?

– Dobrze – nadałem głosowi twardość, wyszło nieprzekonująco. – Spotkałem się wczoraj z naszymi konkurentami. Pogadaliśmy.

– No tak – przytaknęła Olga. – Nie wiem, o czym pogadaliście, ale interes ci zabierają.

– Zaraz tam będę – odpowiedziałem, wziąłem słuchawki i pobiegłem na trasę.

*

Koło biura stał znajomy jeep, za kierownicą siedział Kola i patrzył na mnie tak, jakbyśmy się od wieczora nie rozstawali. Pomachałem mu i wszedłem do środka. Olga siedziała za biurkiem, nie zdjęła okularów słonecznych w żółtych oprawkach. Była w podartych dżinsach i koszulce z jakimiś politycznymi hasłami pisanymi po polsku. Spod koszulki prześwitywał pomarańczowy biustonosz. Naprzeciwko niej siedziały dwie puszyste babki w ciasnych ciepłych sukienkach i z ciężkimi

fryzurami. Miały swoje lata, jednak nie straciły, można powiedzieć, młodzieńczego zapału i wiedziały, kurwy, że tylko radość kolektywnej pracy daje energię i poczucie uczestnictwa w procesach życiowych. Więc siedziały teraz, ciężko dysząc w upalnym powietrzu, i jak dwie zacięte Hiszpanki wachlowały się księgami rachunkowymi. Trwała na głowie jednej była koloru popiołu z papierosów, a w jej uszach jak medale na generalskich mundurach wisiały brązowe kolczyki. Na szyi popielistowłosa miała masywny naszyjnik z korali. Jej ciało – puszyste, rozpalone i ospałe – wciśnięte było w przedpotopową sukienkę w ciemnych kolorach, która rozpełzała się na wszystkie strony, powtarzając wszystkie wypukłości starej. Nogi miała potężne i zmęczone, obute w domowe kapcie. W jednej dłoni trzymała księgę rachunkową, w drugiej chemiczny ołówek, który od czasu do czasu wtykała w trwałą, w skupieniu czegoś tam szukając. Jej przyjaciółka, równie ospała z upału, miała na głowie starannie ułożony snopek w kolorze przemysłowej miedzi, która pobłyskiwała czerwienią w promieniach słońca. W jej uszach ciemniały wielkie kamienie o szmaragdowym kolorze, takie, jakich używa się w mozaikach na dworcach autobusowych. Nie miała korali, jednak sama szyja układała się w kilka fałd, w których ukrywał się jak krople bursztynu gorzki kobiecy pot. Miała na sobie pstrokaty sarafan jeszcze radzieckiego kroju, z tropikalnymi kwiatami i trawami gęsto rozsianymi w okolicach wątroby. Na nogach też miała kapcie. Obie spojrzały na mnie jednocześnie i nieprzyjaźnie. Przywitałem się z wszystkimi, pytająco spoglądając na Olgę.

– Poznajcie się – powiedziała i kobiety po kolei niechętnie się przedstawiły.

Popielasta nazywała się Andżela Petrowna, głos miała ciężki, leniwy, a spojrzenie – zacięte i zamulone. Druga, koloru

przemysłowej miedzi, mówiła nerwowo i niewyraźnie, jakby miała gardło pełne rzecznych kamieni, przedstawiła się dosłownie tak: Bhałynda Bhedorobna, miało to znaczyć Hałyna Fedorowna albo coś w tym rodzaju, ale dla siebie nazwałem ją Brunhilda Petrowna i nazywania jej inaczej moja świadomość uparcie odmawiała. Dlaczego w końcu Petrowna, a nie Fedorowna? Może dlatego, że obie były do siebie jakoś niewymownie podobne, jak dwie przyrodnie siostry z różnych matek – obie były kobietami doświadczonymi i doświadczeniem tym, zdaje się, nie miały zamiaru z nikim się dzielić.

– No, w końcu – Olga udała, że cieszy się z mojego nadejścia. – Czekamy i czekamy.

– Okazjami jechałem – wyjaśniłem.

Patrzyły na mnie zimno i niewzruszenie. Andżela Petrowna drapieżnie obracała w dłoniach ołówek, Brunhilda Petrowna ciężko jak kobra wydymała fałdy na szyi.

Olga krótko wyjaśniła mi, na czym polegał problem. O ile zrozumiałem, polegał na tym, że Andżela Petrowna z Brunhildą Petrowną swego czasu nie odeszły na emeryturę. Niczym dwie płaczki, zwiastunki śmierci, przyniosły złe nowiny, wieszcząc dalszy wzrost odsetek kredytów i wszystkich możliwych opłat komunalnych. Spróbowałem szybko wniknąć w najważniejsze. Jednak ciężko mi szło, Andżela Petrowna i Brunhilda Petrowna przygniatały mnie, wpędzając moją duszę w tęsknotę i depresję. Z tego, co mówiły, zrozumiałem, że reprezentują urząd skarbowy, ale także fundusz emerytalny i jeszcze sanepid, i związek kombatantów, poza tym także niezależny związek zawodowy małych przedsiębiorstw i w końcu fundusz mieszkaniowy i wychodziło, że ze wszystkimi tymi organizacjami mamy problemy, że moje nieszczęsne prywatne przedsiębiorstwo już dawno i beznadziejnie zadłużone jest względem tego kraju i że najlepiej będzie, jeśli

po prostu się powieszę, zlikwidowawszy uprzednio biznes, a swoje marne dobra zapiszę bojowym emerytom. Mówiła głównie Andżela Petrowna, leniwie oblepiając mnie poplątanymi terminami księgowymi, Brunhilda Petrowna nerwowo toczyła po podniebieniu kolorowe kamienie swej dykcji, od czasu do czasu dorzucając jakieś językowe pokurcze w rodzaju „bemeryci" albo „bsanitarbny", albo w ogóle niezrozumiałe „basmborząd btebrytorialny", więc nie wiedziałem, do czego zmierza. Olga od dłuższego czasu usiłowała im coś wyjaśnić, wyciągała z biurka jakieś papiery, przekonywała, że nie wszystko jest tak beznadziejnie, że z dokumentami wszystko w porządku i że żadnych podstaw prawnych dla mojego odejścia ze świata żywych nie ma. Ale Andżela Petrowna z Brunhildą Petrowną tylko leniwie opędzały się przed jej słowami księgami rachunkowymi i prawiły swoje, wspominając o jakichś poprawkach do ustaw, czytając wyciągi z rozporządzeń i wskazując na nieprawidłowości w deklaracjach podatkowych. I wszystkie próby Olgi, by odeprzeć ten nacisk dwóch pałających, zaczerwienionych od upału Hiszpanek, do niczego nie prowadziły – stare tylko rozpalały się własnym lamentem, demonstrując nie byle jaką znajomość kodeksu karnego i księgowości. W którymś momencie Olga zamilkła. Hiszpanki też się przyczaiły, rzucając w jej stronę gorące, przenikliwe spojrzenia. Wydawało mi się, że wszystkie czekają na moją reakcję. Muszę coś powiedzieć, postanowiłem, i powiedziałem:

– Proszę posłuchać – zacząłem najbardziej pokojowo, jak umiałem, przez co mój głos nabrał jakiegoś niezwykłego dla mnie sprytu – może załatwimy to jakoś polubownie? Co? Przecież wszyscy tu jesteśmy dorosłymi ludźmi. Prawda?

Popielasta zabójczo zmrużyła oczy, miedziana wystrzeliła do mnie błyskawicami starczego dalekowidztwa.

– Co pan ma na myśli? – powoli, jak wykładowca na egzaminie, zapytała popielasta.

– Bha? – zabulgotała ze swojej strony miedziana.

– Herman – z przestrachem spróbowała mnie powstrzymać Olga.

– No, nie wiem – zakłopotałem się, nie spodziewając się takiej reakcji. – Są jakieś sposoby, żeby się umówić. Polubownie – znów dodałem z jakiegoś powodu.

– Za dużo pan sobie pozwala – stopniowo unosząc swój ociężały głos, jakby wtaczał kamień pod górę, zaczęła rozkręcać się Andżela Petrowna. Brunhilda kiwała nerwowo głową. – Co pan sobie w ogóle myśli? Pan TAM u siebie tak się nauczył sprawy załatwiać? TAM u was wszyscy tak mówią?! – Jej głos w końcu potoczył się jak kamień z góry i teraz leciał nieprzytomnie w dół, rozganiając wszystko na swej drodze. – Pan w ogóle myśli, co pan mówi? TAM u was wszystko można! A TU nie jest pan w domu! Olgo Mychajliwno – zwróciła się do Olgi – nie rozumiem pani!

I hardo wstając, emerytki rzuciły mi pogardliwe „do widzenia" i znikły za drzwiami. Obiecując jednocześnie, że jutro wrócą.

*

Czułem się nieswojo.

– Zdaje się, że je obraziłeś – zaważyła Olga, przebierając w jakichś papierach.

– To może nam zaszkodzić?

– Jeszcze jak – przemówiła poważnie. – Herman, jeśli te wiedźmy złapią cię gdzieś na ulicy, byle czym się nie wymigasz.

– O czym ty mówisz?

– O molestowaniu seksualnym, rzecz jasna – powiedziała Olga i schowała papiery do szuflady. – Jednym słowem, mamy

teraz kontrolę. Te dwie stare krowy będą przychodzić tu codziennie i żądać, żebym zamknęła twój interes.

– I co zrobisz?

– Jestem księgową, Herman – powiedziała Olga. – Będę pracować na swoją wypłatę. Więc się nie martw.

– Ale przecież one nie tak po prostu zaczęły tę kontrolę.

– Myślisz? – Olga zdjęła okulary i zlustrowała mnie od stóp do głów. Spojrzenie miała nieco zmęczone.

– Wczoraj rozmawiałem z ich przedstawicielem.

– Z kim dokładnie?

– Nikołajem Nikołaiczem, mały taki. To ich przedstawiciel.

– Mały? – zapytała Olga.

– Tak.

– Chujowy taki?

– Dokładnie.

– To ich komputerowiec.

– Jak to?

– No, komputerowiec, on u nich komputery naprawia.

– Co ty?

– Dokładnie. Zdaje się, że oni cię traktują niezbyt poważnie. Ja bym się na twoim miejscu nad tym zastanowiła.

– Komputerowiec. Z wyglądu porządny facet.

– W każdym razie problemu to nie rozwiązuje.

– A w czym problem?

– Zaraz ci wyjaśnię.

Problemów była kupa, ale najważniejszym i najbardziej oczywistym okazał się brak jakiejś kopii protokołu zebrania kolektywu pracowniczego, o ile mogłem zrozumieć, tej samej bazy paliwowej, do której kiedyś należała moja obecna własność. Brat, zdaje się, nie za bardzo dbał o papiery. Nie był tego rodzaju człowiekiem, sprawy załatwiał zazwyczaj za pomocą prywatnych układów lub zwyczajnego mordobicia, więc nic

dziwnego, że z dokumentacją nie wszystko było w porządku. Babki sanitariuszki były oczywiście zorientowane, jasne, że ktoś je przygotował, zanim zrzucił je na tyły wroga, nie działały na oślep. I jeśli z wszystkimi zaświadczeniami i deklaracjami, jak twierdziła Olga, wszystko mieliśmy w porządku, to z pozwoleniami mogły być problemy. I trzeba było szybko coś z tym zrobić. Co dokładnie należało robić, oczywiście nie wiedziałem.

– To bardzo proste – powiedziała na to Olga. – Trzeba zadzwonić do byłego dyrektora bazy paliwowej (honorowego obywatela naszego miasta, żebyś wiedział, Herman) i umówić się, żeby podpisał ze wsteczną datą kopię tego jebanego protokołu. I zabrała się za telefonowanie do dyrektora.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Jeep wciąż tam stał, przyciemniane okna były do połowy otwarte i mogłem przysiąc, że na przednim siedzeniu Kola namiętnie całował się z Brunhildą Petrowną, a Andżela Petrowna z tylnego fotela dźgała ich ostrym chemicznym ołówkiem.

*

Po kilku telefonach Olga w końcu ustaliła, że to wszystko nie jest takie proste, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Okazało się, że honorowy obywatel miasta teraz tu nie mieszka, przebywa na permanentnym leczeniu nad słonymi jeziorami kilkadziesiąt kilometrów stąd. I zupełnie niejasne było, w jakim jest stanie, na co się nad tymi słonymi jeziorami leczy i jak duże są w tym wypadku możliwości medycyny. Jednym słowem, historia była mroczna i niejasna. Od razu przypomniał mi się wczorajszy dzień, surowy głos Nikołaja Nikołaicza, który okazał się komputerowcem, przypomniałem sobie dzisiejsze surowe spojrzenia kombatantek i nagle zrobiło mi się od tego wszystkiego gorzko i wymiotnie, i nie

pierwszy raz naprawdę zachciało mi się do domu, do biura z jego szarą jak mokry cukier partyjną codziennością. Jednak szybko wziąłem się w garść.

– To co, jedziemy – zaproponowała Olga.

– Dokąd? – spytałem.

– Do dyrektora, a gdzież by indziej.

– Potrzebujesz mnie?

– Tak w ogóle, to nie – ostro odpowiedziała Olga. – Ale w tym konkretnym wypadku lepiej, żebyś tam był.

– Czuję się po prostu kapitalistą. Mam biznes i chcą mi go zabrać. Czuję się jak Soros.

– Nie zawracaj głowy – powiedziała Olga i wstała zza biurka.

*

Droga wiła się przez zielone wzgórza i zalane słońcem niczym gipsem doliny. Asfalt był całkowicie rozwalony, więc jechaliśmy ostrożnie i bez pośpiechu. Trzymałem się mocno Olgi, jej koszulkę nadymał wiatr, ale ona chyba tego nie zauważała. Czasami przy drodze zdarzały się bary, stały tam czarne zakurzone ciężarówki, w których spały dzieci i ogłupiałe z upału prostytutki. Olga patrzyła dookoła twardo i uważnie, tylko raz zatrzymała się, by spytać o drogę. Prostytutka, do której się zwróciła, nawet nie wysiadła z kabiny i kierunek pokazała bosą stopą. Kiedy wjechaliśmy na kolejne wzgórze, Olga przyhamowała i uważnie popatrzyła na południe. Może padać, powiedziała z niepokojem, i ruszyliśmy dalej.

Po jakimś czasie otoczyły nas sosnowe lasy.

*

Dyrektor leczył się w starym, zniszczonym sanatorium. Według Olgi trzymali go tu niemal siłą, bo stary cały czas rwał się do pracy i społecznej odpowiedzialności. Miał, znów według

słów Olgi, heroiczną biografię i trudny charakter, dlatego ze mną, ostrzegała, mógł mieć problemy. Spiąłem się, ale nie było wyjścia.

Sanatorium otaczał rzadki las, wokół ciągnęły się słone bagna, w których pławili się chorzy, urażeni i upośledzeni. Przejechaliśmy przez bramę, skręciliśmy do głównego budynku. Olga zostawiła skuter i poszła przodem. Powlokłem się za nią, oglądając chorych. Nie spodobali mi się. Patrzyli na mnie podejrzliwie, odchodzili na bok i szeptali między sobą, pokazując nas długimi, chudymi palcami. W rejestracji znali Olgę, radośnie pokiwali do niej głowami i powiadomili, że Hnat Jurowycz nie jest w nastroju, że cały ranek kaprysi, nie chciał jeść śniadania, awanturował się przy obiedzie, nie był w ubikacji i w ogóle zachowuje się dzisiaj jak palant, tak samo zresztą jak wczoraj i przedwczoraj. Radzili jej zachować ostrożność, nie odwracać się do starego plecami i życząc powodzenia, zamknęli przed nami swoje okienko. Olga ruszyła sanatoryjnymi korytarzami, ja, oglądając się na chorych, którzy wychylali się z gabinetów zabiegowych, starałem się nie zostawać z tyłu. Na ścianach porozwieszane były dziwne plakaty, zalecające, by nie przegrzewać się na słońcu, nie wychładzać się w wodzie i nie uprawiać seksu bez antykoncepcji. Seks bez antykoncepcji pokazany był jako coś bezbożnego, coś, po czym wykluczają cię z kościoła i kamienują na zebraniu partyjnym. Ogólnie rzecz biorąc, po obejrzeniu takich plakatów w ogóle odechciewało się seksu.

Sala Hnata Jurowycza była na pierwszym piętrze. Olga zdecydowanie zastukała w drzwi, otworzyła je i weszła do środka. Zebrałem się na odwagę i też wszedłem.

– Dzień dobry, Hnacie Jurowyczu, dzień dobry, kochany! – zaszczebiotała Olga do starego, który leżał w łóżku pod oknem, i radośnie cmoknęła go w błyszczącą łysinę.

– Witaj, Oluniu, witaj, wnusiu – Hnat Jurowycz wydął zaślinione wargi, starając się trafić ją w policzek. Jednocześnie rzucił na mnie podejrzliwe spojrzenie: – A to co za łachudra?

– To Herman – odpowiedziała Olga. – Biznesmen.

– Dzień dobry – przywitałem się, nie odchodząc od drzwi.

– Biznesmen? – z niedowierzaniem zapytał Hnat Jurowycz. – No i diabli z nim, biznesmenem. Opowiadaj, co słychać – zwrócił się do Oli.

Olga zaczęła opowiadać o jakichś ich sprawach, o wspólnych znajomych, o sytuacji na rynkach i operacjach giełdowych, a ja tymczasem przyglądałem się staremu. Hnat Jurowycz wyglądał dziarsko, wiercił się i rozglądał dookoła z leninowskim błyskiem w oku. Miał pokaźną łysinę otoczoną siwymi przylizanymi kędziorkami, kosmate groźne brwi i haczykowaty nos, kiedy mówił, to gdzieś w okolicy ucha odciskała się sztuczna szczęka. Ubrany był w odświętny brązowy garnitur, do klapy marynarki przykręcone były znaczki przodownika i uczestnika jakichś związkowych konferencji. W garniturze, pod którym widać było śnieżnobiałą wykrochmaloną koszulę, Hnat Jurowycz leżał na rozścielonym łóżku. Na nogach miał gumowe japonki, które nieco kontrastowały ze znaczkami przodownika. Ze znaczkami i w brązowym garniturze przypominał trochę Williama Burroughsa, którego przyjęto w szeregi związku pisarzy. Obok dyrektora na niedbale pomalowanym niebieskim taborecie siedziała cycata pielęgniarka, którą Hnat Jurowycz nazywał Nataszą i nad którą otwarcie się znęcał, nie wstydząc się postronnych oczu. Natasza zaś konsekwentnie i z partyjną subordynacją cierpliwie podawała Hnatowi Jurowyczowi rum w żelaznym kubku, nabijała tytoniem srebrną fajkę wodną, odganiała od łysej czaszki motyle, nacierała starcze nogi

jakimiś francuskimi perfumami i wyjmowała mu z dłoni jakieś pisma pornograficzne. I wszystko bez słowa, nawet nie patrząc w naszą stronę. W sali było jeszcze dwóch pasażerów. Jeden leżał naprzeciwko Hnata Jurowycza, był tłusty i cały czas dyszał. Miał wyłupiaste oczy i patrzył na swego honorowego sąsiada z zaskoczeniem, jakby ochujały z tej jego bezczelności i bezkarności. Ubrany był skromnie – w pasiastą szpitalną piżamę i ciepłe skarpety. Trzymał rozłożoną gazetę, spod której od czasu do czasu z lękliwym zainteresowaniem oglądał Nataszę. Trzeci mieszkaniec sali leżał bliżej drzwi, nie wykazywał żadnych oznak życia i w ogóle wyglądało, że umarł. Po zapachu mogłem nawet przypuszczać, że śmierć nastąpiła ze trzy dni temu. Jednak mogłem się mylić.

Z korytarza cały czas dobiegały ukradkowe kroki i podejrzane szepty, ktoś zatrzymywał się pod drzwiami i zamierał, starając się usłyszeć naszą rozmowę. Ogólnie od samego początku, kiedy tylko znaleźliśmy się w sanatorium, czułem skrajne napięcie, chciałem jak najszybciej wyrwać się na wolność z tego krematorium.

Olga wciąż starała się skierować rozmowę na nasze problemy. Skarżyła się staremu na najazdy kukuruźników, opowiadała o starych Hiszpankach i korupcji w szeregach władzy. Jednak Hnat Jurowycz za każdym razem nie podejmował tematu, udając, że nie dosłyszał albo nie zrozumiał tego, co mówiła, pił swój piracki rum, boleśnie szczypał Nataszę i wrzucał jakieś tabletki, od których jego oczy robiły się radosne i różowe jak oczy psa na fotografii.

– Hnacie Jurowyczu – nie wytrzymała w końcu Olga – bardzo proszę zrobić to dla mnie.

– Dla ciebie? – stary popatrzył na nią zdziwiony. – Ale przecież ty tego nie potrzebujesz, tylko on – pokazał na mnie – biznesmen.

– Tak, Hnacie Jurowyczu – włączyłem się pośpiesznie. – Ja też pana proszę.

– Kiego diabła? – zdaje się, że świadomie mnie prowokował. – Czego ty chcesz, wnusiu?

– Hnacie Jurowyczu – podszedłem bliżej – pan przecież zna mojego brata.

– No i co? – stary był niewzruszony.

Olga zaciskała usta w rozpaczy. Natasza niepostrzeżenie odstawiła na bok kubek z rumem.

– Pomyślałem – kontynuowałem – że jeśli pan pracował z bratem, to może i mnie mógłby pan pomóc.

– Dlaczego mam ci pomagać, wnusiu? – Hnat Jurowycz wyciągnął z kieszeni stare okulary w rogowych oprawkach, nałożył je na nos i uważnie mi się przyjrzał.

– No, w końcu jesteśmy w tym samym biznesie.

– To ty jesteś w biznesie, wnusiu – przerwał mi. – Ty. A ja jestem na odpowiedzialnym stanowisku. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ja, żebyś wiedział, jestem emerytem o znaczeniu dla całej republiki. Na partyjnym stanowisku od pięćdziesiątego drugiego roku, rozumiesz, co to znaczy?

– Mniej więcej.

– A ty mówisz: w biznesie – uspokoił się stary, nagle przechwycił od Nataszy kubek z rumem i wlał jego zawartość między sztuczne szczęki, po czym zadowolony opadł na poduszki i popatrzył na Olgę.

Zrozumiałem, że wszystko składało się dla mnie niekorzystnie. Musiałem działać.

– Hnacie Jurowyczu – usiadłem na łóżku starego. Ten nie spodziewał się takiego obrotu wydarzeń i strachliwie odsunął nogi. – Niech pan pozwoli powiedzieć, pięć minut, dobrze?

– No. – Stary odsunął się do ściany, przyciskając do piersi pusty kubek.

– Mogę łyk? – wyciągnąłem dłoń po kubek. Hnat Jurowycz jakoś zmiękł i pokornie podał mi naczynie. – Niech pani naleje trochę – wyciągnąłem kubek do Nataszy.

Pytająco spojrzała na starego, ale jednak nalała z ciemnej butelki. Wypiłem wszystko jednym haustem. Rum stanął mi w gardle jak kłąb włosów, z trudem przełknąłem i zacząłem mówić, z zaufaniem nachylając się w kierunku starego.

– Hnacie Jurowyczu, niech pan pozwoli powiedzieć, a potem sobie pójdziemy. Wie pan, tak naprawdę to krótko jestem w biznesie. No, to znaczy na tym odpowiedzialnym stanowisku. I nie mam żadnego stażu, jeśli mówić otwarcie. Ogólnie rzecz biorąc, nie mogę nawet powiedzieć, że ta praca mi się podoba. Cała ta benzyna, przecież ona jest toksyczna, sam pan wie, prawda? Do czego zmierzam? Gdyby chodziło tylko o mnie, dawno wszystko bym rzucił i wyjechał jak najdalej stąd, rozumie pan?

Stary potrząsnął głową.

– Ale tak się jakoś złożyło, że chodzi nie tylko o mnie i tak czy inaczej muszę się teraz w tym wszystkim grzebać. Dlatego że tak czy inaczej to nie tylko moja sprawa. Chodzi o ważne rzeczy, których istotność sam, być może, jeszcze nie do końca rozumiem, ale patrzę na pana, Hnacie Jurowyczu, i czuję, że jest w tym coś takiego, z czego po prostu nie można zrezygnować.

Hnat Jurowycz głucho kłapnął szczękami.

– Rozumiem, że się panu raczej nie podobam, co więcej, mogę zrozumieć, jeśli się postaram, oczywiście, przyczyny tej pana głupawej nieufności: nie jestem biznesie, nie mam doświadczenia, w ogóle mnie pan nie zna, nie mam nawet stażu w partii, ale niech to diabli, Hnacie Jurowyczu, czy koniecznie

trzeba mieć staż partyjny, żeby się nie obsrać w sytuacji krytycznej? Naprawdę do tego potrzebny jest staż partyjny, niech pan powie?

– Oddaj kubek – powiedział cicho Hnat Jurowycz.

– Co? – nie zrozumiałem.

– Kubek, mówię, oddaj – powtórzył stary.

Podałem mu, schował go pod poduszkę i w zamyśleniu zdjął okulary.

– Zdaje się, że porządny z ciebie chłopak – powiedział po chwili. – Uczciwie przyznaję, że cię nie doceniłem. Dobrze. – Energicznie klasnął w dłonie i w jego oczach znów zabłysł uparty leninowski ognik. – Pomogę ci.

– Dziękuję – odetchnąłem z ulgą, jednak Hnat Jurowycz nie dał mi odetchnąć do końca.

– Pod jednym warunkiem – dodał. – Zagrasz ze mną w skrakle*.

– W co? – nie zrozumiałem.

– Skrakle – powtórzył Hnat Jurowycz, z zadowoleniem obserwując moje zakłopotanie. – No, w gorodki. Ulubioną grę akademika Pawłowa i hrabiego Tołstoja. Jaki jest twój stosunek do hrabiego Tołstoja?

– Pozytywny – odpowiedziałem.

– W takim razie doskonale. Wygrasz ze mną, pomogę ci. Przegrasz, idź z Bogiem i nie przeszkadzaj mi się leczyć.

– A może mi pan jakoś pomóc bez skrakli? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Nie, wnusiu – odpowiedział srogo Hnat Jurowycz. – Bez skrakli nijak się nie da.

* Gra polegająca na rzucaniu drążkiem w figury ułożone z drewnianych kołków. Po rosyjsku gorodki. Polski czytelnik może znać ją z czwartego odcinka animowanego filmu o Wilku i Zającu (*Na stadionie*), gdzie skrakle trenuje hipopotam [przyp. tłum.].

Obejrzałem się na Olgę. Tylko rozpaczliwie przewróciła oczami. Zza jej pleców ze złośliwą radością wyglądał pacjent z gazetą. W kącie miarowo rozkładał się trzeci nieznajomy. Trzeba było podjąć decyzję. Skrakle, pomyślałem, skrakle. W końcu, co ten stary mi może, po mojej stronie jest młodość i zawziętość, a po jego – tylko dyscyplina partyjna. Postanowiłem zaryzykować.

– Dobrze – powiedziałem – jak skrakle, to skrakle. A nie oszuka pan?

– Co ty gadasz, wnusiu – energicznie odpowiedział Hnat Jurowycz, zwinnie zeskoczył na podłogę i zakrzątnął się po pokoju. – Skrakle! – krzyknął energicznie. – Skrakle!

Nagle się przeobraził, gdzieś znikła jego nerwowość i niedawna niepewność, cały jakoś się zebrał, wyprężył jak bojowy pies i kręcił się po sali, wyciągając spod łóżka umarłego sąsiada buty do golfa i czarną bejsbolówkę z białymi literami NY.

– Skrakle! – wykrzyknął, otwierając drzwi potężnym kopnięciem. – Niech rozsądzi nas sport.

Drzwi otworzyły się na oścież i na spotkanie Hnatowi Jurowyczowi wysypała się grupa pacjentów, którzy, jak się zdaje, podsłuchiwali całą naszą rozmowę i czekali na rozrywkę, której chyba nie było tu zbyt wiele. Bez wątpienia stawiali na Hnata Jurowycza, był ich faworytem, na mnie rzucali tylko prześmiewcze, pełne sceptycyzmu spojrzenia. Cały gwarny tłum ubrany był w szpitalne szlafroki i dresy, niektórzy mieli ordery wojskowe, niektórzy podarte w bojach mundurowe bluzy. Mężczyźni z laskami szczerzyli żółte zęby, a kobiety z rękami w gipsie uśmiechały się obficie wymalowanymi ustami, które upodabniały je do klaunów morderców. I cały ten kłąb chronicznych zachorowań potoczył się do sanatoryjnego ogrodu, za stare budynki, gdzie między jabłonkami wydeptany był spory placyk do gier. Razem z Olgą i Nataszą

pospieszyliśmy za pacjentami, Natasza w jednej ręce niosła inhalator dla starego, a w drugiej obite żelazem kołki, za pomocą których mieliśmy wyrównać rachunki. Całe moje zdecydowanie i duch bojowy szybko się rozwiały i zwietrzały. Olga rzucała mi zmartwione spojrzenia, jednak milczała, pewnie nie chcąc mnie ostatecznie nastraszyć.

W ogrodzie pod jabłoniami już rozciągał się Hnat Jurowycz, zręcznie zakładał nogę za głowę i przeciągał się jak kot w gęstej trawie. Bezsprzecznie mnie przerażał. Nie muszę dodawać, że w te skrakle nie grałem nigdy w życiu. Wszystko, co wiedziałem o tej grze, to chyba to, że zachwycał się nią, poza hrabią Tołstojem i akademikiem Pawłowem, Włodzimierz Iljicz Lenin, co, szczerze mówiąc, nie dodawało mi otuchy.

Wszyscy zajęli swoje miejsca. Hnat Jurowycz, Olga, Natasza i ja staliśmy na linii, a grupa wparcia rozsypała się po ogrodzie, zbierając skrakle i układając je we właściwy sposób. Hnat Jurowycz energicznie podszedł do Nataszy, wziął od niej jakieś kwasiarskie karmelki, wrzucił je do żelaznej paszczęki, przemielił przeciwpancernymi szczękami i wziął się do wyjaśniania zasad gry.

– Słuchaj teraz, wnusiu – powiedział, machając kołkiem. – Wszystko jest bardzo proste. Gramy w piętnaście figur. Kto zbije pierwszy, ten jest mistrzem. Kto przegra, do tego przychodzi urząd skarbowy.

– Niech mi pan da fory – poprosiłem.

– Ni cholery! – odkrzyknął i stanął na linii. – Figura pierwsza, armata! – zawołał w gęstwinę.

Pod oddalonymi jabłoniami zakrzątnęła się grupa wsparcia, stare umarlaki zaszumiały w trawie, układając dla nas armaty.

– No, dawaj, wnusiu, z Bogiem – powiedział Hnat Jurowycz i stanął z boku.

Wziąłem kołek. No cóż, pomyślałem, zaraz zobaczymy, na czyje wyjdzie.

Pierwszy rzucony przeze mnie kołek zarył się w piasku, nawet nie dolatując do celu. Tłumek po drugiej stronie radośnie zajęczał, spodziewając się zwycięstwa swego ulubieńca. Więc drugim kołkiem rzucałem, kierując się raczej ich głosami. Pocisk wzleciał w niebo i soczyście grzmotnął w potylicę jakiegoś umarlaka. Ten kwiknął i padł na piasek. Odciągnęli go pod jabłonie, obrzucając mnie wściekłymi spojrzeniami.

– No tak – przemówił sucho Hnat Jurowycz. – Nieźle jak na początek.

Dzielnie wypuścił kołek w powietrze. Drążek zrobił dziwaczne półkole i ostro pobłyskując, rozwalił ustawioną armatę. Hnat Jurowycz przeszedł na kolejną, bliższą, pozycję rzutu i drugim kołkiem dokończył to, co zaczął.

Po czym zwycięsko odwrócił się do Nataszy i krzyknął w czerwcowe powietrze:

– Figura druga, widelec!

Ułożono widelec. Dalej gra przebiegała w tym samym duchu: ja rozganiałem swoimi rzutami pacjentów, łamałem gałęzie jabłoni, zmuszałem kombatantów do błąkania się w trawie w poszukiwaniu pocisków, a stary z łatwością zbijał wszystkie swoje figury, coraz bardziej się emocjonując. Od czasu do czasu podchodziła do niego Natasza, wdychał wtedy z inhalatora jakieś dziwne wonności, dzięki którym jego ręka stawała się pewna, a wzrok się wyostrzał. W tym inhalatorze był jakiś eliksir młodości, który robił ze starym coś, przez co honorowy kombatant napinał się i podrywał, i z łatwością wybijał skrakle jak cudze kury z ogródka. A ja choćbym się nie wiem jak starał, spinał i wściekał, nic nie mogłem zrobić – moje kołki leciały wszędzie, tylko nie do celu. Po jakimś czasie pierwsza partia zakończyła się z haniebnym dla mnie rezultatem.

– Druga partia, druga partia! – radośnie nucił Hnat Jurowycz i ranni pacjenci też radośnie podchwycili ten zwycięski śpiew, i znów zaczęli układać figury.

Podszedłem do Olgi. Ciężko wzdychała i odwracała wzrok.

– Herman – powiedziała – jak na Sorosa, to chałowo grasz w skrakle.

Nie znalazłem odpowiedzi i znów zacząłem rzucać.

Drugą partię przegrałem jeszcze szybciej. Stary cieszył się i podskakiwał w miejscu, pokaleczeni pacjenci otoczyli go ze wszystkich stron i radośnie krzyczeli, gratulując mu tryumfu. Ja też podszedłem z ponurą miną. Hnat Jurowycz wycierał się frotowym ręcznikiem z Myszką Miki i starał się połknąć jakieś podłużne pigułki koloru sałaty.

– No jak, wnusiu – złośliwie zmrużył oczy – wszystko uczciwie?

– Uczciwie – musiałem przyznać.

– Wpadnij jeszcze kiedyś.

I cały tłumek radośnie zakrzyknął. Uścisnąłem jego starą, wypolerowaną przez lata pracy i partyjny staż prawicę i odwróciłem się, żeby odejść.

– Ej! – zawołał nagle Hnat Jurowycz. – Biznesmen chuja wart. Co, tak pojedziesz? A co ze sprawami?

– Przecież przegrałem – odpowiedziałem.

– Chodź tu – rozkazał Hnat Jurowycz.

Podszedłem.

– Co tam masz?

– Słuchawki – odpowiedziałem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Działają czy tak po prostu nosisz?

– Działają.

– No to zrobimy tak – zapalił się nagle jak mały chłopiec. – Ty mi dajesz słuchawki, a ja pomagam.

W milczeniu zdjąłem słuchawki, wyciągnąłem odtwarzacz i oddałem staremu. Zważył go w dłoni i popatrzył na mnie.

– Co z tobą, wnusiu? – zapytał. – Dlaczego tak łatwo oddajesz to, co do ciebie należy?

– Przecież pan poprosił.

– A jak poproszę, żebyś mi zrobił laskę, też się zgodzisz? – z zainteresowaniem zapytał Hnat Jurowycz.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Stary po prostu mnie dobijał.

– Trzymaj – podał mi odtwarzacz. – Trzeba bronić tego, co ci się prawnie należy. Albo będziesz łazić bez słuchawek, bez biznesu i partyjnego stażu. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziałem, usiłując nie patrzeć na Olgę.

– No to idziemy – ze znużeniem powiedział Hnat Jurowycz. – Dokumenty mam w sali. Będziemy ratować twój biznes.

8

Deszcz zlewał się z mrokiem i potoki wody grubymi nićmi wplatały się w powietrze. Jechaliśmy jak w strumieniu, nad którym zapadła ciemność. W środku tej gęstej rzeki poruszały się cienie i promienie, niewidzialni mieszkańcy wyłaniali się z mułu i podchodzili całkiem blisko, oglądając nas jak zatopionych rybaków. Deszcz był ciepły jak woda w ujściu rzeki. Fale zalewały skuter i kilka razy niemal zjechaliśmy z drogi. Olga zatrzymała się i rozglądała rozpaczliwie.

– Trzeba przeczekać – zawołała.

Strugi deszczu od razu zalały jej twarz, więc niemal nic nie usłyszałem, jednak zrozumiałem, co miała na myśli – trzeba gdzieś się zatrzymać, bo nie dało się jechać przed siebie.

– Gdzie? – krzyknąłem w odpowiedzi.

Zamyśliła się.

– Tutaj zaraz jest zakręt, możemy spróbować – krzyknęła.

Ruszyliśmy dalej, rozpędzając fale i strasząc rzeczne zwidy. Od czasu do czasu skuter grzązł w deszczu i zatrzymywał się, Olga w swoich okularach słonecznych prawie nie widziała drogi, więc poruszaliśmy się na oślep. Jednak zjechała z szosy we właściwym momencie i stoczyliśmy się na leśną drogę. Wąska, zarośnięta trawą asfaltówka wiła się między sosnami, zagłębialiśmy się coraz bardziej, trawa wkręcała się w koła i utrudniała poruszanie, jednak Olga wiedziała, dokąd jedzie, więc pewnie omijała krzaki i głębokie doły i niebawem znaleźliśmy się przed ciemną bramą.

Zeskoczyłem i zabrałem się do otwierania. Odwinąłem drut i odciągnąłem żelazną kurtynę, a Olga wepchnęła skuter na podwórze. Deszcz zalewał wszystko wokół i woda sięgała do kostek. Oczywiście był to dawny obóz pionierów, w oddali stały metalowe budynki, na które spadały deszczowe potoki. Po prawej znajdował się placyk z jakimś oblazłym pionierskim pomnikiem, za nim wysokie sosny, a nad nimi wisiał deszcz. Podtoczyliśmy skuter do budynku i postawiliśmy przy ścianie. Olga była tu chyba nie pierwszy raz, szybko przebiegła pod sąsiedni budynek, większy od innych, przeszła pod oknami i skręciła za róg. Było tam jeszcze jedno wejście, zarośnięte mokrymi kwiatami, zza których prawie nie było widać drzwi. Schyliła się nad zamkiem, coś pokręciła, drzwi nagle się otworzyły i wskoczyliśmy do środka, jakbyśmy trafili do blaszanego pudełka na chleb, w które wesołe dzieci tłuką kijami. Deszcz głucho uderzał w żelazne ściany domku, potrząsając nim i wypełniając go słodkim hurkotem. Przez ten mokry stukot, który wciąż nie ustawał, nie słyszeliśmy nawet własnych oddechów. Doszliśmy korytarzem do przestronnego pomieszczenia. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się półki ze starymi książkami, na pozostałych wisiały dziecięce rysunki,

na parapetach ciemniały doniczki z wysokimi kwiatami, na środku stała rozwalona kanapa z obiciem pociętym w wielu miejscach.

– To pokój leninowski – powiedziała Olga.

Energicznie podeszła do półki z książkami. Długo tam grzebała, jednak niczego nie znalazła.

– Skąd wiesz?

– Pracowałam tu kilka lat – wyjaśniła. – Tutaj mieliśmy zebrania i posiedzenia. Pamiętam, że z biblioteki nikt nie korzystał. Posłuchaj – odwróciła się do mnie – trzeba coś wymyślić z ubraniem. Jestem zupełnie mokra. Jeśli rozwieszę rzeczy, będziesz się normalnie zachowywał?

– W ogóle mogę wyjść. Chociaż oczywiście wolę zostać.

– W takim razie nie patrz na mnie, dobrze?

– A gdzie mam patrzeć?

– No dobra, patrz – zgodziła się. – Ale zachowuj się przyzwoicie.

Ściągnęła koszulkę i rzuciła ją na parapet. Obok rozwiesiła dżinsy. Na nich położyła okulary. Została w pomarańczowej bieliźnie i rzucała na mnie niezadowolone spojrzenia.

– Dobra – powiedziała – z boku może to dziwnie wyglądać, ale może ty też rozwieś swoje ubrania. Tak czy inaczej musimy tu przeczekać deszcz.

– Jest tu ochrona? – zapytałem.

– Tak w ogóle to jest. – Ale co tu chronić w taką pogodę? Są chyba w mieście. Więc się nie bój.

– Nie boję się.

Jednak się nie rozebrałem. Kto ją wie, czy będzie się normalnie zachowywać. Walnąłem się na tapczan, który rozłożył się pode mną ze skrzypieniem, i leżałem w ciemności, słuchając miarowej pracy deszczu podobnej do szumu starych okrętowych silników. Olga pokręciła się po pokoju, obejrzała

rysunki, wyciągnęła skądś paczkę pionierskich czasopism i położyła się obok mnie. W ciemności, gęstej i zmieszanej z wilgotnym powietrzem, czytać było trudno, więc tylko przeglądała kolorowe obrazki. Odwróciłem się do niej i też zacząłem oglądać. Zauważywszy to, zatrzymywała się na każdej stronie, żebym mógł się wszystkiemu przyjrzeć jak należy.

– Kiedy tu pracowałam – powiedziała – czytaliśmy te pisma na głos. Przed snem.

– Dlaczego już nie pracujesz z dziećmi?

– Jakoś się nie złożyło. Nie podobali mi się pionierzy. Tyle mieli gówna w sobie.

– Poważnie?

– Yhm. Chociaż może to niepedagogicznie tak mówić.

– Może.

– A ty w dzieciństwie jeździłeś na obozy? – zapytała nagle. – Mam na myśli pionierskie.

– Nie, słabo się przystosowywałem do grupy, nigdy mnie przez to nauczyciele nie lubili.

– No to cię to nie zainteresuje – powiedziała Olga i rzuciła czasopisma na podłogę.

– Interesuje mnie. Naprawdę. Często na przykład wspominam lekcje niemieckiego. To w ogóle jakaś dziwna akcja była w radzieckiej pedagogice: uczyć niemieckiego. Był w tym jakiś niezdrowy antyfaszystowski patos. No i gdzieś w czwartej, piątej klasie mieliśmy takie zdanie: rozdawali nam takie kartki pocztowe z widokami miast, takie, pamiętasz, sprzedawali je na pocztach w kompletach.

– Nie pamiętam.

– Sprzedawali. Powiedzmy, kartki z widokami Woroszyłowgradu. Teraz już nie ma takiego miasta, a ja przez kilka lat opowiadałem o nim po niemiecku. Ciekawe, co?

– Bardzo.

– Na tych kartkach z zasady były jakieś budynki administracji albo pomniki. No jakie mogły być pomniki w Woroszyłowgradzie? Chyba Woroszyłowa. Już, prawdę mówiąc, nie pamiętam. I trzeba było opowiadać o tym, co widzisz. A co widzisz na takiej kartce? Sam pomnik, koło niego klomb, obok koniecznie musi ktoś przechodzić, z tyłu może jechać trolejbus. A może zresztą nie jechać. Wtedy gorzej, bo nie ma o czym opowiadać. Może świecić słońce. Może leżeć śnieg. Woroszyłow mógł być na koniu, a mógł być bez konia. Co znowu jest gorsze, bo o koniu można opowiedzieć oddzielnie. I zaczynasz opowiadać. A co można opowiedzieć o tym, czego naprawdę nie widziałaś? I zaczynasz się wykręcać. Można było najpierw opowiedzieć o samym pomniku, to znaczy o tym, kogo przedstawia. Potem trzeba było brać się do przypadkowych przechodniów, którzy weszli w kadr. I co mogłaś o nich opowiedzieć? To, mówisz, kobieta ma żółty sweter i czarną sukienkę. Niesie w ręku, powiedzmy, siatkę. Powiedzmy z chlebem. Potem, kiedy omówiło się przechodniów, można było powiedzieć kilka słów o pogodzie. Ale najważniejsze, co chcę powiedzieć: wszystko to było tak nieprawdziwe, rozumiesz, jak te pocztówki, wszystkie te opowieści, cały ten język, zbiór kilkudziesięciu słów, akcent, starania, żeby ojebać jakoś tę nieszczęsną nauczycielkę. Od tego czasu nie cierpię niemieckiego. I w Woroszyłowgradzie nigdy nie byłem. Zresztą teraz nie ma żadnego Woroszyłowgradu.

– I po co mi to opowiedziałeś? – zapytała Olga.

– No jak to po co? – zdziwiłem się. – No, a powiedzmy, ta sytuacja z bratem. Przypomina mi lekcje niemieckiego. Pokazują mi jakiś obrazek i proszą, żebym opowiedział, co widzę. A ja, Ola, nie lubię opowiadać o tym, czego nie znam. I nie lubię tych wszystkich obrazków. I nie lubię, kiedy przypiera się

mnie do muru i żąda, żebym grał według cudzych zasad. Dlatego że zasady mają sens, dopóki ich się przestrzega. A kiedy tylko o nich zapominasz, okazuje się, że nikomu nic nie jesteś winien i nie musisz wymyślać różnych głupot o tym, czego nie znasz i co, ogólnie rzecz biorąc, do niczego nie jest ci potrzebne. I wtedy okazuje się, że możesz się obejść zupełnie bez tych wszystkich wymyślonych rzeczy i że nie ma żadnych zasad. I w ogóle żadnej z tych rzeczy, które ci pokazują, nie ma, a więc i opowiadać nie ma o czym. I wszystko to tylko próby wykorzystania cię. Zgodnie z wszelkimi zasadami. Prawie tak jak w szkole. Rzecz w tym, że dawno już dorośliśmy, a traktuje się nas dalej jak dzieci, czyli jak ograniczoną, kłamliwą, nierozumną hołotę, którą się ciągle pomiata, wyciągając od niej właściwe odpowiedzi.

– Jak to nic nie ma? – nie zgodziła się Olga. – Przecież ty jesteś, mam rację? I ja też jestem.

– Słusznie – potwierdziłem. – Ja jestem. A Woroszyłowgradu nie ma. I z tym trzeba się liczyć.

– No, z pionierami mniej więcej to samo było – powiedziała na to wszystko Olga. I nawet nie zauważyłem, kiedy zasnęła.

*

Ulewa nie miała zamiaru minąć, dalej tłukła w blaszane pudełko pokoju leninowskiego, wypełniając ciemność monotonnym stukotem. I robiło się coraz zimniej w tych pionierskich ścianach. Moje ubranie – mokre i ciężkie – ciągnęło mnie na dno jak nurka, a tam na dnie, gdzie kończył się deszcz, leżała ciemność gęsta jak atrament, było jeszcze zimniej i choćbym nie wiem jak się starał nie zwracać na to uwagi, nijak nie udawało mi się rozgrzać. Olga leżała obok w swojej pomarańczowej bieliźnie i drżała przez sen, jej skóra zimno świeciła, a kiedy jej dotknąłem, okazało się, że w dotyku była jak

woda w rzece – czuła i chłodna. Najważniejsze, pomyślałem, żeby się nie obudziła.

Głaskałem jej mokre włosy, jakbym zanurzał palce w tafli rzeki, a powierzchnia ta była cicha i gęsta, tak że nie można było nic przez nią zobaczyć. Starałem się sięgnąć do dna i wyławiałem muszle, bojąc się trafić na haczyki od wędek, zostawione wcześniej przez kogoś. Oczy miała zamknięte, powieki przejrzyste jak lód, pod którym można było zobaczyć pochmurne cienie topielców i ciemnozielone powolne wodorosty, jak kłęby trawy na stepie toczące się z podwodnym prądem jej ciała gdzieś na południe, w stronę serca. Posuwając się za tymi zielonymi pędami, ostrożnie dotykałem jej miękkich policzków, pod którymi zapadała ciemność i skóra była wyjątkowo cienka, jak pajęczyna, która rwie się na wietrze. Coś szeptała przez sen, nie wiadomo co, ale jej usta poruszały się ledwo zauważalnie, jakby rozmawiała sama ze sobą, zadawała sobie pytania, ale nie chciała na nie odpowiadać. I jej obojczyki połyskiwały w ciemności, podobne do morskich kamieni wyszlifowanych przez fale. Dotykając ich, starałem się poczuć ruch wodorostów w głębinie i słyszałem, jak bije jej serce – miarowo i spokojnie, jak słonecznik obracający się za słońcem, które wisi na deszczowym niebie. I ostrożnie, ledwo dotykając jej piersi, żeby nie zakłócić oddechu, schodziłem dalej, i jej skóra była gęsta i sprężysta jak płótno morskich flag, które powiewają na wietrze, wskazując kierunek ruchu chmur i ptaków. I dalej, śledząc ruch krwi przez kapilary, dotykałem nóg, kruchych porcelanowych kolan i niemal nieważkich łydek, dotykałem palców jej stóp pocętkowanych lakierem jak resztki serwisów do herbaty, i znów wspinałem się w górę, jakbym unosił piasek z dna rzeki. I nagle odwróciła się do mnie, nie otwierając oczu, i też ostrożnie natknęła się na mnie dłonią,

wślizgnęła pod podkoszulkę i dotykała mnie, jak dotyka się powietrza. W ciemności i wodzie, która lała się z niebios, leżeliśmy na rozwalonej kanapie, obejmując się ostrożnie jak pionierzy. Ona coś mówiła przez sen, starałem się nie mieszać do jej rozmów, nie przeszkadzać jej, niech mówi, myślałem i dotykałem jej piersi. Ściągnęła ze mnie koszulkę i coś szeptała, przyciskając się i jakby coś odczytując na mojej skórze, jakieś wiadomości, które zrozumieć mogła tylko ona. Nie pamiętałem, żeby ktoś z taką uwagą traktował moją skórę. Badała ją cicho i rzetelnie, jakby szukała śladów ukłuć albo starych oparzeń, które dawno się zagoiły, ale nadal bolały. Pomyślałem nawet, że mnie nie poznaje, myśli, że ja – to ktoś inny, ktoś, z kim chciała porozmawiać. I kiedy nachyliła się nade mną zupełnie nisko, pociągnąłem ją do siebie. Ale ona łatwo się wykręciła i znalazła gdzieś za moimi plecami, przysunęła się i powiedziała:

– Słuchaj – nie wymieniła mojego imienia – póki po prostu się dotykamy, nie przekraczamy linii. Wszystko jest w porządku, rozumiesz?

– Jakiej linii? – nie zrozumiałem.

– Czerwonej – wyjaśniła. – Wszystko zostaje na swoim miejscu. Ale jeśli zaczniemy się całować, no, z języczkiem, rozumiesz, to zepsujemy wszystko.

– Wszystko? – nie uwierzyłem.

– Wszystko – potwierdziła Olga. – Więc śpij.

Zeskoczyła na podłogę i wyszła na dwór.

*

A ja leżałem w ciemności i nie mogłem zasnąć, przyglądałem się odblaskom na suficie, słuchałem stukotu za ścianą, czułem, jak drzewa obstępują budynek, i nie mogłem zrozumieć, dokąd ona poszła, dlaczego się zatrzymała. Przechyliłem

głowę tak, że niebo zamieniło się miejscami z ziemią, i popatrzyłem na ścianę obwieszoną rysunkami. Na białym tle wyglądały ciemno i tajemniczo. Pionierzy malowali przeważnie akwarelami, linie były grube, wyglądały ciężko, jak namalowane krowią krwią albo gliną. Zacząłem oglądać te obrazki. Stopniowo zrozumiałem, że nie były rozwieszone tak po prostu, że tworzą całe historie, kawałki jakichś opowieści, jak na ścianach kościoła, tylko że namalowane akwarelami. Na tych na górze przedstawieni byli jacyś dziwni mężczyźni z bronią w rękach i maskami zwierząt na głowach. Niszczyli całe miasta, wyrąbywali wysokie drzewa i wieszali na balkonach zwierzęta domowe. Odrąbywali przekupniom uszy i wyłupywali oczy, prowadzili z pustki ciężkie słonie bojowe, które zionęły strumieniami ognia i miały pofałdowane skrzydła jak nietoperze. Na innych obrazkach kobiety rozniecały ogniska i wrzucały do nich zabawki i ubrania umarłych, wypalały sobie wzajemnie na skórze dziwne znaki, które świeciły w ciemności i do których zlatywały się czaple i sowy. Wybierały spośród siebie najpiękniejszą, wsadzały ją do wielkiej klatki i topiły w rzece, opuszczały na dno, gdzie wokół niej zbierały się trytony i diabły morskie, którym śpiewała piosenki i pokazywała sztuczki karciane. Na jeszcze innych kartkach, malowanych niebieską gliną, kobieta rodziła dziewczynkę z dwiema głowami, która od razu zaczynała mówić jednocześnie w dwóch językach. I nikt nie mógł pojąć, co to za języki, dlatego dziewczynkę wysłano do dalekich miast, żeby mogła porozumieć się z ludźmi. I tam, gdzie się zatrzymywała, zaczynała się jakaś straszna zaraza, z nieba spadały martwe ptaki i wypełzały z nor półprzytomne węże, i mężczyźni tracili rozum, słuchając jej słów, a kobiety wskakiwały do rzeki i płynęły z prądem, trzymając na głowach zawiniątka z ubraniami i świętymi księgami.

Na ostatnim obrazku przedstawiony był pogrzeb, procesja dzieci i starych ciągnęła dwie otwarte trumny, w których nikogo nie było, i wszyscy kłócili się, którą trumnę należy zakopać. I wokół nich stały woły i czaple, a nad ich głowami po niebie latały gwiazdy z przesuniętymi orbitami. I dzieci, nie zdecydowawszy w końcu, którą z trumien zakopać, zaganiały do grobu wielkiego zmęczonego wołu i zasypywały go gęstą i grząską jak masło orzechowe ziemią. Zwierzę stało po pas w grobie niczym wykopany niemiecki czołg na stanowisku, z jego pyska wylatywały nieznane znaki, których dzieci nie mogły przeczytać, bo nie chodziły do szkoły i nie znały alfabetu. Stały tylko obok z łopatami w dłoniach i słuchały zwierząt, które usiłowały powiedzieć im coś ważnego i groźnego.

*

Kiedy uporałem się z obrazkami, ostatecznie się zaniepokoiłem i ruszyłem na poszukiwania. Otworzyłem drzwi i od razu znalazłem się w deszczu. Próbowałem krzyczeć, ale szybko wymiękłem. Gdzie ona mogła być? Skręciłem za róg, przeszedłem do sąsiedniego budynku. Zbliżyłem się do bramy i na placyku zobaczyłem Olgę. Stała i jakoś dziwnie się wyginała. Podnosiła ręce, jakby łapała krople, i wystawiała twarz na deszcz. Cicho ją zawołałem, ale nie usłyszała. Nagle zrozumiałem, że ona grzeje się w tym deszczu, że na dworze teraz jest o wiele cieplej niż w żelaznych ścianach pokoju leninowskiego i ona po prostu wyszła się ogrzać. Podstawia pod ciepłe potoki wychłodzoną skórę i rozgrzewa się. Dziwnie było na to patrzeć, ona jakby mnie nie widziała, chodziła po asfalcie, wypłukując chłód z ciała. I oczy miała zamknięte, jakby po prostu chodziła przez sen. Trzeba było ją zabrać, żeby nie wyszła za bramę i nie znikła w lesie. Spróbuj ją rano znaleźć. Cicho podszedłem i dotknąłem jej ręki. Uniosła powieki

i uważnie na mnie popatrzyła. Jej oczy w ciemności miały kolor niebieskiej gliny, którą pionierzy malowali swoje potwory. Przyglądała mi się przez jakiś czas, w końcu uwolniła swoją dłoń i ruszyła do budynków.

– Idziesz spać? – zapytała, oglądając się.

– A co mam robić – powiedziałem, nie odwracając wzroku od jej glinianego spojrzenia.

– I przestań tak na mnie patrzeć.

Oczywiście spaliśmy źle.

*

Rano słońce rześko przeganiało wzdłuż sosnowych pni deszczowe chmury, kałuże dymiły, ptaki piły wodę z ciemnozielonych liści. Olga wykręcała i strzepywała swoją koszulkę, starając się nie patrzeć w moją stronę. Ja też czułem się nie najlepiej, męczyły mnie wątpliwości i wyrzuty sumienia, być może zrobiłem coś nie tak, może jednak powinniśmy uprawiać seks? A jeśli powinniśmy – to dlaczego? Jednym słowem, naprawdę czułem się jak pionier, który na nic nie liczył, a do tego nic mu nie wyszło.

– Herman – powiedziała sucho Olga – mam nadzieję, że normalnie potraktujesz to, co było wczoraj wieczorem.

– Tak – uspokoiłem ją. – Szczególnie te czasopisma z obrazkami.

– To bardzo dobrze – powiedziała niedbale. – Bardzo dobrze.

I poszła w kierunku drzwi.

– Zapomniałaś okularów – krzyknąłem za nią.

– Możesz je sobie wziąć – nawet się nie odwróciła.

Tak też zrobiłem.

*

Niebawem lasy się skończyły i wokół nas rozciągały się szerokie, wypełnione chmurami i wilgocią równiny, za którymi w słonecznym blasku zaczynała się lekka, głęboka pustka, otwierała się wprost pod naszymi stopami na wschód i południe, ciągnęła się i wsysała w siebie resztki wody i zieleń, wypełnioną światłem trawę, wciągała grunty i jeziora, niebiosa i złoża gazu, które świeciły tego ranka pod ziemią, złotymi żyłami występując na skórze ojczyzny. I gdzieś na południu, za różowymi chmurami świtu, po drugiej stronie porannej pustki, wyraźnie wyłaniały się z powietrza bramy niebieskiego Woroszyłowgradu.

*

Przy dystrybutorach panował strach i zamęt. W fotelu, opierając głowę na dłoniach, o czymś rozmyślał Traumowany. Obok niego rozwalił się na katapulcie Kocza, wściekle rozglądając się wokół. A obok Koczy na ziemi leżał jakiś facecik w przepalonej marynarskiej koszulce, okryty jakimś kocem, zdaje się tym, którym ja się przykrywałem. Facecik patrzył z przerażeniem i raz po raz chował głowę pod koc. Obok stała przestraszona Katia, trzymając za obrożę nie mniej przestraszoną Pachmutową, która ocierała się o jej gołe łydki i dżinsowe szorty. Cała piątka wyglądała marnie. Widać było, że na mnie czekali, ale jak tylko się pojawiłem, zaczęli odwracać wzrok i nerwowo milczeli, czekając, aż odezwę się pierwszy.

– Co jest? – zaniepokoiłem się.

– Słabo, bracie – zabuczał Kocza.

Facecik na ziemi też się ożywił i wiercił się obrażony, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego.

– Pierdolę taki biznes! – Traumowany zerwał się nagle z fotela i znikł w garażu.

– No, co jest grane? – dopytywałem się.

– Cysternę nam spalili – poinformował Kocza. – I Petrowycz też się poparzył.

Petrowycz wysunął głowę spod koca i skwapliwie nią pokiwał.

– Zatrzymał się tu niedaleko. No, a oni, znaczy, prosto do kabiny, dwie butelki z benzyną wrzucili. Mało kumpla mi nie spalili. – Kocza poklepał Petrowycza po ramieniu. – Katka zobaczyła i nas zawołała, jakby nie, to zrobiliby z Petrowycza szałarmę.

– Byłam na spacerze z Pachmutową – wyjaśniła Katia z przestrachem. – Akurat na szosie.

– Wezwaliście milicję?

– Pewnie, że wezwaliśmy – pokiwał głową Kocza. – Ale co tu po milicji? I tak wszyscy wiedzą, kto to zrobił. Tylko im nie udowodnisz.

– A Petrowycz co? Nic nie widział?

– Petrowycz pęka i nie chce zeznawać – bez złości powiedział Kocza. – Tak, Petrowycz?

Petrowycz z miną skazańca pokiwał głową i pobrnął gdzieś za budkę, owinięty kocem jak pałatką.

– Kocza, ale jak to spalili? – nie rozumiałem.

– Normalnie, spalili. Nie jesteśmy pierwsi. Dobrze, że nie stację.

– I co teraz robimy?

– Nie wiem, Herycz – odpowiedział uczciwie Kocza. – Trzeba zamknąć.

– A po jakiego chuja?

– Inaczej przecież spalą, bracie. Jeśli chcieli spalić Petrowycza, to co może być dalej? Petrowycz tu od dwudziestu lat szoferuje.

– Niczego nie będę zamykać – odpowiedziałem.

– Jak chcesz – wychrypiał Kocza.

– Zostajesz?

– Zobaczymy – odpowiedział niechętnie. – Za stary już jestem na takie gierki.

– A co z benzyną?

– Trzeba nową kupić.

– A kasa?

– Kasy, Herycz, nie ma. I się na nią nie zapowiada.

Kocza, zdaje się, znów nie zmrużył oka w nocy, więc po prostu zasypiał w czasie rozmowy. Poszedłem do Traumowanego. Ten też wyglądał na zagubionego i też uważał, że naprawdę lepiej zamknąć stację. Przynajmniej na jakiś czas. Jeśli cysternę podpalili kukuruźnicy, wątpliwe, żeby na tym się skończyło, to nie w ich stylu – nie kończyć tego, co zaczęli. Psiarnia, oczywiście, nic nie zrobi, opinia publiczna też, o ile wiadomo, nie jest po naszej stronie, więc nic dobrego z tego wszystkiego wyjść nie mogło.

– No, a jeśli nie zamkniemy? – zapytałem.

– Można i nie zamykać – odpowiedział Traumowany. – Myślisz, że ja się ich boję? Mnie tam po chuju. Ale ty jutro wyjedziesz, a mnie i Koczę usmażą, kiedy będziemy spać.

– A z czego wnosisz, że wyjadę? – obraziłem się.

– Z twojej biografii – odpowiedział Traumowany. – Zawodowej.

– Co ty wiesz o mojej biografii?

– Herman – cierpliwie tłumaczył Traumowany – co ty mi tu wciskasz? Dobrze ci gadać, zawsze masz dokąd wracać. A my co mamy robić?

– Szura – też próbowałem się uspokoić i mówić rozważnie – zróbmy tak: ja nigdzie nie jadę i nie zamykamy stacji.

– Nie jedziesz?

– Nie jadę.

– No, nie wiem. Dzisiaj nie jedziesz, a jutro śladu po tobie nie będzie.

– Szura, nie jadę znaczy nie jadę.

– No, nie wiem – Traumowany dalej się wahał.

– A co zrobimy z benzyną?

– Benzynę trzeba kupić – odpowiedział Traumowany – ale nie ma kasy. Za spaloną nikt nam niczego nie odda, nawet o tym nie myśl.

– Dobra, zrobimy tak – powiedziałem po zastanowieniu – dam swoje pieniądze, potem sobie odbiję.

– Masz pieniądze?

– Niewiele – uprzedziłem.

– Dobra – powiedział Szura.

Poprosiłem go o telefon i zadzwoniłem do Lolka.

– Lolek! – Z drugiej strony słyszałem niezadowolony oddech. – Co tam u was?

– Hera! – jakoś nerwowo odezwał się Lolek. – Ale dałeś. No, kto tak robi? Kiedy wracasz?

– Lolek – przerwałem. – Posłuchaj! Mam tu problemy.

– Żenisz się.

– Nie. Na razie nie. Ale potrzebuję moich pieniędzy.

– Po co?

– Mam problemy, Lolek. Z biznesem.

– Masz biznes?

– Brat ma, opowiadałem ci.

– No i?

– Słowem, potrzebne mi moje pieniądze. Przywieziesz?

– Hera, rozumiesz, o co prosisz? Nie mogę wszystkiego rzucić, żeby wozić ci pieniądze.

– Ale ja bardzo potrzebuję – wyjaśniłem. – Inaczej będę miał jeszcze większe problemy. Weź, Lolek, pomóż ostatni raz.

– Hera, po co ci pieniądze?

– Przecież ci wyjaśniłem.

– Nie wiem. Przyjedź, pogadamy. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

– O, to, to – potwierdziłem. – Kiedy możesz podrzucić?

– Ale po co ci pieniądze? Nie rozumiem.

– Cysternę mi spalili, nie mam za co benzyny kupować. Weź, Lolek, rusz dupę i pomóż przyjacielowi.

– No, nie wiem – powtórzył niepewnie Lolek. – Muszę z kierownictwem pogadać. Teraz na pewno nie mogę. Może za dwa dni.

– Weź, bracie, no weź – krzyczałem do słuchawki. – Inaczej mnie też spalą. Wiesz, gdzie leżą? – zapytałem.

– Wiem – ponuro odpowiedział Lolek. – W Heglu.

– Dokładnie – potwierdziłem. – Drugi tom.

– Wiem, wiem – odpowiedział Lolek i znikł z eteru.

– Kto to? – zapytał Traumowany, który słuchał całej rozmowy.

– Koledzy partyjni – oddałem mu telefon.

– Zapisać numer czy skasować? – zainteresował się.

– Możesz skasować. Oni sami cię znajdą.

Traumowany wziął młotek i zaczął klepać jakąś blachę. Wyszedłem na dwór, popatrzyłem w niebo. Było głębokie i zachmurzone. Chmury wyglądały na ciężkie, przepełnione. Jak cysterny.

9

Tego dnia wszystkie rozmowy kręciły się wokół spalonego samochodu. Katię z suczką odprawiliśmy do domu i nakazaliśmy nie wychodzić poza teren służbowy. Ja czułem się prawdziwym biznesmenem i gdzieś w środku nawet cieszyłem się, że wszystko się tak złożyło. Teraz nikt nie mógł mi

powiedzieć: no, koleś, nie potrzebujemy cię tutaj, odsuń się, nie przeszkadzaj. Przecież spalili także moją cysternę. Poza tym postanowiłem wyłożyć wszystkie swoje skromne oszczędności, więc sprawa robiła się gardłowa. Kocza nabrał otuchy po porannym przypływie słabości, do pracy jednak nie ruszył, siedział na katapulcie, palił jointy, opędzał się od klientów, słuchał muzyki z mojego odtwarzacza i opowiadał historię powstawania małego biznesu w naszym regionie. Petrowycz siedział obok niego, też dużo palił i przemywał rany spirytusem. Oczywiście spirytus go ruszył, już przed dwunastą był pijany w trzy dupy, gdzieś o trzeciej po południu Traumowany wezwał pogotowie, przyjechało i zabrało Petrowycza do domu, żeby odpoczął. Takie tu były porządki. Siedziałem i słuchałem Koczy, euforia wciąż nie mijała i stary, znalazłszy wdzięcznego słuchacza, rozwodził się na temat jednej wyjątkowo pojechanej brygady, która jakieś dziesięć lat temu pracowała tu na trasie.

– Dokładnie – mówił Kocza, zacinając się, przez co słowa wylatywały ochryple i przeciągle – wszystkich ich znałem, Herycz, wspaniali ludzie. Prości i pracowici, mówię ci. Po prostu palili dużo, a to przecież pieniądze, rozumiesz. Kupili gdzieś całą partię kałaszy. Chcieli sprzedać, a tu kryzys. No i co robić, przecież nie wyrzucisz, prawda? Wzięli się za robienie autobusów do Charkowa. Dwóch kupowało bilety i wsiadało do środka. Reszta na wyjeździe, o tam, zaraz obok – Kocza pokazywał w kierunku szosy – już czekała w samochodzie. Auta kradli stare, żeby potem nie było szkoda porzucać, przecież mówię: w porządku byli kolesie, po prostu blanty, bracie, no sam rozumiesz, tak? Mieli takie głupawe zimowe czapki z wycięciami na oczy. Naciągali te czapki na twarze, zatrzymywali autobus i kosili wszystko, co mogli znaleźć. Dla kamuflażu obrabiali też swoich, podstawionych.

– Tak, a po co ich podstawiali? – spytałem.

– Dla fałszywych zeznań – wyjaśnił Kocza. – Oni specjalnie plątali się w zeznaniach, wciskali różne pierdoły i kołowali śledczych. Jasne?

– Jasne.

– A było to zimą – kontynuował. – Czapek nie zdejmowali. I przez nie ich złapali. Ale trzy autobusy obrobili. – I Kocza patrzył rozmarzony gdzieś na trasę, gdzie stały cienie jego kumpli z Rostowa, trzymając w dłoniach sportowe torby pełne banknotów i machając do Koczy jak do starego znajomego.

*

Postanowiliśmy, że będziemy dyżurować przy dystrybutorach, żeby ich nie spalili.

– Aha, bracie – wychrypiał Kocza – spalą momentalnie, żebyś wiedział. Spać nie mam zamiaru. Co ja głupi? Nie chcę, żeby mnie usmażyli, mówię ci, bracie.

W międzyczasie zjechał rowerem w dolinę i przywiózł kilka butelek wina, rozłożył się na katapulcie, obłożył chlaniem i dalej mówił o tym, że przez sen go nie związą i nie usmażą, że był w desancie i nie takie rzeczy widział, i wie, jak się obchodzić z tymi kotami.

– Nie bój się – mówił, podając mi butelkę – jak trzeba, mogę i nożem, i nunczakiem.

Pod wieczór Kocza zaczął rozpalać ogień zaraz obok dystrybutorów, próbowałem go powstrzymać, ale się rozsierdził, krzyczał, że lepiej wie, co robić, przytoczył skądś dwie puste blaszane beczki, napchał je starymi gazetami i wszystko to podpalił. Gazety nie tyle się paliły, ile śmierdziały. Przybiegł Traumowany, długo wyzywał Koczę, prosił, żebym zalał beczki wodą. Zanim pojechał do domu, namawiał Koczę, żeby poszedł spać, ale stary uparcie odmawiał i w ogóle zachowywał

się zuchwale i niekonsekwentnie, zwymyślał Traumowanego od starych pedałów i jednocześnie chciał się z nim całować. Traumowany w końcu nie wytrzymał tego wszystkiego i wściekle błyskając oczami, pojechał do miasta. Kocza posyłał za nim przekleństwa i pocałunki i pił z gwinta. Usadowiłem się koło niego i szykowałem się do długiej bezsennej nocy. Jednak o dziesiątej Kocza mocno zasnął i wszystkie próby obudzenia go okazały się bezskuteczne. Wziąłem go na ręce i jak dziecko zaniosłem do przyczepy. Zamknąłem drzwi od środka i też beztrosko zasnąłem. Jeśli nas spalą, mojego trupa będzie można poznać po słuchawkach. A trupa Koczy, pomyślałem, zupełnie już zasypiając – po dziarach WDW*.

*

Obudził mnie Traumowany. Nachylał się nade mną i z niezadowoleniem przyglądał się mojemu porannemu rozmemłaniu. Koczy w przyczepie nie było. Zegarek pokazywał siódmą.

– Gdzie Kocza? – nie rozumiałem, co się dzieje.

– A skąd mam wiedzieć? – odpowiedział Traumowany.

– A co ty tak wcześnie? – dopytywałem się, kiedy wstałem i odzyskałem przytomność.

Miałem na nosie okulary słoneczne w żółtych oprawkach, które wczoraj wziąłem od Olgi. Spałem w nich. Możliwe, że dlatego nie widziałem żadnych snów. Zdjąłem je i włożyłem do kieszeni kurtki, razem z odtwarzaczem i słuchawkami.

– Nie mogłem zasnąć w nocy – wyjaśnił Szura.

– Martwiłeś się?

– Gdzie się martwiłem – zezłościł się Traumowany. – Byłem u znajomej. W gościach – dodał. – I jakoś nad ranem

* WDW – ros. Воздушно-десантные войска (Wojska Powietrzno-Desantowe) [przyp. tłum.].

pomyślałem, pojadę, popatrzę, żeby te palanty wszystkiego tam nie spaliły. No i zostawiłem znajomą, zachowałem się po chamsku, z domu wyrzuciłem. Przez was, Herman – dodał i splunął. – A jak spytasz, po jakiego chuja, to nie umiem odpowiedzieć.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Traumowany ze zdziwieniem wyciągnął go z kieszeni i przyłożył do ucha.

– A, to ty. Gdzie jesteś? – zapytał. – Po co? No dobrze.

– Do ciebie – wcisnął mi telefon.

Wziąłem go, równie zdziwiony.

– Halo?

– Tak, bracie – to był Kocza, głos całkiem mu wysiadł. – Słuchaj, słabo jest.

– Gdzie jesteś?

– Mama… – powiedział na to Kocza.

– Co mama?

– Mama umarła – wysyczał.

– Twoja mama? – zapytałem.

– Nie moja, no co ty – wyjaśnił Kocza. – Tamary. W nocy mnie wezwali.

– Ale dlaczego cię wezwali? – nie rozumiałem. – Co ty patomorfolog jesteś?

– Bracie – mówił smutno Kocza. – Ona była dla mnie jak rodzona. A teraz tu leży. Nieżywa – dodał z jakiegoś powodu. – I ani pary z ust. I całe to ich cygaństwo się zebrało – wyszeptał z rozdrażnieniem. – Już nocą się zjechali, rozumiesz. Tamara przybita, oni, ludzie z Kaukazu, szczególnie to przeżywają, wiesz. Jednym słowem, taki burdel… – zakończył żałobnie.

– Zaraz tam będziemy – powiedziałem. – Może trzeba coś przywieźć?

– Garnitur weźcie – poprosił Kocza. – Bo jestem tu jak na sali operacyjnej, bez niczego.

*

– Kocza tak się martwi – mówiłem Traumowanemu po drodze, kiedy mknęliśmy przez miasto do starego mieszkania Koczy.

Na kolanach trzymałem świąteczny garnitur starego w niebieskich odcieniach. – I dla Tamary to taki cios.

– A dla niej dlaczego? – zapytał Traumowany.

– No, jak to dlaczego? – zdziwiłem się. – W końcu to mama.

– Czyja mama?

– Tamary – wyjaśniłem. – Żony Koczy.

– Cholera, Herman – nie wiadomo dlaczego rozzłościł się Szura. – Żoną Koczy była Tamila.

– A Tamara? – znów nie rozumiałem, o co chodzi.

– A Tamara to jej siostra. Cioteczna.

– Gruzinka?

– Cyganka z Rostowa.

– Jak to Cyganka? Kocza mówił, że z Kaukazu.

– Dla Koczy Kaukaz zaczyna się gdzieś koło Rostowa – odpowiedział na to Traumowany. – Ten głupek żył z nimi dwiema, z Tamilą i Tamarą. On, zdaje się, je mylił. Ich rodzice za to go nie lubili. A teraz widzisz, mama, mama.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. A on nie miał nic do dodania. I tak dojechaliśmy na miejsce.

*

Pod drzwiami stali kuzyni, z wyglądu przypominali raczej Serbów niż Gruzinów. Mężczyźni mieli czarne garnitury i koszule w jaskrawych kolorach – niebieskie, żółte i różowe. Kobiety ubrane były na czarno, w dłoniach trzymały różańce, przesuwały je między palcami delikatnie i w skupieniu, jakby pisały do kogoś esemesy. Wszędzie biegały dzieci, też w czarnych garniturkach, z mokrymi, schludnie uczesanymi włosami. Ze

znajomych zobaczyłem Ernsta, który miał na sobie paradny mundur austriackiego policjanta i wyczyszczone na błysk rosyjskie glany. W tłumie przechadzał się też Nikołaj Nikołaicz z czarną saszetką przytroczoną do prawego nadgarstka. Bujała się na jego dłoni jak kotwica. Wśród kobiet wyróżniały się tuszą dwie Hiszpanki, każda trzymała wieniec, jedna od związków zawodowych, druga od czarnobylców. Ernst uroczyście mi zasalutował, Nikołaicz potrząsnął swą ptasią głową, Hiszpanki ostentacyjnie nie zwracały na mnie uwagi. Szura z pochmurną twarzą przeszedł do klatki, wytyczając szlak przez tłum serbsko-gruzińskich kuzynów. Na schodach pomiędzy drugim a trzecim piętrem stali goście ze strony dziewczyny i palili. Przy czym, bydło, palili konopie, nawet się z tym nie kryjąc. Wspięliśmy się na trzecie piętro. Drzwi były uchylone. Weszliśmy do środka.

W pokoju panował przygłuszony, nieco nerwowy hałas, jakby ktoś się żenił, ale z przymusu. Po korytarzu biegały czarnowłose i ubrane na czarno kobiety z naczyniami i butelkami, energicznie przechodzili mężczyźni, przenosząc tam i z powrotem krzesła, siekiery i łopaty, pod nogami kręciły się dzieci, ściskając w dłoniach miętowe cukierki i odrąbane kurze głowy. Przeszliśmy do kuchni. Kocza siedział na starym stołku, w długiej białej podkoszulce i czarnych wojskowych majtkach. A dookoła krzątały się kobiety, usiłując udobruchać go na wszelkie sposoby. Od razu rzucało się w oczy, że starego tu lubiano i poważano. Krążyły wokół niego całe korowody i nazywano go „gadzio". Kocza leniwie się ze wszystkimi przekomarzał, pokrzykiwał to na tę, to na inną kobietę, udzielał wskazówek i opowiadał dowcipy. Chyba wszystkim tu kierował. Kiedy nas zobaczył, serdecznie, choć bardzo statecznie przywitał się z nami i zaciągnął nas do łazienki. Tam wyszeptał:

– Ja pierdolę, no i masz! Ale syf. Ech, mama, mama, mówiłem jej, spokojnie, mamo, spokojnie. Ale ona mnie przecież nie słuchała, gdzie tam. No tak, a co ty chcesz – zapytał sam siebie – ona przecież przed dwunastą nie wracała. Z tego swojego baru.

– Pracowała w barze? – zapytałem.

– Dlaczego pracowała? – zdziwił się Kocza. – Bracie, u nas to nie jest przyjęte, u nas się o rodziców dba, do pracy nie chodzą, co ty.

Kocza wziął ode mnie garnitur, założył go i zaczął wyglądać jak jakiś agronom.

– Idziemy do mamy – powiedział, przyczesawszy resztki czupryny. – Trzeba pobyć przy starej.

Mama leżała w jadalni na zestawionych stołkach. Ubrana była odświętnie – w szary żakiet i czarną spódnicę, na nogach miała czerwone lakierki na szpilkach. Jej twarz starannie i dokładnie pokryta była makijażem. Wyglądała na całkiem zadowoloną, jeśli nie brać pod uwagę tego, że dolna szczęka co jakiś czas opadała i ktoś z rodziny ostrożnie ją poprawiał, jakby kasował bilet w tramwaju. Koło nieboszczki siedziały dwie piękne, smukłe kobiety, obie w czarnych sukienkach, czarnych rajstopach i czarnych pantoflach, jedna miała na palcach mnóstwo pierścieni i obrączek, a druga na szyi korale i łańcuszki ze złotymi krzyżykami, dwoma lub trzema na każdym. Smukłe ślicznotki wyglądały groźnie, siedziały z nogą założoną na nogę, patrząc wokół zimno i uważnie.

– Kto to? – zapytałem cicho Traumowanego.

– Po lewej Tamara, po prawej Tamila – wyjaśnił Szura.

– Ja bym ich nie rozróżnił.

– Nie ty jeden – zgodził się Traumowany.

Tamara wyciągnęła z rękawa chusteczki do nosa jak znaczone karty i starannie wycierała nimi suche oczy, starając się

nie rozmazać tuszu. Tamila od czasu do czasu popatrywała na swoje złote zegarki, też miała dwa – po jednym na każdej ręce. Kocza błąkał się po pokojach, podchodził do Tamary i Tamili, a one za każdym razem się ożywiały, przyciskały do niego głowy i smutno, ale zdecydowanie poklepywały go po udzie albo po plecach. Kobiety przynosiły z innych pokojów rzeczy zmarłej i starannie obkładały nimi stołki. W głowach stał ekspres do kawy i japoński system audio, w nogach kilka par butów. Poza tym ze wszystkich stron obłożono ją lampami, odzieżą, wyszywanymi portretami Tarasa Szewczenki i Jezusa, w rękach trzymała puderniczkę i suszarkę do włosów, do kieszeni żakietu troskliwy Kocza wpychał monety, medale i żetony. Tamara i Tamila smutno patrzyły na niego, wciąż powtarzając: „oj, gadzio, gadzio". Postaliśmy jakiś czas, potem Kocza wyciągnął nas na schody. Z dołu przyszedł Ernst z metalowym kanistrem. Ktoś wyciągnął kubek, przepuściliśmy Koczę do przodu, ten z zakłopotaniem wziął naczynie i przyjrzał się przycichłemu tłumowi.

– Nie remontowali – powiedział – mieszkania od dziewięćdziesiątego pierwszego. A nawet jakby… – i wypił.

Wszyscy pokiwali głowami z aprobatą, wspierając Koczę w jego rozpaczy. Po jakimś czasie pod klatkę podjechała karetka. Wyszedł z niej młody człowiek w oficjalnym, też czarnym, garniturze, z teczką pod pachą.

– Ksiądz przyjechał – wszyscy ruszyli z miejsca i pobiegli witać nowo przybyłego.

Kapłan wszedł. Niektórzy od razu rzucili się do niego, prosząc o błogosławieństwo. Cierpliwie pobłogosławił wszystkich chętnych, wziął od kogoś pełny kubek, ostrożnie uczynił nad nim znak krzyża i po dziecięcemu odrzucając głowę do tyłu, wypił.

– Gdzie mama? – spytał Koczę.

Kocza wziął go pod rękę i poprowadził na górę. Po drodze ksiądz rozdawał wszystkim kserokopie wydrukowanego tekstu.

– Co to? – zapytałem Ernsta, który rozlewał resztki wina.

– Hymn – odpowiedział Ernst. – Ściąga je z internetu.

– Co za hymn? Co oni katolikami są?

– Sztundystami – odpowiedział krótko Ernst i wziąwszy od kogoś kserokopię, też poszedł na górę.

W salonie wszyscy się nie pomieścili. Dalecy kuzyni, koledzy z pracy i oficjele tłoczyli się w korytarzu, stali w łazience i na schodach jeszcze dwa piętra niżej. Ksiądz rozdał tekst hymnu, powiedział, co jest co, i nie marnując drogocennego czasu na zbędne mazgajenie, zaśpiewał wysokim głosem. Kuzyni od razu zawtórowali, z nimi oficjele, potem sąsiedzi i przypadkowi przechodnie. Z dołu przyszła orkiestra weselna z trąbką, bębnem i skrzypcami i uchwyciwszy melodię, wsparła śpiewających, grając nie tyle dla umarłej, ile dla mieszkańców niższych pięter. Ksiądz intonował szczególnie starannie, jednak Kocza czasami go przekrzykiwał.

Kiedy Pan weźmie cię za rękę – mówiła pieśń – i powiedzie żółtą ceglaną drogą,

kiedy porzucisz nas samych w tym dziwnym kraju, gdzie wciąż są problemy z pogodą i służbami komunalnymi,

kiedy pożółkną fotografie, na których młoda i piękna stoisz gdzieś na wczasach w Gurzufie,

wyjdziemy wtedy za tobą całą przyjacielską rodziną, z zięciami, synowymi i innymi mieszańcami,

w świątecznych ubraniach, uroczyście zebrani, jakbyśmy przyszli do lokalu wyborczego,

i zaczniemy sławić Jezusa na wieki, prosząc, by trzymał cię za rękę mocno i pewnie

i nie zaprowadził, gdzie nie trzeba, po drodze do Ojca naszego w niebiosach!

– Chwała naszej ojczyźnie wolnej i niezależnej – wszyscy podchwycili refren – chwała naszemu niebiańskiemu Jeruzalem,

podporze przyjaźni narodów!

Słowo Jezusa, siła niewidzialna.

Kiedy staniesz przed Panem naszym w nowym żakiecie, ze znajomościami i autorytetem społecznym

i przylgniesz do słodkich rąk jego ze złotymi pierścieniami i tatuażami,

Zbawca powie ci, że teraz jesteś w domu, ciociu Maszo, tutaj sami swoi, wyluzuj.

I wszyscy znów podchwycili:

Więc żyj, Romanistanie, piękny i wolny, pozbawiony zgubnego wpływu transnarodowych korporacji.

Wolny między wolnymi, równy między równymi, uznany przez wspólnotę międzynarodową i specjalną komisję OBWE do spraw duchowego i kulturowego dziedzictwa małych narodów Europy.

Pan trzyma cię w swych dłoniach, więc słuchaj wibracji jego gorącego serca!

Kiedy hymn się skończył, obecni zaintonowali inne, zupełnie niekościelne śpiewy i przy nich oraz niezgranych, choć energicznych dźwiękach skrzypiec mamę wzięto na ręce i poniesiono nogami do przodu. Rzeczy osobiste nieśli bliscy krewni, wszyscy inni, jak wyjaśnił Ernst, nie powinni ich dotykać. Karetka dalej stała na dole i właśnie do niej wepchnięto mamę. Wsiedli też Tamara z Tamilą, Kocza i muzycy. Reszta

rodziny, przyjaciół i znajomych miała dotrzeć na cmentarz własnym transportem. Dla najbiedniejszych podstawiono traktor z otwartą przyczepą, wepchnęło się do niej z dwudziestu, trzydziestu gruzińskich Cyganów i procesja ruszyła. Już przy wyjściu zauważyłem, że Kocza mocno dał w szyję i zbyt gładko się to wszystko nie odbędzie. Z karetki już na cmentarzu wyszedł bardziej niż nawalony, gwałtownie pokrzykiwał na muzyków, żądał, żeby grali jakąś polkę, i wciąż namawiał kierowcę karetki, by ten zawiózł mamę aż do grobu, a on, Kocza, dopłaci, ile będzie trzeba. Cmentarz był stary, w sosnowym lesie. Sosny obstępowały rzędy nagrobków, miejsca było niewiele, więc do świeżo wykopanego grobu przebijaliśmy się jak partyzanci. Dół był obszerny. Jego ściany wyłożono cegłami, a podłogę dokładnie wyścielono deskami. Mamę schludnie spuszczono na dół, za nią zaczęli podawać rzeczy osobiste. Na ścianie nie wiadomo jak zawieszono portrety Szewczenki i Jezusa. Kocza przepychał się między kuzynami, kłótliwie coś im podpowiadał, wyrywał naczynia z rąk, żeby samemu podawać na dół, w końcu nie utrzymał się i poleciał do grobu z ekspresem do kawy. Złapali go i postawili na nogi. Próbowali podsadzić go do góry, ale on się wyrywał i chciał być bliżej mamy.

– Grunt, żeby go tam nie zapomnieli – powiedział na to zmartwiony Traumowany.

Kiedy dół wypełniono rzeczami i kwiatami, tak że nieboszczki nie było spod nich widać, do grobu podszedł ksiądz. I powiedział coś takiego:

– Po co jechać tam, gdzie nikt na ciebie nie czeka? Po co uciekać od tych, którzy cię kochają? Jeśli sam nie możesz obronić swoich bliskich, co daje ci prawo narzekać na los? Czy próbowałeś coś zrobić, zanim poddałeś się i opuściłeś ręce? Jak popatrzysz w oczy tym, którzy szli przed tobą

i teraz na ciebie liczą? Co odpowiesz na pytania tych, którzy kroczą twoim śladem? Przecież życie toczy się codziennie. I miłość usprawiedliwia wszystkie błędy i próby. Gospodarka powstaje nie z siły, ale ze sprawiedliwości. Więc kiedy nie czujesz wszystkiego, co żyje, po co przychodzisz żegnać się z martwym? Ciocia Masza przeżyła długie i bohaterskie życie, pełne codziennej walki o szczęście swego narodu, bliskich, przyjaciół i kolektywu pracowniczego. Ciągłe potwierdzanie ideałów dobra i równouprawnienia wywyższa ją w naszych oczach i nadaje wagę jej duchowemu czynowi i działalności dla dobra potomnych. Zasady braterstwa, szczerości i romanipenu, które konsekwentnie i uparcie potwierdzała całym swoim życiowym doświadczeniem, powinny być przykładem dla przyszłych pokoleń, które zastąpią swych rodziców, zajmując ich miejsce w szeregach bojowników o świetlaną przyszłość. I pod tym względem bojowa i pracownicza biografia cioci Maszy wzywa nas do nieustannej heroicznej pracy, do szlifowania własnych zawodowych nawyków i całkowitego podłączenia się do pozytywnych wibracji, które śle nam Zbawiciel jako nagrodę za lata poniewierki i dyskryminacji społecznej!

– Amen – zabrzmiało zgodnie między sosnami.

Nie znałem nieboszczki, ale zdawało mi się, że ksiądz nieco ją idealizował. Wiele osób słuchało go, stojąc za drzewami, więc można było odnieść wrażenie, że rozmawia z sosnami.

– I jeszcze – dodał ksiądz po namyśle – czego uczy nas ta śmierć? Ona uczy nas, że trzeba umieć przypomnieć sobie wszystko, co się nam zdarzyło i co zdarzyło się tym obok nas. To najważniejsze. Bo kiedy wszystko sobie przypomnisz, nie będzie ci tak łatwo odejść. Teraz to już wszystko – zakończył i wszyscy znów zaśpiewali.

I goście nie zdążyli dociągnąć do końca kolejnego psalmu o ceglanych drogach, którymi idziemy za rękę ze Zbawicielem, i o społecznych niedolach, za które zostaniemy wynagrodzeni z odsetkami, kiedy niebo zaciągnęło się wczorajszymi czarnymi chmurami i nagle, całkiem niespodziewanie zaczęła się ulewa. Wszyscy się rozbiegli, chowając się pod wysokimi gołymi sosnami, przeskakując przez stare nagrobki, które ugrzęzły w piasku, i pędząc do samochodów zostawionych na asfalcie. Deszcz zalewał dół z ciocią Maszą, ściekał tam cały, grożąc zatopieniem pochówku i utworzeniem w tym miejscu jeziora. Kocza tak szybko, jak mógł, wydostał się na powierzchnię i pobiegł za wszystkimi. Ja też pomknąłem szukać samochodu Traumowanego, ale skręciłem gdzieś, gdzie nie trzeba, ruszyłem w złą stronę, nie za tym, za kim trzeba było. I bardzo szybko zgubiłem się pomiędzy sosnami, biegłem wśród nich, zachłystując się deszczem i grzęznąc w mokrym piasku. W końcu zatrzymałem się koło jakichś grobów, by złapać oddech. Moje spojrzenie padło na napisy na płytach nagrobnych. Początkowo nie zrozumiałem. Podszedłem bliżej i przeczytałem. Na płytach przedstawieni byli bracia Bałałajesznikow. Wszyscy trzej. Deszcz zalewał ich portrety, patrzyli na mnie jak rekiny z morskiego dna. Tak jest. Bałałajesznikow Baruch Salmanowycz, przeczytałem, 1968–1999. Obok Barucha na płycie nakreślone były sakralne znaki – gwiazdy Dawida, złote półksiężyce i pentagramy, korony i ptasie skrzydła, gałązki róż i stare rewolwery. Na sąsiedniej płycie napisane było: Bałałajesznikow Szamil Salmanowycz, 1972–1999. Wokół Szamila wykaligrafowane było coś arabskimi literami, a na dole przedstawione były sceny narodzenia, polowania i opłakiwania. Polowano na jelenie. Dalej, jak należało się spodziewać, znajdował się grób Rawzana Salmanowycza, 1974–1999. Na jego płycie pod portretem

zmarłego namalowana była zrozpaczona kobieta z rozpuszczonymi włosami ubrana w krótką sukienkę. Siedziała na brzegu rzeki pod karłowatą brzozą i ciężko wzdychała, oczywiście za Rawzanem. Porażony i przybity rzuciłem się dalej, chciałem się wydostać z tego czarnego miejsca, wrócić i wszystko sobie przypomnieć. A im dalej biegłem, tym większa rozpacz mnie ogarniała, bo znalazłem grób Saszy Pytona z wymalowanymi końmi, które niosły jakichś szalonych jeźdźców, i nagrobek Andriuchy Michaela Jacksona z marmurową kolumną i złotymi literami, i ciężkie granitowe płyty z imionami Semena Czarnego Chuja i Dimycza Konduktora, Koli Półtorej Nogi i Iwana Petrowycza Paszy, a także niewielkie gipsowe pomniki Karpa z Kątówką, z gipsową znowuż szlifierką kątową w prawej ręce, i Wasi Zapartego z tujami posadzonymi po obu stronach, i groby Gieszy Szprycy i Siroży Gwałciciela, i ozdobiony krzyżami grobowiec Gogi Prawosławnego też znalazłem, i przedarłszy się przez cierniste krzaki, wypadłem na drogę prosto pod koła Traumowanego. Szura się nie zdziwił, zatrzymał się tylko i czekał, aż wsiądę. A kiedy wskoczyłem do środka, chcąc podzielić się tym, co właśnie zobaczyłem, uprzedził mnie, mówiąc surowo:

– Gdzie byłeś? Olga dzwoniła, martwi się o ciebie. Pytała o jakieś okulary.

– O okulary?

– O okulary. Prosiła, żebyś zachowywał się ostrożnie, widzisz, co się dzieje?

Widziałem, że dzieje się coś nie tak, od razu przypomniała mi się spalona cysterna, pomyślałem, że na tym chyba się nie skończy, ogarnął mnie lęk, lęk i dziwne podniecenie, które zmuszało moje serce do odczucia tych dziwnych słodkich wibracji, którymi nadziane było niebo. Nagle poczułem ich wszystkich – muzyków ze starymi instrumentami, którzy

wydawali przenikliwe i fałszywe dźwięki, mężczyzn w czarnych garniturach, którzy wjechali na cmentarz dźwigiem i przykryli świeży grób betonowymi płytami, żeby nikomu nie zachciało się ograbić ostatniego schronienia wybitnej działaczki obywatelskiej i społecznej cioci Maszy i odebrać jej ekspres do kawy marki siemens. Poczułem też dwie Hiszpanki, które gorzko opłakiwały zmarłą, ściskając sobie nawzajem palce. I dwie siostry, Tamarę i Tamilę, które zupełnie przemokły i ubrania czule otulały ich plecy. I Koczę też poczułem, z jego pijanym chrypieniem i świstami, za pomocą których starał się porozumieć z kierowcą karetki i umówić się, żeby zawiózł go pod samą klatkę. I dzieci z cukierkami w dłoniach też poczułem, poczułem, jak lekko i beztrosko biega się im w tym deszczu, w którym rozbrzmiewają hymny i w którym są dobrze ukryte przed jakąkolwiek śmiercią i wszelkimi nieszczęściami. To radosne i przerażające poczucie wymagało natychmiastowego przyłączenia się do grupy, popychało naprzód do tłumku, który zebrał się w mieszkaniu Koczy, a ci, którzy nie dostali się do środka, stali przed domem, na schodach i klatkach schodowych i nie chcieli się rozejść, zresztą kuzyni nikogo nie puszczali.

– Najważniejsze – powiedział Traumowany – żebyś nie brał sobie wszystkiego, co tu zobaczysz, za bardzo do serca. Bo kto wie, co tu zobaczysz.

I poszliśmy na górę. Kiedy szliśmy, jeszcze raz zadzwoniła Olga, wciąż interesowała się moimi sprawami i radziła, żebym na siebie uważał. Ale sama z jakiegoś powodu nie chciała przyjechać. Stypa wylewała się na klatkę, butelki wina i talerze przekazywano na schody, wszyscy głośno mówili, wspominając fakty z pracowniczej biografii zmarłej i przekrzykując się nawzajem. Pomiędzy drugim a trzecim piętrem tłoczyła się kapela i kiedy tylko przyszliśmy, trębacz skinął

do mnie głową i zagrał jakiś kawałek Parkera, jakby zwiastując coś złego. Przepchnęliśmy się jeszcze dalej, aż przed samymi drzwiami mieszkania Szurę wyłowiła lekka i wprawna ręka i jakaś zgrabna kobietka w średnim wieku pociągnęła go schodami na górę. Nawet nie zdążył się obejrzeć, krzyknął tylko coś ostrzegawczo, jednak już nie dosłyszałem, co to było, bo zanurkowałem w mieszkaniu, gdzie w ogóle nie dało się odwrócić. W salonie przy stole siedziała najbliższa rodzina z najszacowniejszymi gośćmi. Bliżej drzwi, między Tamarą a Tamilą, zauważyłem łysinę Koczy, ruszyłem w jej kierunku, gniotąc dzieci i przepychając się między ślepawymi babciami. Kocza odwrócił się, zobaczył mnie i zawołał radośnie:

– Hera – świszczał wszystkimi swoimi wewnętrznymi gwizdkami – bracie, chwała Bogu! To jest – zaczął mi przedstawiać – Tamareczka, córka, rozumiesz, staruszki nieboszczki. A to Tamileczka, moja siostrzyczka, no i w ogóle, Herman, żebyś wiedział, to nie takie proste w dużej rodzinie.

Tamara i Tamila patrzyły na mnie wyzywająco, nie ukrywając zainteresowania. Kocza zakręcił się wokół stołu, posadził mnie na swoim miejscu i znikł w ludzkiej masie. Tamara i Tamila od razu się mną zaopiekowały. Dwoma rękami dolewały mi wina i uważnie pilnowały, żebym pił i nie rozmawiał. Ja sam nie całkiem wiedziałem, co mógłbym im powiedzieć, dlatego w milczeniu piłem za spokój duszy. Nadal jednak nie potrafiłem ich rozróżnić. Przypomniało mi się tylko, że Tamilę chyba widziałem w zeszłym tygodniu pod sklepem w centrum, że chyba miała wtedy krótką czerwoną sukienkę, ale czy to była ona, nie miałem pewności, więc nie pytałem.

Po jakimś czasie impreza zaczęła tracić kontury. Ktoś gdzieś biegał, ktoś się pojawiał i wygłaszał toasty za miłość i wierność, ksiądz coś mówił, Ernst długo się z nim kłócił na temat

tolerancji międzyrasowej, z kuchni do pokoju obok przeniesiono ciało nieprzytomnego Koczy. Tamila i Tamara, kiedy to zobaczyły, zupełnie się rozpaliły. Ich oczy zalała od środka gorzka, mglista tęsknota, a ja zapatrzyłem się w te ich gorzkie oczy, przypominając sobie coraz bardziej i bardziej to, o czym swego czasu starannie zapomniałem. Ludzi przybywało, trudno powiedzieć, skąd przychodzili i jak mieścili się w tych ścianach. Gdzieś o północy, ogłupiały od krzyków i śpiewów, wybrałem się na poszukiwanie miejsca, gdzie można by się odlać. Ale w toalecie stały stare kobiety i paliły ciężkie gliniane fajki. I jedna nawet podała mi swoją. Zaciągnąłem się. Fajka była gorąca jak serce biegacza długodystansowca. Oddałem ją staruszce i brnąłem dalej.

– Gdzie tu się można odlać? – zapytałem jakiegoś faceta, który stał w korytarzu w gumowym płaszczu i pił z gwinta mołdawską brandy.

– Chodź – powiedział po prostu, objął mnie ramieniem i pociągnął za sobą.

Poszliśmy do sąsiedniego mieszkania. Mężczyzna otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

– Drzwi na lewo – krzyknął mi w plecy. – Tylko tam ciemno jest, prądu nie ma.

Po omacku przeszedłem przez korytarz, potknąłem się o coś ciepłego, przyjrzałem się w świetle księżyca i poznałem muzyków, którzy spali na podłodze. Na bębnie obok stały butelki i leżał pokrojony chleb. Wymacałem drzwi i wszedłem. W górze było okno, które oczywiście wychodziło na kuchnię, księżyc świecił z zewnątrz żółto i migotliwie, oczy długo przyzwyczajały się do ciemności, stopniowo zacząłem rozróżniać przedmioty. Była to łazienka połączona z toaletą. Kiedy się odlałem, podszedłem do wanny, nabrałem pełne dłonie wody i zanurzyłem w niej twarz. Zrobiło mi się

lepiej. Wanna po brzegi wypełniona była zimną wodą, dno wyładowane było ciemnymi i przezroczystymi butelkami z alkoholem. Pobłyskiwały w świetle księżyca niczym karpie, poruszając swymi alkoholowymi płetwami. Trzeba było wydostać się stąd i iść do domu. Nagle drzwi się otworzyły i ledwo widoczny cień wślizgnął się do środka. Była to kobieta. Nie mogłem tylko rozpoznać która. Podeszła ostrożnie, dotknęła mojej twarzy, zanurzyła dłoń w moje włosy. Nagle zbliżyła się gwałtownie i przyssała się do moich ust gorącymi umalowanymi wargami. Smak szminki tylko wzmacniał zapach wina, którym wypełniony był jej oddech. Całowała mnie drapieżnie i z przyjemnością, nie śpiesząc się i jednocześnie nie odwlekając tego, co najważniejsze. Jej dłonie wsunęły się pod moje ubranie, paznokcie drapały skórę. Z łatwością poradziła sobie z ubraniem, pchnęła mnie na krawędź wanny, odwróciła się i usiadła na mnie, lekko unosząc brzegi sukienki. Było to słodkie i bolesne, trudno było w nią wchodzić, wrażliwie wzdrygała się przy każdym moim ruchu, jednak nie przestawała, nie zatrzymywała się, oddychając coraz głębiej i głębiej, jakby płuca znajdowały się gdzieś bardzo głęboko, tam gdzie nie trafiają promienie słońca i brakuje tlenu. Dotykałem jej twarzy, czułem, jak ciepłe są jej usta, ściskałem jej szyję, aż zupełnie przestawała oddychać, co jej zresztą nie zatrzymywało. I kiedy dotknąłem jej dłoni, wykręcając jej ręce i ciągnąc je do siebie, nagle boleśnie na coś natrafiłem. Domyśliłem się, że były to pierścionki, miała je na obu rękach, niemal na wszystkich palcach, rozbłyskiwały w żółtym świetle i boleśnie raniły skórę, kiedy ściskałem jej dłonie w swoich. Nagle zamarła, zwinnie się uwolniła, poprawiła sukienkę i niesłyszalnie wyślizgnęła się na korytarz. Nie wiedziałem, co robić – biec za nią czy zostać tutaj. Ale jeszcze nie zdążyłem się zdecydować, kiedy

drzwi znów się otworzyły i ruchliwy cień jeszcze raz wsunął się do środka. Postanowiłem jej nie lekceważyć, złapałem ją i gwałtownie zgiąłem nad wanną. Cicho krzyknęła, po raz pierwszy usłyszałem jej głos, był ochrypły i pełen niedowierzania. Szybko uniosłem jej sukienkę, starając się wymacać bieliznę. Jednak pod sukienką nic nie było. Wchodzić w nią było tym razem łatwo i gorąco, schyliła się nad zimną wodą, oglądając w mroku czarne i zielone ciała butelek, które przetaczały się od naszych gwałtownych ruchów. Z boku chyba wyglądało to, jakby myła głowę. Albo łapała rękami ryby. A ja łapałem ją. Przez cały czas wydawała dźwięki zdziwienia i bólu, coraz niżej schylając się nad wodą, zanurzając w niej swoje długie włosy, które pachniały sosnami i tytoniem. I kiedy już wszystko się kończyło, wyciągnąłem rękę, żeby odgarnąć jej włosy, żeby całkiem się nie zachłysnęła. Ona chwyciła je i odrzuciła do tyłu. Nasze palce się spotkały. Nagle poczułem, że nie ma ozdób. Złapałem jej drugą rękę, ale na niej też nie było żadnych pierścionków ani obrączek. Natomiast na obu nadgarstkach miała zegarki. Czując, że się spiąłem, próbowała się uwolnić, ale złapałem ją za szyję i znów pochyliłem ku wodzie, kończąc, i poczułem na jej szyi mnóstwo łańcuszków i korali, których wcześniej nie było, a teraz beznadziejnie się ze sobą splątały.

Kiedy złapała oddech i uspokoiła się, dotknęła wargami mojego policzka i znikła w korytarzu. Postałem jeszcze jakiś czas i poszedłem za nią. Przeszedłem do drzwi, wyjrzałem na schody. Było tak jak i wcześniej, tłoczno. Mojego pojawienia się nikt nie zauważył. Niespodziewanie zza drzwi wyskoczył Kocza, wzdrygnąłem się, ale on mocno złapał mnie za rękę i pociągnął na dół. Nie opierałem się, szedłem za nim i zastanawiałem się, jak mu to wszystko opowiedzieć. Wytoczywszy się na dwór, Kocza się zatrzymał.

– Kocza – zacząłem szukać słów – jest taka sprawa.

– Dobra, bracie – energicznie zaświszczał stary. – Nie napinaj się. Idź do domu, bo zejdziesz od chlania. No idź, jutro się zobaczymy.

– Chciałem powiedzieć…

– Daj spokój, bracie. Co ty mi możesz powiedzieć? Czego nie wiem? Idź już, bo ci alkoholicy cię nie puszczą.

– No, dobrze – zgodziłem się. – Dziękuję ci. Szkoda, że tak z mamą wyszło.

– Z mamą wszystko super – odpowiedział na to Kocza prosto i surowo. – Mama idzie już żółtą ceglaną drogą. Spróbuj ją teraz dogonić – dodał i znikł w klatce.

Odwróciłem się i poszedłem do domu. Piasek pod nogami był mokry, a budynki ciemne, jakby wypełnione czarną farbą. Szedłem i przypominałem sobie wszystko, co miałem sobie przypomnieć. Za każdym razem wyraźniej i bardziej przekonująco przypominałem sobie przestraszone głosy kobiet, nieco histeryczne i błagalne, które prosiły, żeby nigdzie nie iść, zostać na miejscu, nie wchodzić w tę ciemność, która podświetlona była od środka naelektryzowanym wieczornym powietrzem. Przypomniałem sobie Tamarę, która skądś przybiegła i stanęła Koczy na drodze, za nic nie godząc się go przepuścić. Przypomniałem sobie, jak niepostrzeżenie poprawiała sukienkę, jak patrzyła na mnie podejrzliwie i z niezadowoleniem, jak od razu zrozumiałem, że ona wszystko widziała, że zauważyła mnie i nawet się nie boi, że potem wszystko opowiem. To, że się mnie nie bała, było szczególnie obraźliwe, złościłem się na nią, jednak sam wiedziałem, że nic nie zdołam opowiedzieć. Najważniejsze, że przypomniałem sobie to światło – żółte, gęste światło latarń, a pod nimi ruchliwe nerwowe postaci, które coś do siebie krzyczały, usiłowały coś postanowić. Kto tam był?

Przypomniałem sobie, że na pewno był tam mój brat, był Kocza i jeszcze ktoś, nie pamiętam kto. I Kocza usiłował przekonać brata, żeby oddał mu nóż, ale brat stał w jakimś osłupieniu i zdawało się, że wcale go nie słyszał, tylko wycierał rękawem krew z ostrza. Nagle przypomniałem sobie wszystko, jak Kocza zabrał mu jednak ten nóż, jak skaleczył się przy tym w rękę, jak w końcu wyrzucił nóż daleko w ciemność. Przypomniałem sobie, jak Kocza szedł gdzieś z dwoma milicjantami, a Tamara starała się ich wszystkich zatrzymać i głośno krzyczała, że Kocza nie ma z tym nic wspólnego i żeby go wypuścili. Ostatnie, co sobie przypomniałem, to jak stała wśród potłuczonego szkła, trzymając się rękami za głowę i pierścionki srebrzyście płonęły w jej gęstych włosach. I kiedy to sobie przypomniałem, zauważyłem, że na niebie zaczyna pojawiać się ranek i morwy wsączają w siebie ciemność jak czarną lemoniadę.

10

– Gdzie byłeś? No, gdzieś ty był?! – Katia stała koło katapulty w płaszczu przeciwdeszczowym i szerokich spodniach od dresu i głośno krzyczała. – Zabili ją!

– Kogo zabili? – nie zrozumiałem.

– Pachmutową! Powiesili ją!

Stała we mgle, bojąc się z niej wyjść. W mokrym powietrzu wszystko się zlepiło i rozpuściło, zszedłem z szosy, zbliżyłem się do dystrybutorów i dopiero wtedy zaczęła przejmująco krzyczeć.

Wcześniej długo wchodziłem na górę, na próżno wypatrując w porannym mroku jakiejś okazji. Kiedy opuszczałem miasto, zaczęło świtać, ciemność osiadła na dnie doliny jak muł. Tu, na górze, powietrze było szare i wypchane od środka białą

mgłą. Katia stała przede mną i zakrywając dłonią usta, krzyczała histerycznie. Patrzyła na mnie przerażonymi oczami, jakbym to ja kogoś powiesił.

– Gdzie ona jest? – zapytałem. Katia dalej krzyczała. Złapałem ją za łokcie, starając się przywrócić ją do przytomności. – Słyszysz? Gdzie ona jest?

– Tam – wskazała ręką gdzieś do tyłu.

Odepchnąłem ją na bok i wszedłem we mgłę. Ale niczego nie zobaczyłem. Za katapultą ciągnęła się ceglana ściana budki, z tyłu przez mgły wokół widać było drzewa i część przyczepy.

– Słyszysz mnie? – odwróciłem się do Katii. – Gdzie ona jest? Pokaż!

– No tam przecież – przemówiła zagubiona i pokazała palcem w górę.

Odwróciłem się. Nad moją głową w kłębie mgły wisiała Pachmutowa. Z dołu przypominała flagę wywieszoną z okazji święta państwowego. Podszedłem do masztu i zacząłem odplątywać żelazny drut. Był zawiązany mocno i porządnie, kaleczyłem palce o mokry metal, w końcu jednak udało mi się poluzować węzeł. Ostrożnie opuściłem psa na ziemię, pochyliłem się nad nim. Katia stała za moimi plecami i skomlała przestraszona. Rozwiązałem pętlę. Żelazny drut wżarł się do krwi w szyję psa, na żelazie zostały krwawe kłębki sierści. Uwolniłem głowę Pachmutowej i ostrożnie położyłem ją na asfalcie. Katia nie odważyła się podejść bliżej, stała w miejscu, z przerażeniem oglądając martwą sukę.

– Jak ją znalazłaś?

– Już wieczorem gdzieś pobiegła – odpowiedziała Katia. – Szukałam jej całą noc. Kilka razy wychodziłam na szosę. A potem postanowiłam jeszcze raz tu sprawdzić, ona tu często przybiegała. Przyszłam, a jej nie ma. I żadnego z was nie ma. Pomyślałam, że poczekam. Usiadłam na tym. – Pokazała

na katapultę. – We mgle nic nie widać. No i zasnęłam. Potem otworzyłam oczy i zobaczyłam ją. Pomyślałam, że to mi się śni.

I znów się rozpłakała. Objąłem ją, czułem, że pod płaszczem jest cała mokra. Próbowałem ją uspokoić, ale nie chciała słuchać, tylko płakała i skomliła, gorzko wylewając łzy i wciskając się w moje ramię.

– Chodź, przeniesiemy ją gdzieś – powiedziałem w końcu. – Trzeba ją pochować.

Katia posłusznie odsunęła się i pociągała nosem, czekając, aż wezmę suczkę na ręce. Pachmutowa okazała się nie taka znowu ciężka, była w końcu już niemłoda i starość chyba pozbawiła ją zbędnej wagi. Ostrożnie przeniosłem ją w kierunku przyczepy. Katia szła za mną bez słowa. Obszedłem przyczepę, przeszedłem ścieżką tam, gdzie trawa była szczególnie świeża i gęsta, położyłem Pachmutową na ziemi. W świeżej trawie wyglądała niemal szczęśliwie. Katia dalej płakała. Znów ją objąłem i zaprowadziłem do przyczepy. Otworzyłem drzwi, wszedłem pierwszy, weszła za mną, posadziłem ją na swojej kanapie i poszedłem robić herbatę.

Herbatę zrobiłem mocną i słodką, paliła w gardło i tumaniła wzrok, parzyła w serce i przełyk, przez co Katia zapłakała jeszcze bardziej gorzko, odstawiła kubek na podłogę i zaczęła się ze mną całować, obejmując moją szyję rękami. Płaszcz utrudniał jej ruchy. Była w nim śmieszna i niezgrabna, razem zabraliśmy się do zdejmowania go, ona nieostrożnie się odwróciła i herbata polała się po podłodze, ciężko parując i wypełniając powietrze cierpko-miętowym zapachem. Zdejmowałem z Katii ubranie długo i uparcie, miała skarpetki różnych kolorów, chyba szybko się ubierała, kiedy szła szukać swojej suczki, która teraz chyba też wędrowała żółtą ceglaną drogą, przyłączywszy się do Jezusa i cioci

Maszy. Potem zdjąłem swoje ubranie, później, kiedy znów zawisła mi na szyi, długo usiłowałem ją od siebie oderwać. I kiedy wpuściła mnie do środka, jej twarz od razu stała się poważna, zachwyciła się tym nowym zajęciem, robiła wszystko miarowo i umiejętnie, jednak niezbyt starannie, jak uczennica, która się uczy, ale której podoba się nie tyle przedmiot, ile nauczyciel. Poza tym miała malowany tatuaż na łydce, dziwne, że wcześniej nie zauważyłem, niemal zmyły go deszcze. Przewróciła mnie na plecy i skakała beztrosko, bujając kanapą i wypędzając z niej zapachy próchna i miłości. Od czasu do czasu przypominała sobie coś, padała mi na piersi i znów płakała, jednak płakała jakoś z zadowoleniem, nie zatrzymując się i na nic nie skarżąc. A dochodząc, wycierała łzy moją mokrą podkoszulką.

*

– Teraz to na pewno stąd wyjadę – powiedziała i zaczęła grzebać w moich kieszeniach.

– Czego szukasz? – nie rozumiałem.

– Masz papierosa?

Nie znalazła petów, wyciągnęła z kurtki okulary w żółtych oprawkach, założyła je, opadła na poduszkę i oglądała sufit.

Było zupełnie jasno, poranek trwał już od dawna, mgła odeszła gdzieś w stronę rzeki i dzień zapowiadał się słoneczny i suchy. Na podłodze leżała kupa ubrań, a w pokoju pachniało zimną herbatą.

– Dokąd wyjedziesz? – zapytałem.

– Do Odessy – odpowiedziała Katia. – Nad morze.

– Co tam będziesz robić?

– Pójdę na studia.

– A kim chcesz zostać? – rozmawiałem z nią jak prawdziwy starszy kolega.

– Prostytutką – roześmiała się Katia. – Co za pytania głupawe? A ty kiedy wyjeżdżasz?

– Nigdy.

– Co będziesz robić?

– Otworzę szaszłykarnię. Niewywracalny biznes. Może zostaniesz ze mną? – zaproponowałem. – Pobierzemy się.

– Dureń – powiedziała na to ze śmiechem. – Ciebie tu spalą, jak nie dziś, to jutro. Albo powieszą. Jak Pachmutową. – I znów się rozpłakała.

– No, nie płacz – spróbowałem ją pocieszyć. – I tak zza tych okularów nie widzę twoich łez.

– Dobrze, że nie widzisz – odpowiedziała Katia i umościwszy się na moim ramieniu, zasnęła.

To źle, że wyjeżdża, pomyślałem. Chociaż byłoby znacznie gorzej, gdyby została.

*

Słońce wisiało wysoko, robiło się upalnie i sennie, jednak nie mogłem zasnąć, jakby opierając się z jakiegoś powodu, starając się jak najdłużej utrzymać na nogach, doczekać najważniejszego, które miało się właśnie zacząć. Najważniejsze rzeczywiście się zaczęło. Ktoś podjechał do dystrybutorów, usłyszałem to wyraźnie, choć nie poznałem, kto to mógł być. Przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby znaleźć jakiś kij bejsbolowy, żeby obronić nietykalność własności prywatnej. Jednak ogarnęła mnie dziwna apatia, zupełnie nie chciało mi się nic robić – nie chciało mi się bronić, nie chciało mi się dawać komuś po głowie, nie chciało mi się nadstawiać własnej. Jeśli to będzie śmierć, pomyślałem, zapamiętam ją. Z zewnątrz słychać było kroki, drzwi się otworzyły i do przyczepy weszła Olga. Przez chwilę stała na progu, rozglądając się po zalanym słońcem pokoju. Zobaczywszy obok mnie śpiącą

Katię, zamarła, gwałtownym i nieco zbyt szybkim ruchem odgarnęła włosy, przeszła przez pokój i usiadła na kanapie naprzeciwko. Nie zdołałem się nawet podnieść czy czegoś powiedzieć, no, pomyślałem, to nawet gorsze niż śmierć.

– Cześć – Olga starała się mówić beztrosko. – Co u was?

– Ona śpi – odpowiedziałem. – Dzwoniłaś wczoraj?

– I to nie raz – powiedziała Olga, coraz bardziej się denerwując.

– Może ją obudzę – zaproponowałem. – Odprawię do domu i o wszystkim porozmawiamy.

– Herman – odpowiedziała na to Olga, nie wiedząc, co robić z rękami – bydlę jesteś. Po co ją będziesz budzić?

– Przecież musimy porozmawiać.

– Skąd ci to przyszło?

– No, z jakiegoś powodu przyjechałaś?

– Przyjechałam zobaczyć, czy was nie spalili. Pracuję w końcu dla ciebie. A tutaj u was, jak widzę, wszystko dobrze. Więc idę. – Gwałtownie wstała i ruszyła do wyjścia. Nagle zatrzymała się, odwróciła i podeszła do mnie. – Aha – powiedziała, jakby coś sobie przypomniała – i oddaj moje okulary.

Zdjęła ostrożnie okulary z nosa Katii, a potem wyskoczyła z przyczepy i głośno trzasnęła drzwiami. Katia nawet nie drgnęła. Wstałem, naciągnąłem na siebie mój mundur czołgisty i pobiegłem za Olgą.

– Ola! – krzyknąłem, doganiając ją. – Olu, no poczekaj. Chodź, porozmawiamy.

– Dobrze – odpowiedziała Olga. – Ale tylko w biurze i w godzinach urzędowania. O – dodała, wskazując na mój obojczyk – pogryzła cię. No, nieźle dajesz.

Po czym wsiadła na skuter i wyrwała do przodu, wzbijając gorący kurz.

*

Pachmutową chowaliśmy po południu. Razem z Koczą starannie wykopaliśmy dół w krzakach malin, Traumowany zmajstrował z kawałków metalu dziwną rzecz, przypominała antenę telewizyjną, ale on mówił, że to słonecznik. Ciężko było kopać w twardej ziemi, trzeba było przecinać korzenie, które ciągle trafiały pod łopatę. Katia stała obok i milczała. Pachmutowa leżała u jej stóp jak za życia i Katia od czasu do czasu schylała się, żeby ją pogłaskać. Grunt ciężko się osypywał i lepił do butów, ziemia wokół była jak sprasowana, niechętnie wpuszczała, a potem długo trzymała się butów, nie dając się strząsnąć. Przecięte korzenie były mocne i sprężyste, a kamienie wyrzucone z dołu szybko wysychały na słońcu. Stałem po pas w grobie i oglądałem z bliska wszystkie te kamyki i zioła, które zsuwały się do środka, żółtą warstwę piasku i białą gliny, przerąbane łopatami. Glina pachniała wyraźnie i słodko, tak jakbym dokopał się do czegoś kosztownego, czego przez cały czas się domyślałem, jednak nie mogłem przypuszczać, że leży niemal na powierzchni. Potem ostrożnie opuściliśmy Pachmutową. Drugi pogrzeb w ciągu doby, pomyślałem, zasypując ciało ziemią. Traumowany zamontował swoją antenę, można było kończyć.

Katia przez jakiś czas stała nad grobem, potem pożegnała się i poszła do domu. Płaszcz niosła w dłoniach jak latawiec.

*

Pod wieczór z miasta przyjechali kuzyni Koczy. Podjechali białym rozwalonym mercedesem. Tylne okno było obciągnięte folią i zaklejone taśmą. W samochodzie siedziało ich siedmiu. Wytrzeźwieli już po pogrzebie, jednak nie przebrali się i tak przyjechali, w czarnych marynarkach i kolorowych koszulach. Krawaty już pozdejmowali i teraz zwisały im z kieszeni

marynarek jak szubieniczne pętle. Mówili głośno i niezrozumiale, używali wiele nieznanych mi słów. Oni też nazywali Koczę „gadzio" i pędzili go od mercedesa, do którego od razu się pchał. Z Traumowanym witali się poważnie i nieco uniżenie, podawali mu rękę i całowali się prawosławnym zwyczajem po trzykroć. Podeszli do mnie. Kocza i Traumowany stali trochę z boku i nie przeszkadzali. Przywitali się wszyscy po kolei, dłoń ściskali krótko, ale mocno.

– Posłuchaj, Herman – powiedział najważniejszy, który przedstawił się jako Pasza. – Przyjaciel naszej mamy to nasz przyjaciel.

– Kto? – nie zrozumiałem, o kim mówią.

– Wczoraj pochowałeś z nami mamę – wyjaśnił Pasza. – Tamara nam o tobie mówiła.

Aha, pomyślałem, zaraz mnie zarżną.

– Powiedziała, że potrzebujesz pomocy.

– Pomocy?

– Herman – wystąpił do przodu zastępca głównego, gruby, łysy koleś, który nazywał się Borman. – Wszystko wiemy.

– Wszystko? – czekałem, kiedy zaczną mnie zarzynać.

– Wszystko – potwierdził Borman. – I o cysternie, i o kasie. Chcemy powiedzieć, że jak będzie trzeba, zawsze pomożemy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Więc nic się nie bój – ciągnął Borman. – Jakby co, zawsze jesteśmy na miejscu.

– A poza tym wszystko zależy od ciebie – dodał Pasza. – Jak sam się ustawisz, tak będzie. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – odpowiedziałem. – Dziękuję wam.

– Dobra, bracie. – Pasza podał mi rękę. – Trzymaj się tu.

Wszyscy inni też uścisnęli mi dłoń, pocałowali się z Traumowanym, spędzili Koczę z maski, odpalili samochód i potoczyli

się do miasta. Już wyjeżdżając na trasę, minęli się z czarnym volkswagenem, który zjechał na boczną drogę i teraz mknął w kierunku stacji.

– Kto to? – z niezadowoleniem zapytał Traumowany.

– To do mnie – odpowiedziałem.

Traumowany pochmurnie spojrzał na Koczę i poszedł do garażu. Kocza dalej stał ze mną i z nieukrywaną ciekawością obserwował obcych. Volkswagen podjechał do dystrybutorów i zatrzymał się. Lolek i Bolek, ostrożnie się rozglądając, wyszli z samochodu i prostowali nogi po długiej jeździe. W objęcia się nie rzucali, patrzyli na mnie z uwagą, czekając chyba, co powiem. Bolek wycierał pot szarą chusteczką, Lolek w napięciu poprawiał okulary.

– Cześć – powiedziałem. – Dobrze, że przyjechaliście.

– Witaj, Herman – przemówił zmartwiony Bolek.

– Cześć – dodał Lolek, uciekając spojrzeniem.

– Herman – zaczął Bolek – chodź, porozmawiamy.

– Mów – zgodziłem się.

– Bez postronnych – Bolek skinął w kierunku Koczy.

– On i tak nic nie rozumie – uspokoiłem ich. – To Gruzin.

– Jasne – zdenerwował się Bolek. – Słuchaj, Hera, no, jak ci tu?

– Chujowo – odpowiedziałem.

– Chujowo? – powtórzył Bolek.

– Yhm. Chujowo. Cysternę mi spalili. Psa powiesili.

– Masz psa? – zdziwił się Lolek.

– Już nie mam – odpowiedziałem. – Zakopaliśmy ją. Z Koczą – kiwnąłem głową w stronę starego, który też skinął głową.

– Herman. – Bolek z trudem dobierał słowa, Kocza wyraźnie utrudniał mu myślenie. – No, jednym słowem, przyjechaliśmy po ciebie. Mamy kupę roboty. I w ogóle.

– Przyjaciele – odpowiedziałem po zastanowieniu. – Jesteście oczywiście przyjaciółmi i tak dalej. Ale nie jadę.

– Jak to nie jedziesz? – nie zrozumiał Bolek.

– Tak, nie jadę.

– A co z pracą? – zapytał.

– Możesz uznać, że się zwolniłem. Na własną prośbę.

– Herman – jeszcze bardziej zdenerwował się Bolek – po co ci to? Chodź, jedziemy do domu. To nie twój interes.

– Spalili mi cysternę. I powiesili psa. To w ogóle żaden interes.

– No, posłuchaj, Herman – zaczął się gorączkować Bolek. – Tak się nie robi. Porzucasz nas.

– Przywieźliście pieniądze? – przerwałem mu.

– Co? – zakłopotał się Bolek.

– Pytam, czy przywieźliście pieniądze. Losza, dlaczego milczysz?

– Herman – przemówił Bolek – z pieniędzmi nie jest tak prosto.

– Yhy, Herman – dodał Lolek – chcieliśmy ci powiedzieć.

– Nie rozumiem.

– Jednym słowem – kontynuował Bolek – pożyczyliśmy od ciebie te pieniądze, musieliśmy pilnie zapłacić rachunki, a jesteśmy goli, Hera, i wzięliśmy twoje pieniądze. Tak że i tak jedziesz z nami. A pieniądze ci oddamy.

– Dokładnie, Hera, oddamy – dodał Lolek.

– Przejebaliście moją kasę? – zdziwiłem się.

– Herman, oddamy – zapewnił nieco obrażonym tonem Bolek.

– Hera – wtrącił się Lolek – no, słowo honoru!

– Grunt, żebyś z nami pojechał! – powtórzył Bolek.

– Przecież powiedziałem, że zostaję.

– Bez ciebie nie jedziemy – nieco patetycznie oświadczył Bolek.

– Oj, ciule – nagle dał głos Kocza. – Słyszeliście, co powiedział szef: spadajcie! – Kocza wyciągnął z kieszeni wyostrzony śrubokręt i zaczął niedbale wydłubywać nim brud spod paznokci. – Ja na waszym miejscu tak bym właśnie zrobił.

Słowo „szef" podziałało na Bolka porażająco. Nie mógł oderwać wzroku od śrubokręta, w końcu w milczeniu odwrócił się i poszedł do samochodu. Lolek natomiast został. Jakiś czas milczał, a potem przemówił:

– Herman, wszystko ci oddam. Nie martw się.

– Dobra – odpowiedziałem – jesteśmy umówieni.

– Poważnie, słowo daję.

– No to wszystko w porządku.

– Może jednak z nami pojedziesz? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie, nigdzie nie jadę. Jestem na swoim miejscu. Masz – wyciągnąłem z kieszeni odtwarzacz i słuchawki i dałem Lolkowi. – Na pamiątkę.

– Co ty? – zdziwił się Lolek. – Jak to?

– Usłyszałem wszystko, co chciałem – odpowiedziałem. – Bierz. Trzeba słuchać muzyki, którą lubisz. I nie dawać obcym swoich słuchawek. No, dobra, spadajcie.

Lolek uścisnął mocno moją dłoń i poszedł do samochodu.

– Losza! – zawołałem.

– Co? – obejrzał się.

– Masz komórkę bez limitu?

– No.

– Daj zadzwonić.

Podszedł i dał mi telefon. Wybrałem numer brata. Początkowo słychać było długie sygnały. Nagle coś szczęknęło i usłyszałem kobiecy głos.

– Hej – powiedział głos. – Jak się masz?

– Kto? Ja?

– No, a kto? Jak leci w ogóle?

– W ogóle w porządku – odpowiedziałem. – A kto ty jesteś?

– A do kogo dzwonisz?

– Do brata.

– No, bratem nie jestem. A o co chodzi?

– Chciałem pogadać.

– No, to ze mną pogadaj – roześmiała się kobieta. – Jak chcesz, opowiem ci historię, która mi się zdarzyła.

– Na pewno bez limitu? – zapytałem Lolka i kiedy ten twierdząco pokiwał głową, powiedziałem do słuchawki: – Opowiedz.

– Od dzieciństwa miałam lęk wysokości. I bałam się latać samolotami. A kiedy dorosłam, postanowiłam pokonać ten strach. Specjalnie kupowałam bilety i latałam. Cały czas latałam.

– I co?

– I nic. Lęk wysokości mam w dalszym ciągu. Za to zobaczyłam świat.

– I jak się z tym czujesz?

– Normalnie – powiedziała kobieta. – Nie chodziło o strach. Po prostu się wyluzowałam i wszystko jest w porządku. Ty też się wyluzuj, rozumiesz?

– Rozumiem.

– No, dobra, trzymaj się – zaśmiała się i znikła w eterze.

– Masz – podałem telefon Lolkowi.

– Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku – odpowiedziałem. – W porządku.

*

– Kocza – zapytałem – pamiętasz dziewięćdziesiąty rok? Bójkę w parku pod restauracją?

– W dziewięćdziesiątym? – z niedowierzaniem powtórzył stary.

– Tak, w czerwcu.

– Nieee – odpowiedział po zastanowieniu – nie pamiętam żadnej bójki. Ja, bracie, spędziłem ten czerwiec w Gurzufie z Tamarą. I tam, Hera, rzeczywiście była bójka. Na plaży. Znaczy, odszedłem tylko na sekundę, uwierzysz, a tu…

*

Niebo nocą przypomina czarne pola. Powietrze jak czarnoziem pełne jest ruchu i nasion. Bezkresne połacie, które rozciągają się w górze, żyją swoim rytmem, swoimi prawami. W niebie ukryto gwiazdy i planety, w ziemi – zmarłych. Z nieba wyciekają deszcze, z ziemi wyciekają rzeki. Deszcze, kiedy spadną, płyną na południe, wypełniając ocean. Niebo cały czas się zmienia, rozbłyskuje, gaśnie, pęcznieje wodą i wypełnia się sierpniowym upałem. Grunty, wyczerpywane przez zioła i drzewa, leżą pod płaskimi niebiosami jak bydło, o którym zapomniano. Jeśli dobrze wybierze się miejsce, czasami można poczuć wszystko razem – powiedzmy, jak splatają się korzenie, jak płyną rzeki, jak wypełnia się ocean, jak przez niebo przelatują planety, jak na ziemi poruszają się żywi, jak na tamtym świecie poruszają się martwi.

CZĘŚĆ DRUGA

1

Prezbiter przyglądał się porannemu niebu, kiedy pojawili się za żółtymi łodygami kukurydzy, które grzechotały jak wieszaki w pustej szafie. Przez jakiś czas trudno było zrozumieć, kto tam przedziera się przez gęste uprawy, chwilami pobłyskiwała tylko czarna kurtka, łodygi uginały się z trzaskiem i unosiła się para z oddechów. Nagle, łamiąc liście w kolorze piasku i strącając poranny szron, wypadli na drogę. Było ich trzech, dwóch dorosłych i nastolatek. Ten z przodu miał długą do kolan treningową kurtkę milanu. Czarno-czerwone kolory klubowe blakły w rażącym październikowym słońcu. Był nieogolony i długowłosy, patrzył z zaciekawieniem, ale wzrok miał rozbiegany. Na nogach miał wojskowe kamasze. Za nim szedł drugi, niski i brzuchaty, ubrany w biały roboczy kombinezon umazany żółtą farbą olejną. Ten był siwy i ostrzyżony na krótko, na nogach miał chińskie najki. Nastolatek wyglądał najgorzej. Był w podrabianych dżinsach Dolce & Gabbana i błyszczącej czarnej kurtce w kilku miejscach przepalonej papierosami. Na nogach miał buty z kwadratowymi czubami, na uszach – słuchawki Koss, chyba też podrabiane. Wszyscy trzej bez słowa ruszyli w naszą stronę. Rzuciłem okiem na prezbitra. Na jego twarzy pojawiła się niepewność, którą starał się ukryć.

Ogólnie trzymał się dobrze. Pogrzebałem w kieszeniach, ale przypomniałem sobie, że jestem w cudzym ubraniu. Niespodziewanie w prawej kieszeni marynarki wymacałem śrubokręt. Koniuszkami palców poczułem, że jest naostrzony. Bóg czuwa nade mną, pomyślałem i uśmiechnąłem się do prezbitera. Ale ten patrzył zmartwiony na nieznajomych. Nie bez powodu – wysoki trzymał strzelbę myśliwską, a brzuchaty zręcznie wymachiwał jakąś maczetą, wcale tego nie ukrywając. Tylko nastolatek nie miał niczego, choć ręce wsunął do kieszeni i co w nich chował, można się było tylko domyślać. Zmniejszyła się odległość między nami. Niespodziewanie wysoki odciągnął kurki, uniósł strzelbę i wypalił w niebo potężną salwę. Potem podszedł, rozkładając ręce. Wschodzące słońce wybuchało za jego plecami. Październik był suchy jak pieprz.

Zatrzymał się, opuścił ręce i zawołał wesoło do księdza:

– Ojcze?!

Prezbiter wypełnił twarz powagą.

– Tolik – przywitał się wysoki i rzucił się w objęcia duchownego.

Prezbiter cierpliwie się z nim wyściskał, następnie milanista ruszył w moim kierunku z otwartymi ramionami.

– Tolik – wydusił z siebie równie krótko, ściskając mnie w przyjacielskich objęciach.

– Herman – odpowiedziałem, uwalniając się.

– Herman? – upewnił się milanista. – Brat Jurika?

– No.

Koleś zaśmiał się uszczęśliwiony. Nagle przypomniał sobie o towarzyszach i zaczął ich przedstawiać.

– To Gosza – pokazał na brzuchatego. – Przeprowadził nas na skróty. Szliśmy jak plantatorzy – wskazał na maczetę – wyrąbywaliśmy do was drogę. Tak, a to Siroża, syn Goszy. Uczy się w technikum, będzie inżynierem. Może.

Siroża, nie zdejmując słuchawek, machnął do nas ręką. Gosza długo i serdecznie ściskał prawicę prezbitera.

– Specjalnie szliśmy na skuśkę – wyjaśnił Tolik. – Żeby was przechwycić. Tutaj lepiej zawrócić, bo dalej można się natknąć na farmerów. A my mamy z nimi wojnę.

– O co ta wojna? – zapytałem.

– Jak to o co? – zdziwił się Tolik. – O strefy wpływów. Jeśli mam być szczery, to my wchodzimy na ich teren. Gdzieś musimy chować towar – tłumaczył się. – No i wszystko zostawiamy na ich polach. Kapitalizm, jednym słowem. I tam właśnie na nas czekają.

Popatrzył gdzieś w bok i dopiero wtedy zauważyłem, że prawe oko ma szklane. Możliwe, że dlatego jego spojrzenie wydawało się początkowo tak zagadkowe. Tolik znów się roześmiał, zdaje się, że był beztroski i wesoły i niespecjalnie smucił się z powodu działań wojennych.

– No jak – zezował na brzuchatego – zadzwonimy i jedziemy.

Brzuchaty wsunął mi w dłoń swój święty nóż i grzebał w kieszeniach kombinezonu. Okazało się, że są bezdenne. Wyciągał z nich jakieś niewiarygodne rzeczy i dawał mnie i Tolikowi do potrzymania. Mnie podał dwa czerwone jesienne jabłka, Tolikowi – garść świec samochodowych. Niespodziewanie wyjął pomalowany lakierem do paznokci ręczny granat i też mi go oddał. Z innej kieszeni wydobył kilka starych, zużytych kaset, podał Tolikowi. Ten wesoło błyskał szklanym okiem. W końcu skądś gdzieś spod kolana brzuchaty wyciągnął stary model sony ericksona z krótką anteną, odszedł na bok, wysunął antenę i włączył aparat. Pomęczył się chwilę i rozczarowany odwrócił się do nas.

– Nie ma zasięgu! – powiedział zawiedziony. – Trzeba na górę wyjechać.

– Tutaj jest dół – wyjaśnił Tolik. – Trzeba wyjechać na górę – powtórzył za brzuchatym. – A lepiej pojechać dookoła. To niedaleko.

Gosza pozabierał swoje zabawki, poupychał je w kieszeniach kombinezonu, przetarł granat rękawem i też wrzucił do kieszeni. Zabrał i maczetę. Wszyscy trzej stali, jakby na coś czekali.

– No to co – nie wytrzymał jednooki – jedziemy czy jak?

– A wy czym pojedziecie? – spytał prezbiter.

– No jak to czym? – zaśmiał się Tolik. – Z wami. Zmieścimy się.

Siewa, nasz kierowca, który został w samochodzie i obserwował nas przez okulary słoneczne, zdjął je teraz i ze zdziwieniem przyglądał się, jak ładujemy się do starej białej wołgi, która rdzewiała w oczach. Z przodu, obok Siewy, usiadł ksiądz. Jednooki wepchnął się za nim, ostrożnie, choć zdecydowanie przesuwając go w stronę kierowcy, i w jakiś niewiarygodny sposób udało mu się zamknąć drzwi. Puszysta milanowska kurtka wchłonęła i Tolika, i księdza, jak poduszka powietrzna. Brzuchaty Gosza z synem ruszyli na tylne siedzenie, kiedy zobaczyli tam kobietę, zaczęli przepraszać. Wsiadłem ostatni i musiałem wziąć Sirożę na kolana. Mogłem nawet słuchać muzyki z jego słuchawek, ale mi się nie podobała. Siewa założył okulary i spojrzał pytająco na księdza, ten spod milanowskiej kurtki machnął ręką: jedziemy. Wołga drgnęła i potoczyła się gruntówką. W niektórych miejscach kukurydza podchodziła do samej drogi i szorowała o boki samochodu. Tolik pokazywał drogę, wymachując rękawami jak skrzydłami. Przez jakiś czas samochód parł w górę, gdzieś tam, gdzie powinien być zasięg i gdzie czekali na nas farmerzy. Nagle Tolik pokazał ręką w lewo. Siewa przyhamował, jeszcze raz spojrzał na jednookiego pasażera, ale ten dalej uparcie machał ręką

w bok. Kierowca obrócił kierownicę i zanurkowaliśmy w suchą, trzeszczącą kukurydzianą gęstwinę, która błyszczała w słońcu i oślepiała. Była tu ledwie widoczna, jednak dobrze wyjeżdżona dróżka, która ciągnęła się przez serce tej kukurydzianej dżungli, kryjąc nas przed złym okiem. Jechaliśmy powoli, rozgarniając liście i przysłuchując się przypadkowym dźwiękom, które dobiegały z zalanych słońcem upraw. Wołga ledwie pełzła, słoneczny kurz w środku był gęsty i bełtał się za każdym razem, kiedy samochód wpadał w dół.

W końcu wyjechaliśmy na skoszone pola, przelecieliśmy przez świeżo zaoraną miedzę i wytoczyliśmy się na usianą cegłami drogę. Wokół było pusto, szron schodził ze źdźbeł trawy, słońce unosiło się coraz wyżej. Bezkresny szlak, który ciągnął się na wschód, zaczął gwałtownie opadać, w dole widać było z dziesięć takich samych piętrowych domów, zbudowanych chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych. Osada kończyła się długimi magazynami, za nimi zaczynały się sady, a za sadami żółto leżały łąki. Na wschodzie, na linii horyzontu, ciągnęła się jakaś tama czy wał, z daleka trudno było zobaczyć, chociaż wyłaniał się całkiem wyraźnie.

– Co to? – zapytałem brzuchatego.

– Granica – odpowiedział krótko i dalej milczał zamyślony.

Siewa wyłączył silnik i ciężko potoczyliśmy się w dół. Droga była potrzaskana jak kręgosłup psa, który trafił pod ciężarówkę. Zatrzymaliśmy się na środku niewielkiego placyku. Z boku widać było dość duży budynek z eternitowym dachem i kolumnami. Na schodach stał tłumek miejscowych, jakieś czterdzieści osób. Chyba na nas czekali.

Od razu rzucała się w oczy panująca tu odświętność. Mężczyźni przeważnie mieli ciemne, niedrogie garnitury, krawaty w dzikich kolorach i wyczyszczone buty. Kobiety wyglądały bardziej różnorodnie – jedna była w sukience, inna w białej

bluzce i czarnej spódnicy, jedna z młodszych – w dżinsach z mnóstwem szklanych brylancików. Niektóre narzuciły na ramiona płaszcze, niektóre skóry albo palta, chociaż słońce nagrzało już jesienne powietrze, a tu w dole w ogóle było ciepło i zacisznie jak na południowym wybrzeżu Krymu. Powitano nas radosnym gwarem. Wysiedliśmy z wołgi, poprawiając wymięte ubrania. Najpierw Tolik w kurtce i prezbiter w czarnej marynarce i z teczką w dłoniach, za nimi Siewa, też w garniturze, co prawda rudym i podejrzanym, oraz w okularach słonecznych. Potem zaczęliśmy wychodzić my: Siroża z literami D i G na tylnych kieszeniach, ja w niebieskim lejącym się garniturze, w którym przypominałem gwiazdę radzieckiej estrady z lat siedemdziesiątych, za mną Gosza w białym wymazanym farbą kombinezonie i w końcu Tamara w ciemnowiśniowym swetrze, długiej spódnicy i w pantoflach na cienkich, wysokich obcasach, które od razu ugrzęzły w piasku. Wysiadła i z przestrachem rozglądała się wokół. Całą grupą ruszyliśmy w stronę budynku gminy.

Miejscowi ucieszyli się z naszego przyjazdu. Niewysoki koleś w garniturze, z kolorową chustką zamiast krawata, oczywiście najważniejszy tu, zszedł ze schodów i długo całował się z prezbitrem według jakiegoś nieznanego mi zwyczaju – pięć razy z rzędu. Byli chyba dawnymi przyjaciółmi, więc mieli o czym rozmawiać. Potem główny zaprosił nas do środka, powiedział, że nie ma za wiele czasu i trzeba wszystko zrobić szybko i energicznie.

– A potem porozmawiamy – dodał i ruszył schodami w górę.

Za nim poszedł prezbiter. Gmina grzecznie rozstąpiła się przed nimi, robiąc przejście. Potem przez ten żywy korytarz szybko przebiegł kierowca. Za nim weszła Tamara, rzucając na mnie zaniepokojone spojrzenie. Odwróciłem się do Goszy i Siroży.

– Wchodzicie? – zapytałem.

– Skoczę jeszcze do domu – pokręcił się w miejscu Gosza, chowając maczetę za plecami. – Przebiorę się. W końcu to święto.

– A ty? – zawołałem do Siroży.

Ale on tylko wesoło pomachał ręką, chyba nie usłyszawszy pytania. Miejscowi tymczasem wciskali się do środka. Więc poszedłem na górę.

W środku ciemny korytarz pachniał chłodem. Była tu administracja, biuro albo co. Na końcu korytarza widać było drzwi i tam kręcili się miejscowi. Za drzwiami znajdowała się sala teatralna, całkiem duża jak na taką gminę. Wystrój był skromny: scena obwieszona czerwonym aksamitem, na środku nad nią widniał wyraźnie kontur profilu Włodzimierza Iljicza – kiedyś chyba tu wisiał, później go zdjęto, ale tkanina zdążyła wyblaknąć. Teraz wisiał tu krucyfiks. Z daleka zdawało się, że ktoś postawił gruby krzyż na marksizmie-leninizmie. W sali stały schludne rzędy drewnianych ław, na których rozsiadali się miejscowi. Na scenie byli już nasi, koło nich kręcił się główny z chustką na szyi i coś energicznie wyjaśniał. Podszedł do mnie Tolik.

– Podoba ci się?

– To wasz klub? – zapytałem.

Zdjął ciemną kurtkę, pod którą miał pasiastą koszulkę. Strzelbę ostrożnie oparł o najbliższą ławkę.

– Kościół – powiedział.

– Poważnie?

– Tak, kościół. No i klub też. Łączymy to, jasne?

– Jasne.

– Wiara nam pozwala – zapewniał jednooki.

– No rozumiem.

– Księżulo wie, co jest grane.

– Yhm.

– Poważnie.

– Dobra, co tam.

Ze sceny wołał mnie już prezbiter. Przepchnąłem się do przodu. Ksiądz był skupiony, wydawał wyraźnie komendy. Siewa wyciągnął skórzaną torbę z niezbędnymi rzeczami, Tamara poprawiła włosy i w milczeniu stała z tyłu.

– No co, Hera – zapytał ksiądz – jesteś gotowy?

– Gotowy – odpowiedziałem. – Zaczynamy?

– A jakże – powiedział z przekonaniem. – Właśnie po to tu przyjechaliśmy. Właśnie po to przyjechaliśmy.

*

Trzy miesiące hojnego słonecznego światła. Piasek w ubraniach i w zębach, cisza, która zatrzymywała krew i zagęszczała sny, tak że przepływały z jednego w drugi, czyniąc budzenie się długim i niespokojnym. Czarny chleb i zielona herbata, z których składał się czas i zbudowana była przestrzeń, cukier w kieszeniach i na prześcieradle, zapach trawy i smaru, ochrypłe pokrzykiwanie rano, miarowa praca deszczu, który poruszał się jak robotnicy po ciężkiej zimie, zmęczony, przeskakując przez puste puszki po konserwach. Przygraniczny eter radiowy, który przekazywał wiadomości dwóch państw naraz, wieszcząc suche dni i zbliżanie się opadów. Kobiece głosy opowiadały o upale w dalekich miastach, do których nie można było się stąd dostać, skarżyły się na zaduch i hałas, marzyły o podróżach i chłodzie. Wszystko to stąd wyglądało nieprawdziwie i upojnie, chciało się przysłuchiwać ich lekkim wydechom, ich śmiechowi, którym przerzucały się między sobą, chciało się patrzeć im w oczy, kiedy informowały o zmianie kursu walut. Lato było tak zwarte, że nie dawało się z niego wyskoczyć. Co wieczór,

skończywszy pracę i zamknąwszy budkę, padaliśmy na kanapy i słuchaliśmy radia, które Kocza skołował od jednego z kierowców ciężarówek. Czasami zasypiałem przy koncertach życzeń, czasami budziły mnie długie smutne rozmowy, które prowadzili spikerzy. Szczególnie przekonujący byli nad ranem, kiedy robiło się lekko i zupełnie nie chciało się spać. O bardzo wczesnych porach rozwodzili się nad dotrzymywaniem postu i odczytywali księgi proroków, co jakiś czas robiąc przerwy na prognozę pogody, dzięki czemu ich kazania brzmiały spójnie i optymistycznie. Trzy miesiące dobrego snu, doskonałego apetytu i sentymentalnego nastroju. Już wcześniej widziałem, że dobrze jest co jakiś czas zmienić towarzystwo, imię, nazwisko i kolor włosów, teraz miałem możliwość odczuć to wszystko na własnej skórze. Włosy mi spłowiały i odrosły, w lipcu zacząłem je zaczesywać do tyłu, w sierpniu Kocza ostrzygł mnie zdobycznymi niemieckimi nożycami. Moje ubranie zupełnie się wysmarowało, przesiąkło zapachem benzyny i wina, więc kupiłem sobie trochę czarnych wojskowych podkoszulek i spodnie z mnóstwem kieszeni, w których mogłem teraz trzymać wszystkie te śruby, klucze i żarówki napotykane po drodze. Możliwe, że rzeczywiście zmiana zajęcia, możliwe, że obecność poważnych ludzi uczyniły mnie bardziej rozważnym i pewniejszym siebie. Świeże powietrze studzi głowę i rozpala serce. Odnalazłem wszystkich dawnych znajomych, wszystkie swoje stare miłości, wszystkich nauczycieli i wrogów. Dawni znajomi szczerze cieszyli się z mojego powrotu i na tym się kończyło. Stare miłości poznawały mnie ze swoimi dziećmi i przypominały o niewidzialnym upływie czasu, który czyni nas mądrzejszymi, choć do mądrości musi koniecznie dodać cellulit. Nauczyciele prosili o życiowe rady, a wrogowie o pożyczenie jakiejkolwiek sumy, by móc kontynuować swe, ogólnie

mówiąc, nikczemne czynności życiowe. Życie – rzecz okrutna, ale sprawiedliwa. Chociaż czasami po prostu okrutna.

W niedziele graliśmy z Traumowanym w piłkę. Przyjeżdżały do nas z miasta całe watahy uczniów techników, dla których punktem honoru było zagrać z brzuchatym napastnikiem. Pracy było dużo, ale przyzwyczaiłem się. Z Olgą nie rozmawiałem. Moi dawni przyjaciele się nie pojawili. Długi im darowałem. Pieniądze dali mi cygańscy kuzyni Koczy. Do brata więcej nie dzwoniłem. Nocami śniły mi się samoloty.

Problemy związane ze stacją jakoś niespodziewanie rozpuściły się w czasie. Początkowo z napięciem czekałem na ciąg dalszy, byłem przygotowany na podpalenia i trupy, starałem się zapewnić pomoc znajomych w mieście. Jednak panował spokój i radzono mi, bym rozwiązywał problemy, kiedy się pojawią. Stopniowo się uspokoiłem i zacząłem traktować wszystko jako oczywiste. Chociaż Traumowany powtarzał, że nic tak po prostu nie mija i ktoś jeszcze dostanie po łbie. Może i tak, myślałem, może i tak.

Z nadejściem jesieni wszystko ruszyło, karawany ciężarówek wiozły różne dary łanów na bazary północnych miast. Wrzesień był ciepły i złoty, słońce zastygało na chwilę nad dystrybutorami, a potem szybko toczyło się na zachód od trasy, oświetlając jeszcze przez jakiś czas drogę przewoźnikom warzyw. Czasami przyjeżdżał Ernst i opowiadał Traumowanemu o odmiennościach prowadzenia wojny na czołgi w nocy i w dzień. Traumowany szybko wymiękał i znikał w pracowni, rozwalając na kawałki kolejne tusze samochodów. Od czasu do czasu, kiedy nie było zbyt upalnie, na rowerze przyjeżdżał ksiądz, z którym zaprzyjaźniłem się na pogrzebie. Prowadziliśmy długie rozmowy, zdarzało się, że zostawał do późna, wtedy włączaliśmy radio i słuchaliśmy kaznodziejów, którzy siedzieli w dalekich miastach i tak samo jak my najwyraźniej

nie mieli czym wypełnić tych czarnych, rozpalonych zwątpieniem nocy. Czasami ksiądz przywoził coś do czytania. Kiedyś zobaczył u mnie płyty Parkera, spytał, czy naprawdę interesuję się jazzem i następnego dnia przytaszczył upaskudzoną monografię nowoorleańskiej sceny jazzowej. Przez jakiś czas próbował dyskutować ze mną na temat sztundyzmu, wykazałem jednak całkowity brak szacunku dla symboli wiary, więc dał spokój. Ale kuzyni Koczy, członkowie klanu, uważali mnie już za swojego, też przyjeżdżali co jakiś czas i na różne sposoby włączali w życie gminy. Byliśmy z Koczą parę razy na ich nabożeństwach, ale nie udawało nam się wysiedzieć do końca, Kocza za każdym razem ciągnął mnie do kuchni, gdzie znajdował zapasy wina i na miejscu rozpoczynał ich likwidację. Tamara też czasami przyjeżdżała, zawsze witała się skrępowana, jakby chciała coś opowiedzieć, jednak za każdym razem nie znajdowała słów, a ja nie wykazywałem szczególnego pragnienia, by czegoś się od niej dowiedzieć. Są rzeczy, które lepiej oglądać z oddali. Czyjeś relacje intymne należą właśnie do tych rzeczy.

Po całym tym słońcu i cieniach, burzach piaskowych i bujnej zieleni zaczął się październik. Ranki były słoneczne, ale chłodne, codziennie trzeba się było liczyć z trąbami powietrznymi. Budziłem się bardzo niechętnie, wyłaziłem na dwór i wzdrygając się z zimna, myłem się w umywalce. Pasta do zębów nocą zamarzała jak lody śmietankowe. Rano wokół dystrybutorów stała mgła, gdzieniegdzie przebijały się przez nią drzewa. Jesień nabierała mocy, należało się szykować na ciemność i śnieg.

Właśnie wtedy zdarzyła się ta historia. Zaczęło się tak: prezbiter miał pojechać gdzieś aż na granicę, żeby udzielić ślubu jakimś swoim parafianom. Ponieważ trzeba było jechać Bóg wie dokąd, postanowił wyruszyć całą grupą. Gmina przydzieliła

mu kierowcę z przegniłą wołgą i poprosiła Tamarę, żeby też pojechała dla legitymizacji. Kocza także miał się przyłączyć, żeby pomóc przy obrzędzie i w ogóle zabezpieczać. Na kilka dni przed wyjazdem zawitał do nas jakiś dawny znajomy starego, kiedyś razem siedzieli. Jak się spotkali, nakupili wina i do późnej nocy śpiewali więzienne piosenki, nie zważając na podstępne i pełne pierwszego lodowatego tchnienia jesienne noce. Rano Kocza ledwie chrypiał, a jego współwięzień zgłosił się na ochotnika, że zjedzie rowerem w dolinę po leki, i w ogóle gdzieś znikł. Razem z rowerem zresztą. Więc Kocza zrozpaczony rozkładał ręce, leżał na kanapie i pił gorącą herbatę, obficie rozcieńczając ją spirytusem. I zamiast niego ja miałem pojechać w odwiedziny. Tak czasami bywa w dużej rodzinie.

– Dlaczego nie może się obejść beze mnie? Ja sobie z tym nie radzę, przecież wiesz.

– Hera – chrypiał na to chory Kocza – kto inny będzie sobie radzić. Tak że wyluzuj. Po prostu pokręcisz się przy nich i tyle. – Głos mu siadł jak akumulator. Stary teraz już nie mówił, tylko raczej syczał. – Przecież widzisz, że nie mogę.

– A ty sam po co tam miałeś być? – nie mogłem pojąć.

– Chodzi o to, że źle, żeby byli sami Cyganie. Potrzebny jest ktoś normalny. Dla bezpieczeństwa.

– A jaki oni mają problem z Cyganami?

– Rozumiesz, Hera, oni są przecież dzicy. Oni sobie nawzajem nie wierzą. A tu Cyganie. Nie prosiłbym cię, ale to sprawa rodzinna. A ty dla nas jesteś jak rodzina. Tylko weź mój garnitur. Bo tak wyglądasz na jeńca wojennego. No weź, Herycz, trzeba łapać życie za rogi.

– Powiedz przynajmniej, co to za ludzie – dopytywałem się.

– Przewoźnicy – wyjaśnił Kocza. – Oni tam wszyscy z tego żyją. Tam obok jest granica. No i oni tam żyją, jak Bóg da.

– I co, łapią ich?

– Łapią, pewnie. Jednych łapią, innych wypuszczają.

– A tutaj jak trafili?

– Oni z naszymi mają jakiś biznes – odpowiedział Kocza. – Nasi podsyłają im chińską armaturę, oni przerzucają ją przez granicę, przeładowują w Rostowie i znów gonią do Chin, już jako włoską. A gdzie biznes, tam i wiara, Herman.

– Jasne.

– Przyjeżdżają do nas na zebrania, biorą literaturę, jakieś sumy na kościół przekazują. Chociaż nie w tym rzecz.

– Tak?

– Yhm. Po prostu komu głosić słowo Boże, jeśli nie im.

– A księżulo w jakim obrządku odprawia nabożeństwa?

– W żadnym. To znaczy w swoim własnym. Najważniejsze to spokój duszy. I ciepłe nogi. – I Kocza złożony chorobą schował się pod koc.

W sobotę przyjechali po mnie wczesnym rankiem. Założyłem niebieski garnitur Koczy, poobijane glany i wskoczyłem do samochodu. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, czym się to wszystko skończy, możliwe, że odniósłbym się do tej podróży ostrożniej, ale kto mógł wiedzieć, że stanie się właśnie tak i że cała ta wyprawa będzie miała takie skutki. Kiedy łapiesz życie za rogi, najmniej myślisz o tym, co z nim później zrobisz.

*

To, jak śpiewali, przypominało wykonania hymnów państwowych na olimpiadach. Intonowali od serca i zgodnie, chociaż nie całkiem umiejętnie. Wielu fałszowało, ale radość, którą czuć było w głosach, wszystko wynagradzała. Od razu przypomniał mi się pogrzeb mamy Tamary: wtedy tak samo, mimo tęsknoty i smutku, które powinny były panować, wszyscy śpiewali pełne radości życia hymny, dziękując niebiosom za łaskę i wstawiając się za bliźnimi. Teraz ksiądz stał na scenie

i zaczynał coraz to nowe i nowe zwrotki, zebrani gładko podchwytywali słowa i wyśpiewywali, sławiąc stwórcę. Tamara z kierowcą też w natchnieniu ciągnęli dziękczynną melodię. Ja czułem się jak piłkarz z reprezentacji jakiegoś kraju z trzeciego świata na tejże olimpiadzie – otwierałem usta i łapałem początek słowa, podchwytywałem je i wypluwałem końcówkę. Kiedy w pieśni zdarzały się słowa w rodzaju „pobożny" albo „niezagasła", mój głos też można było usłyszeć. Państwo młodzi stali w pierwszym rzędzie, z prawej strony podpierał ich jednooki Tolik, z lewej – przewodniczący miejscowej gminy.

Zdania, które wypowiadali, grzały im podniebienia, tak że wyśpiewując je, dyszeli żarem i ognistymi strumieniami. Sławili złote zbocza Syjonu, które kryły się w zieleni lasów pod lodowatym błękitem nieba. O Syjonie, wołali, złoty Syjonie, skarbnico naszych namiętności, węglu kamienny naszych popołudni. Czterdzieści razy po czterdzieści lat brniemy do ciebie, nasz niewidzialny Syjonie, jedziemy pociągami, płyniemy barkami, przechodzimy w bród rzeki i przekraczamy linie demarkacyjne. A ty wciąż jesteś tak daleki i niedosięgły, o Syjonie, nie wpadasz nam w ręce, nie dopuszczasz do siebie plemienia Izraela. Tysiąc ptaków leci nad nami, by pokazać drogę do ciebie, Syjonie. Tysiąc ryb płynie naszym śladem, by znaleźć się w twoim słodkim cieniu. Jaszczurki i pająki, psy i jelenie podążają ścieżkami naszej wiary. Lwy judejskie z dredami i gwiazdami na głowach ochraniają nasze siedliska. Sowy padają w mrok, gubiąc się w nieskończonej wędrówce. Ile jeszcze mamy trwać w tej niewoli? Ilu trzymać się rzek, które płyną na południe, w twoim kierunku? Źli farmerzy wyganiają nas jak lisy ze swoich pól. Deszcze niebieskie zalewają nasze domy i naczynia. Ale ciemnoczerwone lwy odwagi prowadzą nas naprzód, przedzierając się przez poczerniałe srebro deszczu. Lwy radości i poznania niosą na sobie nasze senne

dzieci. I gdzieś z nami idzie wśród ryb i zwierząt król królów, którego poznamy dopiero, wstąpiwszy na twoje kosztowne zbocza. On gdzieś wydostaje się z tej pustki, mija postawione przed nim przeszkody, wędruje nocnymi drogami rozpaczy, by dojść wreszcie do ciebie. Żółto-zielone ptaki podnoszą go za włosy, by obejrzał doliny cienia i ciszy. Oto bije w bęben, zwołuje zwierzęta i ptactwo, uczy cierpliwości i uwagi. Każdy, kto go słucha, wie od tej chwili, jak twarda będzie droga i jak świeża będzie trawa. Każdy, do kogo dobiegają te słowa, śpiewać będzie do bębnów szaleństwa hymny twego pojawienia się, Syjonie, twojego codziennego zbliżania się. Najważniejsze – iść tam, gdzie na ciebie czekają, omijać błędny szlak. Najważniejsze – pamiętać o celu, którym obdarzyło cię oświecenie, i o ludziach, którzy cię kochają, Syjonie!

*

Już kiedy zakończyły się śpiewy i ksiądz opowiedział jakąś długą i emocjonującą przypowieść o pobożności, i połamano chleb, i wypito wino, wszyscy zaczęli zbierać się przy świątecznym stole. Zaprosili też nas. Przeszliśmy jedyną ulicą tej dziwnej osady, omijając podobne do siebie budynki. Przewoźnicy żyli dziwacznie, mieszkali jak na dworcu – podwórka i dachy, przyczepy i werandy zastawione były towarem zapakowanym w tekturowe pudełka i torby sportowe owinięte szmatami i papierem pakowym. Okna budynków zawieszone były od środka ciemnymi zasłonami i folią, tak jakby przygotowywali się do bombardowań. Tolik szedł obok mnie ze strzelbą na ramieniu i tłumaczył. Mówił, że jest dużo roboty, a życie na kołach, noce w drodze, interesy zmuszają do ruchu i nie pozwalają się zatrzymać, wszyscy już do tego przywykli, wszyscy są w biznesie. Stół nakryto w sadzie, pod drzewami. W trawie leżały czerwone jabłka, po liściach

snuły się pajęczyny, było słonecznie i wietrznie. Księdza posadzili bliżej państwa młodych jako gościa honorowego, obok niego zajął miejsce koleś z chustką, od czasu do czasu wygłaszali mowy gratulacyjne, w których wzywali wszystkich do uważności, pracowitości i wypełniania deklaracji podatkowych w terminie. Mnie zabawiał jednooki Tolik, później dołączył Gosza w czerwonej koszuli. Ogólnie przewoźnicy okazali się ludem gościnnym i prostym, preferowali kuchnię śródziemnomorską, jak to nazywali, chociaż pod koniec zaczęli zapijać mołdawski koniak lemoniadą. Pomyślałem, że to słuszne – zbierać się tak całą grupą na weselach i pogrzebach, jest w tym coś pierwotnego i pozytywnego, w tym, że ksiądz siedzi razem z nimi i zapija z nimi tą samą lemoniadą, w tym, że wszyscy po kolei tańczą z panną młodą, a pana młodego całują bratersko i w usta, jak dobrego przyjaciela, który nagle uwolnił ich od niezliczonych problemów.

Młodzi dostali całą górę prezentów. Przeważały niemieckie agd, szczególnie dużo było rzeczy wyprodukowanych przez firmę bosch. Tolik wyjaśniał, że niedawno właśnie dostali partię od zakarpackich partnerów boscha, którzy produkują u siebie przydatne w domu i ogrodzie przedmioty i, dzięki jakiejś sprytnej umowie, umieszczają na tym boschowskie logo. W nocy będą przerzucać partię na południowy Kaukaz, gdzie towary firmy bosch tradycyjnie cieszą się dużym wzięciem, więc teraz każdy w domu ma pełne szafy kosiarek do trawy i pił benzynowych, a w piwnicach czekają na swoją godzinę zapakowane lodówki i kuchenki mikrofalowe. Możliwe, że właśnie dlatego prezenty były nieco monotonne, młodzi dostali: dwie jednakowe wiertarki, dwie pary mechanicznych nożyc, szlifierki i nawet parę laserów budowlanych na statywach. Wyraziłem wątpliwość, czy to wszystko rzeczywiście się im przyda, ale Tolik uspokoił mnie, wyjaśniając, że młody jest

w biznesie i wszystko z powodzeniem opyli Osetyjczykom czy jakimś innym Inguszom, a za uzyskane pieniądze wybuduje sobie murowany dom.

Szybko się ściemniło, od najbliższego domu podciągnięto przedłużacz i mgliste gałęzie jabłoni oświetliło miękkie światło elektryczne. Tolik z Goszą zaczęli się zbierać. Długo obcałowywali pana młodego, ściskali dłoń pannie młodej, życzyli kolorowych snów prezbiterowi i czule żegnali się z Tamarą. Prezbiter postanowił zostać na noc tu, pośród przewoźników, którzy w większości się upili, ale byli łagodni i nastawieni pokojowo.

– A wy dokąd? – zapytałem Tolika.

– Czas iść do pracy – wskazał ręką gdzieś na wschód, gdzie gromadziła się ciemność i wyłaniały się niebieskie październikowe gwiazdy.

– Idę z wami – zgłosiłem się.

– To chodź – nie miał nic przeciwko. – Tylko że tam jest ciemno, nic nie zobaczysz.

– Dobra – powiedziałem. – Ciemno to ciemno.

*

Długo wydostawaliśmy się z jabłkowych sadów, krocząc przez suchą trawę gęsto oblepioną pajęczynami. Tolik z Goszą szli pewnie, cicho się namawiając. Mnie nie poganiali, a kiedy zostawałem w tyle, zastygali w trawie i cierpliwie na mnie czekali. W końcu wyszliśmy na puste łąki. Niebo zaciągnięte było chmurami, więc wokół rzeczywiście było ciemno, jakby powietrze długo zalewano smołą. Tolik z Goszą znaleźli ścieżkę i coraz dalej wchodzili w noc. Traciłem ich z oczu, słyszałem tylko kroki i ciche głosy, które dwoiły się i mnożyły, jakby tam z przodu szła cała grupa. Poruszając się wewnątrz tej czerni, bezskutecznie usiłowałem zapamiętać drogę, żeby w razie czego móc zawrócić, chociaż myślałem, że może jakoś trafię,

znajdę, najważniejsze – nie zostać z tyłu i nie zostać samemu w świeżym przygranicznym mroku. Ciemność przede mną gęstniała jak stygnąca rozlana smoła.

– Ostrożnie – powiedział Tolik i zaczął się na coś wspinać.

Był to chyba wał, który widzieliśmy w dzień. Kiedy wszedłem za przewoźnikami, zrozumiałem, że faktycznie jest to nasyp kolejowy z torami.

– Co to, tory? – zapytałem.

– No tak – odpowiedział jednooki.

– Skąd one tu?

– Znikąd.

– No jak to znikąd? Skądś się ciągną?

– Nie, nie ciągną się. Budowali je tu na wypadek wojny. Ale zaczęli od środka i ciągnęli w obie strony. No i nie całkiem dociągnęli. I tak już zostawili.

– I co, nic tu nie chodzi?

– My chodzimy – odparł Tolik. – Tutaj jest teraz granica. O – pokazał na lewo – nasze terytorium. A tam – skinął w kierunku czerni – ich.

Staliśmy na torach i patrzyliśmy w mrok.

– Czemu ich nie rozbierzecie? – zapytałem po chwili. – Na złom.

– Przecież one nas karmią – wyjaśnił jednooki. – Pogranicznicy z tamtej strony patrolują łazikami. Jeśli przeskoczysz z towarem przez tory, nie będą cię gonić, utkną na podkładach. Jasne?

– Jasne. Tylko nic nie widać.

– Braciszku – zaśmiał się Tolik – to jest właśnie atut! Pogoda dla normalnego przewoźnika. Powiedz, Gosz.

Gosza chyba skinął głową w ciemności, ale nie mogłem tego zobaczyć.

– A wy po ciemku coś rozróżniacie? – wątpiłem.

– Braciszku – Tolik położył rękę na moim ramieniu – słuchaj swojego serca. Wtedy wszystko rozróżnisz. Dobra, Herman – zmienił nagle ton. – Dalej idziemy sami. Wracaj do domu.

– Jak to do domu? Nie znajdę drogi.

– Zechcesz, to znajdziesz – odpowiedział na to Tolik. – Dalej nie idziesz, mogą cię ustrzelić. Zresztą to nie twój biznes, braciszku. Do zobaczenia – stuknął mnie pięścią w ramię i zanurzył się w ciemność.

Gosza uścisnął mi rękę i też znikł. Stałem na środku torów, które prowadziły donikąd. Z zaleceniem, żebym słuchał swojego serca. Ale serce podpowiadało, że wydostanę się stąd nieprędko i że pójście za tymi kłusownikami amatorami z trojgiem oczu na dwóch było nie najlepszym pomysłem, tym bardziej, podpowiadało moje serce, że skoro sam tu przyszedłeś, to sam się wydostań, a jeszcze lepiej stój, gdzie stoisz, i czekaj do rana. Stałem i czekałem. Ze wschodu powiał zadymiony wiatr, chmury ruszyły się ociężale i popłynęły na zachód, mijając granicę państwową. Ciemność się rozwiewała i w powietrznej jamie pojawił się okrągły czerwony księżyc, zalewał wszystko wokół gęstym blaskiem i wyciągał w dolinie długie cienie. Rozejrzałem się dookoła i wreszcie wszystko zobaczyłem. Już od jakiegoś czasu w mroku słychać było czyjeś głosy i przytłumione kroki. Teraz na zalanych czerwonym światłem łąkach mogłem zobaczyć jadącą w kierunku zachodnim karawanę cystern, która zbliżała się do granicy. Przodem jechała stara łada w ciemnym kolorze, starannie wymazana błotem. W środku siedziało czterech w czarnych kurtkach. Ten obok kierowcy trzymał kałasznikowa. Cysterny też były ciemne, przykryte brezentem w kolorze błota i siatką maskującą, z daleka przypominały słonie, które nadchodziły skądś z wysuszonych pustyń, niosąc w swoich czarnych wnętrzach kosztowne i pachnące zapasy paliwa. Karawana była długa na

kilkaset metrów, jej ogon ginął w oddali, trudno było go dojrzeć za wzgórzami i ciernistymi krzakami, które pokrywały dolinę. Cysterny z mojej strony granicy już czekały, po nasypie kręciły się ruchliwe postaci, na naszym terytorium stało kilka ciężarówek. Postaci zbiegały z nasypu, zdejmowały z ciężarówek deski i drewniane konstrukcje i wciągały to wszystko na tory, montując przejazd. Pracowali umiejętnie, tylko z rzadka padała krótka komenda i wtedy ktoś biegł na drugą stronę torów i przeciągał na plecach kolejną deskę. Kiedy główny samochód kolumny dotoczył się do nasypu, przejazd był już gotowy. Łada ostrożnie wjechała na deski, cienie zeszły na dół, otoczyły samochód i zaczęły wpychać go na górę. Osobówka ostrożnie zjechała na drugą stronę nasypu. Za nią ruszyły cysterny. Niektóre przejeżdżały z łatwością i bez problemów, inne nie dawały rady, wtedy pchali je albo wciągali ciągnikiem. Długo to trwało, ale w końcu wszystkie samochody znalazły się po drugiej stronie torów. Z góry przypominało to dziwny obóz wojskowy, kolumnę czołgów, która zatrzymała się na nocleg, nie chcąc się ujawnić. Kierowcy cystern, przewodnicy z łady, ci, którzy ułożyli przejazd, i ci z ciężarówek – wszyscy zebrali się teraz w krąg między samochodami, porozsiadali się na maskach swoich ziłów, pokładli się pod kołami, powłazili na dachy aut, żeby wszystko zobaczyć i usłyszeć. Zaczęli się sprzeczać, przekrzykiwać i dowodzić coś sobie nawzajem. Od cystern oddzieliła się niewielka grupka, ci sprzeczali się szczególnie aktywnie, wymachiwali rękami i rwali swetry na piersiach. O co się kłócili, trudno było się zorientować, słów niemal nie słyszałem. Aż nagle jeden szybkim ruchem wyjął z kieszeni kurtki obrzyn i wypalił w górę. Mimowolnie przysiadłem i nagle zobaczyłem to, czego nie widziałem wcześniej. Przez niebo, przebijając gęsto powietrze i zapalając suchą trawę, przesypywały się czarne gwiazdy. Ptaki kryły się w źdźbłach,

grzejąc się i chowając przed obcymi głosami. Zwierzęta przechodziły przez granicę, ostrożnie obserwując wypełnioną oddechami dolinę, gdzie nagle pojawiło się mnóstwo cieni, które przebiegały przez wysoki nasyp i wskakiwały do obcego kraju jak do letniego morza. Węże wypełzały na błyszczące tory, które świeciły w księżycowym świetle, oplatały je i wślizgiwały się do cudzych nor, by zagubić się w chwytnych korzeniach. I pająki przebiegały po piasku, pnąc się na drugą stronę światła księżyca. I czerwone lisy, groźnie szczerząc zęby, zbliżały się do torów, żeby przekroczyć ostatnią granicę, która oddzielała je od nieznanych terytoriów. A kruki krążyły w górze, nie znajdując sobie miejsca, bojąc się opuścić swoje wysiedziane niebiosa. Widziałem, jak korzenie uparcie przebijają się przez wysuszony latem grunt, sięgając do wody, która leżała głęboko, jak magma. Widziałem ledwo zauważalne srebrne żyły wody, które omijając ciała zmarłych, zakopanych tu nie wiadomo przez kogo i nie wiedzieć kiedy, przegryzały czarnoziemy i podążały w ciemne nieznane. Widziałem, jak głęboko w ciele doliny zalega czarne serce węgla kamiennego, jak bije, dając życie wszystkiemu wokół. Jak świeże mleko gazu naturalnego zamyka się w gniazdach i podziemnych korytach, twardnieje i wypełnia sobą grzęzawisko korzeni, i jak tymi korzeniami rwie się w górę szaleństwo i upór, odwracając źdźbła trawy pod wiatr. Podmuch gwałtownie uderzył mnie w twarz, odzyskałem przytomność i zobaczyłem jakieś poruszenie w tłumie – trzech w długich kurtkach złapało najbardziej krzykliwego z drugiej grupy, chwycili go za ręce i nogi i pociągnęli w stronę najbliższej cysterny. Wrzucili go na górę w ręce innych. Próbował się wyrwać, jednak z łatwością go obezwładnili, otworzyli pokrywę i wrzucili związanego do środka. Zamknęli pokrywę i zeskoczyli na ziemię. Nie wierzyłem własnym oczom. Przecież on się udusi. Wyobraziłem

sobie, że pływa w tym niebieskim benzynowym kompocie jak w brzuchu wieloryba, odpychając się nogami od żelaznych ścian. Grupa szybko się rozeszła. Sprzeczki ucichły, zdaje się, że wszystkie problemy zostały załatwione. Kierowca łady wyjął potężną latarnię i obchodził samochody, oświetlając okoliczne wzgórza, żeby sprawdzić, czy nie widać gdzieś kogoś obcego. Masywny promień powoli przesuwał się po trawie w moją stronę. Już pełzł po nasypie, już się do mnie zbliżał. „Padnij! – powiedziało nagle moje serce. – No padaj!" Trafiłem prosto na podkłady. Promień prześlizgnął się nad moją głową. Kierowca odwrócił się i wszedł między samochody. „A teraz spadaj stąd!" – dalej podpowiadało serce. Rozległ się warkot silników i cysterny zaczęły zapalać i odjeżdżać na zachód. Podniosłem się, zbiegłem z nasypu i schylony szybko ruszyłem w kierunku dalekich świateł budynków. Kiedy odszedłem na bezpieczną odległość, obejrzałem się – wiatr pędził ciężkie, jakby nadziewane monetami chmury, które znów zasłoniły horyzont. Światło znikło niespodziewanie. Mrok osiadł na trawie jak muł na rzecznym dnie. Jakby ktoś, wychodząc z sypialni dziecka, wyłączył światło.

2

Późne gwiazdy i złote trawy – w takie poranki powietrze wysycha i twardnieje jak świeże prześcieradła na mrozie. Rano wszyscy zajmowali się swoją pracą, na nas mało kto zwracał uwagę, mężczyźni pakowali jeepy jak rybacy łodzie, szykując się do kolejnego wpłynięcia na zdobyczne wschodnie wody. Kobiety podchodziły do księdza, czule coś szeptały, ten, podśmiewając się, dawał im pocztówki z psalmami, ołówki, zapisywał na kartkach swój telefon. Siewa wyglądał na zmęczonego, wczoraj nie bardzo pościł, mimo

wszystkich wezwań prezbitera, dziś, zdaje się, tego żałował, całym swym wyglądem wyrażając posłuszeństwo i skruchę. Tamara przywitała mnie nerwowo, długo wypytywała, gdzie przepadłem, kogo sobie tu znalazłem i dlaczego zmusiłem wszystkich, żeby się o mnie martwili. Odpowiadałem, że chociaż spędziłem tę noc nie wiadomo gdzie i z kim, przez cały czas myślałem o niej. Nie była zła, ale zadowolona też nie, w milczeniu wsiadła do samochodu, zatrzaskując drzwi, przez co rdza posypała się jak śnieg z zimowych świerków. Szef zaprzyjaźnionego kolektywu przewoźników postanowił nas odprowadzić. Staliśmy koło naszej wołgi, Siewa siedział już za kierownicą, rozgrzewając silnik, kiedy nagle z najbliższego budynku wyszli państwo młodzi i skierowali się ku nam, zadowoleni, że mają okazję podziękować za wczoraj. Pan młody wyciągnął z kieszeni spodni dwie flaszki po szampanie pełne podrabianego koniaku, wystawił to wszystko na maskę i zaprosił do stołu. Odmówiłem, otworzyłem drzwi i usiadłem obok Tamary. Siewa natomiast przyłączył się do nich, przy czym zostawił silnik na chodzie, by stworzyć iluzję pożegnania i podróży. Ksiądz tę zwłokę przyjął radośnie, lubił przewoźników, może dlatego, że słuchali uważnie i cały czas dolewali. Młody wyciągnął z tychże kieszeni własnej roboty finkę i kilka ciężkich cebul, rozłożył to pomiędzy butelkami i zaczął wściekle siekać warzywo. Nie docenił jednak swojej siły i przebił finką maskę wołgi. Kierowca patrzył na to bez słowa jak zaczarowany i tylko melancholijnie sięgał po flaszkę z samogonem.

– Kiedy wreszcie pojedziemy? – pytała zmęczonym głosem Tamara.

– Dokąd ci się spieszy?

– Do domu, Hera – odpowiedziała z westchnieniem. – Do domu.

– Niedługo pojedziemy – uspokoiłem ją.
– A ty jak żyjesz w ogóle? – zapytała niespodziewanie.
– W porządku – odpowiedziałem. – A ty?
– Ja też niczego sobie.
– A czemu pytasz?
– Ciekawa jestem – wyjaśniła. – Ciekawi mnie, jak żyjesz.
– No, w porządku żyję. W porządku.
– To dobrze – powiedziała Tamara i odwróciła się do okna.

Mniej więcej po godzinie ruszyliśmy.

Siewa złapał jakąś swoją stację. Powiedział, że drogę zna i dowiezie nas bez problemów. Początkowo długo wyjeżdżaliśmy na górę. Wołga gasła i staczała się, miejscowi okrążali auto i pchali je naprzód. W końcu wypełzliśmy na górę i potoczyliśmy się gruntówką, podskakując na czerwonych cegłach, twardych jak korzenie sosny. Niebawem Siewa przyhamował.

– Tutaj? – zapytał. – Tu wyjechaliśmy?
– Chyba tu – odpowiedziałem.

Tamara nerwowo westchnęła, a ksiądz lekko machnął ręką, jakby mówił: wszystko to wola boska, jedź, gdzie chcesz, w razie czego znajdą nas, jak będą kosić. Siewa właśnie tak zrobił. Zjechał na jakąś podejrzaną dróżkę, która ginęła w kukurydzy, dodał gazu i ruszył przed siebie. Suche liście uderzały w zderzak, oplątywały wycieraczki i wpadały przez otwarte okna. Łodygi kukurydzy łamały się z beznadziejnym trzaskiem. Zapach ciepłej śmierci unosił się za oknami i przenikał do środka. Na jednym z dołów podrzuciło nas, ręka Tamary opadła na moją, szybko ją cofnęła. Może za szybko. Spróbowałem sam wziąć ją za rękę, ale zdecydowanie się wyrwała i odsunęła jak najdalej ode mnie. Jechaliśmy długo, powoli i beznadziejnie, jak zwykle jeździ się po kukurydzianych polach.

Ale się nie zgubiliśmy. Siewa, być może przypadkiem, a może umyślnie, wyjechał ze złotych chaszczy i znaleźliśmy się na właściwej drodze. Tylko nie wiadomo było, w którą stronę mamy jechać. Pomyśleliśmy i ruszyliśmy na prawo, orientując się na słońce. Wszyscy milczeli, Tamara wzdychała coraz rozpaczliwiej, a prezbiter kręcił radiem, które było w tych dołach bez fal jak nurek bez tlenu. Widząc, że prezbiterowi nie bardzo to wychodzi, Siewa nachylił się, żeby też trochę pokręcić i zapomniał o drodze, od czasu do czasu spoglądał tylko przed siebie od niechcenia. Niespodziewanie docisnął hamulce. Padłem na przednie siedzenie. Prezbiter zsunął się pod fotel. Tamara przenikliwie krzyknęła gdzieś nade mną. Na środku drogi stał Tolik we wczorajszej milanowskiej kurtce, z zabandażowaną ręką. Stał i uśmiechał się do nas jak do starych przyjaciół.

– Co, Herman, śpicie w drodze? – spytał wesoło, kiedy wyszedłem i zbliżyłem się do niego.

Moi towarzysze zostali w samochodzie – Tamara cicho płakała z powodu niedawnego niebezpieczeństwa, Siewa milczał flegmatycznie, prezbiter szeptał jakieś stare psalmy o marynarzach z łodzi podwodnych i lotnikach.

– Tolik – zobaczyłem, jak odbicie słońca przepływa przez jego szklane oko – co ty stoisz jak chuj na środku drogi? Mogliśmy cię rozjechać.

Tolik tylko roześmiał się z lekceważeniem. W jego długich włosach utknęły włókna kukurydzy, zabandażowana ręka krwawiła.

– Co z ręką?

– E tam – opędził się. – Wczoraj obrzyn się rozerwał, kiedy strzelałem. Wróciłem rano, a wy już wyjechaliście. Zabandażowałem rękę i ruszyłem za wami.

– Po co?

– Krótko mówiąc, Herman, jest taka sprawa… Dobrze, że was złapałem. Trzeba pogadać.

– A zadzwonić nie mogłeś?

– Nie ma tu zasięgu ni chuja! – zdenerwował się w końcu Tolik. – Przecież sam widzisz!

– Co za sprawa?

– Twój przyjaciel dzwonił, piłkarz.

– Szura?

– Tak, Szura. Szukał cię. Najpierw do niej dzwonił – wskazał skinieniem głowy samochód, chyba mówił o Tamarze. – Ty przecież, kurwa, nie masz telefonu. No, a wy już pojechaliście. Więc do mnie zadzwonił. Pytał o ciebie.

– A nie mógł na mnie poczekać? Powiedziałeś mu, że będziemy wieczorem?

– Powiedziałem, Herman. Ale rzecz w tym, że lepiej, żebyś nie wracał. Tak powiedział.

– Jak to nie wracał?

– Nie wracał, zanim do niego nie zadzwonisz.

– A co tam się stało?

– No, nie powiedział. Dokładnie powiedział, żebyś sam do niego zadzwonił i on opowie, co jest grane. Tylko żebyś zadzwonił, jasne?

– No, jasne – powiedziałem. – Masz telefon?

– No, mam – odpowiedział Tolik. – Tyko tu zasięgu nie ma. Jedźmy do nas.

– Do was? – skrzywiłem się. – Oni przecież znowu będą pić – też skinąłem w stronę auta. – Dobra, dojedziemy, to do niego zadzwonię.

– Słuchaj – nie zaprzeczył – ale on prosił, żeby jak najszybciej.

– I co robimy?

– Jedziemy do farmerów.

Ksiądz milczał chwilę, zamyślony i spięty.

– No, dobrze – powiedział w końcu. – Jedziemy.

Zawróciliśmy i pojechaliśmy na górę. Słońce potoczyło się w przeciwną stronę.

*

Miejsce to było straszne i bezludne, na wskroś rozjeżdżone oponami traktorów; czarna sucha ziemia, niski nieboskłon, rozłożony jak mapa działań wojennych; garaże ustawione jak cerkwie, głową na wschód, czarnymi ambrazurami zakratowanych okien na zachód; rozwalone przez paraliż kombajny; resztki buroczerwonej jak wołowina rolniczej maszynerii – i ani żywej duszy, żadnego farmera, zupełnie nikogo. Po czarnym gruncie przebiegł jakiś szakalowaty pies i wąchając przesiąkniętą mazutem ziemię, skręcił za róg. Nagle szybko odskoczył z powrotem, jakby ktoś go przestraszył, obejrzał się i pobiegł w odwrotnym kierunku. Zdawało się, że tam za rogiem ktoś stoi, że ktoś go przestraszył i zegnał go z drogi. Wjechaliśmy na rozwalony placyk i zatrzymaliśmy się na czarnej, usmarowanej powierzchni. Kierowca zgasił silnik. Było cicho i nieswojo. Wziąłem od Tamary nokię, otworzyłem ją. Przed nami mignęła jakaś postać, nawet nie zdążyliśmy dojrzeć, kto to był.

– Tam ktoś jest – powiedziała z przestrachem Tamara.

– Pewnie psy – uspokoił ją Siewa.

Prezbiter milczał, możliwe, że już żałował, że zgodził się tu zajechać. Patrzyłem na ekran. Był zasięg. Próbowałem przypomnieć sobie numer Traumowanego. W końcu pomyślałem, co ja się napinam, jak mogę sobie przypomnieć – nigdy go nie znałem. Kątem oka zauważyłem, że od jednego garażu do drugiego przebiegły dwa długie cienie. Tamara chyba też to zauważyła.

– Jedźmy stąd – powiedziała cicho.

– Zaraz, zaraz pojedziemy, jeszcze chwilę – odpowiedziałem. – Możesz wykręcić do Traumowanego?

Za kombajnami z przodu też ktoś stał. Fizycznie czuło się czyjeś spojrzenie.

– Daj – Tamara wyrwała mi nokię i zaczęła szukać numeru Traumowanego.

– Tam ktoś był – powiedział prezbiter, pokazując skinieniem lusterko. – A teraz nikogo nie ma.

Obejrzałem się. Z tyłu rzeczywiście nikogo nie było. Pies znów przebiegł przez placyk, tym razem nie wrócił.

– No, co tam? – nie wytrzymałem i nachyliłem się do Tamary.

– Jest sygnał – powiedziała z ulgą – masz.

Wziąłem telefon z jej dłoni, ale jakoś nieostrożnie, Tamara wzdrygnęła się, nokia wyślizgnęła się i poleciała gdzieś pod fotel. Szybko się schyliłem, starając się ją wyłowić.

– Hera – usłyszałem nad głową zmartwiony głos prezbitera.

Złapałem komórkę i gwałtownie podniosłem głowę. Wszyscy w napięciu wpatrywali się w lusterko. Obejrzałem się. Z tyłu stało czterech, całkiem blisko. Milczeli, nie spuszczając z nas oczu. Niepostrzeżenie zamknąłem komórkę i schowałem do kieszeni. Tamara trąciła mnie w łokieć i spojrzała przed siebie. Tam stało jeszcze trzech, też w milczeniu, też w skupieniu nam się przyglądając jak nazwiskom na grobach braci. Za ich plecami stał pies, spuścił łeb i wściekle się szczerzył. Zrozumiałem w końcu, czym tu pachniało. Mazutem i poważnymi problemami.

Farmerzy przypominali gang motocyklowy – wyglądali na chmurnych i niezadowolonych, byli brodaci i napakowani. Niektórzy ubrani w dresy i skóry, niektórzy w skórzane spodnie i dżinsowe kurtki, niektórzy w kamuflaże i skórzane koszule.

Jeden na głowie miał czerwoną bandanę, inny nosił okulary słoneczne, jeszcze inny włożył wyświechtany kożuch na gołe ciało. Jeden z tych, którzy stali z przodu, trzymał kawał żelaznej rury, przerzucał go z ręki do ręki, ciężko wymachiwał, poklepywał wielkimi dłońmi pordzewiałą szorstką powierzchnię. Nagle gwałtownie machnął żelaznym skrawkiem i przywalił w maskę. Wołga zadźwięczała jak wielkanocny dzwon. Siewa wyskoczył na dwór, prezbiter pospieszył za nim, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Tamara kurczowo trzymała się mojego rękawa.

– Spokojnie – powiedziałem, nerwowo wymacując w jednej kieszeni komórkę, a w drugiej elektryczne nożyce firmy bosch i stary wyostrzony śrubokręt. – Spokojnie.

Siewa stał naprzeciwko trzech farmerów i starał się coś powiedzieć. Patrzyli na niego drapieżnie i obraźliwie, jakby czekając, kiedy da im pretekst, żeby mogli go wdeptać w czarny mazut.

– Co robisz? – powiedział w końcu Siewa do farmera z rurą.

– Bo co? – odpowiedział, wycierając dłonie o skórzane spodnie.

– Po chuj mi samochód psujesz? – Siewa starał się mówić surowo.

– Jak chcesz, to mogę ciebie zepsuć – odpowiedział farmer i naparł na Siewę swym bebechem.

Dwaj pozostali zaczęli zacieśniać krąg.

– Poczekajcie, poczekajcie – odezwał się prezbiter.

Wszyscy trzej zatrzymali się i spojrzeli w jego stronę.

– No co wy? – pokojowo łagodził prezbiter. – Ze ślubu jedziemy. Jestem księdzem. Zajechaliśmy do was.

– Ksiądz? – zapytał farmer w skórze. – Skąd jedziecie?

– Stamtąd – ksiądz wskazał na wschód. – Z granicy.

– Tam nie ma kościoła – powiedział brzuchaty, przerzucając rurę z prawej dłoni do lewej.

– My nie potrzebujemy kościoła – wyjaśnił prezbiter. – Żenimy bez kościoła.

– Baptyści? – pochmurnie zapytał skórzany.

– Sztundyści – podpowiedział mu kumpel.

Twarze farmerów jeszcze bardziej spochmurniały.

– Dobra – powiedział ten z rurą – idziemy do agronoma, jemu opowiecie, co to za kościół.

– Posłuchajcie – łagodnie próbował się sprzeciwić prezbiter – musimy jechać, czekają na nas, będą szukać.

– Wujek – powiedział na to koleś z rurą. – Będą szukać, to znajdą. A teraz idziemy do agronoma. Jasne?

– No to chodźmy – zgodził się niepewnie prezbiter.

– Macie telefony? – zapytał brzuchacz.

– A co? – spytał Siewa.

– Daj – rozkazał krótko farmer.

– E tam – spróbował odmówić Siewa.

Farmer złapał rurę dwoma rękami i przywalił Siewie prosto w brzuch. Siewa złożył się jak łóżko polowe. Prezbiter rzucił się na pomoc, ale jeden z farmerów zagrodził mu drogę. Ruszyłem do nich, Tamara wyślizgnęła się za mną. Od razu otoczyli nas ci czterej, którzy byli z tyłu. Najbliżej stał niewysoki młody farmer z jakimś półpunkowym irokezem na głowie i nowiutką łyżką do opon. Zatrzymałem się, odgradzając ich od Tamary.

– Dawaj telefon – znów powiedział do Siewy farmer z rurą.

Siewa w milczeniu wyciągnął komórkę i oddał brzuchatemu. Jeden z farmerów wszedł do wołgi, wyciągnął kluczyki i schował je do kieszeni.

– Teraz ty – farmer przystawił rurę do piersi prezbitra. – Dawaj telefon.

– Nie mam – osowiale odpowiedział ksiądz.

– A jak utrzymujesz kontakt z parafią? Zobacz, czy oni mają – powiedział do punka, pokazując na mnie i Tamarę.

– Tak, żeńszczyna – punk z gotowością ruszył do Tamary – dawaj telefon.

Tamara zapiszczała ze strachu.

– Wyluzuj – złapałem go za rękę. – Ona nie ma żadnego telefonu.

– A ty co się stawiasz? – odwrócił się do mnie punk.

– A ty? – wsunąłem rękę do kieszeni niebieskiej marynarki, ściskając nożyce do blachy.

Punk kątem oka zauważył, jak ostro wypina się moja kieszeń, postanowił nie ryzykować i szybko przygasł.

– Dobra – powiedział – jak nie ma, to nie ma. A ty?

– Chcesz mnie przeszukać? – zapytałem.

– Na chuj mi to potrzebne – powiedział na to punk. – Znaczy, Wowiec – krzyknął do brzuchatego – wszystko czyste.

– No to co – odpowiedział na to Wowiec – idziemy?

I oddawszy komórkę Siewy punkowi, poszedł pierwszy. Powlekliśmy się za nim, zostawiając wołgę pustą i otwartą wśród czarnych kolein. Szedłem i w myślach powtarzałem: Żeby tylko nikt nie zadzwonił, żeby tylko nikt nie zadzwonił. Pies obwąchiwał koła, jego sierść błyszczała w październikowym słońcu.

*

Minęliśmy garaże, ciągniki i kombajny, doszliśmy do wielkiego spichlerza zbudowanego z pustaków. Z boku były drzwi. Koło nich kręciło się jeszcze kilku farmerów. Zobaczywszy nas, wszyscy naraz zaczęli mówić.

– Co, Wowiec, wziąłeś zakładników? – krzyknął jeden, wysoki i łysy, w długiej skórzanej kurtce.

– Chodź, zamkniemy ich w garażu, niech ich szczury żrą – zaproponował drugi, krótki, w okularach i ciężkiej skórzanej czapce, która upodabniała go do słonecznika.

– Taaa, a laskę zakopiemy w kukurydzy do wiosny! – poparł ich trzeci, w skórzanej kamizelce i jakichś zasranych dżinsach.

– Dobra – podsumował surowy, lecz sprawiedliwy Wowiec. – Hryhorij Iwanowycz u siebie?

– U siebie – odpowiedział długi.

– I co z nim? – zapytał Wowiec, jakby z obawą.

– Chujowo – odpowiedział krótki, podobny do słonecznika.

– Choruje – potwierdził zasrany.

– No, to przepuśćcie – roztrącił ich Wowiec, otworzył drzwi i wskoczył do środka.

Oczywiście to był ich sztab. Tapeta przybita była gwoździami do ścian z pustaków, ale w wielu miejscach odpadała i zwisała jak pogrzebowe chorągwie. Pod ścianami stały długie ławy przykryte starymi dywanami i kozimi skórami, w kącie leżała sterta zimowych ubrań – wojskowe kurtki i kożuchy, malutkie okienko nie rozpraszało ciemności i w pokoju paliło się żółte, intensywne elektryczne światło. Na ławach siedzieli i leżeli farmerzy, jakby czekając na coś albo licząc na dobre nowiny, które mieliśmy im przynieść. Naprzeciwko drzwi, pod ścianą stało biurko zawalone papierami i jednorazowymi naczyniami. Za biurkiem siedział nieogolony koleś o ostrych rysach, z jakimś wykrzywionym uśmiechem na twarzy. Na ramionach miał skórzaną kurtkę, pod którą widać było podrabiany sweter Armaniego. Nachylało się nad nim dwóch innych farmerów, jeden w skajowym płaszczu, drugi w ciężkiej milicyjnej skórzanej czapce, ale milicjantem oczywiście nie był, bo pięści pokryte miał niebieskimi więziennymi dziarami. Na nasz widok koleś za biurkiem skrzywił się jeszcze bardziej. Wowiec kazał nam stać pod drzwiami, sam ruszył do biurka. Wokół kręcili się farmerzy, na wypadek gdyby przyszło nam do głowy uciekać.

– Hryhoriju Iwanowyczu – zaczął Wowiec, przerzuciwszy rurę z ręki do ręki. – O, złapaliśmy koło garaży. Mówią, że z kościoła. Sztundyści. Jadą od granicy.

Hryhorij Iwanowycz patrzył na wszystko bez zainteresowania.

– Grisza – odezwał się ten z dziarami – trzeba zajebać tych sztundystów. Popatrz, co oni robią.

– Ni chuja, Grisz – nie zgodził się ten w płaszczu – możemy się sparzyć. Dawaj ich do garażu, niech posiedzą, może coś wygadają.

– A co oni ci wygadają? – sprzeciwiał się ten z dziarami. – Co chcesz od nich usłyszeć? Trzeba ich zajebać. A furę spalić.

– Grisza – uparcie obstawał przy swoim ten w płaszczu – co będziemy fury palić, w cyrku nie jesteśmy. Niech posiedzą do jutra, zobaczysz, coś sobie przypomną.

– Ni chuja – zaprotestował ten z dziarami.

– Przecież ci mówię – nie dawał za wygraną ten w płaszczu.

– Posłuchajcie – powiedział prezbiter i zrobił krok do przodu, ale od razu odciągnęli go za kołnierz, dając do zrozumienia: nie przeszkadzaj, kiedy naradzają się farmerzy.

– Znaczy, Hryhoriju Iwanowyczu – znów wystąpił farmer z rurą – trzeba coś zdecydować, bo jak zaczną ich szukać, to musowo do nas przyjadą.

– A my ich zajebiemy – powiedział ten z dziarami i ponuro zacisnął pięści, przez co wyraźniej zarysowały się tatuaże.

Hryhorij Iwanowycz postękał ciężko. Ten w płaszczu ze zrozumieniem sięgnął do szuflady biurka, wyciągnął stamtąd nadpitą butelkę. Hryhorij Iwanowycz przyłożył się do niej kątem ust i wlewał sobie alkohol do gardła wprost przez dozownik. Jednak wódka od razu wyciekała, nie trzymając się jego ust. Hryhorij Iwanowycz ciężko westchnął, oddał butelkę temu w płaszczu i opadł na oparcie biurowego krzesła.

– Co z nim? – prezbiter zwrócił się do Wowca.

– Niedobrze mu – odpowiedział ten oziębłe. – Chyba widać?

– Paraliż?

– Sam jesteś paraliż – obraził się Wowiec. – Szczękę ma wybitą, chyba widać? Wczoraj wpadliśmy na waszych sztundystów koło granicy. I ktoś mu obrzynem przyłożył.

Nawet wiem kto, pomyślałem.

– Chwileczkę – powiedział prezbiter i ruszył do biurka.

Ci z tyłu znów próbowali go przytrzymać.

– Poczekaj! – machnął ręką ksiądz, minął zdziwionego Wowca z rurą, lekko odsunął tego z dziarami i pochylił się nad Hryhorijem Iwanowyczem, który patrzył z rezygnacją, ale surowo.

Farmerzy, widząc coś takiego, powstawali z miejsc, podnieśli się z ław, ruszyli do biurka, gotowi natychmiast rozerwać prezbitera na kawałki, gdyby tylko wyrządził jakąkolwiek szkodę drogiemu Hryhorijowi Iwanowyczowi. Wowiec chciał odegnać księdza, ale Hryhorij Iwanowycz ostrzegawczo podniósł rękę i Wowiec zamarł, trzymając rurę w gotowości.

Prezbiter położył dłoń na głowie chorego, schylił się i ostrożnie dotknął skrzywionej szczęki. Hryhorij Iwanowycz drgnął z bólu. Wowiec też drgnął.

– Boli? – zapytał prezbiter. Hryhorij Iwanowycz niepewnie jęknął. – Rzecz w tym – ciągnął prezbiter – że człowiek sam nie zna możliwości swojego organizmu. Traktujemy ciało jako oczywistość daną nam raz na zawsze. I dlatego każdą słabość uważamy za nieodwracalną katastrofę, która może pozbawić nas najważniejszego: naszego spokoju ducha. Ciało jednak to narzędzie w rękach Pana i jak z akordeonów Pan wydobywa z nas dziwaczne dźwięki, naciskając niewidzialne klawisze. O tak – prezbiter gwałtownie nacisnął szczękę.

Chrupnęło i szczęka wskoczyła na miejsce. Hryhorij Iwanowycz nie zdążył nawet pisnąć.

Ksiądz odsunął się i z zadowoleniem popatrzył na dzieło swoich rąk. Hryhorij Iwanowycz niepewnie dotykał dłonią szczęki, otwierał usta i łapczywie chwytał powietrze. Farmerzy jak zaczarowani wpatrywali się to w prezbitera, to w Hryhorija Iwanowycza.

– Posłuchajcie – prezbiter nie dał im oprzytomnieć – chcę wam coś powiedzieć. Wy idźcie – odwrócił się do nas – dogonię was.

– Ojcze – nie zrozumiał Siewa – a pan?

– Dogonię, dogonię – twardo powtórzył ksiądz. – Idźcie do samochodu.

Odwróciłem się do drzwi. Punk, którzy stał za moimi plecami, spojrzał pytająco na Hryhorija Iwanowycza, ten apatycznie skinął, jakby mówił: co jest, puść ich i nie wydziwiaj. Prześlizgnąłem się przez drzwi, ciągnąc za sobą Tamarę, Siewa wyszedł za nami. Wychodząc, zdążyłem zobaczyć, jak farmerzy otaczają prezbitera ciasnym kołem, zawahałem się, czy nie zawrócić, ale ten patrzył za nami spokojnie i pobłażliwie, jakby przekonywał, byśmy się nie zatrzymywali. Punk wyszedł z nami, zakłopotany i niezadowolony, i nie odpowiadając na pytania farmerów, którzy kręcili się pod drzwiami, poprowadził nas z powrotem do wołgi.

Słońce stoczyło się za garaże, czarny mazut ostro odbijał ostatnie promienie. Podeszliśmy do samochodu, Siewa podniósł maskę i oglądał wgniecenie. Tamara wsiadła do auta. Ja też padłem na swoje miejsce. Punk stał obok Siewy, nie wiedząc, co robić i jak się w tej sytuacji zachować.

– Nic mu nie zrobią? – zapytała cicho Tamara.

– Nie bój się – powiedziałem uspokajająco. – Wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję, że mnie obroniłeś – mówiła dalej. – Tak się przestraszyłam.

– W porządku.

Punk podszedł do Siewy i też zajrzał pod maskę. Póki nie było go widać, szybko wyciągnąłem komórkę, otworzyłem i wybrałem ostatni numer. Słychać było sygnał.

– Halo – odezwał się Traumowany.

– Szura, to ja – starałem się mówić cicho, żeby punk nie usłyszał. – Słyszysz?

– Herman? – rozpoznał mnie Traumowany. – Mów głośniej.

– Nie mogę głośniej – znowu wyszeptałem. – Co tam u was?

– Znaczy, Herman – krzyknął Traumowany. – Rano cię tu szukali.

– Kto?

– Nie wiem. Ale chyba nie milicja. W cywilu. Przyjechali rano, długo wypytywali.

– I co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że wyjechałeś. Do brata. I nie wiem, kiedy będziesz.

– A oni?

– Powiedzieli, że jeszcze przyjadą, że jesteś im bardzo potrzebny. I pojechali do miasta.

– I co teraz robić?

– Znaczy, tutaj nie przyjeżdżaj. Myślę, że wrócą. Lepiej, żebyś naprawdę gdzieś wyjechał na kilka dni. Niech tu się wszystko uleży.

– Ale dokąd mam jechać?

– Kurde, Hera, gdziekolwiek – krzyknął Traumowany. – Zróbmy tak – nagle się uspokoił. – Kiedy będziecie?

– Nie wiem. Późno.

– Jak będziecie dojeżdżać, przekręć do mnie jeszcze raz. Wysiądziesz na przejeździe, przejdziesz się na dworzec. Będę tam czekać. Kasę i dokumenty ci przywiozę.

– Dzięki, Szura.

– Daj spokój – odpowiedział na to Traumowany i znikł z eteru.

– Co tam? – zapytała Tamara.

– Problemy w pracy – odpowiedziałem.

Czas mijał powoli i ciężko, czepiając się dachów garaży i rolniczego żelastwa. Zupełnie się ściemniło, zrobiło się chłodno. Aż nagle zza rogu wypadła cała grupa. Przodem biegł pies, z oddaniem merdając ogonem. Za nim pewnym krokiem szedł prezbiter. Dalej kupą sunęli farmerzy. Prezbiter podszedł i pomachał wszystkim.

– Jedziemy! – powiedział wesoło do Siewy i usiadł na swoim miejscu. Zbliżył się jeden z farmerów i bez słowa oddał Siewie kluczyki. Farmerzy stracili animusz i niepewnie przestępowali z nogi na nogę, kaszląc w pięści i nic nie mówiąc.

Siewa trzasnął maską i podszedł do punka.

– Komóra – powiedział zdecydowanie.

– Co? – zapytał zdezorientowany punk.

– Komórę dawaj – twardo powtórzył Siewa.

Punk obejrzał się na swoich i nie widząc wsparcia, niepewnie wyciągnął z kieszeni komórkę. Siewa wziął telefon, siadł za kierownicą, odpalił silnik i dał gazu. Zrobił rundę honorową wokół farmerów i wytoczył się z tego wysmarowanego miejsca.

*

Kiedy już odjechaliśmy i łodygi kukurydzy znów zatłukły w karoserię, nachyliłem się do prezbitra.

– Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze – potwierdził radośnie.

– O czym rozmawialiście?

– A tak – lekceważąco odpowiedział prezbiter – o niczym. O drogach, którymi przychodzi nam iść. O opatrzności, która kieruje nami na szlaku. Ale przede wszystkim o reformach w rolnictwie.

– Nie, naprawdę? – dopytywałem się.

– Herman, przyjdzie czas i ty też się o wszystkim dowiesz – odpowiedział ksiądz.

Wyciągnął z jednej kieszeni zapalniczkę zippo, z drugiej czystą chusteczkę do nosa, ostrożnie owinął zapalniczkę i schował z powrotem do kieszeni.

I zaraz beztrosko zasnął.

*

Powietrze było czarne i kamienne jak węgiel. Reflektory zalewały drogę tłustym złotem, z pól wybiegały lisy, ich oczy błyszczały strachem i smutno gasły. Siewa nie odwracał wzroku od rozwalonej drogi. Niespodziewanie ręka Tamary prześlizgnęła się po mojej nodze. Spojrzałem na nią, znaczy na Tamarę, ale odwróciła się i patrzyła gdzieś za okno, tak jakby w ogóle jej nie było, jakby nie jechała tu z nami, jakby to nie jej dłoń pewnie przesuwała się w górę, z łatwością radząc sobie z paskiem i guzikami i wślizgując się pod moją podkoszulkę, jakby to nie jej pierścionki przypiekały mój brzuch zimnem i niebezpieczeństwem i jakby to nie jej ostre paznokcie dotykały mnie, przerażając i podniecając. Naprężyłem się, ale prezbiter spokojnie pochrapywał z przodu, a Siewa, zdawało się, zupełnie o nas zapomniał. A Tamara chyba niczego nie zapomniała, wszystko pamiętała, objęła mnie i poruszała się powoli, ale bez przerwy, nie dając odetchnąć i rozluźnić się, mocno trzymała w dłoni, jakby się bała,

że za chwilę wyrwę jej się i ucieknę. Słyszałem, jak oddycha, czułem, jak jej dłoń drży, czy to ze zmęczenia, czy z napięcia, ale dalej porusza się, nie przerywa tej mechanicznej pracy, wkładając w nią całą swą siłę i czułość. Nawet na mnie nie patrzyła, czegoś tam wypatrywała w ciemnościach, była niby ze mną, ale jednocześnie gdzieś daleko, więc nie mogłem jej dotknąć, powiedzieć, żeby w żadnym razie się nie zatrzymywała, nie zmieniała rytmu, tylko nie teraz, chciałem jej powiedzieć, jeszcze chwilę i będzie koniec, potem odpoczniesz. I za każdym razem, kiedy chciałem o to poprosić, ona jakby specjalnie zamierała, łapała oddech, wydychała z płuc gorące powietrze i tych kilka sekund wystarczało, żebym się wycofał, i wtedy wszystko zaczynało się od początku, wszystko trzeba było robić od nowa, kontynuując wyczerpującą miłosną grę. Pierścionki na jej palcach się nagrzały, jęczała już ledwie słyszalnie, nagle odwróciła się i rzuciła mi powłóczyste spojrzenie, i było jasne, że tym razem już się nie zatrzyma, więc chcąc nie chcąc, trzeba wszystko kończyć, bo ile można znieść i powstrzymywać się, trzeba kończyć, bo inaczej można umrzeć z wyczerpania i pragnienia. I na jakąś chwilę przed zakończeniem, czując, że dopięła swego, lekko nakryła mnie dłonią, tak by nikt nie zauważył. A potem słodko i nieważko przesunęła mokrą dłoń po moim brzuchu i delikatnie oddychając, znów odwróciła się do okna, za którym suchą kukurydzę oświetlały spadające gwiazdy.

3

Po lewej ciemniały czeluści zajezdni, nalane czernią jak naftą. Ciemność rozpraszały latarnie wypełniające powietrze iskrami, które rozlatywały się, błyskając w szybach i kolejowych urządzeniach. Po prawej ciągnęły się boczne tory,

zaplątane ślepe bocznice z żółtą od smaru trawą i czarnymi od dymu szynami. Dalej zaczynały się domy, bandyckie dzielnice, terytorium uzależnienia od alkoholu, słychać było stamtąd jakąś bardzo głośną muzykę, przez którą przebijały psy i gwizdki lokomotyw. Na północ przetoczył się towarowy wypełniony węglem z Donbasu. W powietrzu unosił się zapach deszczu i mokrego kamienia, postawiłem kołnierz marynarki i poszedłem torami w kierunku świateł dworca.

Traumowany siedział w swoim samochodzie na placu dworcowym i odchyliwszy głowę na oparcie, słodko spał. Przebiegłem za drzewami i wskoczyłem do środka. Szura obudził się i popatrzył na mnie uważnie.

– Co ty masz na sobie? – zapytał.

– Garnitur – odpowiedziałem. – Koczy.

– Przebierz się – poradził Traumowany. – Przywiozłem ci rzeczy – wskazał na tylne siedzenie. – A tu masz dowód i kasę. Za godzinę będzie doniecki. Jedź drugą klasą, tam jest więcej ludzi.

– A dokąd mam jechać?

– Nie wiem – nie znalazł odpowiedzi. – Jedź do ostatniej stacji. Dojedziesz do Doniecka, znajdziesz mojego brata. Powiesz, że przyjechałeś po furę. Jednym słowem, przesiedzisz tam do końca tygodnia.

– Szura, po co mam się chować?

– Wiesz, czego oni chcą?

– Nie wiem.

– Ja też nie. Przejedź się. A ja sobie przy okazji od ciebie odpocznę.

– A gdzie Olga? – zignorowałem ostatnie zdanie. – Może ona coś wie?

– Nic nie wie – powiedział Traumowany. – Pytałem.

– Może kuzynom Koczy powiedzieli?

– A co oni zrobią? – machnął ręką Traumowany. – Herman, myślę, że to coś poważnego. Tym razem nie będą palić cystern. Chyba że z nami wszystkimi w środku.

– No dobrze – zgodziłem się. – Pojadę drugą klasą. To teraz się przebiorę.

– Dobra – odpowiedział Traumowany i się odwrócił.

*

Październikowe powietrze, kiedy ostygło, stało się pojemniejsze i bardziej sprężyste, więc głosy odbijały się od jego niewidzialnej powierzchni i leciały rykoszetami w ciemność, długo unosząc się echem i powoli się rozpadając. Dyżurna coś ogłaszała i ogłaszała, coś odczytywała, prosiła o uwagę i informowała o opóźnieniu, powtarzała bez końca numery pociągów, chociaż wszystko na próżno – nie dało się jej zrozumieć, z megafonu umocowanego w górze głoski sypały się jak suchy ptasi nawóz, nie tyle informując, ile odstraszając. Stałem na peronie w cieniu rzucanym przez budynek, unikając poczekalni i nie ryzykując wejścia w światło. Patrzyłem na reflektory, które przepalały czarną tkaninę październikowej nocy, oglądałem z daleka postaci kolejarzy znikające za przejazdem, słuchałem tego kolejowego języka, myśląc, kto to do mnie przyszedł, komu stałem się nagle potrzebny. Możliwe, że ktoś od brata. Jeśli tak, to dlaczego tego nie powiedzieli? Jeśli to kukuruźnicy, to czego chcą? Spokój, który trwał tyle czasu, nagle się urwał, wszystko wróciło na swoje miejsca, życie zupełnie nie chciało, by ktoś łapał je za rogi. Jednym słowem, historia jest poplątana jak trawa między podkładami, pomyślałem i wreszcie wtoczył się mój pociąg.

*

Wagon był w połowie pusty. Jechali nim przeważnie jacyś przekupnie, którzy położyli na półkach brezentowe worki ze swoim kosztownym chińskim towarem, umościli się wprost na tych workach i spali. Wagony skrzypiały jak huśtawki w parku kultury, pociąg ruszał długo, potem zatrzymywał się, jakby o czymś zapomniał, odtaczał się do tyłu i ruszając z piskiem, znów ciągnął naprzód. Wepchnąłem się w ciche miejsce pomiędzy workami i pudełkami z zimnym mięsem, od których zalatywało śmiercią, przycisnąłem się do okna, oglądając czarne rozgałęzienia gałęzi i ciężkie ciało księżyca, który przetaczał się przez donieckie tory. Jesień pełna zapachu warzyw unosiła się za oknami, przepuszczając przez siebie towarowe i pasażerskie, obdzielając je zapachem dojrzałości i rozkładu i wypełniając suchymi wschodnimi wiatrami. Pociąg uparcie nie chciał jechać, rozpędzał się po kolejnym przejeździe rozjaśnionym rozgniecionymi w ciemności światłami, wjeżdżał w niewymowną czerń i tam zamierał, wstrząsając całym swoim żelazem i budząc ze snu i bez tego niespokojnych sprzedawców martwych zwierząt.

Zaczynałem już zasypiać, kiedy podtoczyliśmy się pod latarnie jakiejś niewielkiej stacji o dwóch peronach, wokół których wirowały strumienie pasażerów. Wylazłem spod śmiertelnych pudełek i wyszedłem na korytarz. Wychyliłem się do połowy przez wybite okno. Spróbowałem przyjrzeć się ciemności. Wzdłuż pociągu, od lokomotywy, szedł patrol. Było ich trzech, pierwszy na przedzie z kałaszem, dwóch pozostałych chowało się za jego plecami. Szli w skupieniu, dość szybko, jednak bez zamieszania, jakby wiedzieli, dokąd idą i co mają robić. Nagle ciszę przeciął sygnał, pociąg miał już ruszać, gliniarze zdenerwowali się, podbiegli do najbliższego wagonu i zaczęli bębnić w zamknięte drzwi. Ktoś im szybko otworzył i jeden po drugim weszli do środka. Coś podpowiadało mi, że to po

mnie, że to właśnie na mnie czekali na zapomnianym przez boga peronie, ktoś może ich uprzedził albo sami się domyślili, albo po prostu mieli szczęście. Dzieliły nas trzy wagony, to trzy minuty. Już mieliśmy ruszyć. A wtedy wszystkie drogi ucieczki będą odcięte. Spróbowałem otworzyć drzwi. Nie poddały się. Wymacałem w ciemności klamkę i nacisnąłem całym ciężarem. Tym razem się udało. Zeskoczyłem na czarny asfalt. Niemal od razu pociąg drgnął i zaczął odpełzać, zostawiając mnie samego na środku peronu. Przejechał ostatni wagon, na drugim torze, okazało się, stał inny pociąg, który miał tylko trzy wagony, ciemne i zagadkowe. W jego cichym wnętrzu nie było żadnego dźwięku, żadnego światła. Dziwne, pomyślałem, kto jeździ takimi pociągami? I wtedy skład, z którego dopiero co wyskoczyłem i który odjechał już ze stacji, zatrzymał się. Cisza znów odezwała się trzaskiem metalu. Zamarłszy na chwilę, wagony ruszyły z miejsca i powoli potoczyły się z powrotem. Spanikowałem. Trzeba było znikać. Odwróciłem się w stronę stacji i nagle zobaczyłem światła reflektorów, które biły w ciemność skądś z nocy, zbliżały się, zalewając sobą przestrzeń. Wagony już wjechały na pierwszy peron. W tym momencie noc wypełniła się głosami i krokami – zza budynku dworca wybiegło trzech kolejarzy, taszcząc ciężkie kartonowe pudełka. Jeden niósł trzy naraz i ledwo szedł z mdlejącymi rękami. Zauważywszy podtaczający się pociąg, przyspieszyli, pierwsi dwaj zeskoczyli na tory, wyszli na drugi peron i pobiegli pod nieruchomymi wagonami widmami. Trzeci nie odważył się skakać pod koła z trzema pudełkami, na moment się zatrzymał i zobaczył mnie.

– Braciszku, pomóż – poprosił.

Podbiegłem i wyjąłem pudełko z jego rąk. W środku cicho zadzwoniło pełne szkło. Chlanie, zrozumiałem od razu, szampany albo wytrawne wino.

Tragarz tymczasem zeskoczył w dół na podkłady i teraz usiłował wyjść po drugiej stronie. Skoczyłem za nim. Wagony już nadciągały całym swym zielonym żelazem, ale zdążyliśmy się wydostać i pobiegliśmy pod czarnymi oknami, omijając wszystkie niebezpieczeństwa i pułapki zastawione przez ministerstwo transportu.

Drzwi wagonu widma były otwarte. Tragarze wrzucali pudełka i sami wskakiwali za nimi. Podparłem ramieniem ostatniego i pomogłem mu wejść, po czym ruszyłem za nim ze swoim pudełkiem. Stali na korytarzu, obserwując ciemność. Przedział konduktora był otwarty, ale jego samego tam nie było, za to z ciemności wyłonił się facio z pokiereszowaną złą twarzą i kaburą na ramieniu, wyglądało, że ochroniarz. Kiwnął głową na jednego z tragarzy, żeby za nim poszedł. Pierwszy przedział był otwarty. Facio z kaburą wszedł do niego. Zaczęliśmy się wpychać za nim. Pudełka stawialiśmy na górnych półkach. Prześlizgnąłem się ostatni, miejsca było już bardzo mało. Wrzuciłem swój bagaż na górę, nie wiedząc, co dalej robić. Cofnąłem się o krok i znalazłem się w ciemnym korytarzu.

– Drzwi zamknij – powiedział ochroniarz.

Któryś z nich lekko przymknął drzwi przed moim nosem, zostawiając mnie na korytarzu. Z przedziału dobiegały głosy. Chyba o mnie zapomnieli. Za oknami stał pociąg, jakieś światła płonęły w ciemności, czyjeś kroki głucho rozbrzmiewały w przedsionkach. Przeszedłem korytarzem. Był to dziwny wagon, zupełnie bez pasażerów. Najbliższe przedziały były otwarte i wypchane różnymi rzeczami. W jednym stało ksero, na dolnych półkach leżały jakieś maszyny do zszywania broszur i góry ciężkiego papieru. W następnym były paczki gazet i czasopism przykryte siatką maskującą. Pozostałe przedziały były zamknięte. Przeszedłem do ostatniego i pociągnąłem

drzwi. Cicho odjechały w bok. Wszedłem i zamknąłem się. Z drugiego końca wagonu dobiegały głosy, szczególnie słychać było ochroniarza. Pytał o coś tragarzy. Może o mnie, pomyślałem. Usłyszałem, jak ochroniarz ruszył, sprawdzając przedziały. Podchodził coraz bliżej. Co robić, myślałem, co mam teraz robić? Szarpnął drzwi w poprzednim przedziale, okazały się zamknięte, jak miało być. Podszedł do mojego. Pociągnął za klamkę. Drzwi się nie poddały. Spróbował jeszcze raz. Przedział był zamknięty. W porządku – powiedział do siebie. Jego ciemne kroki zaczęły się oddalać. Głosy umilkły, zrobiło się zupełnie cicho. Położyłem się na dolnej półce, zamknąłem oczy i zapadłem się w zielone jamy snu.

*

Zdawało się, że zwierzęta przechodzą za oknami, ciemne zwierzęta z latarniami na czaszkach, pokryte kłującą sierścią, przechodzą, wydychając ciepłą nocną parę, zaglądając do okien, oślepiając i przestraszając. Światło, które od czasu do czasu zalewało ciemność jak gips puste formy, biło po oczach i nagle znikało, przez co czerń dookoła stawała się jeszcze gęstsza, jak woda w stawie. Pociąg widmo, do którego tak dziwnym trafem wsiadłem, już od kilku godzin toczył się w niewiadomym kierunku, coraz bardziej oddalając mnie od wydarzeń ostatnich dni. Co zostawało z tej podróży? Mieszanina świateł i ciemności, posmak jesiennego powietrza, poczucie dotyku na skórze. Tak jakbym sto lat podróżował po tych torach, ukrywając się w głębokich wagonowych kryjówkach, w których nie mogą mnie dojrzeć głodne zwierzęta. Jakbym wstrzymywał oddech w szafie z ubraniami, siedzę z głową na kolanach, a nade mną wiszą nietknięte od zimy futra i świąteczne garnitury, ciemnieją w górze jak tusze krów w chłodniach. Pojawia się, przyciągając i odstraszając jednocześnie, poczucie

bezpieczeństwa i zanurzenia w obcych zapachach, którymi wypełnione są ubrania. Głosy i śpiewy rozlegały się echem w mojej głowie, wracały i powtarzały się, wszystkie psalmy, które śpiewali, wszystkie życzenia, wyznania i przemilczenia, cudowni ludzie, dziwaczne okoliczności, co mi było do ich walki, ich prób sprzeciwu i oporu, co im było do moich problemów, do mojej ucieczki i ukrywania się. Ale tak czy inaczej – poruszamy się po swoich trasach, trafiamy w nieznane miejsca, przedostajemy się za kulisy własnych doświadczeń i wszyscy, których przyjdzie nam spotkać, zostają w naszej pamięci, ich głosy i dotyk. Nawet jeśli nigdy nie wysiądę z tego pociągu, nawet jeśli do śmierci będę leżeć na tej półce, w zagubionej pułapce, nikt nie odbierze mi wspomnień o tym, co widziałem, i dzięki temu jest nie najgorzej.

*

Szafy na ubrania były jak akwaria, powietrze w nich ustało się, przez zapach wypranych koszul w dziwny sposób przebijał zapach półek magazynowych, jakby przez zapach życia przebijał zapach śmierci. Najlepsze wspomnienia z dzieciństwa to wspomnienia o śmierci, która wycofuje się pod naciskiem życia. Później to wszystko gdzieś znikło razem ze starymi, znoszonymi ubraniami. I dlaczego myślałem o tym właśnie teraz, podczas tej podróży, wciąż jeszcze czując lęk i podniecenie? Przeszłość oślepiała jak latarnie, wypełniając ciemne kąty wagonów. Swego czasu w innym życiu wiele lat temu zdarzały się różne rzeczy, właśnie o nich myślałem cały czas, starając się zrozumieć, w jaki sposób łączą się w gardle uczucia niebezpieczeństwa i rozkoszy. Ta kobieta, o której myślałem, była ode mnie starsza, albo nawet nie tak, ja byłem znacznie od niej młodszy, ile miałem wtedy lat – ze czternaście? Krótko mówiąc, całkiem mało. Ale ktoś ułożył nasze trasy, ktoś

skierował nas w odpowiednim czasie w odpowiednie miejsce, jakaś zwyczajna przypadkowa historia – trzeba było coś przekazać, zanieść jakąś wiadomość, książki czy coś takiego właśnie w tej chwili, kiedy przebierała w szafie stare ubrania, rozrzucała na środku pokoju górę rzeczy ojca i przestępowała nad sukienkami mamy jak nad sztandarami pokonanego wroga. Kiedy wszedłem, poprosiła, żebym poczekał, usiadłem na kanapie i ostrożnie przyglądałem się, jak schyla się nad płaszczami i spódnicami, wyciąga garnitury i kapelusze, całą tę migotliwą górę cudzych konturów i zapachów, stąpając po niej bosymi nogami. Nawet nie rozmawialiśmy, ale odprowadzając mnie do drzwi, jakoś szczególnie dotknęła mojego ramienia, jakby odtrącając je od siebie i od wszystkich tych szmat, które wyzywająco leżały na środku podłogi. To nawet nie była historia, historia zdarzyła się jakiś czas później, chociaż byłem przekonany, że to się musiało stać, inaczej nie przeskakiwałaby tak ostrożnie przez żółte i czerwone koszule ojca i jej dłonie dotykające mojego ramienia nie byłyby tak gorące. Gorące były też następnym razem, kiedy znaleźliśmy się obok siebie w nocnym ikarusie jadącym nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd, wypchanym gwarnym tłumem, który nijak nie mógł się uspokoić, przekazywał sobie alkohol i jabłka, przekrzykiwał się nawzajem, wrzeszcząc w letnią noc przekleństwa i wyznania. Wesoła gromada przyjaciół, wszyscy swoi, wszyscy z jednego osiedla, noc w drodze, powrót z jakiegoś święta, złoto wieczornych przedmieść, sosny obciągnięte czarną gazą nocy, świeże powietrze, które wpadało przez otwarte okna, i jakoś w środku nocy położyła mi głowę na ramieniu, udając, że śpi, prosty zwyczajny manewr, który znów nie powinien niczym się zakończyć, aż nagle wsunęła dłoń pod moją koszulę i wszystko to nawet nie otwierając oczu, nawet na mnie nie patrząc, spróbowałem też sięgnąć pod jej sweter,

ale zmęczonym, choć twardym ruchem odsunęła moją rękę, dając do zrozumienia, że ona tu decyduje, kto komu robi dobrze, a ja zresztą nie miałem nic przeciwko temu. Przecież tak czy inaczej ona była dorosłą kobietą, miała delikatną skórę i mądre zielone oczy, była w swetrze i dżinsach, miała swoje doświadczenie i przyszłość, między które przypadkowo, choć tak skutecznie trafiłem. Potem myślałem, że życie składa się właśnie z takich rzeczy, z tych umiejętnych starszych kobiet, które robiły z nas dorosłych, uczyły, jak mogły, miłości, żeby nam, chłopakom z blokowiska, nie wydawało się, że w życiu jest miejsce tylko na walkę i zemstę. I później wypadało nam zawsze bronić je, nasze starsze kobiety, bronić przed starością i zapomnieniem, nie wycofywać się i nie porzucać, kiedy czuły się szczególnie paskudnie. Nie wiem – wątpliwe, że to rozumieliśmy, korzystając z ich oddania, takie rzeczy zazwyczaj traktuje się lekko i szybko zapomina, nikt nie nadaje szczególnego znaczenia stosunkom z kobietami, wszystkich fascynują stosunki z życiem i śmiercią – nikt nie wie, że kobiety to i życie, i śmierć. I ja wtedy też nic nie wiedziałem, rozumiałem tylko, że dzieją się ze mną rzeczy ważne i poważne, i że ich wadze nie mogą zaprzeczyć ani powolne zwierzęta z latarniami na głowach, które zaglądały do naszych okien, ani przyjaciele, którzy od czasu do czasu wołali mnie we śnie po imieniu, ani moja całkowita nieruchomość i nieporadność. Bo nikt nie może zaprzeczyć ważności dorastania. Najważniejsze – nie ruszać się, najważniejsze – nikogo nie obudzić, najważniejsze – nie obudzić jej.

Ciekawe, co wtedy robiła Tamara?

*

Zmusiłem się, żeby wstać i wyjść na korytarz. Za oknami unosiła się gęsta mgła, przez którą przebijało się światło słoneczne.

Wyszedłem do przedsionka, otworzyłem drzwi i znalazłem się w sąsiednim wagonie. Światło ostro uderzyło mnie w oczy. Zasłoniłem je ręką.

Był to wagon restauracyjny, z barem z kilkoma wysokimi stołkami po drugiej stronie i ze stolikami pustymi jak zimowe pola. Ale przy jednym siedziało dwóch – powolnych, sennych, jeden w czarnym garniturze, krótko ostrzyżony i z brodą, drugi w wojskowym czarnym swetrze, też ostrzyżony na krótko. Przed nimi stały szklanki z kawą i leżał kałasznikow z obciętą kolbą. Na stołku przy barze siedział jeszcze jeden, w długiej czarnej kurtce, i też pił kawę, przeglądając gazety. Zobaczywszy mnie, wszyscy trzej się spięli, ci dwaj siedzący bliżej wstali, nie spuszczając ze mnie oka, i jednocześnie sięgnęli po kałasznikowa. Próbowałem wymacać za plecami klamkę.

– Stać – powiedział brodaty. On pierwszy złapał kałasznikowa. – Coś ty za jeden?

Nawet nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Jak tu wszedłeś? – zadał następne pytanie brodaty.

– Z sąsiedniego wagonu – wyjaśniłem. – W nie ten pociąg wsiadłem.

– Jaki, kurwa, nie ten – słusznie nie uwierzył brodaty – to specjalny pociąg, bracie. Co ty tu robisz?

– Jak by tu powiedzieć? Pudełka nieśliśmy. Zasnąłem.

– Pijany jesteś?

– Ja? Nie.

Popatrzyli po sobie, oczywiście nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

– Kola! – krzyknął nagle ten, co siedział przy barze.

Brodaty się obejrzał.

– Sprawdź go – nie tyle rozkazał, ile poprosił tamten.

– Ręce – krótko powiedział Kola, przekazał automat partnerowi, podszedł i umiejętnie mnie przeszukał.

Chyba już mi się to kiedyś zdarzyło, pomyślałem sobie. Dobrze, że się przynajmniej przebrałem, jak bym im wyjaśnił, po co mi elektryczne nożyce do blachy.

– W porządku – krzyknął Kola i odszedł na bok.

– Dobra – powiedział koleś przy barze. – Idźcie do przedsionka, ochroniarze po chuju. A ty – zwrócił się do mnie – chodź tu.

Już trochę pewniej podszedłem do baru. Koleś wskazał wolny stołek. Usiadłem, czekając, co powie.

Był mniej więcej w moim wieku. Miał szarą twarz i złe, świdrujące spojrzenie, jednak to zło było jakieś bezosobowe, jakby miał szkła kontaktowe ze złym wyrazem oczu. Był dokładnie ogolony, tak dokładnie, że w niektórych miejscach miał na szyi czerwone zadrapania. Włosów na głowie miał niewiele i były schludnie przylizane, zresztą cały był schludnie przylizany, jakiś wyzywająco uczesany i wymyty. Od razu zwróciłem uwagę na jego kurtkę – długą, milanowską, taką samą, jaką nosił Tolik. Tylko że w odróżnieniu od tamtej ta była prawdziwa, firmowa, co od razu rzucało się w oczy. Zdawało mi się też, że jeden z rękawów kurtki był umazany krwią albo czerwoną farbą. Pod kurtką miał ciemny drogi garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Na barze leżała rosyjska prasa ekonomiczna. W końcu coś tam doczytał, gwałtownym ruchem złożył gazetę na pół i rzucił na bar, razem z resztą, przygniatając ją małą dłonią z paznokciami przyciętymi jak u chirurga. Zwróciłem też uwagę na czysty kołnierzyk jego koszuli.

– Jak się nazywasz? – zapytał, wściekle, choć bez zainteresowania patrząc mi w oczy.

– Herman.

– Herman? Masz dowód?

Sięgnąłem do kieszeni, znów w myślach dziękując Traumowanemu.

– Korolow – powiedział z zastanowieniem. – Nazwisko znajome. Jak tu trafiłeś? Pociąg jest chroniony.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Spóźniłem się na swój i wskoczyłem do tego. Ciemno było.

– No, no – nie uwierzył mi. – Na pewno nie masz do mnie interesu?

– Jak to?

– No, może czegoś ode mnie chcesz.

– Nic nie chcę.

– Tak? Każdy ode mnie czegoś chce.

– Nie – zapewniłem – ja nic od ciebie nie chcę.

– Tak? – zapytał jeszcze raz.

– Tak.

– Dobrze, że nie spałem – powiedział, znów po chwili zastanowienia. – Wyrzuciliby cię w biegu. Nie mogę zasnąć – poskarżył się. – Zawsze, kiedy tu przyjeżdżam, nie mogę spać. Nie lubię tych miejsc. A ty gdzie mieszkasz, Herman?

– Tu, niedaleko.

– Miejscowy?

– Miejscowy.

– I dlaczego stąd nie spieprzasz?

– Po co?

– Żeby się lepiej spało.

– Mnie i tak śpi się dobrze. Właśnie przespałem całą noc w sąsiednim wagonie. A mam tu też biznes. Gdzie będę jechał?

– Biznes? – zaniepokoił się. – Biznes, no dobrze. Na pewno nic ode mnie nie chcesz?

– Na sto procent.

– Napijesz się? – zaproponował niespodziewanie.

– Dobra – zgodziłem się.

Zsunął się ze stołka i poszedł za szynkwas. Bar wyglądał marnie, zdaje się, że nieczęsto z niego korzystano, alkohol stał

w rozproszonym szeregu: jakieś wódki, wino, butelka koniaku. Właśnie po nią sięgnął. Wyciągnął dwie kolejowe szklanki ze spodkami, wyrzucił z nich łyżeczki i nalał.

– Nie mam czasu, żeby zaopatrzyć bar – podał mi szklankę. – Za każdym razem, kiedy wracam, obiecuję sobie, że wezmę normalnego barmana, nakupię normalnego chlańska, żeby wszystko było. I za każdym razem zapominam. Dużo pracy mam – powiedział i wypił.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc też wypiłem. Było w tym coś dziwnego. Z jednej strony stał i nalewał mi z miejsca barmana, z drugiej było jasne, że to niczego nie zmienia – to był jego koniak i on nie tyle robił przysługę, ile pozwalał z tej przysługi skorzystać. Patrzył badawczo i nie dawał się rozluźnić.

– Dużo ludzi tu jedzie? – spytałem go.

– Dlaczego pytasz? – znów się zaniepokoił.

– Tak sobie.

– Tak sobie? Ja jeden tu jadę. I ochrona. Widzisz, nawet barmana nie wziąłem.

– I co, nie ma konduktorów?

– Nie ma.

– A kto sprawdza bilety?

– Herman – zdziwił się – to mój pociąg. I ja sprawdzam wszystkie bilety.

– Twój? Wychodzi, że jesteś jak Trocki, jeździsz własnym pociągiem.

– No, na to wychodzi – zgodził się.

– A dokąd jedziesz?

– Dokąd? – Zamyślił się, możliwe, że decydował, powiedzieć czy nie. – Praktycznie donikąd. Jeżdżę, sprawdzam obiekty.

– A jak ten twój pociąg przepuszczają? W sensie, jak ogłaszają na stacjach? Macie numer?

– Wiesz, gdzie teraz jesteśmy? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wyjrzałem przez okno. Mgłę podgrzewało z góry różowe światło, nie można było nic zobaczyć.

– Nie, nigdy tu nie byłem.

– To na pewno – przytaknął. – To ślepy tor. Na wypadek wojny go zbudowali, dla przemysłu obronnego, żeby fabryki wywozić. On tam dalej – wskazał ręką gdzieś w mgłę – po prostu się urywa, wyobrażasz sobie? Więc poza mną nikt tu nie jeździ.

– Nieźle.

– Yhm – zgodził się. – Dziwne miejsca. Nie lubię tu przyjeżdżać. Pusto tu jakoś. Jedziesz, jedziesz i nic nie ma. Tylko kukurydza. Dobrze ci tu?

– Tu?

– W domu.

– W domu dobrze.

– Dziwny z was naród, miejscowi. – Znów nalał. – Ani się normalnie dogadać, ani rozstać. Wiesz, ile tu miałem problemów? Ciągle ktoś albo chce cię orżnąć albo cenę zbić, albo w ogóle uprze się i za chuja go nie przekonasz.

– Może nie umiesz przekonywać?

– Może – zgodził się. – Wiesz, co ci, Herman, powiem? Wydaje mi się, że wasze problemy są z tego, że za bardzo trzymacie się tych miejsc. Wbiliście sobie do głowy, że najważniejsze to tu zostać, najważniejsze ani kroku do tyłu, i łapiecie się tej swojej pustki. A tu ni chuja nie ma! Po prostu ni chuja. Tu nie ma czego się trzymać, jak możecie tego nie widzieć?! Wyjechalibyście, poszukali, gdzie się lepiej żyje. Miałbym mniej problemów. Ale nie, zakopać się w piasku, jak lisy, i nie wygonisz. Za każdym razem jakieś kłopoty, za każdym razem.

– Ale w czym problem, nie rozumiem?

– Problem w tym, że nie doceniacie możliwości kapitału. Myślicie, że jak tu się wychowaliście, to automatycznie macie prawo zostać tu dłużej.

– A nie mamy?

– A chuj, Herman, chuj! – znów nalał. – Chcesz normalnie żyć, naucz się normalnie załatwiać sprawy. To przecież nic trudnego. Spróbuj po prostu zrozumieć, że nie ty jeden masz prawo tu być, jasne?

– Jasne.

– I że trzeba umieć iść na ustępstwa, umieć dawać, żeby dostać coś w zamian.

– No jasne.

– I że nie trzeba upierać się jak wół, kiedy proponują ci coś na dogodnych dla ciebie warunkach. To chyba jasne?

– No.

– Tak. – Wypił i trochę się uspokoił. – Dla ciebie jasne, a dla nich – znów pokazał ręką w mgłę – ni chuja nie jasne. Za każdym razem kłopoty, za każdym razem! – powtórzył.

– No, nie wiem, może problem nie w tym, że nie umieją spraw załatwiać, a w tym, że nie zostawiasz im wyboru.

Popatrzył na mnie jakoś szczególnie wściekle.

– Wszystko zostawiam, Herman, wszystko zostawiam. Myślisz, że lubię trupy za sobą rozrzucać? Po prostu jebnięci jacyś. Mam takie wrażenie, że dla was wszystko się zatrzymało. Siedzicie w swojej przeszłości, trzymacie się jej kurczowo i nie wyciągniesz was stamtąd. Ale co ja ci będę wykłady robić!

Wtedy drzwi się otworzyły i wszedł brodaty. Wszedł i stał przy nich, milcząc.

– Co, Kola? – nie całkiem trzeźwo zapytał szef.

– Prosił pan, żeby przypomnieć o śniadaniu.

– O – zwrócił się do mnie przylizany – widzisz, ani kucharza, ani barmana, ani stewardesy. No dobra, idziemy.

I bosmańskim nietrzeźwym krokiem ruszył przez korytarz. Kola przepuścił go, przepuścił mnie i zamknął za nami drzwi.

*

Coś się w tym czasie zmieniło, powietrze stało się gorące, nabrało koloru śmierci w jaskrawych, beznadziejnych odcieniach. Szliśmy przez wagon i słyszałem dziwne dźwięki, które dobiegały z zamkniętych na głucho przedziałów. Słyszałem ciche ptasie głosy, słyszałem napięte oddechy zwierząt, tak jakby za drzwiami stały straszydła, czekając, aż ktoś je wypuści. Przylizany szedł przodem, ciężko uderzając pięścią w drzwi, za którymi od razu wzdrygały się jakieś ciała i słychać było ciężkie westchnienia. Na końcu wagonu czekał na nas ochroniarz. Zobaczywszy mnie, zdziwił się, jednak przemilczał, uznał, że tak ma być.

– No? – zwrócił się do niego przylizany.

– Wszystko jak pan prosił – powiedział ochroniarz.

– No i co z tym robić? – zapytał z rozdrażnieniem przylizany.

Ochroniarz niepewnie rozłożył ręce. Zajrzałem do przedziału. Stała tam czarna owca, przywiązana sznurkiem do stołu, i nieufnie patrzyła gdzieś przez nas.

– Kurwa – powiedział przylizany – Kola, co jest z wami, nie można było normalnego mięsa kupić?

– No, nie można było, szefie – zaczął się usprawiedliwiać Kola – tutaj nawet bazaru nie ma, nic.

– No, to dawaj – powiedział przylizany – sam ją przyciągnąłeś, to sam gotuj.

– Ja? – żachnął się Kola.

– No, przecież nie ja – chłodno odpowiedział przylizany.

Odsunął się na bok, wyciągnął wykałaczkę i zaczął dłubać między drobnymi regularnymi zębami, jakby dawał Koli do zrozumienia: czekam, i żebyś mi tu nie nakaszanił.

Kola stropił się. Ale widać było, że boi się szefa, więc szybko kiwnął do brodacza, ten wyciągnął wielki nóż, taki, jakim kroi się chleb, i podeszli do zwierzęcia.

Owca była dziwnie pokorna. Początkowo złapali ją z dwóch stron, nóż trzymał Kola, ale denerwował się i nie tyle zarzynał, ile kłuł nieszczęsną, więc owca zaczęła się nerwowo wyrywać. W końcu mocno uderzył nożem, owca gwałtownie szarpnęła i Kola poleciał na podłogę. Wtedy nóż wziął partner. Złapał zwierzę za szyję jak amerykański komandos wziętego do niewoli taliba, przyłożył ostrze do gardła i gwałtownie pociągnął do siebie. Owca machnęła głową i ochroniarz znalazł się na dolnej półce. Nóż poleciał pod nogi przylizanego.

– Debile – podsumował przylizany. – Nic nie umiecie zrobić. Daj to – zwrócił się do Koli, wskazując na kaburę.

Kola oddał swojego makarowa i wyszedł z przedziału obrażony. Przylizany zapiął kurtkę, zwolnił bezpiecznik pistoletu i palnął, nie celując. Krew z rany trysnęła wokół, zalewając kurtkę przylizanego, ale nie zważał na to i wpakował w zwierzę jeszcze trzy kule. Zapadła dźwięczna poranna cisza. Zajrzałem do przedziału. Przylizany, cały wysmarowany krwią, stał i oglądał swoją ofiarę. Ta, o dziwo, jeszcze żyła. W przedziale unosił się ostry zapach prochu i kiszek.

– Co, Herman – powiedział przylizany, nie odwracając się. – Spękasz dobić? Żeby się nie męczyła – wyciągnął makarowa w moją stronę.

– Spękam – odpowiedziałem.

– A dlaczego? – odwrócił się gwałtownie. – Boisz się krwi? A co będziesz na śniadanie jadł?

– Koleś. Nie będę z tobą jadł śniadania.

– Nie będziesz?

– Nie będę.

– Wszyscy jesteście słabiaki – przylizany na to. – Wszyscy. Wszyscy boicie się krwi. Dlatego ni chuja nic się wam nie uda, ni chuja. I tobie, Herman, też ni chuja nic nie wyjdzie.

– No i dobrze – odpowiedziałem.

– Dobrze? – zapytał pijacko. – No, dobrze, to dobrze. To znaczy nie będziesz jeść śniadania?

– Nie będę.

– Dobrze – powtórzył przylizany. – Kola, zadzwoń do maszynisty, niech zatrzyma. Pasażer wysiądzie. Nic się wam nie uda – zwrócił się do mnie.

– Masz krew na brodzie – odpowiedziałem. – Wytrzyj, bo wygląda nieporządnie.

*

Najpierw myślałem, że zaczną strzelać. Jednak wagony odtoczyły się, a wystrzałów nie było. Niebawem pociąg znikł i tylko zapach rozgrzanego żelaza przypominał, że w ogóle kiedyś tu przejeżdżał.

4

Na początku października dni są krótkie jak kariera piłkarza, maślane słońce przecieka nad głową, obciążając cienie na ziemi, oświetla trawę i grzeje spękane serce asfaltu.

Oddaliłem się od nasypu kolejowego i długo szedłem starą szosą, niemal całkowicie osłoniętą zaroślami. Przez drogę przelatywały zagubione osy, ciepłe pajęczyny oblepiały twarz i ubranie, lgnąc do skóry i zostając na włosach. Szosa ciągnęła się wzdłuż pól kukurydzy, które nie miały końca; okolica była płaska, żadnych drzew, żadnych miejscowości, żadnych oznak życia czy śmierci. Dalej był rozjazd. Szosa biegła naprzód w dolinę, która wyglądała na bezkresną, zalaną słońcem

i oplecioną pajęczynami. Skręciłem w lewo za słońcem i poszedłem między polami, z których już zebrano plon. Droga była wyjeżdżona, szło się łatwo. Słońce oślepiało oczy, poruszając się po powierzchniach nieba. Kilka razy odpoczywałem, kładłem się na suchej trawie i patrzyłem w niebo, czując, jak sok w łodygach stygnie i zamiera. Nie znałem tej okolicy, wszystko jedno, myślałem, gdzieś dojdę. Najważniejsze to iść na zachód od granicy.

Pod wieczór znów zaczęła unosić się mgła. Najpierw powstawała w oddali, na środku żółtych pól, wisiała jak dym, rozrastała się i gęstniała, tak że niebawem nie dało się przez nią nic zobaczyć. Jakiś czas słońce skośnymi promieniami przebijało tę białą kurtynę, rozświetlając ją i wypełniając od środka. Długi cień ciągnął się za mną jak latawiec, który spadł na ziemię i nie chciał wzlecieć. Mgła pełzła z nizin, słońce przeświecało przez jej kłęby jak podwodna latarnia. Stopniowo promienie zaczęły gasnąć, z mgłą przyszedł mrok i znalazłem się w środku wielkiej mlecznej kurtyny, która stała nade mną. Póki się dało, trzymałem się drogi, starając się z niej nie zejść, ale wkrótce zasłona zrobiła się zupełnie szczelna i nieprzenikniona i szedłem niemal po omacku, rozsuwając dłońmi ciężkie wieczorne powietrze. Cały czas wydawało się, że zaraz natknę się na kogoś, kto też stoi w tym zimnym mleku, że natrafię na jakąś przeszkodę, dotknę czyjejś twarzy albo łokcia, wyłowię jakiś przedmiot. Przez takie myśli zamierałem wśród ciszy i wilgoci, które przetaczały się nade mną, płynąc z wiatrem na zachód. Na tyle wyraźnie wyobraziłem sobie, że na kogoś wpadnę w tej mazi, jak zwalę kogoś z nóg, że w końcu się zatrzymałem, przysłuchując się gęstemu milczeniu. Ale stało się całkiem inaczej. Niespodziewanie z mgły wysunęła się dłoń. Wierzgnąłem do tyłu, ale szybko się uspokoiłem i dotknąłem wyciągniętej ręki.

Z mgły jak zza porozwieszanych prześcieradeł wyszły do mnie dzieci. Było ich troje. Ubrane były w wysmarowane dresy – pierwsze w czerwony, drugie w biały, trzecie w biało-czerwony, powiedziałbym nawet w kombinacji, gdyby nie był tak usmarowany. Dwoje młodszych stało boso, trzecie, starsze, było w drewniakach. Ich twarze miały jakieś wschodnie rysy, były albo Mongołami, albo Buriatami, włosy miały czarne i gęste, skórę ciemną, ale raczej nie tyle od słońca, ile z brudu. Patrzyły na mnie z ciekawością i pewną ostrożnością, jak na łosia, który wszedł na podwórko. Starszy mocno złapał mnie za rękę i śmiało pociągnął mnie w mgłę. Szedłem za nim, starając się coś dojrzeć. Ale nie widziałem nawet własnych butów.

*

Przed nami miękko rozbłysły światła, które zaczęły rosnąć, wypalając noc. Weszliśmy na wzgórze, mgła została niżej w dolinie i wtedy otoczyły nas hałas i światło, znaleźliśmy się w dziwnym miejscu na środku pustego pola pszenicy. Wokół płonęły ogniska i suszyły wilgotny mrok. Obóz był duży – dziesiątki wojskowych namiotów rozbitych na rżysku, wokół każdego leżały góry naczyń, starych pustych toreb i tobołków. Między namiotami płonęły ogniska, iskry wzlatywały w czarno-białe niebo, gdzie ciemność gęsto wymieszała się z włóknami mgły. Przy ogniu grzali się mężczyźni i dzieci, z namiotów wybiegały kobiety i znikały w niespokojnych ciemnościach. Mężczyźni byli niewysocy, ubrani przeważnie w dresy, niektórzy mieli na głowach kapelusze, niektórzy nosili kamuflaże. Palili ogniska i o coś się sprzeczali, kiedy kobiety pokrzykiwały do siebie i wykonywały prace domowe. Dzieci wbiegały w ciemność i wracały z niej z suchą trawą, dorzucały jej do ognisk i znów nurkowały w czarnych lukach. Ilu ich tu

siedziało i leżało, trudno było powiedzieć. Ogniska płonęły aż po horyzont i głosy zlewały się w intensywny gwar jak na dworcu kolejowym. Na mnie nikt nie zwrócił uwagi, do obcych odnoszono się chyba bez lęku, dzieci zaprowadziły mnie do ogniska i odbiegły. Mężczyźni stali przy ogniu i mówili coś w jakimś wschodnim języku na jakieś mongolskie tematy, nie okazując przy tym ani gościnności, ani wrogości. Odszedłem od grupy i ruszyłem przez obóz. Widać było, że zatrzymali się tu tymczasowo: rzeczy leżały spakowane i przewiązane sznurkami, przy namiotach poukładano żelazne naczynia i drewniane meble, zabawki i bębny, stały tam rowery i ciemniały flagi nieznanych republik. Ziemia wokół namiotów była wydeptana, oczywiście siedzieli tu już nie pierwszy dzień, choć to, jak tu przyjechali i w jaki sposób mieli zamiar ruszyć dalej, pozostawało zagadką, bo nie było widać żadnych pojazdów, żadnych autobusów ani ciężarówek. Chyba że rowerami. Kobiety, przebiegając, rzucały mi szybkie spojrzenia, jednak od razu spuszczały oczy i dalej biegły swoją drogą. Od czasu do czasu wyłaniali się wojskowi, żołnierze dziwnej armii, w szarych mundurach z jakimiś dziwnymi odznakami. Ci też nie zwracali na mnie szczególnej uwagi, tylko z niepokojem spoglądali to w niebo, to na zegarki. I w ogóle w obozie panowało napięcie, jakby wszyscy się zebrali, powiązali toboły z walizkami i przyszli na dworzec, pociąg z jakiegoś powodu się spóźniał, ale już za moment miał przyjechać, przez co wszyscy się denerwują i kłócą, starając się nie odchodzić daleko. Przy jednym z namiotów kręcił się cały tłum koczowników – mężczyźni się sprzeczali, kobiety głośno o coś pytały, dzieci snuły się między dorosłymi. Jakieś czarnoskóre nastolatki stały po obu stronach tłumu, nie mając odwagi podejść, czyjeś psy ostrożnie obwąchiwały sportowe buty na nogach mężczyzn, jeszcze dalej stało dwóch w wojskowych ubraniach

i kilku ogolonych na łyso mężczyzn w długich fartuchach, stare kobiety w kolorowych sukienkach trzymały w dłoniach zioła i korzonki. I wszyscy uważnie wpatrywali się w opuszczoną zasłonę, która zakrywała wejście do namiotu. W oknie pobłyskiwał płomyk i pachnący dym wychodził przez otwór zrobiony na środku brezentowego tropiku. Działo się tam bez wątpienia coś ważnego, od czego, być może, zależał los tej koczowniczej braci. Spróbowałem przecisnąć się bliżej, kiedy nagle ktoś za mną zawołał:

– Ej! Ja ciebie znam.

Z tyłu stała Karolina. W szarym kamuflażu i wysokich glanach. Na głowie miała czarny beret, spod którego wypadały jej farbowane czerwone dredy – mocne i solidne jak okrętowe liny. Trzymała potężną latarkę, którą bezlitośnie mnie oślepiała.

– Co tu robisz? – spytała.

– A ty?

– Ja tu pracuję – wyjaśniła.

– A ja idę do domu.

– Od dawna?

– Od dawna. Z pociągu. Cały dzień szedłem.

– Z jakiego pociągu? – kpiąco spytała Karolina. – Tutaj nie ma kolei.

– Poważnie?

– Yhm. Jak tu trafiłeś?

– Przypadkiem.

Chwilę milczała i nagle wyłączyła latarkę.

– Dobrze – powiedziała – chodź ze mną.

Odwróciła się i ruszyła przez obóz. Omijała ogniska, witała się z koczownikami, machała do znajomych. Zatrzymała się przy wielkim namiocie z krzyżami i literami wymalowanymi na ścianach za pomocą szablonu.

– Przestąp próg – powiedziała, odwróciwszy się, i szybko znikła w środku.

W namiocie powiesiła swoją latarkę i ciężkie słodkie cienie rozpełzły się po ścianach. Było tu przestronnie i ciepło. Namiot podzielony był na dwie części – po lewej leżało kilka śpiworów, na wierzchu porozrzucane były swetry, koszule i ciepłe wojskowe skarpetki. Prawa strona zawalona była przypadkowymi na pierwszy rzut oka rzeczami: w kącie stały torby sportowe, z których wystawały heble, rakiety do tenisa i sierpy, z boku schludnie ułożono książki, różnojęzyczne fragmenty czyjejś biblioteki. Przeważała klasyka, Francuzi i Amerykanie, ale było też dużo ezoteryki, ksiąg teologicznych i kościelnych, które leżały obok zaczytanych i wymiętych książek kucharskich i przewodników turystycznych. Obok książek była elektronika i przedmioty, powiedzmy, codziennego użytku – żelazka, tranzystory, na śmierć splecione ze sobą kablami lampy stołowe, parę siodeł, uzdy, żyletki, grzebienie i lusterka. Na tym wszystkim białymi grubymi nićmi do ściany przyszyta była mapa. „Eurazja" – przeczytałem. Ze wschodu od Tybetu i obwodów graniczących z Chinami, od Wielkiego Muru i Mezopotamii ciągnęły na zachód zaznaczone czerwonym długopisem trasy, które schodziły się w okolicach Rostowa i dalej przebiegały przez naszą okolicę. Wielka wędrówka narodów, pomyślałem i odwróciłem się do Karoliny. Stała na środku namiotu, koło telewizora, i przyglądała mi się uważnie. Telewizor był wielki i czarno-biały. Co najciekawsze – działał, co prawda nic nie pokazywał, ale wypełniał pomieszczenie domowym światłem.

– Jak on działa? – nie zrozumiałem.

– Na benzynę – wyjaśniła Karolina. – Tam za ścianą jest mały generator, do niego się podłączamy. Tylko antenę mamy słabą, więc nic nie widać.

Ściągnęła swoją wojskową kurtkę, rzuciła ją na podłogę, znalazła ciepły sweter robiony na drutach, włożyła go i usiadła na rozrzuconych śpiworach.

– No co – powiedziała, układając się. – Opowiadaj.

– Kim oni są? – zapytałem.

– Uchodźcy – wyjaśniła Karolina. – Mongołowie, Tybetańczycy. Nawet Afrykanie są.

– I dokąd uciekają?

– Na Zachód.

– To chyba nie jest legalne?

– Nie, oczywiście – wyciągnęła z kieszeni fajkę, nabiła ją tytoniem i rozpaliwszy, zwaliła się na ubrania i poduszki. – Gdyby nie my, dawno by ich zawrócili.

– Wy to znaczy kto? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Misja z Europy – tłumaczyła Karolina, wypuszczając nad siebie cierpki dym. – Kontrolujemy przestrzeganie praw człowieka. A tak naprawdę konwojujemy ich. Inaczej ich po prostu wybiją. Oni nie mają dokumentów ani normalnych imion. Oni w ogóle dziwni są, ci Mongołowie. Ale dobrzy.

– Dlaczego znów się do Europy wybrali?

– Ty jak się nazywasz? Herman?

– Herman.

– Słuchaj, Herman, to koczownicy. Mają to we krwi, przemieszczać się, nie zatrzymywać. Chociaż właśnie utknęli. Tydzień się tu kisimy.

– A co się stało?

– Sybilla rodzi.

Karolina zupełnie utonęła w tytoniowej chmurze. Podszedłem i ostrożnie usiadłem obok niej. Podała mi fajkę. Pamiętając o napoju z termosu, odmówiłem.

– A kim jest Sybilla?

– Ich posłem.

– Jak to?

– No, jak w parlamencie – wyjaśniła Karolina. – W końcu władza przedstawicielska. Oni jej słuchają i bardzo przeżywają jej ciążę. Nie chcą jeść, póki nie urodzi. Boją się, że Węgrzy nie przepuszczą. No i stoją tu i czekają. I my razem z nimi.

– A kto jest ojcem?

– Ojca nie ma – odpowiedziała Karolina. – Oni w ogóle tu mają specyficzne zwyczaje. Nikt nie wie, kto jest ojcem, ale przeżywają wszyscy. Taki matriarchat, Herman – roześmiała się dźwięcznie. – A ty chcesz do miasta? – zapytała, uspokoiwszy się.

– Chyba tak.

– Zanocuj z nami. Sybilla urodzi i od razu ruszymy. Muszą w cieple przejść przez Karpaty. To i ciebie podrzucimy do domu.

– Dobrze.

– To masz – wyciągnęła z kąta ciepły czarny śpiwór i rzuciła mi. – Będziesz w nim spać. Chodź myć zęby.

Wyjęła z torby podróżnej pastę do zębów, wsunęła do ust szczotkę, zerwała się na nogi i poszła, wpychając do kieszeni przy kolanie jeszcze ciepłą fajkę. Ja nie miałem szczotki, poszedłem z pustymi rękami.

Karolina zanurkowała pod stelażem, minęła ognisko, które już zagasło, i ruszyła przez ciemne kłujące rżysko. Minęła ostatni namiot, koło którego siedziało kilka kobiet w pomarańczowych kombinezonach i puchatych chustach, przebierając palcami różańce i paląc papierosy z filtrem, i poszła w dolinę. Jej szary sweter z grubej włóczki ciepło świecił z przodu, lekko stąpała po nocnym gruncie, rozgniatając przypadkowe kłosy twardymi podeszwami. Szedłem za nią i zdawało mi się, że gwiazdy zlatują się do jej dredów jak do anten, przylepiają się do nich, posrebrzają jej głowę

i oświetlają sylwetkę. Na dole stało kilka czarnych blaszanych beczek wypełnionych wodą. Dalej przycupnęły dwie kompostujące toalety, które koczownicy najwyraźniej ciągnęli ze sobą w długich transsyberyjskich wędrówkach. Karolina podeszła do beczek, nachyliła się i zaczerpnęła pełne dłonie. Woda w jej rękach była powolna i posłuszna, leniwie przeciekała między jej długimi czarnymi palcami, pulsowała na delikatnych gładkich nadgarstkach, wciekając pod ciepłą sierść swetra i świecąc spod ubrania kruchym elektrycznym światłem. Karolina rozsunęła dłonie i woda, wyrwawszy się, wpadła z powrotem do metalowego wnętrza, rozbryzgując się bezlikiem okruchów i rozbijając ciemne odbicia, które pojawiły się na powierzchni.

– Potrzymaj – zdjęła sweter, potem koszulkę i rzuciła je do mnie.

Schyliła się nad nocną wodą goła do pasa i myła się jak prawdziwy żołnierz, szeroko rozstawiając nogi i ciężko dysząc z zimna i zadowolenia. Jej skóra świeciła, woda rozświetlała ją białym łamliwym ogniem, wychwytując płaski płochliwy brzuch i ciężkie piersi usiane kroplami wody, dotykając żył na jej rękach i ostro pobłyskując na jej białych jak kreda dłoniach.

– Oni nigdy nie myją się w rzekach – mówiła, nie wyjmując szczoteczki z ust i wycierając się podkoszulką. – Kłopoty są z tymi ludowymi zwyczajami. To niezwykle niehigieniczne: zawsze myć się wodą z beczki. Uwierzyłbyś?

– Wierzę. A ich kobiety też się tak myją?

– A idź ty – obraziła się Karolina, założyła sweter i zabrała się do mycia zębów.

Nagle na górze w obozie powietrze drgnęło i rozerwał je radosny wrzask.

– Urodziła! – krzyknął ktoś i tę wiadomość od razu podchwyciły dziesiątki głosów. – Urodziła!

Od razu ognie wzniosły się do nieba. Po obozie zaczęły włóczyć się widmowe postaci, zaczęła się bieganina, słychać było ryki bydła i wesołą estradową muzykę z magnetofonów.

– Idziemy – powiedziała Karolina – musimy to zobaczyć.

*

Dzieci ściągały do głównego namiotu butelki z napojami i zimne zakąski, kobiety odgrzewały nad ogniem kotły z jakąś strawą, mężczyźni obejmowali się radośnie, gratulując sobie nawzajem i wypytując o szczegóły. Przy namiocie Sybilli stał cały tłum, radośnie szumiał i falował, wszyscy starali się przepchnąć do przodu, zrobiło się ciasno, jednak nikomu to nie przeszkadzało. Któryś z mężczyzn trzymał pochodnię, ktoś przyświecał sobie i innym telefonem komórkowym, wszyscy w napięciu wpatrywali się w zasłonę, za którą odbyły się do niedawna oczekiwane narodziny. Karolina pewnie przeszła między mężczyznami, lekko, choć zdecydowanie ich roztrącając, ja pośpieszyłem za nią. Koczownicy nie narzekali i z szacunkiem się rozstąpili, żeby zrobić przejście dla wojskowych. Na progu Karolina się obejrzała:

– Kiedy rodziła, nie wolno było do niej wchodzić. Nawet przedstawicielom UE. Rozumiesz?

– Jasne – odpowiedziałem.

– Przestąp próg – przypomniała, znikając za zasłoną.

*

W środku stali mężczyźni i kobiety, cicho między sobą szepcząc. Byli to ludzie bliscy Sybilli, wyjaśniła mi Karolina, jej przyjaciółki, siostry, kochanki, a także ochroniarz i buchalter. Ich twarze pałały zadowoleniem, o tej późnej godzinie łączyła ich radość. Na środku stała koza, której blaszany komin wychodził gdzieś w górę pod dach. Przy piecu siedziała młoda

kobieta w wiatrówce adidasa i podkładała do ognia suszone zioła, które wypełniały powietrze aromatem. Sama Sybilla leżała po lewej stronie na syntetycznych dywanach, owczych skórach i chińskich pledach. Była starszą już kobietą z ciemną mongoloidalną twarzą i głębokimi czarnymi oczami. Miała na sobie koszulkę Dolce & Gabbana. Wyglądała na zmęczoną, jednak przez znużenie przebijała czułość, którą podkreślał tylko intensywny makijaż. Obok niej, zawinięta w niemiecką puchową kołdrę, leżała dziewczynka, wystawiła twarzyczkę na zewnątrz i cicho posapywała we śnie malutkim dziecięcym noskiem. Koło dziewczynki na kołdrze leżały pierwsze podarunki, które przynieśli goście: srebrne chińskie monety, srebrny, co prawda nie nowy, parker, też srebrny sygnet z herbem Szachtara Donieck i srebrna łyżeczka do herbaty z jakimiś runicznymi znakami wypisanymi drobno po obu stronach. Karolina ostrożnie przeszła, schyliła się nad Sybillą, lekko musnęła dłonią jej policzek, wyciągnęła z kieszeni wojskowy posrebrzany znaczek, talizman przeciw snajperom, i położyła obok małej. Sybilla skinęła i ucieszona Karolina wróciła na swoje miejsce. Kobieta, która wrzucała zioła do ognia, schyliła się i nabrała pełne płuca dymu, wstała, ruszyła do nowo narodzonej i wypuściła białe zadymione powietrze nad głową dziewczynki, tak że ta aż się uśmiechnęła we śnie i wszyscy inni też się uśmiechnęli, i ja też się uśmiechnąłem, i Karolina, dotknąwszy mojego łokcia, też się roześmiała. A kobieta tymczasem, wypuściwszy dym, siedziała nad niemowlęciem i mówiła.

*

Ty, co wyłoniłaś się z niczego, mówiła, i przyszłaś znikąd. Słodka jak światło i niewidzialna jak noc. Wszystko, co działo się wokół ciebie, całe powietrze, którym oddychałaś przez

matczyne pory, całe niebo, które płynęło na górze, i wszystkie kamienie, które leżą pod ziemią, wszystko to mieści się w twoim śnie. Wszystko, co widzisz we śnie, co rodzisz, kiedy się budzisz, wszystko służy tobie tej nocy, wszystko krąży nad tobą jak gwiazdy wokół pustki. Ciepło unosiło się z rąk, by po drodze nie było ci za zimno. Zioła wyrastały z ziemi, byś stąpała po nich, idąc ze wschodu. Zwierzęta podążały za twoim oddechem, grzejąc swoimi bokami czarny brzuch nocy, i duchy leciały w górze jak jaskółki, wypatrując dla ciebie miejsca do odpoczynku. Z gwieździstego nieba jest twoja głowa. Z księżycowych promieni jest twoje prawe oko, z żółtego słońca lewe. Z komet i meteorów są twoje zęby. Z październikowej mgły powstała twa skóra. Z deszczy twe płuca, a z suszy bije twe radosne serce. Z łodyg gorzkich roślin są twe ręce, z soczystej kukurydzy wyłaniają się twoje łydki. Kiedy otwierasz oczy, rośnie księżyc, kiedy zamykasz, toną łodzie rybackie. Kiedy wzdychasz, kobiety czeszą włosy rozpaczy i smutku, a kiedy widzisz niebiosa we śnie, krowy napełniają się mlekiem.

Wszyscy, którzy przyszli cię powitać, wszyscy, którzy pójdą za tobą górskimi ścieżkami, śpiewają teraz tylko dla ciebie. I jaskółki kryją się pod podniebieniem każdego z nich, moszcząc się tam na zimę. Bo razem będziemy zimować, razem wydostawać się przez śniegi, przeprowadzać nasze zwierzęta przez zamarznięte rzeki, gnać przed sobą bezkresne stada, przepędzać je przez przełęcze, przez głębokie zimowe noce, przez zaśnieżone miasta i tory kolejowe. Śpij, póki nie obudzą się ptaki na ramionach umęczonych mężczyzn i nie zatrzymają się serca w piersiach tych, którzy cię kochają. Kiedy się obudzisz, powietrze ruszy i popłynie na Zachód, zabierając ze sobą wszystkie nasze pragnienia, wszystkie potajemne słowa, które wypowiadaliśmy do ciebie. Kiedy się obudzisz,

pokażesz nam drogę z tej pustki, wykreślisz długą, cienką linię, która zaprowadzi nas do tych wszystkich, którzy kiedyś nas zostawili.

*

Powiedziała to i zamilkła. I wszyscy, rozumiejąc ją, zaczęli wychodzić z namiotu, gdzie czekał wzburzony tłum. Wyszła ostatnia, zrobili jej miejsce, stała przed mężczyznami i kobietami, obejmując wszystkich uważnym spojrzeniem. I wszyscy w napięciu czekali, cóż powie.

– Oczy ma złote i ciemną skórę – powiedziała uroczyście kobieta. – I skoro doszliśmy już w te dalekie okolice, skoro już zatrzymaliśmy się pośród pól, to nazwiemy ją Moka.

Gorący wiatr powiał po tych słowach, zrywając z głów kapelusze i wichrząc kobietom długie włosy. Kobiety wzniosły ręce do nieba i zaczęły wykrzykiwać coś radośnie i nieprzytomnie, a za nimi mężczyźni wyrzucali w czarne październikowe powietrze mocno zaciśnięte dłonie, dziękując tutejszym duchom za przychylność i łaskawość i sławiąc nowo narodzoną księżniczkę Mokę – gwarantkę ich bezpieczeństwa i tranzytu, królową Mongołów, władczynię srebrnych pierścieni Szachtara, złotooką śpiącą ślicznotkę, która podarowała im wszystkim nadzieje i oczekiwania.

Wśród całego tego zgiełku i rumoru Karolina wzięła mnie za rękę i zawiązała mi na nadgarstku cienki czerwony sznurek.

– To dla ciebie na pamiątkę tej nocy.

I pchnęła mnie do przodu, wprost w radosny, rozbuchany tłum, który od razu zakręcił mną i pociągnął za sobą przez noc, przez migotliwe ognie. Wszyscy głośno się pozdrawiali, obejmowali i podskakując, wieszali się na ramionach przyjaciół i wbiegali w gęste dymy, które snuły się nisko

z przygasłych ognisk. Rzuciłem spojrzenie w tył, ale Karolina zdążyła zniknąć. Nigdzie jej nie było. I tylko wiatr powiewał flagami Unii Europejskiej nad namiotami, unosił w niebo kurz, oczyszczając drogę przed wesołymi miedzianogłosymi mężczyznami, którzy zebrali się w koło i śpiewali pieśni o niezrozumiałej treści i niesłychanej mocy. I dzieci błyskawicznie przebiegały między nogami mężczyzn, unikając kobiecych objęć z wrzaskiem i śmiechem, pędziły w mrok, mąciły mgłę i strącały z nieba gwiazdy długimi kijami, a gwiazdy, osypując się jak orzechy, tłukły w brezentowe dachy namiotów i wpadały do ognisk, wydobywając z nich snopy iskier, wlatywały do kieszeni i podstawionych kapeluszy, tryskając światłem i zimnym sokiem. Bydło pognane przez ten gwar i krzątaninę wychodziło w dolinę z jej ciszą i zimną wodą z beczek. Leniwe krowy wymijały kobiety, które zawiązywały im na rogach wstążki i chustki, ciężko ryczały, schodząc z tych szalonych pagórków. Za nimi biegły owce i kozy, a dzieci jechały na nich wierzchem jak prawdziwi koczownicy, jak niewiarygodna diabelska kawaleria, która przebiła się tu przez deszcze i susze i teraz dobierała się do najżyźniejszych dolin i posiadłości. Kobiety w sukienkach i płaszczach przeciwdeszczowych tańczyły wokół ognisk, wpadały w trans, poruszały się umiejętnie i lekko, czując siebie nawzajem w tych ruchach i powtarzając swoim tańcem ruchy ptaków i innych zwierząt, które przyszło im oglądać.

*

Zmęczyło mnie to wszystko, więc przebiłem się przez kolejną watahę dzieci i ruszyłem do namiotu. Wszedłem, przestępując próg. Telewizor dalej podświetlał nocne powietrze miękkim, nieważkim światłem. Karolina leżała na śpiworze, namiętnie całując się z muskularną blondynką w pomarańczowym

kombinezonie. Blondynka zdjęła już sweter Karoliny i całowała jej ciężkie piersi, a Karolina czochrała jej ostrzyżone krótko jasne włosy i rozpinała guziki kombinezonu. Udałem, że patrzę w telewizor. Karolina od razu mnie zauważyła i zaczęła się całować jeszcze bardziej namiętnie. Spróbowałem niepostrzeżenie wyjść.

– Herman – zawołała ze śmiechem Karolina – a ty dokąd?

– Nic, nic – odpowiedziałem. – Nie przeszkadzajcie sobie.

– Nie bój się – śmiała się wciąż Karolina. – Chodź tu.

– Nie chcę wam przeszkadzać.

Blondynka podniosła głowę i też na mnie spojrzała.

– Nie przeszkadzasz – powiedziała.

– Pomagasz nam – dodała Karolina i znów się roześmiała. – Dobra, kładź się spać.

Leżały, obejmując się, i z zainteresowaniem patrzyły, co teraz zrobię. Pomyślałem, że nie w porządku byłoby gdzieś iść. W końcu każdy świętuje, jak umie. Znalazłem swój śpiwór, wsunąłem się do środka i ze złością odwróciłem się do ściany. Kiedy zasypiałem, one wciąż się całowały.

5

– …i powiedziała, że tu jesteś, że zostałeś.

– Zostałem?

– Tak.

– A dlaczego mnie nie obudziła?

– Powiedziała, że spałeś jak niemowlak.

– Jak niemowlak? To znaczy jak?

– Mocno.

– Dobrze, że chociaż dokumentów nie zabrała.

– …

– Komisja UE. To szarlatani.

– …

– Czemu mnie zostawili?

– Herman – mówiła Tamara zmęczonym głosem – co ja mogę zrobić?

– Nic – odpowiedziałem z niezadowoleniem.

*

Przypominanie i porównywanie to niewdzięczne zajęcia. Brązowy tułów słońca przepływał w górze jak balon, dryfując w ciepłych potokach powietrza. Obudziłem się koło południa i długo przypominałem sobie miniony dzień i tę bezkresną noc. Przypominałem sobie śpiewy, imiona i twarze, chwytałem zapachy wnętrza, wsłuchiwałem się w przeciągi i ciszę. Cisza budziła lęk, czyżby wszyscy jeszcze spali, myślałem, może świętowali do rana, więc teraz odsypiają przed daleką, trudną drogą. Kiedy wydostałem się ze śpiwora, zobaczyłem, że ani Karoliny, ani jej przyjaciółki blondynki nie ma w namiocie i że w ogóle zostałem tu sam. Co więcej namiot był pusty, nie zostały w nim ani śpiwory, ani ubrania, nie było też czarno-białego telewizora. Książki, torby i skarpetki – wszystko to gdzieś znikło. Przewidując coś niedobrego, wyszedłem na dwór. Z obozowiska pozostały ruiny i zgliszcza. Czarne wątłe dymy ciągnęły się w niebo jak głodne kobry. Wydeptane ścieżki układały się w dziwny i niezrozumiały obraz, według którego piloci i ptaki mogli odtworzyć trasę dzikich wschodnich plemion w nieznanym kierunku i z niepewnym celem. Nie wiadomo, kiedy się zebrali i ruszyli, jak pozostali niezauważeni i dlaczego nic nie usłyszałem. Na środku pola stały dwa wielkie namioty, rozdęte od środka powietrzem, i sterczały maszty z flagami Unii Europejskiej, a w oddali, w dolinie, widać było toalety, koło których kręciło się kilku żołnierzy, starając się załadować

niebieskie kabiny na przyczepę wojskowego ciągnika. Obok, w miejscu beczek z wodą, bielała kościelna wołga. W tym kierunku poszedłem.

*

Tamara wyglądała na przygnębioną, mówiła niechętnie, mimo to musiała mi wszystko wyjaśnić. Powiedziała, że rano zadzwoniła Karolina, poprosiła, żeby przyjechała po mnie, wyjaśniła, gdzie to jest, przeprosiła, że robi tyle kłopotu, ale zapewniła, że nie miała żadnej możliwości wziąć mnie ze sobą, bo Mongołowie uważali to za zły znak i w ogóle grozili zerwaniem wszelkich stosunków z siłami pokojowymi.

– No, dobrze – mówiłem, siedząc już na tylnym siedzeniu i licząc suche październikowe topole, które rosły wzdłuż drogi – a ona skąd ciebie zna?

– To długa historia – odpowiadała niechętnie Tamara. – Kiedyś razem pracowaliśmy. Przekazywali nam pomoc humanitarną na kościół. Oni są z naszym prezbitrem w dobrych stosunkach, stale im pomaga to z dokumentami, to dobrym słowem. No i sam pomyśl, raczej nie na milicję miała dzwonić.

– A mogli po prostu wziąć mnie ze sobą.

– Nie mogli – wyjaśniła. – Mongołowie się przestraszyli, myśleli, że się do nich przyczepisz. A im obcy nie są potrzebni, oni mają swoje prawa. Ciesz się raczej, że nic ci nie zrobili. Szwendasz się nie wiadomo gdzie – zdenerwowała się.

– No dobrze, nie złość się. Co tam w domu? Szukają mnie?

– Szukają – odpowiedziała Tamara. – Byli w kościele, rozmawiali z prezbitrem.

– I co prezbiter?

– Nic – uspokajała. – Powiedział, że nic nie wie.

– I co dalej?

– Nic – mówiła Tamara. – Siedź i czekaj. Co się ciskasz?

– Co się ciskam? Powiem ci, dlaczego się ciskam. Spałaś kiedyś w jednym namiocie z dwoma lesbijkami?

– Spałam – odpowiedziała Tamara. – Nie podobało mi się.

– Zatrzymajmy się gdzieś – poprosiłem. – Pić mi się chce.

*

Zielony wagon ustawiony był na ceglanej podmurówce, pod drzewami stały długie ławy zalane keczupem i olejem. Było to miejsce schronienia dla podróżnych, zaciszna przystań z gościnnymi tancerkami i śpiewami dzieci, z ptakami, które coś opowiadają przymilnym głosem, i wędrowcami, którzy przekazują najnowsze wiadomości, ostrzegając przed pułapkami i niebezpieczeństwami.

Byliśmy jedynymi klientami. Z wagonu wyszła nalana kobieta o różowych włosach i czerwonych paznokciach, sceptycznie się nam przyjrzała, zapytała, co chcemy, i znów znikła w środku. Usiedliśmy z Tamarą na ławie i milczeliśmy w napięciu, Siewa nie chciał wysiadać, poprosił, żeby mu przynieść coś ciepłego. Słońce grzało, jak mogło, jesienne pola, ciepły wiatr ze wschodu niósł zapachy dymu i suchej trawy, wokół było pusto i cicho, we wszystkich kierunkach ciągnęły się gołe czarnoziemy, zza horyzontu czerwono wyłaniały się sosny. Powietrze utkane było z zapachów i odcieni, jakby to było nie powietrze, a flagi, co płonęły w słońcu i trzepotały na październikowym wietrze. I na flagach tych narysowane były długie lepkie pajęcze nici i cienkie linie zmęczonych roślin, ściętych, zerwanych i zebranych przez kobiece ręce, a także ptaki, które leciały w nieznanym kierunku, opuszczając to gęste, ustane powietrze, które płynęło nad naszymi włosami. Powolne jesienne owady wchodziły na te flagi i zlewały się z kolorem ziemi i nieba. I pachniały

te trzepoczące sztandary mułem i mokrym piaskiem, bo gdzieś niedaleko płynęła rzeka, niosąc liście i skoszone łodygi. Tamara ubrana była w znajomy wiśniowy sweter i długą spódnicę, oczy schowała za wielkimi okularami słonecznymi, upodabniającymi ją do wdowy po jakimś mafiozie, który umarł, ale na zawsze został w jej sercu. Dużo paliła, piła herbatę z jednorazowego kubka, nie chciała jeść, siedziała i obserwowała motyle, które zleciały się do postawionego przed nami cukru w kostkach. Słońce i jesienne powietrze sprawiły, że ten przystanek stał się nierealny i ciężki, wszystko to mogło się w każdej chwili rozwalić i rozsypać, dni były jak cukier, lekkomyślnie przez kogoś zapomniany, i cukier ten błyszczał w słońcu, oślepiał i niepokoił wyobraźnię, przypominając, że w każdej następnej minucie może zdarzyć się coś niespodziewanego.

– Na razie pomieszkasz u mnie – mówiła Tamara. – U mnie cię nie będą szukać.

– Lepiej wrócę do domu – nie zgadzałem się. – No co oni mi mogą zrobić? Przynajmniej dowiem się, w czym problem.

– Nie gadaj głupot. Po co nadstawiać głowę? Przesiedzisz parę dni, a potem wrócisz. Szurze już mówiłam, nie ma nic przeciwko.

– No, to najważniejsze, Szura nie ma nic przeciwko.

– A za parę dni wrócisz. Dobrze?

– Dobrze – zgodziłem się. – Tamara, dlaczego stąd nie wyjechałaś?

– Dokąd? – spytała.

– Gdziekolwiek. Za granicę. Dlaczego zostałaś?

Zdjęła okulary. Od razu stało się jasne, że od dawna już ma kupę lat, że nie jest taka młoda i beztroska, jak może się wydawać w mroku samochodu po dwóch dniach wesołego świętowania. Jej twarz była blada, spojrzenie niespokojne

i niepewne. Papieros ledwo dostrzegalnie drżał w palcach pomiędzy dwoma srebrno-czarnymi pierścionkami.

– Chyba chciałaś wyjechać? Co może cię tu trzymać?

– No, jak to co – odpowiedziała po zastanowieniu. – Zawsze są rzeczy, które nas trzymają.

– Zwykle trzyma pewność jutra. Masz pewność jutra?

– Nie – przyznała – nie mam. Ale mam pewność wczoraj. Czasami ona też trzyma.

– Jak to?

– Trudno mi to wyjaśnić. Jedźmy lepiej do domu.

*

Nie byłem tu od czasu stypy po mamie. A pamiętając, czym się to wszystko skończyło, przestąpiłem próg mieszkania z pewnym lękiem. Tamara chodziła zmartwiona po pokojach, nie zwracając na mnie uwagi, więc obawa szybko minęła, zamiast niej pojawiła się pewność i jakaś dziwna melancholia związana, oczywiście, ze słodkimi wspomnieniami i bolesnymi przeczuciami. Chociaż, łajałem sam siebie, jakie słodkie wspomnienia? W końcu przecież chowaliśmy nie wiadomo czyją, ale mamę. W ogóle, dalej się karciłem, podziękuj jej, że po ciebie przyjechała i zabrała cię z tego mongolsko-tatarskiego gniazda rozpusty, że się o ciebie troszczy, że nie wydała cię organom ścigania i zorganizowanej przestępczości. Przesiedź spokojnie parę dni, aż się wszystko wyjaśni, i z czystym sumieniem wracaj na swoją stację benzynową. A przede wszystkim nie zamartwiaj się jej wspomnieniami o mamie i nie obiecuj, że się ożenisz.

– Posłuchaj, Hera – wytrąciła mnie z rozmyślań – idę, zostajesz na gospodarstwie. Nikomu nie otwieraj, nawet nie podchodź do telefonu, do okien też lepiej nie.

– Poczekaj – nie rozumiałem – dokąd idziesz?

– Mam sprawy do załatwienia. Nie myślałeś chyba, że będę tu przez cały dzień z tobą siedzieć?

– Nie – odpowiedziałem obrażony. – Pewnie, idź. Kiedy mam się ciebie spodziewać?

– Po co masz na mnie czekać?

– No, drzwi muszę ci przecież otworzyć.

– Mam klucz – sucho wyjaśniła Tamara. – Więc nie czekaj. Będę późno.

– No i co mam tu robić? – zapytałem.

– Książki sobie poczytaj – poradziła. – Dla dzieci.

*

W salonie stał regał z mnóstwem książek. Rzeczywiście wiele z nich było dla dzieci, z pieczątkami zakładowej biblioteki, przeważnie były to wypełnione starymi zapachami zbiory bajek i fantastyki naukowej, opowieści o bohaterskich pionierach i powieści historyczne. Czasami w książkach zdarzały się zakładki z zasuszonych kwiatów albo starych pocztówek z życzeniami, czasami brakowało stron, czasami na marginesach narysowane były kredkami dziwne wizerunki i mroczne pentagramy. Pokręciłem się przy półkach, ale nic mnie nie zainteresowało, i nagle zobaczyłem na dole w kącie regału poskładane czasopisma, winylowe płyty i wielki opasły album z fotografiami. Wziąłem go z półki. Większość fotografii była równo ponaklejana, jednak na wszystkie nie starczyło miejsca, więc resztę po prostu położono na pierwszej stronie. Z albumem w rękach przeszedłem do sypialni. Pod ścianą stała wielka rozkładana kanapa, leżało na niej mnóstwo puszystych poduszek i wałków. Na ścianie wisiał syntetyczny dywan chiński, na którym przedstawiona była ludowa scena picia herbaty. W postaciach, które siedziały przy herbacie, było coś znajomego, gdzieś widziałem te twarze, coś mi

mówiły. Dwóch mężczyzn przekazywało sobie naczynia, z których unosiła się gęsta para, a między nimi, w centralnym punkcie, półleżała na poduszkach ciężarna kobieta, uważnie śledząca ich ruchy. W głębi widać było jurty podobne do namiotów turystycznych, przy jurtach unosiły się dymy z ognisk, łącząc ziemię z niebiosami, a między dymami chodziły syte stada krów, szukając trawy i nosząc w sobie mleko jak gorzką prawdę.

Padłem na łóżko i otworzyłem album.

*

Schwytani jak ptaki w sieci przez umiejętne ręce, zapisani przez wyuczone oko, patrzyli na mnie zastygli i ważni, nie wiedząc, czego się po mnie spodziewać. Mężczyźni i kobiety, dzieci i starzy, studenci, wojskowi, robotnicy, absolwentki w białych fartuszkach, umarli w trumnach ze srebrem położonym na oczach, niemowlęta z ulubionymi zabawkami – czekali, aż ktoś zacznie wpatrywać się w ich kolorowe i czarno-białe źrenice, próbując ustalić, co trzymało ich razem, co ich łączyło, czym żyli i dlaczego umarli.

Zdjęcia, które leżały osobno, oczywiście zebrane były przypadkowo – przedstawione na nich twarze wyglądały nieznajomo i obco. Znam takie fotografie, zawsze zbiera się je na oddzielnym stosie, nikt ich nie chce umieszczać w rodzinnych albumach, choć i wyrzucić ich zwykle nikt nie ma odwagi, może dlatego, że w ogóle niezbyt dobrze jest wyrzucać wizerunki żywych ludzi. Więc zostawia się je, te podarowane czy przesłane pocztą albo zrobione przez amatorów nie wiadomo po co, i leżą pomiędzy innymi sobie podobnymi, nikomu niepotrzebnymi portretami nikomu niepotrzebnych ludzi. Przejrzałem je pobieżnie i od razu odłożyłem na bok.

Natomiast pozostałe fotografie, ułożone starannie i z namysłem, odtwarzały historię rodziny Tamary i w pewnej mierze wyznaczały jej przyszłość. Na pierwszych starych zdjęciach, przeważnie czarno-białych, w niektórych miejscach popękanych, gdzieś podrapanych i popisanych atramentem, widać było jakieś szalone południowe pejzaże, śnieżnobiałe czapy górskich szczytów, dachówki na dachach, wysokie okna i kamienne mury, bite drogi i inną egzotykę, na której tle prezentowali się pewni siebie młodzi mężczyźni i pełne godności młode dziewczęta o smolistych włosach i białych zębach. Patrzyli na mnie, niektórzy pochmurnie, inni z uśmiechem, niektórzy w napięciu albo swobodnie i niedbale. Starałem się dojrzeć w ich twarzach rysy Tamary, ale ona była zupełnie inna, czymś się różniła od tych mieszkańców gór, być może zmęczonym wyrazem oczu, a może – okularami słonecznymi. Choć byli to bez wątpienia ludzie jej bliscy, jakoś z nią związani, coś trzymało ich razem i starałem się wypatrzyć niedostrzegalne na pierwszy rzut oka szczegóły, które mogłyby wydać tajemnicę ich dziwnej rodziny, uważnie przyglądałem się ubraniom, podpisom i datom, oglądałem szerokie bulwary, po których przechadzały się młode kobiety z bujnymi fryzurami, i gorące wybrzeża z zastygłymi na tle morza mężczyznami w staromodnych kąpielówkach, stare radzieckie samochody i śmieszne zabawki dla dzieci, wejścia do fabryk, uniwersyteckie audytoria, szkolne korytarze, przedziały w pociągach i pokoje pełne wesołych twarzy, które patrzyły w obiektywy aparatów, zaglądając na drugą stronę czasu.

Na zdjęciach datowanych na połowę lat sześćdziesiątych pojawiły się dwie dziewczynki, na pierwszy rzut oka podobne do siebie, jednak naprawdę zupełnie inne: starsza miała jakiś dziwaczny medalion na szyi, a spojrzenie jej czarnych oczu było poważne i skupione, młodsza zawsze patrzyła

gdzieś w bok, nie zwracając uwagi na fotografa, i miała we włosach niekształtne kokardy, które powodowały, że wyglądała śmiesznie, choć także bardziej kobieco. Od razu poznałem Tamarę i Tamilę. Wokół nich, za ich plecami, z boku czy gdzieś nad nimi, zawsze byli jacyś dorośli – mężczyźni i kobiety, wielka, przyjazna rodzina, w której miały szczęście dorastać. Dorośli dokumentowali, jak się zdawało, każdy krok dziewczynek: siostry chodziły do przedszkola (potworne meble radzieckich jednostek oświatowych, niewiarygodnych rozmiarów przedszkolanka w letniej sukience, kostiumy noworoczne, tańce, zabawy i bolesna beznadzieja chóralnego śpiewania), jeździły za miasto (zwierzęta i słoneczniki, słońce w wodzie jeziora i wrzask dzieci, który odbija się nawet w fotografii), uczyły się w szkole (mundurki podobne do więziennych, święta państwowe, deklamowanie wierszy, pierwsze egzaminy, przyjaciółki, które niespodziewanie dorastały), zmieniały się z fotografii na fotografię, stawały się coraz bardziej podobne do siebie dorosłych i nieszczęśliwych, takich, jakie są teraz, w tym życiu, pośród tego czasu.

Na zdjęciach szkolnych Tamarę zawsze otaczały przyjaciółki, stała zwykle w centrum, trzymając kogoś pod rękę. A jeśli już była sama, trzymając szkolne bukiety, teczkę lub coś ciężkiego, to sprawiała wrażenie niezależnej. Miała dorosłe spojrzenie, wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości, w ostatnich klasach miała ukształtowane ciało młodej kobiety, nosiła ozdoby, co administracja oczywiście potępiała, choć ostatecznie nie zabraniała. Tamila przeciwnie, wyglądała niepewnie, jej sylwetka była dziecięco nierozwinięta, nawet na zdjęciach zrobionych pod koniec nauki miała na sobie jakieś wyciągnięte swetry, nosiła kokardy i zniszczone buty, zawsze stała z boku, jakby starała się niepostrzeżenie wyjść z kadru.

Dalej były amatorskie fotki, na nich mętne twarze, rozmazane włosy i pośpieszne ruchy. Tamara w białym fartuchu studentki uczelni medycznej, od czasu do czasu rozpoznawałem budynki i krajobrazy, które uchwycił fotograf, i gdybym chciał, mógłbym sobie nawet przypomnieć, gdzie wtedy byłem i co robiłem. Stopniowo pojawiało się coraz więcej męskich twarzy. Początkowo jacyś uczniowie technikum, bez zarostu, w czarnych krótkich kurtkach, z magnetofonami kasetowymi w dłoniach, potem studenci, też w białych fartuchach. Niebawem mężczyzn było jeszcze więcej, dorosłych i solidnych. W jasnych koszulach i czarnych, ciężkich marynarkach stali koło swoich wołg, siedzieli w restauracjach i pili koniak, mieli elektroniczne zegarki i kolorowe krawaty, szare stalowe spojrzenia i poznaczone wojennymi szramami pięści. Było ich wielu i wszyscy zatrzymywali się przy Tamarze, na moment zamierali, by odbić się na kliszy i zostać w jej przeszłości. Tamara było lekka i niewiarygodna, miała potworne fryzury modne w latach osiemdziesiątych, nosiła płaszcze i sukienki, niemal nieistniejące spódnice i jasne sandałki, które często trzymała po prostu w dłoni, stojąc na gorącym letnim asfalcie. Oczy miała głębokie i bezczelne, uśmiech – czuły i pogardliwy, ciało wyzierające spod ubrania pozbawiało rozumu wszystkich wykładowców i kierowców ciężarówek, złodziei i komsomolców, spółdzielców i alkoholików, którzy kręcili się wokół niej, starając się za wszelką cenę trafić w ten sam kadr.

Tamila pojawiała się od czasu do czasu, stopniowo zaczynała przypominać kobietę, jednak obok Tamary i tak ginęła. Razem niemal nigdy się nie fotografowały. Pewnie Tamara nie chciała, żeby widziano je razem, chociaż kto wie. Tamila częściej fotografowała się ze starszymi – z rodzicami, nauczycielami, jakimiś mężczyznami i kobietami, którzy

nie wiadomo kim dla niej byli. Na jednym zdjęciu stała w letnim, dźwięczącym słońcem i zielenią parku między dwoma wspaniałymi kobietami, które ścisnęły ją swoimi smukłymi bokami tak, że Tamila zupełnie rozpłynęła się na tle ich pstrokatych sukienek. Oszołomiony rozpoznałem Andżelę Petrownę (gęste popielate włosy zebrane falą do góry, przeszywające spojrzenie, jesienny, ciężki biust) i Brunhildę Petrownę (gorąca miedź grzywki błyszcząca w słońcu, uda wyraźnie odznaczające się pod znikomym materiałem). Na innych zdjęciach pojawiali Kocza i Traumowany (zacięty chód młodego rabusia i prężny tors gwiazdy ataku) i Sasza Pyton z Andriuchą Michaelem Jacksonem, i mnóstwo innych znajomych, przyjaciół, kolegów i koleżanek z klasy, sąsiadów, kuzynów, bezkresny korowód twarzy i postaci, cienie przeszłości, całe moje życie, cała moja pamięć. Pomiędzy tym wszystkim stała Tamara ze zmrużonymi z zadowolenia lub zdziwienia oczami, z czarnymi jak herbata włosami, bez ubrania w nocnych falach, w surowym żakiecie podczas wręczenia jakichś nagród, w swetrach i kurtkach w miejscu pracy, z parasolkami, okularami i torebkami w czasie podróży i świąt, na weselach i stypach.

Pojawił się już pod koniec, na ostatnich zdjęciach, kiedy była dorosłą, rozwiedzioną kobietą, znacznie bardziej pociągającą i mądrzejszą niż przed małżeństwem, jak to zwykle bywa. Miała nieco zmęczone spojrzenie, nieco podpuchniętą z bezsenności twarz, nieco zwolnione ruchy, lekko smutny wyraz twarzy, jakby czekała, aż się pojawi. I pojawił się. Nagle zrobiło się go w jej życiu aż za dużo. Był wszędzie, zasłaniał ją sobą przed aparatami, jakby wypychając ją z kadru, co wcześniej z nikim się jej nie zdarzało i co jej, sądząc po minie, całkiem odpowiadało. Można było odnieść wrażenie, że potrzebowała jego udziału, jego obrony i obecności, jakby

chętnie ustąpiła mu miejsca w swoim życiu, traktując to jako właściwe i konieczne. Byli cały czas razem – w tym samym miejscu, w tym samym czasie, w jednym kadrze. Czasami gdzieś z boku pojawiała się zasmucona czymś twarz Tamili, w jakiś sposób trafiała z nimi na jedno zdjęcie, sama tego nie chcąc, i za każdym razem wyglądała na zrozpaczoną i oślepioną. Później oczywiście coś się stało, nagle znikł, nie wiadomo, dlaczego nie było go na następnych fotografiach. A potem w ogóle wszystko się rozmazało i pomieszało – jakieś dawne przyjaciółki, czyjeś stare twarze, jakieś budynki, czyjeś pogrzeby, obce miasta, zimowe krajobrazy, wśród tego wszystkiego prawie nie było zdjęć Tamary, jakby nie chciała się fotografować, nie życzyła sobie, by ktoś widział jej lata. Dopiero na samym końcu przyklejono kilka stosunkowo nowych zdjęć, pokazujących Tamarę i Tamilę takimi, jakie są teraz – zmęczone, ale gorące, podobne do siebie, a jednak różne. Trzymały się teraz razem, dosłownie: trzymały się za ręce, tuliły się do siebie, badawczo i uważnie patrząc w obiektyw, nie spuszczając z ciebie spojrzenia, splatając się palcami i dotykając się ubraniami i włosami. Dziwne kobiety o mrocznych oczach i równie mrocznej przeszłości patrzyły na ciebie i widziałeś tylko je, nikogo więcej.

*

I kiedy weszła w środku nocy, kiedy usłyszałem przez sen, jak głucho podzwania kluczami, niczym święty Piotr obchodzący blokowiska w poszukiwaniu sprawiedliwych, więc kiedy weszła do pokoju, gdzie spałem w ubraniu, nie wypuszczając z rąk albumu, nawet we śnie pamiętałem jej ruchy i spojrzenia, włosy rozwiane na wietrze i ubrania, które przylegały do jej skóry, kiedy niepewnie przeszła przez ciemny pokój i zatrzymała się nade mną, długo przyglądając się mi w ciemności,

aż w końcu postanowiła zabrać swój album. Przechwyciłem jej dłonie i pociągnąłem ją do siebie, i wtedy sama runęła na oślep w ciemność, w którą ją ciągnąłem, a natrafiwszy ustami na moje, zaczęła mnie łapczywie całować, nie zatrzymując się, jakby długo na to czekała, jakby już dawno o tym myślała, więc inaczej nie mogło się zdarzyć. Nie zdążyła się nawet rozebrać, leżała na mnie w płaszczu, pod którym miała ciepły sweter i długą spódnicę, jej włosy spadały na moją twarz, powodując, że ciemność stawała się czarna i ruchliwa. Kiedy dotykałem jej łydek, poczułem ciepłe skarpety prawie do kolan i dalej zupełnie nic – żadnych rajstop, jakoś mnie to zmieszało, nagle poczułem ją całą, cały jej ciężar i nieważkość, poczułem ciepło jej skóry i nieco wilgotne z podniecenia majtki, które z łatwością zdjęła, nie przerywając całowania, jakimś niewyczuwalnym ruchem, po prostu je ściągnęła, zostawiając je kołyszące się na lewej łydce, potem, zsuwając rękę w dół, szybko poradziła sobie z moimi dżinsami i usiadła na mnie, mocno obejmując mnie gorącymi udami. Od czasu do czasu przytulała się do mojej twarzy, całując z oddaniem zdyszana, prostowała się, przez co włosy rozsypywały się na ramiona i w ciemności wybłyskiwała jej twarz i szyja, i pewnie opierała się na moich piersiach. Jakby się odpychała, nie mając dość sił, by ze mnie zejść, rozkołysała się i szary płaszcz rozwinął się jak żagiel, a pierścionki na palcach zaczepiały o guziki mojej kurtki. Jej pocałunki pachniały mocną herbatą i słabym alkoholem, ubranie było szorstkie w dotyku, skóra – miękka, zęby miała ostre, a paznokcie drapieżne i krwawe i wciskając je pod moje ubranie, zostawiała na moich plecach długie, bolesne pręgi, które błyszczały w ciemności jak instalacja elektryczna. Kiedy dochodziła, głośno krzyczała, ze zdziwieniem patrząc mi w oczy, kołysanie stało się gwałtowne i bolesne, czułem, że już mnie nie widzi, nie poznaje, poruszała się jak zjawa i ja

poruszałem się razem z nią, nie gubiąc się ani na chwilę, cały czas będąc obok, razem z nią wstępując na ten szlak, razem z nią go kończąc.

*

Kiedy doszła i opadła bez sił obok mnie, długo dotykałem jej włosów, nie wiedząc, co powiedzieć, a raczej – nie wiedząc, co chciała usłyszeć. W którymś momencie po prostu zasnęła, ciepło oddychając w moje ramię, ale gdy tylko moje palce dotknęły lekko jej policzka, wzdrygnęła się przez sen, od razu się przebudziła i usiadła spłoszona na łóżku. Patrzyła na mnie, nie wiem, czy usiłując sobie coś przypomnieć, czy rozpoznać. Gwałtownie zeskoczyła z kanapy i rzuciła się do drzwi. Majtki dalej wisiały na jej nodze, ale ona chyba tego nie zauważyła.

– Tamara – wstałem i poszedłem za nią.

Przebiegła przez salon i znikła w łazience. Spróbowałem tam wejść, ale drzwi były zamknięte od środka. Nasłuchiwałem. Odkręciła wodę, usiadła na podłodze, oparła się o drzwi i cicho płakała.

– Tamara – zawołałem – otwórz!

W odpowiedzi tylko płakała. Woda zagłuszała i oddalała jej płacz, jednak wciąż bardzo dobrze go słyszałem. Próbowałem ją jakoś wywabić.

– Ej, słuchaj – mówiłem, przyciskając się do szpary w drzwiach. – Co się stało? Powiedz. Obraziłem cię jakoś?

Uparcie nie odpowiadała, więc zacząłem bębnić w drzwi. Zostawiać kobietę samą w takim stanie byłoby nierozumnie i krótkowzrocznie, czuje się tam na pewno samotna, jest ciemno i nieprzytulnie. Przekonany, że dobrze robię, dalej bębniłem w drzwi. Nagle zakręciła kran.

– Herman – powiedziała twardo, choć nie otworzyła drzwi – wszystko w porządku. Idź spać. Niedługo przyjdę.

– Dobrze – usiadłem na podłodze i postanowiłem poczekać.

Znów puściła wodę, długo coś tam sobie przestawiała, czymś stukała, coś do siebie mówiła, w końcu zakręciła kran, cicho otworzyła drzwi, zobaczyła mnie i w milczeniu usiadła obok.

– Nie obrażaj się – powiedziała, dotykając mojego kolana. – Zwykła histeria.

– Wszystko w porządku? – upewniłem się.

– W porządku, w porządku. Nie obrażaj się.

– Chodźmy spać – zaproponowałem.

– Za chwilę – zgodziła się, wyciągnęła z kieszeni papierosy i zapaliła. – Już.

Potem zaczęła się ze mną całować, jej pocałunki miały smak tytoniu i proszku do zębów, skórę miała gorzką od łez, a włosy mokre jak sieci rybackie.

– Nie chciałam ci mówić… Jak powiem, to na pewno sobie pójdziesz.

– Co się stało?

– Pójdziesz? – zapytała.

– Nie bój się, nie pójdę – uspokoiłem ją.

– Pójdziesz. Wiem – nie uwierzyła. – A zresztą wszystko jedno, powiem ci.

– No, co się stało?

– Jakieś problemy są z waszą księgową.

– Z Olgą?

– No.

– Skąd wiesz?

– Szura dzwonił, prosił, żeby ci powiedzieć. Teraz pójdziesz.

– Co się stało?

– Nie wiem, jest w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Nie wiem – odpowiadała cicho. – Chyba nie.

– Możesz dokładniej powiedzieć? – zdenerwowałem się.

– Nie krzycz na mnie – obraziła się. – Nic nie wiem. Szura prosił, żebym ci przekazała. Powiedział, że rano po ciebie zajedzie.

– Daj telefon, przedzwonię do niego.

– Już za późno, żeby dzwonić – odpowiedziała znużonym głosem. – Poczekaj do rana, przyjdzie i wszystko opowie.

– A jak to coś poważnego?

– Wszystko jedno – powtórzyła Tamara – zaczekaj do rana.

– Łatwo ci mówić.

– Dlaczego łatwo? – nie zrozumiała.

– No, przecież to nie twoja księgowa wylądowała w szpitalu.

– Wiedziałam, że do niej pójdziesz. Jest młoda i podoba ci się.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– No, przecież widzę. Myślałam po prostu, że zostaniesz, skoro już przyszedłeś. Ale rozumiem, że nie może być tak po prostu. Jestem dla ciebie za stara, tak?

– Nie, no co ty – próbowałem zaprzeczyć.

– Stara, stara – powtórzyła Tamara. – Nie tłumacz się, wszystko w porządku. Na nic nie liczyłam. Rób, jak ci wygodniej, dobrze?

– Dobrze – zgodziłem się.

Dokończyła papierosa i z rezygnacją rozgniotła niedopałek na podłodze.

*

– Chciałem cię zapytać: ten mężczyzna, taki wysoki, ciemny, na zdjęciach… kto to jest?

– Wysoki? – upewniła się Tamara.

– Yhm.

– Artur – odpowiedziała. – Mąż Tamili.

– Tamili? – zdziwiłem się. – A nie twój?

– No, potem i mój. Najpierw żył z Tamilą, potem ze mną. Bardzo mnie kochał.

– I gdzie on teraz jest?

– Zabili go. Jakieś dziesięć lat temu. Chcieli mu zabrać biznes, nie oddawał. Wysadzili go razem z samochodem.

– Nieźle.

– To już tak dawno było.

– A co z siostrą? – dopytywałem się. – Widujesz się z nią?

– Widujemy się – odpowiedziała Tamara. – Wszystko mi przebaczyła. Też bardzo go kochała. Zeszłyśmy się tak naprawdę, dopiero kiedy zginął. Tak dziwnie to bywa. To jak – zapytała po długim milczeniu – pójdziesz do niej?

– Nie wiem – odpowiedziałem.

Nie chciało mi się kłamać, a mówić prawdy – tym bardziej.

6

Świeże powietrze utknęło w fałdach jego skórzanej kurtki, jakby przyniósł w kieszeniach okruchy porannego października. Słońce rozjaśniało pokój, oślepiając i ostatecznie budząc ze snu. Traumowany pokonał przedpokój rześkim krokiem kolesia, który ceni swój czas i swoje możliwości, przywitał się energicznie – cieszę się, że cię widzę, dobrze, że wróciłeś żywy. Przeszedł do kuchni, wypełnił przestrzeń, wcisnął się między stół i umywalkę, poskrzypiał kurtką, wyjrzał za okno. Jeszcze w nocy sam zadzwonił do Tamary, pytał, czy jestem w mieszkaniu, czy wszystko dobrze, i uprzedził, że zajedzie. Teraz siedział za stołem i szerokie skośne promienie nadawały jego skórze odcień złota i miedzi. Prześlizgnął się spojrzeniem po twarzy Tamary, nieco zmęczonej i zaspanej, i zabrał się do mnie.

– Wiesz – powiedział – dobrze, że nie dojechałeś do mojego brata. Złapali go kilka dni temu. Myślałem nawet, co jest, dzwonię do niego, dzwonię, odbiera jakiś milicjant. Początkowo myślałem, że znowu komórkę komuś spylił albo gdzieś zgubił, albo jeszcze coś. A okazuje się, że już trzeci dzień jest w areszcie. Wczoraj dzwoniła do mnie jego żona, mówiła, że wszystko dobrze, żeby się nie martwić, siedzi w porządku, ma apetyt, adwokata, niedługo go wypuszczą.

– A za co go wzięli? – nie zrozumiałem.

– Tego nie wiem – przyznał Szura. – Ostatnim razem wzięli go za roczne sprawozdania, chciał je oddać z rocznym wyprzedzeniem. Wcześniej za dawanie łapówek urzędnikom. On się zajmuje telefonią komórkową – wyjaśnił Traumowany.

– Operator?

– Handluje telefonami – wyjaśnił Szura. – Używanymi.

– Kradzionymi?

– Bywa i tak.

– Może powinieneś do niego pojechać?

– E tam – machnął ręką Traumowany. – Poradzi sobie. Jest dorosły. I bez niego mam mnóstwo problemów. Prawda, Tamara?

Ale Tamara miała własny kłopot, martwiła się, czy w nocy nie nagadała za dużo, i nie wiedziała, czego się teraz po mnie spodziewać. Stała w kącie skupiona i smutna, przytakiwała słowom Szury, zgadzając się z tym, co mówił. Choć Traumowany tego wszystkiego nie zauważał, wyglądał na zakłopotanego i zakłopotanie to szybko i mnie się udzieliło. Zacząłem go nerwowo wypytywać. O Olgę przy Tamarze nie pytałem, liczyłem na to, że sam opowie. I choć mówił o rzeczach według niego ważnych, Tamara zrozumiała, że niebawem obaj sobie stąd pójdziemy, zrobiła nam herbaty – mocnej i beznadziejnie gorzkiej – i rozczarowana znikła w swoim pokoju.

A Traumowany tymczasem opowiadał jakieś dziwne historie.

– Słuchaj, Hera, czym ty się w Charkowie zajmowałeś?

– A co? – nie rozumiałem, do czego zmierza.

– Nic – jakoś pokojowo przemówił Traumowany. – Ktoś cię tam na serio szuka. I wiesz, co myślę?

– No?

– Lepiej, żeby cię znaleźli.

– Po co?

– Zdaje się, że to nie twoje sprawki, Hera, jeśli jesteś im potrzebny, to jako świadek.

– Świadek czego?

– Nie wiem. Łapówek nie dawałeś? – zapytał z nadzieją. – Urzędnikom państwowym?

– Szura, dawałbym. Tylko nie było co.

– Jasne – kiwnął głową Traumowany. – Krótko mówiąc, wczoraj przyszli. Dwóch. Mówią, że chcą z tobą porozmawiać. Prosili, żeby przekazać, żebyś się nie bał.

– Ale ja się nie boję – powiedziałem. – Z tobą rozmawiali?

– Z Olgą.

– Do niej przyszli?

– No tak, przyszli. Początkowo chciała ich pogonić, potem wysłuchała.

– I co oni?

– No, cóż. Mówią, że chcą z tobą porozmawiać. Jakieś tam luźne końce się ciągną. Nic konkretnego nie powiedzieli, po prostu poprosili, żeby przekazać, że lepiej się z nimi spotkać.

– A ty co o tym myślisz?

– A spotkaj się z nimi. Niech tam. Nie uduszą cię przecież. Mam rację?

– Może masz. Tylko gdzie ich znaleźć?

– Nie ma co ich szukać – odpowiedział z rozdrażnieniem. – W hotelu mieszkają. Tam ich znajdziesz.

– W hotelu? Może po prostu do nich zadzwonić?

– Numerów nie zostawili. W ogóle – zastanowił się – jacyś śliscy są. Przyszli i węszą.

– Co węszą?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Traumowany. – Lepiej sam z nimi porozmawiaj.

– Dobrze, zajdę do nich dzisiaj.

– Zajdź – poparł mnie. – Nie bój się.

– Przecież się nie boję.

– Co masz do stracenia?

– Właśnie. Jak tam Olga?

– Niedobrze – odpowiedział na to Szura, jakby czekał, kiedy zapytam. – Leży w szpitalu.

– Kiedy zdążyła?

– Wczoraj zdążyła, jak tych dwóch pogoniła. Kiedy zamknęła za nimi drzwi, złamała palec. U nogi.

– Palec?

– No tak, palec. Teraz leży w gipsie. Myśleć trzeba, co się robi! – powiedział Traumowany nie wiadomo w związku z czym.

– Może jej coś złego powiedzieli?

– Hera – rozsierdził się Traumowany – nie wiem, co oni jej powiedzieli, o czym z nią rozmawiali. Ale Olga prosiła, żebym ci przekazał, żebyś się z nimi spotkał. No i w ogóle o ciebie pytała, martwi się chyba.

– Martwi się?

– Chyba.

– Yhm. Muszę do niej zajść.

– Zajdź, zajdź. – Traumowany nieufnie obrzucił spojrzeniem naczynia na półkach i zaczął się zbierać.

– Poczekaj – też wstałem – idę z tobą.

– Wiesz co, lepiej najpierw załatw swoje sprawy.

– Szura – widziałem, że coś przede mną ukrywa. – Co to za mątwy?

Przez chwilę się wahał, a potem znów usiadł przy stole. I opowiedział jeszcze jedną historię. Okazało się, że kiedy się ukrywałem, zdarzyły się ważne rzeczy. Kukuruźnicy, według słów Traumowanego, ostatecznie się zezwierzęcili i zaktywizowali. I chociaż nie ruszali naszej stacji, jednak, nadal według słów tegoż Traumowanego, należało się tego spodziewać jak nie dziś, to jutro. Zamiast tego najechali Ernsta, przyjaciela wszystkich lotników, znaleźli go na lotnisku i powiadomili w trybie nieoficjalnym, że jest ono w końcu obiektem państwowym i, mimo całego zewnętrznego obsrania i całkowitej nieobecności w mieście lotnictwa pasażerskiego, pas startowy jako taki znajduje się w rejestrze państwowym, dlatego tak czy inaczej trzeba go będzie – pas – oddać w pewne ręce ludu pracującego. Wszystkie podejmowane przez Ernsta próby wyjaśnienia kukuruźnikom, że powinni spierdalać, zostały przez nich zignorowane. Co więcej, sam Ernst dostał surowe ostrzeżenie, że jeśli będzie dalej stawiać werbalny czy fizyczny opór, sprawa zostanie przekazana w ręce organów ścigania, a dla kogo pracują tutejsze organa, nie trzeba wyjaśniać. Dlatego zaproponowano mu, żeby w ciągu trzech dni zebrał manatki i wyprowadził się z terenu bezprawnie zajętego obiektu.

– I jak Ernst? – zapytałem.

– Trzyma się – odpowiedział Traumowany. – Zabarykadował się na podwórku, wyciągnął zdobyczne granaty, siedzi i czeka. Próbujemy coś zrobić, byliśmy w prokuraturze, staraliśmy się dostać do kukuruźników, ale oni ściemniają. Formalnie nie ma się czego czepnąć, lotnisko rzeczywiście jest państwowe.

– Szura, tylko jednego nie mogę zrozumieć: po co im lotnisko? Po co im nasza stacja? Oni po prostu chcą wszystko pod siebie podciągnąć, tak?

– No, oni mają swój program rozwoju regionu – zmieszał się Traumowany. – Zamiast lotniska fabrykę asfaltu zbudują.

– No, a gdzie indziej nie mogą zbudować fabryki asfaltu? Co to jest: święte miejsce czy jak?

– Hera, mogą budować, gdzie im się zachce – cierpliwie wyjaśnił mi Traumowany. – Wychodzi, że zachciało im się budować na lotnisku, rozumiesz?

– Rozumiem. I co mamy teraz robić?

– Wiesz co – powiedział po chwili namysłu – nie zajmuj się tym. Rozumiesz? Masz swoje problemy. Po co ci to lotnisko?

– Jak to po co? A tobie po co?

– No, ja tu mieszkam.

– Szura, ja też tu mieszkam – przypomniałem mu. – Co za chuj, Szura? Co, nie ufasz mi?

– Ufam ci – niechętnie przyznał Traumowany. – Wiesz, po prostu mam złe przeczucia.

– I co to za przeczucia?

– Wydaje mi się, że nic z tego nie będzie.

– Nie będzie, to nie będzie. Trzeba przecież spróbować, mam rację?

– Trzeba – zgodził się Szura.

– Nie ugniemy się przecież, mam rację?

– No, masz – znów się zgodził. – Dobra, nie nakręcaj się. Zastanawiam się po prostu, dlaczego wtedy latem odpuścili.

– No, dlaczego?

– Nie wiem – odpowiedział na to Traumowany. – Nie wiem.

– No, odpuścili i hak im w smak.

– Wszystko w porządku – zgodził się. – Po prostu nie ma pewności, że teraz odpuszczą.

– Szura – powiedziałem mu. – Nawet jeśli nie odpuszczą, to nasze wspólne problemy. Zgoda?

– Zgoda – powiedział Traumowany z wahaniem i ruszył do wyjścia.

W progu stała Tamara.

– Poczekaj – zatrzymała mnie na chwilę i ta chwila wystarczyła, by Traumowany wszystko zrozumiał i potoczył się schodami w dół, zostawiając nas samych. – Wybacz, może niepotrzebnie nagadałam ci wczoraj.

– Wszystko w porządku, Tamara – powiedziałem uspokajająco. – Zadzwonię do ciebie wieczorem.

– Zadzwoń – zgodziła się – jeśli nie zapomnisz.

– Nie zapomnę – zapewniłem.

– Dobrze – powiedziała – zresztą, to nie takie znowu ważne. Prezbiter książkę dla ciebie przekazał, prosił, żebyś uważnie przeczytał.

– Coś o religii?

– Nie wiem – odpowiedziała zmęczonym głosem, wcisnęła mi książkę i wypchnęła mnie za drzwi.

*

Żelazna brama z czarnymi gwiazdami wyglądała jak sierota, pustka i upadek panowały wokół, choć pod samą bramą wyraźnie odcinały się ślady samochodów. Pajęczyny wisiały w powietrzu, utrzymując je w całości. Było cicho, powietrze nagrzewało się powoli, jak mieszkanie, w którym długo nikt nie przebywał. Miało się ku jesieni. Za samą bramą czuć było czyjąś obecność, jakby ktoś tam stał i ostrożnie wyglądał przez ambrazury. Traumowany zatrąbił, jednak na próżno – żadnego ruchu za czarną bramą, żadnego głosu zza fortecznych fos. Szura sięgnął po komórkę.

– Halo – rozległo się w słuchawce głucho i nieufnie.

– No weź, otwieraj – powiedział Traumowany zamiast powitania.

Był jakiś cichy, nie tylko dzisiaj, ale w ogóle w ostatnich dniach. Gdzie podziała się jego wieczna zaciekłość? Możliwe, że napastnik się starzeje, pomyślałem. No choćby tutaj – zamiast naskoczyć na przestraszonego Ernsta, siedział i cierpliwie czekał, aż ten otworzy bramę, aż nas rozpozna, aż wpuści.

Ernst też jakby ucichł, zamaskował się i w ogóle przeszedł na zimowe umundurowanie. Miał na sobie jakiś krótko obcięty szynel, a pod nim czerwoną wyciągniętą podkoszulkę. Na nogach wysokie wojskowe buty. A w rękach trzymał saperkę, kieszenie ciężko wypychało coś wybuchowego, być może rzeczywiście granaty. Kiedy mnie zobaczył, ucieszył się, bardzo dobrze, że tu jestem, powiedział, bo ma mi wiele do przekazania, przeprowadził niezwykle ciekawą ekspedycję, co mnie zainteresuje jako historyka, i jeszcze długo chciał tak nawijać, ale Szura przerwał mu, oświadczając, że nie chce słyszeć o żadnych faszystowskich czołgach i w ogóle o faszyzmie, i poprosił, żebyśmy się zamknęli. Zatrzymaliśmy się na środku podwórza na popękanym asfalcie, przez który całe lato bujnie przebijała się trawa, by teraz zamrzeć w oczekiwaniu chłodów. Traumowany siedział na masce swojego samochodu, my staliśmy obok, z boku wszystko to mogło wyglądać jak przyjemne przypadkowe spotkanie, wszystko jak w starych dobrych czasach.

Mieli się za chwilę pojawić. Szura uważnie wsłuchiwał się w trasę, poprosił Ernsta, żeby schował saperkę i nie robił sobie wstydu przed ludźmi, i w ogóle kazał nam milczeć i nie przeszkadzać mu – mówił, gadać będzie on, nasza rola to, w razie czego, obrzucić ich granatami. Nie od razu zrozumiałem, że to żart.

Przyjechali po półgodzinie, od razu zauważyłem, jak Ernst się spiął, jak ostrożnie zamilkł Szura, było jasne, że nikt nie

wiedział, czego się po nich spodziewać i po co się tu pchają. Najpierw podjechał znany mi jeep, spodziewałem się zobaczyć za kierownicą Kolę, ale siedział tam jakiś mniej więcej pięćdziesięcioletni facet o ciężkim spojrzeniu, ostrzyżony na krótko, jasna rzecz, że ostrzyżony na krótko, i w ciepłej skórzanej kurtce. Tylne drzwi jeepa się otworzyły i wyleciał z nich Nikołaicz. Też w skórze i czarnym kaszkiecie, który troskliwie okrywał jego bladą jesienną łysinę. Kiedy mnie zobaczył, na chwilę zamarł, jakby sprawdzając wewnętrzną informację. Potem szybko opuścił wzrok i w pośpiechu rzucił się do beemwicy, która miękko sunęła z tyłu. Pośpiesznie otworzył drzwi, wypuszczając na zewnątrz wysokiego siwego mężczyznę w długim ciemnym płaszczu, z dyplomatką w dłoni. Zapiął płaszcz na wszystkie guziki, kiedy Nikołaicz trzymał dyplomatkę, przyciskając ją do brzucha, tak że z daleka wyglądało, że trzyma ją w zębach jak wyszkolony owczarek, siwy zabrał dyplomatkę i twardo ruszył w naszą stronę. Ochroniarzy z nimi nie było. Kiedy podszedł, przywitał się z rezerwą, nie wyciągając ręki. Nikołaicz, który w ogóle odwracał spojrzenie, ukradkiem zerkając w moim kierunku, biegał wokół siwego, rzucał krótkie repliki w stronę Ernsta i Traumowanego, ogólnie wyglądał na zagubionego i niepewnego. Rozumiałem, że moje pojawienie się, że właśnie ono wybiło go z rytmu, przecież przede mną się tu popisywał kilka miesięcy temu, mnie chciał kupić za solidne odsetki, w moich oczach chciał się wywyższyć i utwardzić, a tu nagle taka kicha i trzeba podlizywać się staremu, który w odróżnieniu od Nikołaicza naprawdę wyglądał pewnie i rozważnie i nikomu nie zamierzał niczego udowadniać, przyszedłszy po to, co i tak mu się należało. Zbliżył się, ciężko stąpając po spękanym asfalcie, niedbale postawił dyplomatkę na masce obok Traumowanego, jednak gdy napotkał jego

zimne, pełne nienawiści spojrzenie, wcisnął ją z powrotem Nikołaiczowi. Ten zamarł za plecami siwego, a od czasu do czasu wyglądał zza jego ramienia, lękliwie śledząc przebieg oficjalnych negocjacji.

Siwy przemówił pierwszy. Szybko zdecydował, że mówić trzeba nie z klaunem w przyciętym szynelu, tylko z poważnym i chmurnym Traumowanym, od razu olał mnie i Ernsta i sucho wziął się do roboty, okazując każdym swym gestem, że wszystko naprawdę jest już postanowione, i targuje się tu tylko dla przyzwoitości, bo w zasadzie nie chce mu się z nami gadać, powinniśmy sami to rozumieć.

– Znaczy się, tak – mówił, jakby właśnie wrócił do starej rozmowy. – To jest decyzja, to postanowienie prokuratury. Tu wyciąg z rejestru. – Wszystko to brał Traumowany, ale nawet nie zaglądał w dokumenty, z góry wiedząc, co jest w nich napisane. – Samochód podjedzie jutro, pomożemy wam się pozbierać, powiedzcie, kiedy wam wygodnie.

– W ogóle nam niewygodnie – odpowiedział Traumowany. – Niewygodnie. Nie będzie żadnego samochodu.

– No jak to nie będzie? – po krótkim wahaniu siwy przemówił z ukrywaną złośliwością. – Będzie. Już się umówiłem.

– Z kim? – zapytał chłodno Szura.

– Z kierowcą – równie chłodno odpowiedział siwy.

– A z nami? – zainteresował się Szura.

– Co z wami? – siwy udał, że go nie zrozumiał.

– Z nami się pan umówił? – Szura nie ukrywał sceptycyzmu.

– A co, nie? – siwy odpowiedział równie sceptycznie.

– Nie – zapewnił go Traumowany. – Z nami nikt na nic się nie umawiał. Więc samochód może nie przyjeżdżać.

– A wyciąg z rejestru urzędowego?

– A rejestr mamy gdzieś – wyjaśnił Szura. – Razem z urzędem – zaakcentował.

– Naprawdę? – nieco zapienił się siwy.

– Naprawdę – znów zapewnił go Szura.

– Sasza – wtrącił się z dyplomatką w zębach Nikołaicz – po cholerę demagogię rozwijasz?

– Zamknij się – rozkazał krótko siwy i znów zwrócił się do Traumowanego: – Niech pan posłucha, przecież poważny z pana człowiek, powinien pan zrozumieć, jeśli nie wpuścicie jutro samochodu, pojedziemy spychaczami i wtedy sami się będziecie pakować. Rozumie pan to? Mamy w ręku wszystkie papiery.

– Niech pan posłucha – powiedział Szura cicho i ufnie. – Pan też jest poważny. Sam pan wie o tych dokumentach. To jest wrogie przejęcie.

– Jakie wrogie przejęcie, Sasza?! – jęknął zza pleców siwego Nikołaicz, o mało co nie wypuszczając z zębów dyplomatki. – Jakie, do chuja, wrogie przejęcie!

Siwy puścił mimo uszu chlipanie Nikołaicza, zrobił pauzę i z metalowymi nutami w głosie zapytał:

– To znaczy, że odmawiacie opuszczenia terenu?

– Bez jaj – potwierdził Szura i umościł się wygodniej na masce.

– No, dobrze – jakoś nieprzyjemnie przemówił stary i odwrócił się do Nikołaicza. – Nikołaicz, połącz się z Marlenem Władlenowyczem. Trzeba podjąć decyzję.

Ale w tym momencie Nikołaicz cały zmiękł, puścił dyplomatkę, postawił ją przed sobą na asfalcie i spuścił oczy.

– Ej – powtórzył siwy. – Słyszysz mnie?

– Słyszę – ledwie wydusił Nikołaicz, śmiertelnie przerażony, jednak związany jakąś straszną pionierską klątwą.

– No, to dzwoń – z naciskiem powiedział siwy.

– Nie zadzwonię – odpowiedział cicho Nikołaicz, zlewając się potem.

– Nie rozumiem – spiął się w końcu siwy, dodając do głosu ognia i metalu.

– Nie mogę – wyszeptał Nikołaicz. – Mamy jednostronny kontakt.

– Co?! – wybuchł w końcu siwy.

– Mamy kontakt jednostronny. – Stopniowo Nikołaicz opanowywał głos, mówił bardziej twardo i bardziej pewnie, wiedząc oczywiście, że póki działa zgodnie z instrukcją, nie będzie problemów. – Nie mogę tak po prostu zadzwonić.

Podtekst tego wszystkiego był taki: sam nakaszaniłeś, to teraz sam załatwiaj, nie ma chuja, żebym znowu dał się wpędzić w moralny stres – a bez wątpienia dla Nikołaicza rozmowa z tym ich Marlenem Władlenowyczem takim stresem była.

– No i co teraz? – siwy, zdaje się, nie zwykł się wycofywać, więc naciskał tam, gdzie mógł.

– Będzie dziś dzwonił – powiedział po zastanowieniu Nikołaicz. – O dwunastej.

Siwy gwałtownie machnął ręką z zegarkiem.

– To za czterdzieści pięć minut – upewnił się, nieco zdezorientowany. – Poczekamy? – zapytał Traumowanego, który nagle stał się panem sytuacji, teraz od niego wszystko tu, ogólnie rzecz biorąc, zależało.

– Zaczekamy – zgodził się Szura – zaczekamy. Chodź – zwrócił się do mnie – zapalimy.

I zeskoczywszy na asfalt, leniwie minął siwego i poszedł za budynki, w kierunku pasa startowego. Ruszyłem za nim. Ernst, zostawszy między siwym i Nikołaiczem, nerwowo przestąpił z nogi na nogę, zlekceważył wszystkie zasady gościnności i pobiegł za nami.

*

Trawa wzdłuż pasa była skoszona i ostro pachniała zastygłym sokiem. Budynki – ciemne i puste jak naczynia kuchenne – widmowo stały wśród jesiennej roślinności, wśród kukurydzy, która obstępowała je ze wszystkich stron, grożąc, że utopi w sobie wszystkie szpary, przebije asfalt swoimi suchymi łodygami i ostrymi korzeniami, wpełznie w okna i do kanalizacji, wyciągnie się na ściany i blaszane dachy, zakryje na zawsze ślady kilku pokoleń lotników. Wiatr niósł od hangarów zapach nagrzanego słońcem smaru, który wżarł się w ziemię, czyniąc ją nieczułą.

– Kto to? – zapytałem Traumowanego, wskazując spojrzeniem za budynki, tam, gdzie został siwy ze swoją dyplomatką.

– Ich adwokat – odpowiedział Szura. – Z centrali.

– A Władlen Marlenowycz czy Marlen Władlenowycz to kto?

– Boss. Pastuszek Marlen Władlenowycz.

– Znasz go?

– Nie. On tu nawet nie bywa. Więc nikt go nie zna. Ale wszyscy się go boją.

– Ile ma lat? – zapytałem.

– Skąd mam wiedzieć? – zdziwił się Traumowany. – Mówią, że jest całkiem młody.

– Mętny jakiś ten adwokat – powiedziałem, jeszcze raz oglądając się na budynki.

– Normalny adwokat – nie zgodził się Szura. – Mnie ten łysy dupek się nie podoba. Na sto procent jakąś świnię podłoży.

I wepchnąwszy ręce do kieszeni kurtki, powlókł się wzdłuż pasa startowego, kopiąc ciężkimi butami puszki po piwie, które trafiały mu pod nogi.

– Posłuchaj – zapytałem Ernsta, który zapinał stary szynel. – Znałeś Artura, męża Tamary?

– Artura? – zamyślił się. – Znałem. Nawet robiliśmy razem biznes. Sparzyliśmy się wprawdzie.

– Jak oni z Tamarą żyli?

– Dobrze – odpowiedział Ernst. – Chociaż niedługo. On do Tamili od niej odszedł, do jej siostry.

– Poważnie?

– No – zapewnił mnie Ernst. – Tam historia była taka, że…! Burza i napór! O mało się nie pozabijały. Tamila nawet żyły sobie podcięła. Widziałeś, ile ma tego na rękach, żeby blizn nie było widać. Ze dwa lata ze sobą nie rozmawiały, potem się pogodziły.

– On zginął?

– Artur? Nie, wyjechał. Do Holandii. Handlował samochodami, otworzył restaurację. Czasami do nich pisze. Do obu naraz.

– A ty skąd wiesz?

– Co wiem? – nie zrozumiał Ernst.

– No, o bliznach, o tym, że on pisze.

– Przecież byłem z Tamilą – wyjaśnił Ernst. – Pół roku. Potem chciała dzieci. A ja nie byłem gotowy. Lotnictwo, sam rozumiesz.

– Nie da się po nich poznać – zdziwiłem się – po siostrach. Ciche takie.

– Tak, Herman – zgodził się. – Życie w ogóle rzecz mało zrozumiała. Nigdy nie wiesz, co kryje się pod powierzchnią. Tak niby wszystko wiesz, wszystko widziałeś, a jak to było naprawdę, nawet sobie nie wyobrażasz.

Rozejrzałem się dookoła. Tak naprawdę – jak to było naprawdę?

*

Chwytna i szorstka pszenica, która rosła tutaj od lat, nie pozwalała im iść, blokowała drogę, tak że trzeba było po prostu przy każdym kroku rwać suche, splecione ze sobą źdźbła. Zbliżali się w świetle słońca, szli krzykliwą wesołą gromadą, ich cienie

plątały się pod nogami jak psy myśliwskie. Ze złotych słonecznych fal, z gorzkiego październikowego powietrza wychodzili jeden za drugim młodzi, uśmiechnięci piloci w skórzanych czapkach i kurtkach, z brązowymi mapnikami, z ciężkimi zegarkami na nadgarstkach. Szli, pokrzykując do siebie, żartowali na temat jakiegoś dawnego wypadku, który zdarzył się właśnie tu, na tym lotnisku, jakieś dwadzieścia lat temu, więc wszystko zostało zapomniane i wymazane z pamięci i musieli znów się tu zjawić, przypomnieć i opowiedzieć jeszcze raz. Kłosy wpadały im do butów i kieszeni, pajęczyny wplatały się między palce i leżały na włosach, zdejmowali je lekkimi ruchami, uparcie wydostając się z tej bezkresnej pszenicy. Mechanicy w czarnych kombinezonach szli z tyłu, nieśli brezentowe worki z listami i paczkami, korespondencją, której strzegli cały czas. Worki świeciły w słońcu zielonym ogniem. Mechanicy ze śmiechem zadzierali głowy, obserwując dźwięczną porcelanę październikowego nieba, a ich oczy lekko się mrużyły za okularami słonecznymi. Ale to wciąż nie byli wszyscy, bo daleko w tyle dziwna lotnicza drużyna wytaczała ze słonecznego błysku rozbujane ciało samolotu, pomarańczową od słońca i kurzu tuszę AN-2, która rozbłyskiwała w powietrzu metalem i farbą. Toczyli ją, zlewając się potem i dysząc od kurzu, ale za nic nie chcieli zostawić maszyny na środku pola.

Piloci kroczyli po pasie startowym w stronę hangarów, pustych i dźwięcznych, w których ciemno stało powietrze, jak rzeczna woda w śluzach. I kiedy już ich głosy ucichły za budynkami, kiedy mechanicy, rzuciwszy worki z pocztą na asfalt, rozeszli się po hangarach, wypełniając je śmiechem i krzykami, ci ostatni też w końcu dociągnęli kukuruźnika do pasa, wytoczyli go z gęstej pszenicy i zostawili akurat naprzeciwko budynków administracyjnych. Przepalona słońcem i wypalona suszą maszyna, zupełnie oblepiona trawą i pajęczynami,

zastygła na środku pasa startowego, jakby się wahając – gdzie ma lecieć, w którym kierunku, jaką trasą. Aż nagle w głuchym wnętrzu samolotu zaczęły dudnić uporczywe rumory, jakby ktoś w środku obijał się o poszycie, szukając wyjścia. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i z czarnej, dusznej głębiny w jaskrawe promienie słońca zaczęły wyskakiwać rude lisy i czarne koty, wyleciały gołębie i czaple, wypadły rzeczne żaby i posypały się jak gruszki nietoperze. I cała ta latająca przybłąkana fauna, która chowała się na pokładzie, cierpiąc upał i zaduch, rozpierzchła się na wszystkie strony, jak najdalej od piekielnej maszyny, jak najdalej od powietrznych jam, które wykopane były dla ich zwierzęcych dusz w przygranicznym niebie.

*

– Herman – Traumowany dotknął mojego ramienia. – Idziesz?

Siwy i Nikołaicz wciąż stali jeden przed drugim, jak tancerze na parkiecie. Siwy górował nad krótkonogim Nikołaiczem i coś wściekle cedził, aż Nikołaicz cały się najeżył, ponuro kiwając głową. Ale kiedy podeszliśmy, obaj zamilkli.

– No jak? – zapytał Szura.

– Jeszcze pięć minut – odpowiedział siwy. – Poczekajmy.

– Dobrze – zgodził się Traumowany, zresztą nie było szczególnego wyboru.

Staliśmy, w milczeniu i napięciu licząc sekundy, staraliśmy się nie patrzeć sobie w oczy i przyglądaliśmy się pęknięciom asfaltu – głębokim jak zmarszczki na twarzy klauna.

Nagle zadzwoniła komórka Nikołaicza. Pośpiesznie wydobył ją z kieszeni i uniósł do spoconego z przejęcia ucha.

– Halo! – zbyt głośno jak na tak bezludne miejsce powiedział Nikołaicz. – Tak! Tak, Marlenie Władlenowyczu, tutaj! Ze mną! Tak! Daję! – Z ulgą podał telefon siwemu.

Siwy też się zmieszał, uciekał wzrokiem, niezdarnie biorąc komórkę swoimi długimi adwokackimi palcami.

– Słucham, Marlenie Władlenowyczu – jeszcze próbował zachowywać się energicznie i niezależnie, ale głos mu siadł, a intonacje zjechały do histerycznego popiskiwania. – Na miejscu! Wszystko w porządku, Marlenie Władlenowyczu. Stawiają się, Marlenie Władlenowyczu. – Szura z niezadowoleniem kiwnął brodą. – Mówię, że się nie zgadzają, Marlenie Władlenowyczu. Co? Inicjatywa społeczna, mówią. Społeczność lokalna. Mówią, nie mamy prawa. Co? Ja im mówię, że mamy! Pokazałem papiery! Marlenie Władlenowyczu, załatwię, pewnie. Wszystko zrobię, niech się pan nie martwi. Pewnie. Na razie nie wiem. Może się z nimi dogadamy, Marlenie Władlenowyczu? Gdzie? W pizdu? Rozumiem, Marlenie Władlenowyczu! Tak, wszystko rozumiem, niech się pan nie obawia! Przepraszam za kłopot. Wszystko zrobię. Wszystko zrobię! Tak! Ja pana też, Marlenie Władlenowyczu, i pana też!

Siwy wyłączył telefon i przekazał go Nikołaiczowi bladymi bezkrwistymi palcami. W milczeniu wyciągnął z kieszeni płaszcza śnieżnobiałą chustkę i drżącą ręką starł gęsty roboczy pot. Długo nie trafiał chustką do kieszeni, w końcu sobie z tym poradził. Też w milczeniu zabrał Nikołaiczowi swoją dyplomatkę. Nikołaicz, spodziewając się najgorszego, skrył się za jego plecami jak pies przed obcymi. Szura patrzył na wszystko z mało dla mnie zrozumiałym uśmiechem.

– No, znaczy się, tak – przemówił siwy, zwracając się do Szury. Palce, którymi trzymał rączkę dyplomatki, aż posiniały z napięcia. – Uprzedzałem was. Nie mówcie, że was nie ostrzegałem. Macie równo dwadzieścia cztery godziny. Jutro wszystko burzymy. W razie oporu wobec działań pracowników służb komunalnych poniesiecie odpowiedzialność.

Znów wydobył chustkę i gwałtownym, nerwowym ruchem wytarł szyję. Odwrócił się i w milczeniu poszedł do samochodu. Nikołaicz podreptał za nim, już miał wskoczyć do swojego jeepa, ale jeszcze się obejrzał i rzucił na nas jakieś dziwne, groźne spojrzenie. Jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odważył. Albo postanowił zaczekać.

– No cóż – powiedział Traumowany – oto one, prawdziwe problemy.

7

Wiedział, co robi. Wszystko dokładnie sobie obliczył, pewien, że przyjaciele w razie czego przyjdą i pomogą. Dlatego że biznes to biznes, a krew, którą przelewali razem w bójkach, na ulicach i boiskach, spajała i wiązała, i tu już nie chodziło o biznes. Głos krwi jest znacznie potężniejszy od głosu zdrowego rozsądku, myślał sobie Traumowany i nie mylił się. Następnego dnia cała ich załoga, wszyscy, których znał z dzieciństwa, powyłazili ze swoich nor, biur, sklepów i hurtowni, przyszli pomóc swoim, jak za starych dobrych czasów. Ale to wszystko było następnego dnia.

A wtedy, kiedy odjechali Nikołaicz i siwy, my z Szurą też ruszyliśmy do miasta, po drodze ja wysiadłem i skręciwszy za bursy technikum, przeszedłem podwórkami, w których stało dźwięczne październikowe powietrze, i wydostałem się na jedną z cichych, pustych uliczek. Kiedy ją minąłem, zatrzymałem się przed kamiennym murem szpitala. Bo zawsze trzeba wracać, szczególnie kiedy ktoś czeka na twój powrót, tak sobie pomyślałem i wszedłem na podwórko. Budynki były ciche, w powietrzu unosiły się pajęczyny. Chorzy w oknach przypominali rybki w akwariach.

*

Pielęgniarki od razu opowiedziały mi o Oldze. Mówiły o niej z nieukrywaną odrazą, narzekały na trudny charakter, na złe maniery, brak dyscypliny. Jednak nie wiedząc, kim jestem dla chorej, nie rozwodziły się specjalnie, wzdychały tylko, oczekując ode mnie zrozumienia.

*

Olga była na sali sama, możliwe, że pielęgniarki o miękkich sercach nie odważyły się nikogo obok niej umieścić. Spała, uśmiechając się beztrosko. Miała na sobie podarte levisy i ciepłą kurtkę bejsbolową. Prawa nogawka była rozcięta do kolana, gips na stopie przypominał nowego adidasa. Jej włosy płonęły w popołudniowym słońcu, a skóra zlewała się z białymi prześcieradłami jak mleko na papierze ryżowym. Na krzesłach i na podłodze stały kwiaty w napełnionych wodą słoikach. W kwiatach błąkały się jesiennie ospałe i nieuważne osy i motyle. Ostrożnie usiadłem na brzegu łóżka. Na podłodze walały się pomarańcze, leżały otwarte książki, telefonu nie wypuszczała z ręki nawet we śnie. Za oknami stały jabłonie, beznadziejnie obskubane przez chorych i pielęgniarki, gorzko drżąc w lekkim wietrze. Nagle małe jabłko urwało się z gałęzi i dźwięcznie uderzyło o blaszany parapet. Olga otworzyła oczy.

– Herman? Co tu robisz?

– Przyszedłem cię odwiedzić. Kto ci tyle kwiatów przyniósł?

– Nikt – odpowiedziała, jakąś chwilę pomyślała, potem postanowiła, oczywiście, nie zmyślać. – Poprosiłam pielęgniarki, żeby przyniosły. Chciałam, żebyś pomyślał, że ktoś mi tu kwiaty przynosi.

– No i tak pomyślałem.

– Dobrze – powiedziała Olga. – Bardzo dobrze.

– Jak noga? – zainteresowałem się.

– W porządku – Olga spojrzała, czy nie ma nowych wiadomości, i odłożyła telefon. – Już wczoraj prosiłam, żeby mnie puścili, mówiłam, że wszystko w porządku. Ale oni tu taki skandal urządzili.

– Oni twierdzą, że to ty skandal urządziłaś.

– No tak – obraziła się Olga. – Nie mam nic innego do roboty. No nic, dzisiaj jeszcze poleżę, a jutro do domu. Mam kupę pracy, a muszę tu leżeć.

– A jak ty ją złamałaś?

– Drzwi chciałam zamknąć. Tak mnie rozwścieczyli!

– Czego oni w ogóle chcieli?

– Kto ich tam wie. – Olga znów wzięła telefon, poobracała go i odłożyła z powrotem. – Ciągle o coś wypytywali, węszyli, paskudni tacy, ohydni. A jeszcze, rozumiesz, jeden z nich miał łysinę z boku.

– Jak to z boku?

– No tak. Nie na środku, jak normalni ludzie, tylko z boku, nad uchem. I on cały czas się dopytuje, jakby niedosłyszał, i tą swoją łysiną włazi ci prosto do głowy. No i nie wytrzymałam i ich pogoniłam.

– Wybacz, masz przeze mnie tyle problemów.

– Dobra – odpowiedziała Olga. – Sama jestem sobie winna. Najpierw strasznie się na ciebie wściekałam, potem się uspokoiłam. Dobrze, że przyszedłeś. Zostaniesz?

– No, jeśli można.

– Zostań, oczywiście. Widzisz, rodzina mnie tu pomarańczami obłożyła, czuję się jak w Nowy Rok.

– Dlaczego w Nowy Rok? – nie zrozumiałem.

– W dzieciństwie zawsze mi kupowali pomarańcze na Nowy Rok. No albo jak się zaziębiłam i zostawałam w domu. Więc czuję się teraz jak uczennica. Weź, pomóż mi to wszystko zjeść.

– Dobrze.

Zacząłem obierać pomarańcze. Były ciepłe jak świetlówki. Pryskały sokiem i osy od razu zaczęły krążyć nade mną. Olga brała kawałki, sok ściekał po jej palcach. A ponieważ palce miała długie, to ściekał nieskończenie długo, aż w końcu strząsała krople lekkim ruchem.

– Posłuchaj – zaczęła – ja wiem, że Szura coś tam organizuje. Na lotnisku.

– I co?

– Ty też z nim tam będziesz?

– No, będę.

– Uważaj na niego, dobrze? – poprosiła Ola.

– A dlaczego na niego uważać?

– Jakiś dziwny jest ostatnio. Może się starzeje.

– Może – nie zaprzeczałem.

– Bądź przy nim, dobrze?

– Dobrze.

– I sam bądź ostrożny – poprosiła Olga.

– Dobra. Co się może stać?

– Mam nadzieję, że nic. Poczytaj mi – poprosiła nagle.

Podniosłem książkę z podłogi. Był to jakiś podręcznik do księgowości. Stronice były obficie zalane kawą i pokreślone ołówkiem, jakby ktoś chciał napisać wszystko od nowa.

– Ciekawe? – zapytałem.

– Wzięłam, co miałam w biurze – wyjaśniła.

– O – przypomniałem sobie – prezbiter dla mnie jakąś książkę przekazał. Poczytam ci, chcesz?

– Prezbiter? – natychmiast spięła się Olga, jednak szybko się uspokoiła albo udała, że się uspokoiła. – No dobrze. A co to za książka?

Wyciągnąłem z kieszeni kurtki książkę od Tamary. Była obłożona w szarą bibułę papierosową. Kartki miała zaczytane i pożółkłe, niektóre całkiem się odkleiły i ciągle wypadały.

W ogóle widać było, że z książki korzystano często i niezbyt porządnie, możliwe, że czytano wielokrotnie i zakładano, zabierano w drogę, ale nigdy i nigdzie nie zapominano. A nazywała się dziwacznie: *Historia i upadek jazzu w basenie Donu*. Przewracałem żółte strony.

– Nie wiem, czy będzie ciekawa. Może lepiej poczytamy o księgowości.

– Księgowości mam po dziurki w nosie – powiedziała Olga. – A o czym jest twoja książka?

– O historii i upadku jazzu. W basenie Donu.

– Przecież tam nie było jazzu – zdziwiła się.

– Widać był.

– No, dawaj – zgodziła się Olga. – Tylko czytaj od środka, tak jest ciekawiej.

Było popołudnie, październikowe słońce ostatecznie zaplątało się w liściach jabłoni i jego promienie przesuwały się po podłodze jak wodorosty w przejrzystej wodzie. Pomyślałem, że byliśmy już z Olgą w sali szpitalnej i wtedy wszystko zakończyło się jakoś niezrozumiale, właściwie – nijak się nie zakończyło, wszystko trwa aż do dzisiaj i będzie trwać nie wiadomo ile czasu. Olga umościła się wygodnie na szpitalnych poduszkach, patrzyła gdzieś przeze mnie, gdzieś tam, gdzie na ścianie poruszały się powolne cienie jabłoni.

I zacząłem czytać od środka.

Rozwojowi jazzu w basenie Donu tradycyjnie towarzyszyły głośne wydarzenia i skandaliczne szczegóły. Oczywiście, właśnie skandaliczność i umyślna alogiczność większości z nich wyjaśniają niemal całkowitą nieobecność mniej więcej poważnych badań, które dotyczyłyby pojawienia się jazzu w przemysłowych regionach Południa ówczesnego imperium rosyjskiego. Przytoczona tu historia jest szczególnie dziwna i nie do końca

zbadana. Dotyczy do dziś mało zbadanych gościnnych występów sióstr Abrams wiosną 1914 roku. Opowieść należy, rzecz jasna, rozpocząć nie od samych występów, a od wydarzeń, które je poprzedzały. Rozegrały się one w parafii kościoła metodystów w Chicago. Przy tamtejszej świątyni funkcjonowała stołówka dla bezdomnych, z którą bezpośrednio związany był ośrodek Anarchistycznego Czarnego Krzyża – organizacji dobroczynnej założonej, by wspierać więzionych anarchistów, przede wszystkim w carskiej Rosji. ACK organizował pomoc finansową dla katorżników, opłacał adwokatów broniących członków ugrupowań anarchistycznych, przekazywał do Europy literaturę propagandową. Właśnie w tej stołówce zimą 1913 roku odbyło się spotkanie aktywistów ACK, ojca i syna Shapiro, z czarnoskórymi siostrami Abrams – Glorią i Sarą, które współpracowały w tym czasie z kościołem metodystów, śpiewając w chórze kościelnym.

Gloria i Sara Abrams zapisały się w historii północnoamerykańskiego jazzu jako jedne z najbardziej znanych i oryginalnych wykonawczyń spirituals. W dużej mierze to dzięki nim pieśni czysto wyznaniowe i kościelne trafiły na wielkie sceny. Rodzina Shapiro od razu zainteresowała się możliwością bliskiej współpracy z siostrami, zamierzając wykorzystać popularność śpiewaczek w interesie partii. Po długich namowach, groźbach i przekupstwach najstarszemu w rodzinie Lwu Shapiro udało się skłonić siostry do współpracy. Plan był prosty: zorganizować tournée chóru sióstr Abrams na południu imperium rosyjskiego, w przemysłowym regionie Donbasu, z celem rozpowszechniania wśród robotników anarchistycznej literatury i przekazania miejscowym ośrodkom anarchistów pokaźnej sumy pieniędzy na rozwój działalności rewolucyjnej. Początkowo siostry zdecydowanie odrzuciły samą ideę współpracy z emigracyjnymi kołami anarchistów. Jednak Lwu Shapiro udało się skusić młodszą, Sarę, i zagrożone ekskomuniką Gloria i Sara zgodziły się

na udział w tej wątpliwej operacji i zobowiązały się uzgodnić wszystkie niuanse wyznaniowe z kierownictwem kościoła.

Administracja kościelna chicagowskich metodystów chętnie zgodziła się na inicjatywę sióstr Abrams dotyczącą rozpowszechniania idei metodystów wśród proletariatu przemysłowego Donbasu i niemieckich kolonistów południa Rosji. Więc zapewniając sobie niezbędne wsparcie, siostry zaczęły się wybierać.

– A jeszcze, wiesz – nagle przerwała mi Olga, która do tej pory słuchała uważnie – zapomniałam ci powiedzieć. Że zawsze mnie to dziwiło w nich wszystkich, w starszych… Zawsze trzymali się razem. Dziwne. Pamiętam jeszcze w osiemdziesiątych – byliśmy młodzi, całe nasze towarzystwo: Szura, Ernst, nie dopuszczali nas do siebie, nie chcieli mieć przez nas problemów. Pamiętam, raz Ernsta wzięli za handel dżinsami.

– Dżinsami?

– Tak. Kupował firmowe dżinsy, rozcinał na pół, pakował i sprzedawał każdą część osobno. A propos, to dobry interes z punktu widzenia księgowości.

– I co?

– No, oni go potem wykupili. Nie zostawili go. Zdaje mi się, że mają ciągle problemy właśnie dlatego, że nie porzucają się. Trzymają się razem, bronią się. Ilu z nich już nie ma, większość nawet czterdziestki nie dożyła. Myślę, że jakby każdy z nich był sam, byłoby im znacznie łatwiej.

– Nie tylko im.

– Yhm – zgodziła się Olga. – No czytaj, czytaj.

W marcu 1914 roku siostry wyruszyły ze Stanów Zjednoczonych parowcem Mezopotamia Rosyjsko-Anatolijskiego Towarzystwa Żeglugi. Towarzystwa siostrom w ich duchowej misji dotrzymywały stara przyjaciółka, z pochodzenia Irlandka Barbara

Carroll i meksykańska śpiewaczka, aktywistka kościoła metodystów Maria de los Mercedes, która zgłosiła się, by popłynąć z siostrami, uciekając przed prześladowaniami administracji kościoła, która obwiniała ją o przywłaszczenie środków przekazanych przez wiernych na kościół. Parowiec, którym kwartet ruszył przez ocean, wykorzystywany był głównie do przewozu przez Atlantyk rosyjskich imigrantów, którzy miesiącami mieszkali w portach Krymu i Nadazowia w oczekiwaniu na swój rejs. Do Eurazji parowce wracały w połowie puste, co sprzyjało wzrostowi nielegalnych przewozów i powiązaniom załóg większości statków z działalnością wręcz kryminalną. Mezopotamia, na której pływali przeważnie Grecy i Cyganie, jeszcze w Nowym Jorku częściowo załadowana została konserwami mięsnymi, produktami przemysłowymi i workami z korespondencją. Jako oddzielny ładunek wieziono partię fonografów, które cieszyły się w tym czasie w Europie Wschodniej nadzwyczajnym powodzeniem.

Parowiec, od dawna wymagający kapitalnego remontu, należał do najstarszych jednostek towarzystwa. Obliczony był na przewóz stu pasażerów pierwszej klasy i blisko pół tysiąca emigrantów. Siostry zamieszkały w pustych ładowniach, rzadko wychodziły na górę i niemal nie miały kontaktu z załogą. Trzeba powiedzieć, że marynarze, którzy otrzymali za przewóz sióstr pokaźną sumę, traktowali pasażerki ostrożnie, by nie powiedzieć – wrogo.

Według słów młodszej z sióstr Abrams, Sary, podróż była nieskończenie długa i trudna. Parowiec ciężko przebijał się przez zielony marcowy Atlantyk, głucho podzwaniając pustymi wnętrznościami. Od samego Nowego Jorku leciały za nimi mewy, jakby czuły łatwą zdobycz. Grecy strzelali do nich z rewolwerów, padały do zimnej wody, tonąc w falach jak białe róże. Siostry przestraszone zamykały się w wielkich jak sale

gimnastyczne ładowniach, słuchając wystrzałów, i śpiewały szeptem spirituals.

Po raz pierwszy statek zatrzymał się niedaleko wybrzeży Nowej Funlandii. Wyspa tradycyjnie ukryta była we mgłach i kiedy tylko znaleźli się w tym świeżym, gęstym mleku, załoga zatrzymała statek, bo nie miała odwagi ruszyć naprzód w mętną, mglistą wilgoć pełną wielorybów i gór lodowych. Rano siostry wyszły na pokład i widząc bryły lodu, które otaczały statek ze wszystkich stron, zaczęły śpiewać psalmy. Marynarze, którzy początkowo się speszyli i nie wiedzieli, jak zareagować, w końcu przyłączyli się do chóru, ściszonym głosem wtórując kobietom. Niebawem mgła odpłynęła na zachód i Mezopotamia pomyślnie zawinęła do portu.

Po kilku dniach parowiec ruszył dalej. Czas upływał kobietom na śpiewach i rozmowach. Siostry wzięły bardzo mało rzeczy, nie miały nic poza zimowymi ubraniami, zbiorami nut, literaturą i dwoma brezentowymi torbami z dolarami amerykańskimi. Młodsze, Barbara i Maria, wypytywały Glorię o miejsca, do których przyszło im wędrować. Gloria odpowiadała, że sama niewiele wie, słyszała tylko, że życie w miastach, do których zmierzają, bardzo różni się od życia w Stanach. Miejscowe kobiety, według jej słów, wyjątkowo dobrze śpiewają, mając przy tym słuch absolutny, a mężczyźni zwykle umieją grać na instrumentach i tylko nierówności społeczne i brutalna eksploatacja ludności przez kapitalistyczny establishment nie pozwalają tym mężczyznom i kobietom doskonalić umiejętności dla pomnożenia chwały Pańskiej. Barbara i Maria cieszyły się, oczekując przybycia i występów w dalekich krajach, natomiast młodsza z sióstr Abrams, Sara, źle znosiła warunki życia na statku, cierpiała na chorobę morską i wyczerpującą bezsenność.

Nocami błąkała się po ładowniach, wchodziła do pomieszczeń, o których istnieniu nawet załoga nie pamiętała, chyłkiem

przemykała żelaznymi korytarzami, otwierała tajemne drzwi, za którymi stał osiadły statkowy mrok. Kiedy znalazła ładunek z fonografami, wyciągała te dziwne, skomplikowane aparaty, rozstawiała je wokół i włączała wszystkie naraz, wychwytując pomiędzy nagromadzeniami dźwięków i śpiewów nieuchwytny rytm, który utulał ją na samym dnie metalowego pływającego serca. Wyjmowała nowe igły do fonografów, ostre i błyszczące, nakłuwała nimi skórę na dłoniach i malinowa krew ciemno błyskała w świetle lampy, skapując na podłogę i przyciągając bezbronne szczury okrętowe. Pewnej nocy, chodząc korytarzami i zasypiając z powodu całodobowej bezsenności, Sara trafiła na jeszcze jedną ładownię, której nie widziała wcześniej. Za drzwiami słychać było jakieś szepty i jęki, co początkowo ją przestraszyło. Jednak zebrała całą odwagę i otworzyła drzwi. Pokój obity był czarną blachą i wypełniony owcami – zmęczonymi i przestraszonymi. Tuliły się do siebie, nie ruszając się z miejsca, i przeciągle lamentowały w czarną noc. Światło lampy prześlizgnęło się po nich, zapadając iskrami w głębokie owcze oczy i nagle Sara zobaczyła, że stoją po kolana w krwi. Krew zalewała podłogę, powoli, choć nieodwracalnie przybierając, owce z rezygnacją patrzyły na kobietę, nawet nie starając się wydostać przez otwarte drzwi. Porażona Sara kucnęła między nimi, obejmując je i śpiewając spirituals. Tam, wśród owiec, znalazła ją Gloria, która rano odkryła nieobecność siostry i ruszyła na poszukiwania. Sara śpiewała ledwie słyszalnie, a łzy rzęsiście toczyły się po jej twarzy. Narzuciwszy siostrze na ramiona ciepły szetlandzki pled, Gloria zaniosła ją do łóżka. Sara od razu zasnęła i spała, spokojnie i beztrosko, aż do samego Liverpoolu.

W Liverpoolu statek został aresztowany i poddany kwarantannie. Kapitan, stary besarabski Cygan, nakazał podnieść żółto-czarną flagę na znak kwarantanny. Portowi lekarze

zdiagnozowali u wielu członków załogi syfilis, wskutek czego marynarzom nie rekomendowano opuszczania pokładu Mezopotamii. Załoga znalazła się w pułapce. Wieczorami kobiety zbierały się na pokładzie i śpiewały rozdrażnionym marynarzom ciche, tęskne pieśni niewolników, przez co marynarskie serca rozbłyskiwały i urywały się, spadając do brzuchów jak złote gwiazdy do szmaragdowego Atlantyku. Marynarze rozstawiali stół i częstowali kobiety przemyconym rumem i żrącym tureckim tytoniem, opowiadając im o swych przygodach w burdelach Odessy i o żółtym besarabskim słońcu, które sady jabłoni wypalało do białości jak dziecięce włosy. Po tygodniowym postoju załoga Mezopotamii odważyła się na ucieczkę. W nocy marynarze podnieśli kotwicę i porzuciwszy niegościnny liverpoolski port, ruszyli dalej zgodnie z wyznaczoną trasą. Kolejnym portem, do którego zawinęli, była Marsylia.

Tam zdarzyła się kolejna niespodzianka. Marynarze Mezopotamii zeszli na brzeg, by uzupełnić zapasy żywności, i próbowali przy okazji sprzedać na miejscowym targowisku partię konserwowego bawolego mięsa, nie pierwszy miesiąc leżącego w ładowniach. Celnicy, którym przypadkowo trafił w ręce przemycany ze statku towar, aresztowali przestępców. Jednak Grecy szybko się zorientowali, urządzili bójkę i przebili się z powrotem na statek, niosąc na rękach rannych przyjaciół. Mezopotamia zmuszona była natychmiast opuścić Marsylię. A podróż tak czy inaczej dobiegała końca i kobiety wieczorami z niepokojem wpatrywały się w dal, która wypełniała się afrykańskim ciepłem, budząc niepewność i wzburzenie.

Niebawem parowiec wpłynął na Morze Czarne, minął złote od słońca wybrzeża Krymu i znalazł się pośród rozbełtanych, gorzkich wód azowskich. Na początku kwietnia Mezopotamia zawinęła do Mariupolu.

– Moja mama często bywała w Mariupolu – znów przerwała mi Olga. – Z pracy.

– A gdzie pracowała?

– Pracowała na kolei – wyjaśniła Olga. – W domu prawie nie mieszkała. W ogóle słabo ją pamiętam, wcześnie umarła. Pamiętam, że wciąż gdzieś biegła, i to poczucie, że za kilka minut wyjedzie i trzeba będzie znów na nią czekać, bardzo dobrze zapamiętałam. Kiedy byłam całkiem mała, biegałam na dworzec, żeby patrzeć na pociągi. Od tego czasu wagony to dla mnie jakieś potworne miejsca, można tam przypadkowo trafić i nie da się już z nich wydostać. Czego najbardziej bałeś się w dzieciństwie?

– Amerykanów – odpowiedziałem po chwili zastanowienia.

– Dlaczego Amerykanów? – nie rozumiała Olga. – Amerykanie są w porządku. Jazz wymyślili.

– Nie wiem. W dzieciństwie nic nie wiedziałem o jazzie.

– A ja bałam się kolejarzy – powiedziała Olga. – Do dziś ich nie znoszę. I jeszcze kanarów. I księgowych też. Posłuchaj – odezwała się po jakimś czasie – dasz radę jutro mnie stąd zabrać?

– Dam.

– Tylko nie zapomnij – poprosiła Olga.

– Nie zapomnę.

– Dobrze – powiedziała. – To dobrze.

Port w Mariupolu, jak zawsze o tej porze roku pełen tureckich i marokańskich statków, wywarł na siostrach przyjemne wrażenie przez swój świąteczny wielogłos. Uliczne bazary i ciasne sklepiki wypełnione były tanimi towarami z Azji Mniejszej i Europy Zachodniej, budynki portowe kryły w sobie skarby zwiezione z całego świata. Właśnie tu, w dworcowej restauracji, siostry Abrams podpisały umowę na wykonanie koncertów muzyki religijnej dla

robotników fabryk metalurgicznych Kompanii Noworosyjskiej i w kopalniach Spółki Franko-Rosyjskiej. Misjonarki zamieszkały w skromnym, choć zacisznym hotelu Król Dawid. Według wspomnień Sary Abrams miejscowi promotorzy, którzy w ogóle po raz pierwszy mieli do czynienia z czarnymi Amerykankami, dokładali starań, by zaopatrzyć kobiety we wszystko, co było im potrzebne. Siostry od razu wykazały się pracowitością i ogólną życzliwością wobec nowej publiczności. Już pierwsze występy w klubach robotniczych przy przedsiębiorstwach metalurgicznych miały nie byle jakie powodzenie i zapewniły siostrom miłość i szacunek robotników. Miejscowi chętnie przychodzili na występy chóru, odbierali pieśni zza oceanu z zaciekawieniem i entuzjazmem. Siostry z kolei z zadziwieniem zgłębiały tutejsze obyczaje i praktyki religijne, które mieściły w sobie składowe ortodoksyjnych nurtów chrześcijaństwa i religii niekanonicznych. Dziwaczne połączenie wyznań i kultur piśmienniczych, które powstało wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności i umiejętnego rozmieszczenia morskich portów handlowych, stało się dla sióstr Abrams obfitym źródłem natchnienia i improwizacji muzycznych. Wkrótce Gloria Adams tworzy kilka utworów, które niebawem wejdą do złotego skarbca spirituals.

Pod koniec maja siostry przenoszą się z Mariupola do Juzówki. Sara Abrams pisze o tym tak: „Miasto, zabudowane parterowymi i piętrowymi budynkami, przyjemnie wyróżniało się szykownymi sklepami, restauracjami, biurami i bankami. Najwyższej klasy hotele Wielka Brytania i Grand wabiły przedsiębiorców, którzy przybywali tu przeważnie z Belgii i Wielkiej Brytanii z zamiarem szybkiego wzbogacenia się. Było to prawdziwe Klondike dla pozbawionych perspektyw zachodnich przedsiębiorców. Zakwaterowano nas w jednym z domów Spółki Noworosyjskiej, gdzie mieszkali majstrowie, inżynierowie i brytyjscy specjaliści zatrudnieni przez firmę. Kinematografy Koloseum i Saturn

wieczorami wypełniały się kolorową, hałaśliwą publicznością, która prezentowała nowe ubiory, przywiezione tu z portów Ameryki i Japonii. Robotnicy natomiast oddawali pierwszeństwo herbaciarniom, bibliotekom publicznym, baniom, a w dni wolne – kościołom i licznym miejscom modlitwy. Nasze koncerty odbierali przyjaźnie, wyrażając za naszym pośrednictwem solidarność z klasą robotniczą Stanów Zjednoczonych Ameryki".

Można jedynie przypuszczać, co pociągało wschodnioeuropejskich robotników w niezwykłych murzyńskich rytmach. Być może to, iż w swych pieśniach siostry Abrams mówiły o życiu proletariackich dzielnic Ameryki, o człowieku pracy z jego codziennymi problemami i przeżyciami. Emocje, o których śpiewały północnoamerykańskie wykonawczynie jazzowe, były zrozumiałe dla szerokiej rzeszy robotniczej publiczności i bliskie jej. Popularność sióstr rosła, stały się pożądanymi gośćmi klubów związkowych i niedzielnych nabożeństw. Kościół metodystów w ich osobach znalazł nie byle jakie popularyzatorki wyznania, a jazz odniósł jeszcze jedno przekonujące zwycięstwo, tym razem wśród publiczności całkiem nowej i nieprzygotowanej.

Ale już latem zaczęły się problemy. Po pierwsze, rosyjscy anarchiści wyrazili chęć otrzymania przeznaczonych dla nich sum. Siostry niespodziewanie odmówiły przekazania rewolucjonistom należnych środków. Szczególnie zdecydowanie występowała przeciwko przekazaniu pieniędzy Mercedes. Właśnie ona przekonała Glorię, by ukryły worki z amerykańskimi dolarami w mieszkaniu jednego z chórzystów kościoła luterańskiego. I właśnie ją urażeni anarchiści postanowili zlikwidować. Ciało Marii znaleziono w magazynach Spółki Noworosyjskiej. Gloria rozumiała, że rewolucjoniści na tym nie poprzestaną. Poza tym o swej ciąży dowiedziała się Sara Abrams, która już od pewnego czasu była w bliskich stosunkach z dyrektorem tutejszych łaźni. Mimo wszystkich rad siostry i administracji kościelnej, by

pozbyła się niechcianego dziecka, Sara odmawia i parowcem tegoż Towarzystwa Rosyjsko-Anatolijskiego wraca do Ameryki. Czwarta chórzystka Barbara Carroll wraca razem z Sarą.

Zostawszy sama w obcym kraju, Gloria Abrams ogłasza nabór chórzystów wśród miejscowych parafian. Zgadza się również przekazać przedstawicielom organizacji anarchistycznych wszystkie otrzymane w Ameryce środki. W ustalonym terminie kupuje bilet do Rostowa, gdzie miało odbyć się przekazanie pieniędzy, obserwowana przez miejscowych konspiratorów wsiada do pociągu i rusza na wschód. Jednak do Rostowa nie dojeżdża. Nie ma jej w wagonie, wszystkie podejmowane przez pośredników, którzy po nią wyszli, próby dowiedzenia się czegokolwiek o losie pieniędzy, które miała przy sobie, zakończyły się niepowodzeniem – kobieta znikła bez śladu w czarnej dziurze donieckiej kolei razem z dolarami i rękopisami własnych utworów muzycznych. Jednak część archiwum rękopisów ocalała, przede wszystkim dzięki Sarze Abrams, która uratowała dla historii jazzu muzyczne dziedzictwo siostry.

Polecany waszej uwadze spiritual to jeden z ostatnich utworów napisanych przez Glorię Abrams. Skomponowany tuż przed zniknięciem śpiewaczki, słusznie uznawany jest za jeden z najbardziej lirycznych i społecznie zaangażowanych przykładów jazzowego śpiewu chóralnego; melodia, która jest jego osnową, wielokrotnie wykorzystywana była przez znanych jazzmanów, takich jak Chesney Henry Baker czy Charles „Bird" Parker.

***

Kto stoi przy kejach i na redach, odprowadzając słońce?
To my, Panie, rybacy i robotnicy, po wyczerpującej pracy
wychodzimy ze starych stoczni,
zatrzymujemy się na nabrzeżach i śpiewamy w ślad za wodą
rzek,

która na zawsze od nas odpływa.
O czym mogą śpiewać mężczyźni w tak ciche wieczory?
Wspominamy, Panie, nasze miasta i płaczemy po nich.
Wieszamy na drzewach nasze gitary i trąbki i wchodzimy do rzeki.
Stojąc w ciepłych falach, śpiewamy w ślad za zieloną wodą, która przepływa obok nas.
Stojąc wśród ciepłych fal, śpiewamy w ślad za życiem, które przecieka nam przez palce.
A gdy przechodnie poproszą, byście dla nich zaśpiewali, co odpowiecie?

Odpowiemy: nasze głosy są gorzkie jak więzienna herbata.
Jazz wyciska nasze serca jak marokańskie pomarańcze.
Cały nasz śpiew – to tylko wspomnienie o tych gorących ulicach, które zostawiliśmy, tylko płacz po wodzie, która odpływa.
I gdybyśmy zapomnieli swoje domy – czy mielibyśmy o czym śpiewać?
Mówimy pamięci – zostań z nami, nie zostawiaj nas samych.
Zawsze śpiewamy o bankach i sklepach zburzonych przez czas, o stoiskach i składach pełnych manufaktury.
O naszych kobietach, dla których gotowi byliśmy umrzeć, i dzieciach, które przyjdą kiedyś do zakładów i zamiast nas staną do pracy.
Wszystkich nas wiążą te rzeki, które przepłynęły przez naszą przeszłość.
I nasze kobiety stoją na tych brzegach.
Prorok Zachariasz wychodzi ze stoczni na przerwę obiadową, wyciera roboczy pot, dzwoni gwoździami i nożycami w kieszeniach swego kombinezonu, zmywa z czarnych dłoni smar i węglowy pył.

Póki nie ma co robić i można patrzeć w niebiosa,
póki można odpocząć od ciężkiej, potrzebnej wszystkim pracy.
Zostań w naszej pamięci, miasto, z którego nas wywieziono
starymi wagonami.
Wszyscy, którzy o tobie zapominają, na wieczność tracą spokój:
każdy znika ze swym rozkrojonym sercem.
Nam tak łatwo dzielić się przeszłością.
Życie to maszyna, którą zbudowano dla nas,
i wiemy, że nie warto bać się tej maszyny.
Złote stocznie otwierają dla nas swe bramy.
Wysokie niebo płynie nad naszymi szkołami i sklepami.
I wszystko, co nas czeka – to pustka i zapomnienie,
wszystko, co nas czeka – to miłość i zbawienie.

8

Ciemne marynarki, białe koszule, poobijane solidne buty. I samochody też takie – poobijane i solidne. Mercedesy i volkswageny. Drużyna pogrzebowa w komplecie. Minąłem hangar, wyszedłem na pas i od razu natknąłem się na nich wzrokiem. Stali koło samochodów jak taksówkarze na dworcu. Palili i rozmawiali o czymś nieistotnym.

– Ej, gadzio! – zauważył mnie od razu Pasza, kuzyn Koczy, i wszyscy inni też się ruszyli. – Cześć, gadzio, coś się spóźniasz.

Podszedłem i przywitałem się z wszystkimi po kolei. Najpierw z Paszą, który trzymał w obu rękach telefony, potem z tłustym Bormanem, któremu w ciągu lata odrosły czerwone włosy i od czasu do czasu dotykał ich dłonią, jakby nie wierzył, że naprawdę mu odrosły. Potem z Arkadijem, Prochorem i innymi naszymi z kościoła – wiernymi parafianami o dobrych intencjach. Stali w czarnych marynarkach na środku pasa

startowego jak goście na weselu, którzy wyszli zapalić między tańcami. Przywitałem się też z Ernstem, który wyglądał na zdecydowanego i przypominał pana młodego na własnym weselu – zdawało się, cały ten plan mu się nie podobał, choć w dużej mierze sam go wymyślił. Na koniec przywitałem się z Szurą, koło niego też stanąłem. Szura milczał, widać było, że czuje się pewnie z taką brygadą za plecami. Miał na sobie czarną wiatrówkę, lekką i wygodną, w sam raz na bijatykę. Przytrzymał moją dłoń.

– List do ciebie przyszedł – powiedział, wyciągając z kiszeni złożoną na pół kopertę. – Zapomniałem ci wczoraj oddać.

List był od Katii. Adres wypisany był krągłymi dziecięcymi literami. Wepchnąłem kopertę do kieszeni dżinsów.

– Potem przeczytam.

Traumowany skinął z aprobatą.

Słońce płonęło nad nami i wiatr owiewał czarne od opalenizny męskie twarze. Wszyscy byli skupieni i spokojni. Pasza opowiadał historię o kupnie używanego fiata, córce na wesele, mówił, że sprzedawca Mołdawianin, skądś z Besarabii, przywiózł samochód na sprzedaż aż tu, ale zapomniał dokumentów, nie wspomniał jednak o tym, póki nie sprzedał fiata, a teraz nie wie, co robić, musi wrócić do domu po dokumenty, ale nie ma czym jechać. A wesele już niedługo i fiat prawie nówka, koloru krwi. Wszyscy pocieszali Paszę, radzili, żeby się nie martwił, mówili, że dokumenty to głupota, że kupią mu wszystkie konieczne dokumenty, niech sobie niepotrzebnie nie zawraca tym głowy. Fiat, mówili, to piękny podarunek, potrzebny, a skromny, w tej kwestii całkowicie go popierają i też podarują młodym coś przydatnego i niezbyt zużytego. Z boku mogło się wydawać, że po prostu zebrali się teraz, żeby świętować, wypalą i zaraz wrócą do weselnego stołu, gdzie czekają na nich żony, siostry i rozpalone do szaleństwa kochanki.

I tylko dwa telefony komórkowe, które trzymał Pasza, przypominały, że do wesela trzeba jeszcze dożyć.

Kukuruźnicy spóźniali się i zacząłem już mieć nadzieję, że w ogóle nie przyjadą, że wszystko rozwiąże się bez finek i łańcuchów rowerowych, że wypalimy jeszcze po jednym i ruszymy kupą do dawnej stołówki, gdzie Ernst wytoczy na stół strategiczne zapasy alkoholu z okazji pomyślnego zakończenia wszystkich procesów reprywatyzacyjnych w regionie, na znak naszej przyjaźni i solidarności, na cześć zakończenia tego gorącego lata i początku ciepłej jesieni. Wino będzie krzepnąć nam na ustach jak krew i będziemy wspominać wszystkie nasze kobiety, będziemy pytać o rodziców i opowiadać o wspólnych znajomych. Krótki jesienny dzień zmieni się w długi grząski wieczór, chłodny mrok rozłoży się na pasie startowym i wszyscy będą pijani, żywi i zdrowi.

*

Wyjechali zza rogu i powoli potoczyli się w naszą stronę. Bramę Ernst zostawił otwartą, żebyśmy wszyscy zebrali się na pasie za ogrodzeniem, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć. Oni chyba wzięli to za dobry znak, jakby wróg, czyli my, otworzył przed nimi bramy miasta i dał trzy dni na plądrowanie hangarów i garaży za przechwycenie pasa startowego i ustanowienie autorytarnego reżimu. Kiedy wyjechali zza hangarów, zobaczyli nas.

Na przedzie toczył się żółty traktor z dwoma łyżkami – jedna sterczała z przodu jak kły, druga bujała się z tyłu jak ogon. W kabinie siedziało dwóch, jeden w pasiastej koszulce, drugi w ubraniu roboczym. Za traktorem wlókł się jeep z Nikołaiczem, z tyłu jechała ciężarówka. Na pace ciężarówki stało kilku wojskowych, wyglądali na żołnierzy kompanii karnej z łopatami. Podkoszulki wisiały na nich jak mamine sukienki

na uczennicach ostatnich klas. Z niedowierzaniem oglądali z góry cygańską brygadę przy mercedesach i volkswagenach.

Traktor wyłonił się przed nami i bełtając łyżką powietrze, zatrzymał się. Silnik pracował dalej. Ten w pasiastej koszulce i ten w ubraniu roboczym nie spieszyli się z wychodzeniem, siedzieli w kabinie jak mopsy, czekając na rozkazy kierownictwa. Kierownictwo stało w oddali. Pierwszy zeskoczył na pas startowy Nikołaicz. Ubrał się jak na front – był w polowej kurtce z ciepłym kołnierzem i spodniach w kamuflaż, spod których wystawały niebieskie adidasy. Gruby Borman, zobaczywszy Nikołaicza, zaśmiał się, wszyscy mu zawtórowali. Nikołaicz, rozumiejąc, że śmieją się najwyraźniej z niego, nerwowo zakrzątnął się przy jeepie, otwierając drzwi i wypuszczając na zewnątrz szefa. Szefem, tak jak wczoraj, był siwy. Energicznie zstąpił na asfalt, trzymając swoją dyplomatkę, i zdecydowanym ruchem zapiął guzik marynarki. Jego pewność siebie była jednak nieco udawana – nawet nie zamknął za sobą drzwi jeepa, jakby zostawiając sobie drogę ucieczki. Zresztą nawet wojskowi, których przywieźli, nie wyglądali zbyt wojowniczo. Zeskoczyli na asfalt i przestępowali z nogi na nogę za plecami siwego, który oglądał się na nich, nie rozumiejąc, dlaczego się za nim chowają.

– Szura – zwróciłem się do Traumowanego – co teraz?

– Nie wiem – odpowiedział Szura. – Zobaczymy.

– Oni przecież mają wyrok, decyzję prokuratury.

– Wiesz, może oni nie mają żadnego wyroku.

– No jak to: nie mają?

– Tak to. Nie mają. Blefują.

Siwy ruszył w naszą stronę, ale zatrzymał się. Za nim pobiegł Nikołaicz. A dopiero za Nikołaiczem rozmieścili się żołnierze kompanii karnej w brudnych butach. Siwy jakoś teatralnie odwrócił się w stronę Nikołaicza i nawet na niego nie

patrząc, zaczął coś wykrzykiwać. Nikołaicz też krzyczał w odpowiedzi. Przekrzykiwali się tak przez jakiś czas, rzucając na nas podejrzliwe spojrzenia, aż dotarło do nich, że ich nie słyszymy przez dźwięk silnika traktora. Siwy aż poczerwieniał z niezadowolenia i złości, a Nikołaicz zamachał rękoma jak kura skrzydłami. Traktorzyści w końcu zrozumieli, że macha się do nich, i zgasili silnik. Zrobiło się cicho.

– Nikołaicz, Nikołaicz – odkaszlnąwszy, zaczął znów siwy, mówiąc teraz wprost do publiczności. – Co robią na obiekcie osoby postronne? – machnął dyplomatką w naszą stronę.

– Nie wiem! – dobitnie, po wojskowemu, stukając obcasami adidasów, zasalutował Nikołaicz.

– Zaznajomcie kolegów z postanowieniem sesji i rozpoczynajcie demontaż – polecił siwy.

– Tak jest – odpowiedział Nikołaicz, ociekając potem i oblewając się czerwonymi plamami.

Siwy szybko otworzył dyplomatkę, wyciągnął z niej jakiś papier i podał Nikołaiczowi. Nikołaicz ciężko przełknął suche jesienne powietrze, które stało mu w gardle, i ruszył w naszą stronę. Kiedy podszedł, stropił się. Nie wiedział, kogo należy zaznajamiać z postanowieniem sesji: najpierw Ernsta, którego uważano za oficjalnego pracownika obiektu, czy Traumowanego, który z obiektem żadnego oficjalnego związku nie miał, ale zawsze mógł dać w łeb, czy jednak Cyganów, których Nikołaicz nie znał, ale się ich bał. Nasi patrzyli na niego, nie ukrywając rozbawienia. Nikołaicz czuł to i pocił się jeszcze bardziej. W końcu, odczekawszy chwilę, Pasza gwałtownie wyciągnął rękę. Nikołaicz z ulgą oddał mu papier. Pasza uważnie przejrzał postanowienie i przekazał je Bormanowi. Ten, rzuciwszy okiem na pismo, przekazał je dalej.

Dokument wyglądał podejrzanie. Po pierwsze, odbity był na ksero, po drugie, pieczątki na podpisach rozpłynęły się

jak sos po obrusie, a po trzecie, same podpisy też nie budziły zaufania. Decyzja sformułowana była mgliście, mowa w niej była głównie o produkcie narodowym brutto, polepszeniu klimatu dla inwestycji, o przemianach demokratycznych i poziomie zaufania do władzy, a o przekazaniu lotniska w obce ręce czy o konieczności wjeżdżania traktorami na pas startowy nie było ani słowa. Pasza uważnie patrzył na Nikołaicza, nie odrywając od niego swoich czarnych jak śmierć oczu. Nikołaicz stał przed nim jak skazaniec, też nie odwracając oczu, w których zmęczenie i niepewność powoli, ale obficie zalewała nienawiść. Wreszcie Pasza uniósł dokument do ust, wepchnął go sobie między zęby i zaczął dokładnie przeżuwać, obserwując reakcję Nikołaicza. Reakcja była dziwna – Nikołaicz cały jakoś zbladł, skurczył się w kamuflażu, przez jego oczy znów przebiegły zmęczenie i niepewność, a do tego rozpacz i obraza na cały świat. Starannie przeżuwszy wysokiej klasy papier, Pasza dokument połknął i uśmiechnął się zadowolony. Nikołaicz odwrócił się do siwego, rozpaczliwie rozkładając ręce i nie znajdując słów.

Siwy myślał w napięciu. Zdaje się, Szura miał rację, rzeczywiście blefowali. Nawet psiarni ze sobą nie wzięli, przywieźli jakieś łachudry z łopatami, myśleli, że nikt im się nie postawi i wszystko załatwią cicho i spokojnie. A okazało się, że wszystko dopiero się zaczyna, i to zaczyna się dla nich źle. I wycofać się też chyba nie mieli dokąd. Siwemu od razu rozbiegły się oczy, cały się skurczył, ostatkiem sił starając się trzymać fason. Żołnierze z kompanii karnej zupełnie zmiękli – jeśli do tej pory mieli nadzieję, że wszystko ograniczy się do pracy fizycznej na rzecz miejscowej oligarchii, to nagle stało się jasne, że bez mordobicia się nie obejdzie i ofiarą tego mordobicia najwyraźniej będzie ich jednostka. I na tę myśl każdy ciężko przestępował z jednego

niewyczyszczonego buta na drugi. A kiedy Pasza połknął decyzję, to w ogóle ostatnia iskra nadziei zgasła nad ich ogolonymi głowami.

– Rozpocząć demontaż! – zebrawszy siły, siwy powtórzył swój rozkaz.

Nikołaicz znów machnął ręką do traktorzystów, dając do zrozumienia: no, odpalajcie silnik, wszystko tu zaraz rozjedziemy w pizdu. Ale dziwna rzecz, traktorzyści też do niego machnęli: a po chuju, sam rozjeżdżaj.

– Kolunia! – krzyknął Nikołaicz do któregoś z nich. – Odpalaj, no dawaj, Kolunia!

Ale obydwaj traktorzyści rozpaczliwie pokręcili głowami, dając do zrozumienia: dzisiaj, szefie, bawicie się bez nas.

– Ej – zawołał nagle Szura do Nikołaicza.

Ten odwrócił się spłoszony.

– Wyluzuj – powiedział Szura spokojnie, jakby próbował wszystkich tu pogodzić. – Przecież widzisz, oni nic nie zrobią.

– Co znaczy nie zrobią? – oburzył się Nikołaicz.

– Właśnie to znaczy – wyjaśnił Traumowany. – Nie zrobią. I w ogóle spadajcie stąd. Sami sobie tu poradzimy. Bez adwokatów.

– Jak to nie zrobią? – nie słuchał go Nikołaicz. Podbiegł do żółtego jak słońce traktora i podskakiwał wokół niego, starając się wywabić traktorzystów. – Jak to nie zrobią!

– Ożeż ty, kurwa – zasyczał do niego siwy. – Zróbże coś. Do kurwy nędzy – piszczał.

I wtedy Nikołaicz zatrzymał się i popatrzył na żołnierzy jak na ostatnią nadzieję. Ci zamarli, starając się wszyscy naraz schować za plecami siwego, jednak siwy przesunął się o krok i wojskowi znaleźli się wprost przed Nikołaiczem.

– Słyszeliście? – zwrócił się Nikołaicz do swego wojska. – Co tak stoicie? Naprzód!

Żołnierze zawahali się i ruszyli na nas. Zrobili kilka kroków i zatrzymali się, niezdecydowanie trzymając łopaty. Pasza wymienił lekceważące spojrzenia z Bormanem. I wtedy, leniwie odepchnąwszy się od volkswagena, do przodu wystąpił Arkadij. Do którego podszedł Prochor. Arkadij bez pośpiechu wyciągnął camele. Wyjął papierosa, zaproponował Prochorowi, ten wziął jednego z paczki.

– Szczerze mówiąc – odezwał się Arkadij – pieczątka była w porządku. Po prostu podpis jakiś słaby.

– Akurat – nie zgodził się z nim Prochor, gestem prosząc o ogień.

Arkadij wyjął zapalniczkę, zapalił camela Prochorowi, a potem sobie. Wiedziałem już, czym się to wszystko skończy.

– Z podpisem wszystko w porządku – kontynuował Prochor, zaciągając się ze smakiem. – Pieczątki były chujowe.

– Pieczątki? – upewnił się Arkadij ze słabo ukrywanym przekąsem. – Przecież pieczątki były w porządku – powiedział żarliwie. – Ty w ogóle je widziałeś, łosiu?

– Sam jesteś łoś – odpowiedział Prochor, też, warto dodać, żarliwie.

Arkadij starannie zgasił papierosa i niespodziewanie przywalił Prochorowi z prawej. Prochor potoczył się po asfalcie, camel wypadł mu z ust, wysokim łukiem poleciał w stronę żołnierzy. A wtedy Prochor błyskawicznie się podniósł i rzucił się na agresora. Arkadij zebrał się w sobie, zrobił krok w bok i Prochor przeleciał obok niego, bojowo wystawiając głowę do przodu. Zawrócił i znów skoczył na Arkadija, wprost w jego objęcia, tak że obaj w końcu znaleźli się na ciepłym asfalcie i taczali się po nim jak dzieci w nadmorskim piasku. Przy czym Arkadij ściskał szyję Prochora, starając się odciąć dopływ tlenu, a Prochor bił Arkadija otwartymi dłońmi po uszach, żeby go ogłuszyć.

Przyniosło to zamierzony efekt. Przestraszeni żołnierze stali, nie oddychając, żeby nie rozbudzić bestii i nie zwrócić uwagi tych dwóch słoni bojowych zorganizowanej przestępczości. Nikołaicz też, choć znał przecież, stary palant, wszystkie miejscowe triki, zakłopotał się i stał bladozielony, jakby twarz pokryły mu ciapki kamuflażu. Traktorzyści z zainteresowaniem wyglądali przez okno, ekscytując się walką. A siwy, zrozumiawszy nagle, jak się go tu znieważa, jakiego klauna robią z niego ci Cyganie w poobijanych mercedesach, ciężko splunął na asfalt i przełożył dyplomatkę z jednej ręki do drugiej.

– No i koniec – powiedział cicho, ale tak, że wszyscy usłyszeli. – Chuj z wami. Chciałem pokojowo, ale teraz chuj. Nawet nie wiecie, jaki, kurwa, wielki chuj, nie wyobrażacie sobie. A ty, kurwo – wyszeptał specjalnie do Nikołaicza – idź się powieś. Zrozumiałeś, kurwo? Idź się powieś teraz.

Odwrócił się i szybko zapakował do jeepa. Samochód zerwał się z miejsca i gwałtownie zawróciwszy, zniknął za hangarem. Wojskowi w milczeniu, nie podnosząc wzroku, potruchtali do ciężarówki. Najpierw powrzucali na pakę łopaty. Potem sami powskakiwali na górę i niebawem też znikli za rogiem.

Zrobiło się zupełnie cicho. Arkadij z Prochorem łapali oddech, siedząc na asfalcie. Nikołaicz odwrócił się, obrzucił nasz szereg długim, ciężkim spojrzeniem i nagle zatrzymał wzrok na Ernście. Z jakiegoś powodu właśnie na nim, choć ten, zdawałoby się, niczym mu nie zawinił, stał po prostu z przyjaciółmi, wesoło zabijając czas. Ale Nikołaicz patrzył właśnie na niego i Ernst dostrzegł to spojrzenie, i też popatrzył na Nikołaicza. I tak stali, nikogo nie widząc i o wszystkich zapominając. Zresztą na nich też nikt nie zwracał szczególnej uwagi. Pasza podnosił Arkadija i Prochora, Borman odwrócił się do swoich, dzieląc się wrażeniami z tego, co się tu rozegrało, Traumowany też coś do kogoś mówił, ale ja zauważyłem, jak

patrzą na siebie, jak zastygli niczym psy przed walką, przypiekając się nawzajem wzrokiem, jakby czas się dla nich zatrzymał i jakby wszystko to dotyczyło tylko ich dwóch i we dwóch mieli ustalić, jak z tego wszystkiego wyjdziemy.

I widać było, o czym myśli Ernst. Myślał: zdarzy się coś złego, na pewno stanie się coś bardzo niedobrego. Jeszcze nikt tego nie zauważa, wszyscy pomyśleli, że minęło, że przeskoczyliśmy, a tu nic podobnego. Dobrze znał to poczucie zagrożenia. Nadciągało i nie dało się go ominąć. Tak czy inaczej, trzeba przejść przez tę rzeźnię. Niczego nie da się przeskoczyć ani uniknąć. Pozostaje tylko patrzeć w oczy tego feralnego zwierzęcia i czekać, kiedy podejdzie do ciebie, obwącha swą zwierzęcą mordą i ruszy dalej, zostawiając po sobie strach i smród. Ernst od razu przypomniał sobie, kiedy czuł cały ten zgniły oddech wielkich nieprzyjemności. Przypomniał sobie poczucie beznadziei, które wypełnia płuca, przypomniał sobie ten wewnętrzny strach, który przybiera jak woda w marcowej rzece. Przypomniał sobie też, że najważniejsze to wytrzymać, nie odwrócić spojrzenia. Potem wszystko będzie dobrze, potem się ułoży, grunt to być gotowym na najgorsze.

I widać też było, o czym myśli Nikołaicz. A myślał: zaraz wszystko naprawię, zdążę jeszcze wszystko naprawić. Wszystko zrobię tak, jak trzeba, myślał Nikołaicz, i wszystko będzie dobrze. Kiedy się z niego śmiali, szydząc i poniżając go, kiedy kompromitowali go przed siwym, przed chłopakami z jednostki wojskowej, których ściągnął tutaj, umówiwszy się z dowódcami, przez cały czas myślał tylko jedno – zaraz wszystko załatwię, wszystko naprawię. Co chciał naprawić, Nikołaicz

sam nie wiedział. Przez ostatnie dwa dni na tyle skomplikował sobie życie, że nie wiadomo było, od czego zacząć, żeby wszystko było dobrze. Jebane cygaństwo znów go poniżyło, robiąc z niego przy siwym pajaca. Nikołaicz już wyobrażał sobie, jak siwy opowie o tym wszystkim w biurze, jak będzie referować Marlenowi Władlenowyczowi jego, Nikołaicza, zachowanie, jak on, Nikołaicz, będzie wyglądać w oczach tej hołoty, co pracuje w firmie, za jakiego palanta wszyscy go uznają. Jeszcze gdyby się nie śmiali, gdyby go tak nie poniżali, ścierpiałby jakoś, przeżyłby, a tak po prostu wyrywali mu serce przez gardło i deptali je butami. I tak bez końca. Stał zagubiony, ze łzami rozpaczy w oczach i wyraźnie, do bólu przypominał sobie to poczucie poniżenia, do którego wstyd mu się było przyznać i z którym musiał żyć.

Ernst zdążył sobie przypomnieć stare niemieckie pozycje, okopy całkowicie zasypane sosnowymi igłami, które sprężynowały pod nogami, umocnienia słabo zachowane i zapomniane przez wszystkich. Długo na nie polował, wiedząc, że gdzieś tu, w tej okolicy, zgodnie z mapami frontowymi, powinny być okopy. Jednak nikt z jego przyjaciół, którzy od rana do nocy kopali w lasach i na bagnach, wyławiając z ziemi broń, medale, a przede wszystkim niepoliczonych przez nikogo żołnierzy wermachtu, za których płacono wielkie pieniądze, tak więc – nikt z jego przyjaciół nic nie wiedział o tych pozycjach. Co więcej, śmiali się z niego, mówili: koleś, to jak z twoimi czołgami, nie wymyślaj, tam nie ma żadnych okopów. Jednak on, Ernst, nie lenił się, rozmawiał z miejscowymi i ktoś przyznał w końcu, że naprawdę są okopy, tyle że głęboko w lesie i wątpliwe, by udało się je teraz znaleźć. Po wojnie specjalnie posadzono tam sosny, bo nikomu nie chciało się wygrzebywać

z piaszczystych wydm wokół pozycji wszystkich nabojów i bomb, które zostały z czterdziestego trzeciego. Po prostu obsadzili całą okolicę sosnami, żeby mniej ludzi tam chodziło. Ernst na czworakach łaził po wszystkich okolicznych lasach i zaroślach i w końcu trafił na zasypane transzeje, niemal niewidoczne pomiędzy korzeniami sosen. Dwa dni nie wyłaził z piaszczystych jam, uważnie przesiewając gorący piasek naszpikowany kulami, łuskami i wojskowymi guzikami. A wieczorem drugiego dnia ktoś doniósł na niego milicji, która przyjechała i aresztowała nielegalnego archeologa Ernsta Thälmanna, złapawszy go na gorącym uczynku. I kiedy wieźli go na komisariat, przeżywał coś podobnego, wiedząc, że w najbliższym czasie będzie kiepsko i trzeba być gotowym na najgorsze. Trzeba przeżyć to przeczucie nieprzyjemności, które później z pewnością ustąpi, najważniejsze – przeczekać i wytrzymać.

Już po ukończeniu szkoły morskiej, kiedy Nikołaicz był młodym specjalistą z perspektywami, marzącym o stopniu kapitana floty handlowej, już wtedy dobrze wszystko rozumiał. Choćby się nie wiem jak starał być swoim, jakkolwiek by się chciał włączyć w kolektyw pracowniczy – uparcie go odrzucano, zarzucając mu, Nikołaj, kurwa, Nikołaicz, nadmierne skąpstwo i brak poczucia wspólnoty. I nawet nie mógł zaprzeczyć, bo naprawdę nie miał żadnego poczucia wspólnoty i nie mógł go mieć. I cała jego rodzina taka była – skąpa i bez poczucia wspólnoty, i mama bez poczucia, i tata. I nic – ani komsomoł, w którym był aktywny, ani posada w urzędzie, której się w końcu dochrapał – nie zmniejszyło jego poczucia niższości. W każdym towarzystwie i w każdych okolicznościach czuł się poniżony, uparcie nie uznawano go za swojego, niezależnie od tego, jak się starał i co robił. A jego próby, żeby

wyglądać na normalnego, swojego kolesia, zawsze wszystko pogarszały, i kończyło się tym, że zaczynano o nim opowiadać dowcipy. Nie lubiło go kierownictwo, nie szanowali podwładni, kobiety nie chciały z nim sypiać, zresztą on też od nich niczego nie chciał. Zupełnie nie miał przyjaciół, nie miał dzieci, nie miał zwierząt. Ludzi, dla których pracował, bał się, więcej – bał się nawet ten strach okazać. I teraz stał i w panice o tym wszystkim myślał. I jego oczy robiły się czerwone z wściekłości i beznadziei.

Ernst przypomniał sobie to zdarzenie na granicy węgierskiej w dziewięćdziesiątych. Wracał z Monachium przez Wiedeń. Bez pieniędzy, jedzenia i petów. Odwiedzał starą przyjaciółkę, Raję Stern, z którą się uczył i która po uzyskaniu dyplomu pomyślnie zmieniła nazwisko, wyjechała do Reichu i teraz śpiewała w restauracji Samowar. Spędziwszy z Rają kilka szalonych dni i bezsennych nocy podświetlonych od środka dżinem i whisky, Ernst wyruszył do domu, gdzie czekała na niego Tamila, z którą wszystko dopiero się zaczynało. Jakiś chorwacki nacjonalista dowiózł go w nocy do Wiednia i wysadził przy dworcu kolejowym. Tam na własne ryzyko wsiadł do pociągu do Belgradu, mając nadzieję uniknąć kontroli, przetrwać trzy godziny i wysiąść w Budapeszcie. I jakoś udało mu się przekroczyć granicę węgierską, coś zadziałało w niebiosach, jakby rozpłynął się w przeciągach na korytarzach, a potem zamącił w głowach pogranicznikom, którzy przystawili mu w paszporcie pieczątkę i nawet nie spytali o bilety. Konduktorzy nie natknęli się na niego ani w korytarzu, ani w toaletach, więc zwycięsko wysiadł na dworcu Keleti, ciesząc się sukcesem i fatalnie tracąc czujność. Udało mu się jeszcze dogadać z pracownikami moskiewskiego ekspresu, żeby dowieźli go do granicy

i tam wysadzili. Na więcej nie starczyło mu ani pieniędzy, ani bezczelności. Więc uroczyście obiecał, że

9

wysiądzie na granicy, zgodnie z taryfą. To nic, myślał, nie wyrzucą mnie przecież w polu. Najważniejsze przekroczyć granicę, a potem już nie ma się czego obawiać. Tak sobie założył, i to był błąd. Siedział w pustym przedziale ekspresu i patrzył przez okno, jak ciepły jesienny dzień zamienia się w chłodny wieczór, na horyzoncie rozlewało się czerwone słońce, krwawo odbijając się w lusterkach. Im bliżej było do granicy, tym niespokojniej mu było na duszy, bo było jasne, że tak po prostu oszukać ich się nie uda – odpowie za swą lekkomyślność i pewność siebie. Rzeczywiście nie wysadzili go na granicy, ale konduktorzy przechodzący korytarzem spojrzeli na niego tak ciężko, że wszystko zrozumiał. W nocy, kiedy pociąg przetoczył się już przez most, a światło latarni przeszyło na wskroś czarny i duszny przedział, jakby nieznane zwierzęta próbowały zajrzeć za wagonowe firanki, siedział w ciemności, przysłuchując się stukotowi kół i własnego serca, wiedząc już na pewno, że nie da się ominąć nieuniknionego i zawsze trzeba być gotowym na najgorsze.

Najgorsze, że uczucie beznadziei przygniatało i rosło. Nagle wyraźnie zobaczył to, czego starał się nigdy nie wspominać, co ostrożnie omijał za każdym razem, gdy kopał w pamięci. To, o czym bał się nawet myśleć. Dziewięćdziesiąty trzeci rok, Singapur. Stali tam cały tydzień na greckim zardzewiałym statku pod liberyjską banderą. Zwariowana międzynarodowa załoga – kapitan Grek, część załogi – Filipińczycy, reszta – oni,

jego rodacy. Nikołaicz – drugi oficer, obiekt drwin marynarzy, przedmiot nienawiści Greka, dziwny łysiejący facet, którego nikt nie lubił, nawet okrętowe szczury. Jak się starał przekonać ich, że jest swój, jak wyłaził ze skóry, żeby traktowali go normalnie! Wychodził ze skóry i wiedział, jak marnie to wygląda. I tak był w ich oczach skąpiradłem i palantem. I w wąskich, skośnych oczach Filipińczyków też był palantem i skąpiradłem, chociaż – wydawałoby się – co oni mogli wiedzieć o palantach. Słyszał te śmieszki za plecami, widział te oczy, które patrzyły na niego żartobliwie i poniżająco, wyobrażał sobie, co o nim mówią, i jego oczy podbiegały łzami i wściekłością. Ale najgorsze zdarzyło się właśnie w Singapurze. I on o tym pamiętał.

Bili go we trzech, to Ernst zapamiętał dokładnie. Bili niedługo i nieumiejętnie, więc kiedy wszystko się skończyło, starł tylko krew z górnej wargi, zarzucił na plecy pusty plecak i powlókł się na dworzec, by wydostać się stamtąd na wschód – gdzie wszyscy na niego czekali.

Po tygodniowym oczekiwaniu, kiedy fale nagrzewały się od słońca, a oni wciąż czekali na załadunek, podjudzili Nikołaicza, żeby zszedł z nimi na brzeg. No, szefie, mówili, chodź z nami, zabawimy się. Znajdziemy dla ciebie najlepszą dziewczynkę. Kapitan najlepszego statku musi mieć najlepszą dziewczynkę, mówili przymilnie. I on, palant, na to poszedł.

Albo ta całkiem stara historia, która zdarzyła mu się jeszcze w latach osiemdziesiątych, podczas praktyki na Krymie. Też momentalnie wszystko sobie przypomniał. I od razu nocne

powietrze, krymska zieleń, wymęczona przez długie lato, i niewiarygodnie gorzka woda, która stała w zatoce – wszystko to zaparło mu dech. Wiatr pędził ze wschodu stada chmur, które płynęły nad łodziami rybackimi, pustymi nocnymi butelkami, nad wypalonym stepem i czarnymi szramami dróg. Wszystko zaczynało się zwyczajnie: ekspedycja archeologiczna, wielka grupa ludzi, którzy ledwie się znali, duma, radość i odwaga, radziecki Krym, jeszcze bez Tatarów, bez przemysłu wypoczynkowego, kiepskie wino, kołchozy, ceramika i kości w suchych gruntach. Ernst był w tym towarzystwie najmłodszy i tak go też traktowano. W końcu nawet się przyzwyczaił do ciągłego popychania, bo nie mógł nic zmienić, a narzekanie mu się znudziło. I była też wykładowczyni, zupełnie młoda, doktorantka, Asia, tak – Asia, która odpowiadała za ich brygadę. A brygada zawalała wszystkie terminy i łamała przykazania Chrystusa. I Asi ciągle dostawało się za to od kierownictwa i od kolegów, i od miejscowych też jej się dostawało, trzeba przyznać, choć historia jest zupełnie o czym innym. Wszystko zaczęło się w ogóle niepostrzeżenie. Początkowo Ernst pomagał jej w pracy. Starał się zawsze być przy niej. Odprowadzał ją do autobusu, kiedy jechała do miasta, wychodził po nią na przystanek, kiedy wracała. Siedział z nią wieczorem przy ognisku, podawał ręcznik, kiedy wychodziła z morza, i wszystko to czysto po bratersku, bez żadnego naruszenia służbowej subordynacji, bez żadnej nadziei na wzajemność, przy ciągłych dokuczaniach starszych kolegów. Jednym słowem, tak jak bywa tylko w wieku lat siedemnastu. Asia ostrożnie reagowała na jego obecność. Czasami wydawało mu się, że coś się między nimi pojawia, że ona stara się jakoś dać mu to do zrozumienia. Jednak za każdym razem zmieniała temat, zaczynała mówić o sprawach zawodowych, niszcząc wszelkie jego nadzieje, a on to przeżywał mocno, choć niezbyt długo.

Poza tym do Asi ciągle przystawiali się miejscowi i działali, w odróżnieniu od Ernsta, umiejętnie i energicznie, podwożąc ją na miejsce swoją ładą, odprowadzając w nocy do obozu i patrząc za nią zimnymi oczami. Starszych to nadzwyczajnie cieszyło – wyśmiewali się z Ernsta i jego nieszczęśliwej miłości. Najgorsze – że nawet miłości żadnej nie było, przynajmniej z jej strony. Długo go ignorowała, jednocześnie pozwalając mu czekać na przystanku. Właśnie na przystanku dorwali go miejscowi. Dali do zrozumienia, żeby już nie czekał, lepiej niech sobie wraca do obozu i spokojnie zwali konia, zamiast kleić się do ich kobiety. Tak właśnie powiedzieli o Asi – nasza kobieta. I wtedy Ernst się nakręcił. Najpierw po prostu im nabluzgał, potem zaczął wymachiwać pięściami. Miejscowi się zdziwili, zwalili go z nóg i skopali po nerkach. Wrócił do obozu, milcząc i nie zważając na śmiech i podkurwianie ze strony brygady, wziął saperkę i wrócił na przystanek. Brygada, nagle uświadamiając sobie, że małego mogą poranić, z niepokojem ruszyła za nim. Ernst szedł, wiedząc już, że wszystko musi odbyć się do końca, że nie powinien odwracać wzroku, jeśli nie chce dalej być gówniarzem-walikoniem, którego wszyscy wysyłają po wino i którego nie lubią kobiety. Dobrze wiedział, że trzeba przygotować się na najgorsze, mając jednocześnie pewność, że źle będzie tylko na początku, a potem będzie git. I z tą świadomością ruszył na miejscowych. Miejscowi dalej stali na przystanku, świętując zwycięstwo. Ernsta oczywiście się nie spodziewali. Tym bardziej – całej brygady. Ernst naskoczył na nich i po kilku sekundach rozpierdolił przednią szybę łady. I miejscowi, trzeba powiedzieć, spanikowali i pospieprzali do domów. Po czym postanowili zerwać kontakty z tymi dziwacznymi archeologami.

Powietrze było równikowo ciepłe i gęste, żółtko słońca pływało w wodzie jak w rozgrzanym oleju. Zwolnili się u starego, zmęczonego nieróbstwem Greka i zeszli do portu z tysiącem barów, kawiarni i pubów. I szli nabrzeżem Clarke Quay, co prawda tylko do najbliższej piwiarni, gdzie niby przypadkowo wpadły na nich trzy chińskie prostytutki, dwie normalne, trzecia – zupełnie jeszcze dziewczynka, tak że Nikołaicz przestraszył się przez chwilę, bo wiedział, że w Singapurze można wszystko, ale tylko powyżej osiemnastu lat. I obudziło się w nim jego wieczne skąpstwo, którego tak usiłował się pozbyć. Wszyscy zaczęli go jednak uspokajać i w końcu im się to udało. Za bardzo Nikołaicz chciał, żeby uważali go za swojego, za bardzo starał się im przypodobać, wszystko to miało się stać i się stało. Nikołaicz upił się rumem. A kiedy wzięli taksówkę do Chinatown i tam w ciasnych hałaśliwych uliczkach, w jakimś półlegalnym mieszkaniu skądś wzięła się potworna chińska wódka, w ogóle mało co rozumiał. Tym bardziej że wciąż mu dolewali, śmiejąc się i klepiąc po plecach, tak że całkiem się rozluźnił i stracił kontrolę. Jedna prostytutka była tłusta i krzykliwa. Siedziała na podłodze, wykrzykiwała coś niezrozumiałego i cały czas obciągała krótką czerwoną spódnicę. Druga był chuda, z wielkimi piersiami, które smutno się kołysały, rozpraszając i odstraszając. A trzecia, najmłodsza, cicha i smutna stała przy oknie i gorący blask latarni ulicznych złocił jej skórę. Krótkie włosy upodabniały ją do uczennicy. Na twarzy miała zbyt wiele makijażu, ale Nikołaiczowi to też się podobało, ponieważ wyglądało też dziecięco, miło i niezobowiązująco. Miała grube wargi, długą cienką szyję i skórzany naszyjnik z metalowymi ćwiekami. Ten naszyjnik po prostu zabił Nikołaicza, zupełnie stracił głowę dla tej uczennicy, kręcił się wokół niej i starał się nawiązać zwykłą rozmowę, przypominając sobie, jak brzmią po angielsku terminy okrętowe.

Ubrana była w czerwoną krótką koszulkę na ramiączkach, szmaragdową spódniczkę i jaskraworóżowe rajstopy. A na nogach lekkie sandały, które dźwięcznie klaskały, kiedy chodziła. Miała delikatny puszek na ramionach i portret Jezusa na prawej łopatce, choć, zdaje się, była buddystką. Nikołaicz wił się wokół niej jak wąż, a wszyscy go zachęcali: dawaj, szefie, bądź facetem, jesteś przecież jednym z nas. Odważył się ją pocałować. Oddech miała gorzkawo-cierpki, z posmakiem ognia i popiołu. Całowała się umiejętnie i chętnie, długo i namiętnie. Nikołaicza w życiu nikt tak nie całował. I wtedy już nie wytrzymali i wesoło ryknęli, pokazując go sobie palcami, podnieconego i zagubionego Nikołaicza: dawaj, szefie, przeleć tego chłopca, jak już się tak do niego przyssałeś, weź go za jaja! Prostytutki też zanosiły się śmiechem, grubaska po prostu tarzała się po podłodze, histerycznie potrząsając głową. I chłopczyk-uczeń z Jezusem na plecach też śmiał się swobodnie i obraźliwie, nie puszczając przy tym Nikołaicza, co wywołało nowe ataki śmiechu. Nikołaicz, który momentalnie wytrzeźwiał i zrozumiał, co się naprawdę stało, stał, nie mając siły ruszyć się z miejsca, odzyskując przytomność i zapadając się głęboko pod ciepłą wodę, skąd już nikt nigdy nie zdoła go wydostać.

I trzeba powiedzieć, że zadziałało. Po pierwsze, starsi już nie mieli odwagi nim pomiatać. Pomiatali innymi, a jego zaczęli traktować z sympatią i, wprawdzie powściągliwą, ale jednak szczerą, przyjaźnią. Zaczęli go szanować. Jakoś wszyscy nagle zrozumieli, że skoro nie bał się postawić miejscowym, to nie jest całkiem beznadziejny pod względem komunikacji i hierarchii społecznej. A co najważniejsze – niespodziewanie zrozumiała to Asia, od której w ogóle nikt tego nie oczekiwał.

Zrozumiała i właśnie wtedy, trzeba powiedzieć, wszystko się zaczęło. I przypomniał sobie tę ostatnią noc w przeddzień wyjazdu, kiedy woda była już jesiennie zimna i piasek nasiąkał nią jak chleb mlekiem. Kochali się po raz pierwszy, spiesząc się i goniąc czas, który mijał bezpowrotnie, starając się nadrobić wszystkie te dni, przypływy i odpływy, cyklony i antycyklony, słoneczne południa i mgliste wieczory, nawet nie zdejmując ubrań, ona po prostu rozpięła zamek dżinsów i wpuściła go w siebie, a on ze zdziwieniem poczuł, jak łatwo i głęboko, okazuje się, można wejść w kobietę. Jej stanik błyszczał w świetle księżyca jak mewa, we włosy wbił się mokry piasek wybrzeża i bez skrupułów wciskał się pod jej ubranie.

I najważniejsze nawet nie to, że tak się stało. Stać się mogło wszystko, tym bardziej po takiej pijatyce. Najważniejsze jest co innego. Najważniejsze, że jemu się to naprawdę spodobało. I nie mógł już zapomnieć tego cholernego Chińczyka i jego delikatnej skóry i długich nóg, śnił mu się po nocach, przeszkadzając w spaniu. I tego im nie przebaczył. Nawet później, kiedy minęło tyle czasu, kiedy już dawno się zwolnił i zaczął nowe życie, kiedy trafił do firmy i pracował dla Marlena Władlenowycza, bojąc się go i nie śmiąc okazać swego strachu – nie przebaczył swej załodze tego wstydu i tego koszmarnego podniecenia.

Może wtedy zrozumiał, że najważniejsze to nie odwracać spojrzenia, umieć traktować problemy jak coś nieuniknionego, co pojawia się niespodziewanie, ale potem zawsze mija. Najważniejsze – nie bać się. No i dobrze mieć przy sobie saperkę.

I teraz, stojąc tu przed nimi, znów wszystko to sobie przypomniał. I port, i puby, i tego małoletniego transwestytę, i – przede wszystkim – to poczucie poniżenia, którego wciąż nie mógł się pozbyć. I tak całe życie, każda jego próba robienia wszystkiego jak należy kończyła się jakimiś kłopotami. O, tak jak teraz, kiedy wszyscy go zostawili, kiedy siwy spierdolił do miasta na skargę i wojskowi też spierdolili się poskarżyć, zostali sami Cyganie, ale oni się z niego śmieją, z jego przestraszonej twarzy, z jego głupawego kamuflażu, z wszystkich jego wysiłków, żeby wyglądać solidnie i poważnie. Poniżali go, zapędziwszy w kąt, dobijając pałkami i nie dając mu żadnych szans.

Choć idzie oczywiście nie o saperkę. Po prostu oni, chłopaki, widzieli to wszystko od dzieciństwa, obserwując rodziców i starszych kolegów. Wszystko jest bardzo proste: trzymać się razem, bronić się przed obcymi, chronić swój teren, swoje kobiety i domy. I wszystko będzie dobrze. A nawet jeśli nie będzie dobrze, to będzie sprawiedliwie.

I jak uwięziony między metalowymi beczkami szczur patrzył na nich ze strachem i nienawiścią, myśląc, że tym razem posunęli się za daleko, tym razem po prostu nie zostawili mu wyboru.

Bo nikt nie ma prawa wchodzić na twój teren i pozbawiać cię twoich kobiet. I twoich domów.

Bo on naprawdę wszystko zrobił jak należy i to nie jego wina, że tak się stało. Rzecz nie w kamuflażu, mógł go nie zakładać, rzecz nie w makarowie, którego specjalnie pożyczył od ochroniarza i trzymał teraz w kieszeni spodni, czując, jak stalowy korpus ciężko dotyka jego uda.

Przecież kiedy dorastasz z tym wszystkim, kiedy ci to wtłaczają w świadomość już od dzieciństwa, wiele rzeczy traktujesz prościej i spokojniej. Jest życie, którym żyjesz i z którego nie masz prawa rezygnować, i jest śmierć – miejsce, do którego zawsze zdążysz, dlatego nie trzeba się tam spieszyć.

I odtrącają cię, nawet nie starając się z tobą porozumieć, dlatego że jesteś dla nich obcy i nic cię z nimi nie wiąże i wiązać nie może.

Rzeczy te są słuszne i zrozumiałe, dlatego też niezmienne. Oni zawsze tak żyli i będą uczyć tego swe dzieci.

Bo związać nas ze sobą mogą tylko wspólne życie i wspólna śmierć.

*

– Co jest, łachudry, czemu milczycie?

Traktorzyści, ten w marynarskiej koszulce i ten w ubraniu roboczym, ociężale pozeskakiwali na ziemię i teraz wesoło krzyczeli, witając się z naszymi jak z rodziną – i z Traumowanym, i z Paszą, i z Bormanem, i nawet ze mną. Chociaż

widziałem ich pierwszy raz w życiu. Arkadij z Prochorem też witali się z traktorzystami, śmiejąc się i częstując ich papierosami. Na Nikołaicza nikt nie zwracał uwagi, wszyscy o nim zapomnieli i stał sobie z boku, z głupawym uśmiechem, nie wiedząc, jak się zachować i co robić. Ernst też o nim zapomniał, z Ernstem traktorzyści witali się też jak z najbliższym, bo ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie było. Ale ja wciąż nie mogłem zapomnieć tego spojrzenia, które łysy Nikołaj Nikołaicz skierował na Ernsta, dostrzegłem chyba w jego oczach coś, przez co robiło mi się zimno i nieprzyjemnie.

– No, jak tam? – z udawaną dobrodusznością pytali traktorzyści Traumowanego. – Sasza, w mordę, jak tam, pytamy?

Zdawało się, że chcą wszystkich objąć i przycisnąć do swych szerokich klat – jeden do pasiastej koszulki, drugi do roboczej bluzy. Nasi chyba też się ucieszyli z traktorzystów, jednak nie okazywali radości.

– Kolunia – powiedział Pasza do tego w koszulce – dla kogo, kurwa, pracujesz?

– No, daj spokój, Pawłucha, co ty? Nie znasz mnie? – zaczął się tłumaczyć ten w koszulce. – To ten chuj – pokazał na Nikołaicza, który dalej nieswojo się uśmiechał – nas podpuścił. Nie wiedzieliśmy, że to wasz obiekt.

– Wszystko wiedziałeś – odpowiedział surowo Traumowany.

– Nie, Szura – płaczliwie zaprzeczył ten w koszulce. – Słowo honoru. Przecież wiecie…

– Wiemy, wiemy – niechętnie zgodził się Pasza. – Po prostu uważaj, z kim się prowadzasz.

– Tak, Paszka, co ty, myślisz, że ja z nimi? – Kolunia kiwnął głową w stronę Nikołaicza.

– Nic nie myślę – odpowiedział Pasza.

– Chłopaki, no, dajcie spokój – zdenerwował się traktorzysta.

– Dobra, nie marudź – przerwał mu Traumowany.

– Dzięki, chłopaki – podziękował ten w koszulce. – Dzięki.

A potem opowiedzieli, jak to było, że naprawdę widzą Nikołaicza pierwszy raz i biorąc pod uwagę okoliczności, ostatni, że nawet nie podejrzewali, jak tu jest namieszane, zwyczajny obiekt, myśleli, i dopiero teraz uświadomili sobie podłość i nieuczciwość tych dwóch palantów – Nikołaicza i siwego. I dobrze, że siwy spierdolił, bo własnymi rękami powiesiliby go na koparce. Dlatego że oni są swoje chłopaki i za te pieniądze, które im proponowali, nie da się ich kupić. Zresztą za większe też nie.

Szura nie zamierzał tego wszystkiego słuchać, wycofał się i usiadł na masce czarnego mercedesa. Wyglądał na zadowolonego, leniwie wystawiał twarz do słońca, jakby chciał na długo zapamiętać te ostatnie słoneczne godziny. Przysiadłem obok.

– Co teraz? – zapytałem.

– Nic.

– A jak wrócą?

– I chuj z tym – spokojnie odpowiedział Szura. – Niech wracają. Wiesz, twój brat, on się ich nigdy nie bał. Naprawdę, co oni mogą? No, mogą spróbować cię kupić. Ale nikt cię nie kupi, jeśli sam tego nie zechcesz, mam rację?

– Masz.

– I ja też myślę, że mam. A oni tak nie myślą. Dobra – zmienił temat – co tam mała pisze?

– Nie czytałem jeszcze – odpowiedziałem zdziwiony. – Przeczytam, to ci opowiem.

– Dobrze – zgodził się Traumowany. – Umowa stoi.

*

Aż nagle Nikołaicz oprzytomniał i postanowił, że czas się stąd zabierać.

– Ej! – krzyknął do traktorzystów.

Obejrzeli się jednocześnie, ale od razu stracili zainteresowanie, demonstracyjnie odwracając się do naszych i dalej opowiadając swoje bajki.

– Kolunia! – głos Nikołaicza zadrżał ze wzburzenia i gniewu.

– No? – spojrzał na niego przez ramię ten w koszulce w paski.

– Jedziemy – rozkazał krótko Nikołaicz.

– Spierdalaj w pizdu – równie krótko odpowiedział Kolunia.

Pasza i Borman wymienili spojrzenia i dalej rozmawiali z traktorzystami, udając, że wszystko dobrze.

– Kolunia, kurwa! – Nikołaicz nie dawał za wygraną. – Do kogo mówiłem? Jedziemy!

W jego głosie pojawiło się coś takiego, co jednak zmusiło traktorzystów do przerwania przyjemnej pogawędki, pożegnali się z wszystkimi naszymi i powlekli się w kierunku traktora. Nikołaicz czekał, aż leniwie podejdą do swojego stalowego przyjaciela, czekał, kiedy kopali buciorami w tylne koła i z powagą włazili do kabiny. Kątem oka obserwował naszych, śledząc wszystkie nasze ruchy. Żyły na jego cienkiej szyjce nabrzmiały, twarz miał bladą i spiętą, stał w swoim kamuflażu wściekły i nakręcony, gotowy wyładować wściekłość na pierwszym, kto nawinie mu się pod rękę.

Kolunia starał się odpalić traktor. Ten prychał i pluł, drgając i za każdym razem bezsilnie zamierając. Kolunia wychylił się z kabiny.

– Nie pali! – krzyknął do Nikołaicza ze słabo ukrywanym rozdrażnieniem.

– To zrób coś! – poradził mu Nikołaicz, czując drwiące spojrzenia na plecach.

– A co mam zrobić? – oburzył się Kolunia, nie wysiadając z kabiny.

– Cokolwiek! – krzyknął do niego Nikołaicz. – Napraw go!

– Czym? Chujem? – pyskato zapytał Kolunia.

Nasi się roześmiali. Pasza aż zwalił się na Bormana, Ernst w ogóle zgiął się wpół, jak od uderzenia w brzuch, Arkadij z Prochorem też radośnie przyjęli kontynuację zabawy, wesoło rżąc.

Nawet Traumowany nie wytrzymał i krótko się zaśmiał.

– Dobra – zawołał do traktorzystów – zobaczę, co tam nie gra.

– Nie! – gwałtownie zwrócił się do niego Nikołaicz, ostrzegawczo wyciągając rękę. – Nie podchodź!

– Pojebało cię? – Szura ze zdziwienia zwolnił, ale znów ruszył przed siebie.

– Mówiłem, nie podchodź! – powtórzył Nikołaicz wysuszonym głosem.

– Zobaczę po prostu, co jest grane – Szura nadal nie zważał na niego i powoli zbliżał się do traktora.

– Powiedziałem, nie podchodź! – histerycznie wrzasnął Nikołaicz i spoconymi dłońmi wyciągnął z kieszeni makarowa z niezrozumiałymi nacięciami na rękojeści.

Zamarliśmy. Pistolet wyglądał w jego dłoniach jak zabawka. Myślę, że niektórzy z naszych początkowo nie zrozumieli, że to prawdziwy makarow. Borman nawet prychnął pogardliwie, jednak kiedy wymienił z Paszą spojrzenie, szybko wszystko zrozumiał. Co jakiś czas zrywał się wiatr, niosąc ze sobą gorzkie jesienne zapachy.

– Ej, co ty? – cicho, choć przekonująco powiedział Traumowany. – Schowaj klamkę. Chcę pomóc.

– Nie podchodź – powtórzył Nikołaicz, nieumiejętnie kierując pistolet w stronę Szury.

– Co ty? – groźnie powtórzył Traumowany.

– Ej ty, palancie! – krzyknął nagle Pasza. – Schowaj klamkę, było powiedziane.

Myślę, że zareagował na palanta. Zbyt mocno zaciśnięta była gdzieś w środku ta sprężyna, za długo się powstrzymywał, więc w końcu mechanizm zadziałał, sprężyna gwałtownie wyleciała, zrywając bezpieczniki, i kiedy Traumowany zrobił jeszcze jeden ledwie zauważalny krok, zabrzmiał wystrzał. Szura złapał się za bok. Któryś z naszych natychmiast rzucił się na Nikołaicza, wytrącił mu z ręki makarowa i walnął jego głową w ciepły asfalt. Inni rzucili się na pomoc Szurze. Ciężko przelewał im się przez ręce. Jego też położyli na asfalcie obok Nikołaicza. Pasza rozpiął mu wiatrówkę, żeby dostać się do rany, ktoś pobiegł po apteczkę, a ktoś inny wezwać pogotowie, traktorzyści powyskakiwali z kabiny i nachylili się nad wszystkimi, też starając się jakoś pomóc, i Ernst nerwowo coś do mnie krzyczał, coś wyjaśniał, pokazując gdzieś w kierunku miasta, i nawet odpowiadałem coś automatycznie, zgadzając się z nim, chociaż tak naprawdę stałem, patrzyłem na ciemną krew, która wyciekała spod Traumowanego i powtarzałem w myślach jedno i to samo: Umarł? Naprawdę umarł?

*

Kiedyś, wiele lat temu, co to było? To był też sierpień. Późny sierpień z gorącymi wieczorami, co stygły powoli jak ciężarówki na parkingach. To był ostatni rok naszej nauki, mieliśmy już złe znajomości i szkodliwe nałogi, byliśmy całkiem dorośli, ale wciąż spędzaliśmy wszystkie wieczory nad rzeką, jak dzieci. W mieście nie było wtedy szczególnych rozrywek, zresztą, jak i teraz. Nie pamiętam już, dlaczego poszliśmy na most. Zazwyczaj wylegiwaliśmy się na plażach, gdzie rzeka była powolna i płytka. Ale tego sierpniowego wieczoru wszystko

było szczególne – i woda szczególnie ciemna i głęboka, i my szczególnie beztroscy, i słońce odtaczało się od nas szczególnie szybko. Śpieszyliśmy się, żeby dotrzeć do mostu, zanim się nie ściemni. Most był drewniany i chybotliwy, wchodziliśmy na jego poręcze i skakaliśmy do żółtej od piasku wody. I tak w nieskończoność. I dopiero kiedy ciemność pod mostem stała się fioletowa i gęsta jak atrament, zaczęliśmy się zbierać, wciągając ubrania na mokre ciała. A kiedy wszyscy się pozbieraliśmy, otrząsając i zakładając po drodze adidasy, Gija, który uczył się z nami tylko rok, powiedział, poczekajcie, jeszcze raz i pójdziemy, nikt nie zaoponował, Gija zdjął koszulkę, którą wcześniej założył na mokre ramiona, wskoczył na poręcz i poleciał w dół – w żółto-fioletową pustkę.

Najpierw wołaliśmy, myśląc, że po prostu gdzieś się schował. Potem przestraszyliśmy się i skoczyliśmy za nim, nurkując w ciemności i starając się coś dojrzeć pod ciężką wodą. Jednak nie dało się nic zobaczyć i kiedy któryś z nas pobiegł do miasta po pomoc, staliśmy wzdłuż brzegu, trzymając latarki, które uderzały w rzekę jasnymi błyskami. Rzeka płynęła obok nas, fale znikały w ciemności. I gdzieś tam pod wodą wisiał teraz Gija, i jego ciało obracało się z prądem jak wodorosty. I nie chcąc wierzyć w najgorsze, uparcie nie chcieliśmy uwierzyć w to, co się stało, cicho powtarzaliśmy, wpatrując się w odblaski na wodzie: Umarł? Naprawdę umarł?

10

– Od dawna go znasz, Hera?

Trawa gęsto rosła w przyszpitalnym sadzie, kryjąc w sobie jabłka, niedopałki i zużyte strzykawki. Czasami zamierały w niej ostrożne i nieufne koty, patrząc pod słońce swoimi zielonymi oczami. Czasami otwierało się okno sali i jakiś

niedobitek łapczywie palił, czekając na obchód, a kiedy się doczekał, pstrykał niedopałkiem, który leciał w żółtą trawę jak sztuczny satelita ziemi. Gdzieniegdzie rosły stare jabłonie połamane przez wiatr. W głębi, koło ceglanego muru szpitala stała przyniesiona z ulicy ławka. Na niej wieczorami zbierali się chorzy, palili, pili wzmacniane wina i opowiadali ciekawe historie ze swego życia. Teraz siedzieliśmy tu ja i prezbiter. On właśnie był u lekarza, pytał o Traumowanego, chociaż nie było już o co pytać. Teraz, kiedy wrócił, przekazał mi wszystko w zarysie i czekał, co powiem. Nie było co mówić. Traumowany umarł tak niespodziewanie, że wciąż mówiłem o nim w czasie teraźniejszym. Prezbiter mnie nie poprawiał. A potem zapytał:

– Hera, od dawna go znasz?

– No, jak to od dawna – zacząłem sobie przypominać. – Od dzieciństwa. On jest ode mnie starszy, bardziej mój brat się z nim przyjaźnił. Grali w jednej drużynie. A potem ja też z nimi grałem.

– Dobrze grał?

– Najlepiej ze wszystkich. Rozumiesz, Pietia – powiedziałem do prezbitra – nie mówię tak, bo umarł. Naprawdę dobrze grał.

– A ty?

– A ja nie bardzo – przyznałem szczerze. – Czegoś mi brakowało. Możliwe, że prędkości. Możliwe, że wściekłości. Ale puchar razem zdobyliśmy.

– Kiedy to było?

– W dziewięćdziesiątym drugim. Już wcześniej go zdobywali, beze mnie. Więc dla nich to było nie pierwszy raz. A mnie to strasznie ruszyło. Wyobrażasz sobie, zdobyć puchar?

– A ja w dziewięćdziesiątym drugim siedziałem w psychiatryku.

– Jak to w psychiatryku?

– No, a jak w psychiatryku się siedzi? Długo i niespokojnie. Miałem problemy z narkotykami. Siostra mnie tam oddała, myślała, że mnie wyleczą.

– I co, wyleczyli?

– Nie, nie wyleczyli. Sam się wyleczyłem. Ale musiałem się dobrze postarać. Nawet do sekty jakiejś trafiłem, wyobraź sobie.

– No i jak się wyleczyłeś? Przez modlitwy?

– Jakie modlitwy? – zaśmiał się prezbiter. – Chemia, Hera, chemia. W tym życiu jedne narkotyki zawsze zastępują inne. Jednym słowem, sam nie wiem, jak rzuciłem. Ale rzuciłem.

– No, a co z modlitwami?

– Modlitwy nie mają nic do rzeczy. Ogólnie nie o kościół chodzi.

– A o co?

– O to, że ja mam ich, a oni mnie. Jesteśmy wszyscy razem, rozumiesz? Zaraz ci opowiem. – Wyjął z kieszeni marynarki telefon Traumowanego, który miał ze sobą. Wyłączył go i odłożył na bok, jakby zabierał się do opowiedzenia czegoś naprawdę ważnego. – Wiesz, co łamie większość narkomanów? To, że każdy z nich jest sam dla siebie. No, pewnie o tym wiesz. Stąd wszystkie próby terapii grupowej, które czasami przynoszą rezultaty. Ale jeśli chodzi o mnie, to ja zawsze odnosiłem się sceptycznie do terapii grupowej. Wiesz czemu? Dlatego że jestem dorosły i przywykłem odpowiadać za swoje słowa i czyny. I kiedy postanowiłem rzucić ćpanie, najpierw pomyślałem: znaczy tak: żadnej terapii grupowej, żadnych anonimowych alkoholików. Cała ta trucizna płynie przez moje żyły i pompuje ją moje własne serce, i nikt nie da mi skorzystać ze swojego, mam rację? Dlatego od razu zrezygnowałem ze wszystkich chóralnych śpiewów. Po prostu przekonałem sam siebie, że potrafię poradzić sobie z własnym życiem, że nieuczciwie

jest zrzucać na kogoś odpowiedzialność za własne błędy. To takie, wiesz, romantyczne mazgajenie, które tylko komplikuje problem. Ale, Hera, teraz wiem na pewno, że trzeba było przejść przez te wszystkie komory gazowe, żeby realnie ocenić własne siły i własne możliwości. A możliwości mamy, Hera, minimalne. Inna rzecz, że z nich zwykle nie korzystamy. Ale tym niemniej. W którymś momencie rzuciłem. I właśnie wtedy zrozumiałem, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, że życie to wyczerpująca walka ze swoimi uzależnieniami. I że to tylko kwestia czasu, kiedy znów polecę, rozumiesz? Więc najważniejsze to nie rzucić, najważniejsze to wytrzymać potem. I właśnie wtedy bez terapii grupowej w imię Pana nijak nie wychodzi. Wiesz, że to wielki sukces, że tu trafiłem. Dla mnie sukces, rozumiesz? Oni wszyscy traktują to prościej, a ja wiem, że bez nich bym nie rzucił.

– Aha, znaczy, jednak uleczająca siła Biblii?

– Nie, nie zrozumiałeś. Chciałem powiedzieć, że są rzeczy ważniejsze od wiary. To wdzięczność i odpowiedzialność. Do kościoła naprawdę trafiłem przypadkiem. Po prostu w ogóle nie miałem dokąd pójść. Przecież nie mogłem wracać do siostry, bo znów by mnie do psychiatryka wysłała. Nie miałem szczególnego wyboru. Ale z kościołem też mi nie od razu wyszło. Po prostu kościół nie kościół, a twoich problemów nikt za ciebie nie rozwiąże. Jednym słowem, czułem, że długo tam nie zostanę, wcześniej czy później święci ojcowie pogonią mnie stamtąd z moimi nałogami. Zresztą oni też to wiedzieli, po prostu nie mówili tego głośno. I właśnie wtedy przysłali mnie tutaj. Miejscowy ksiądz emigrował gdzieś do Kanady i potrzebny był ktoś, kto by tu został. Zgodziłem się. Wysyłali mnie z przekonaniem, że szybko stąd ucieknę. A kiedy zniknę, znikną też moje problemy. Wiesz, kiedy przyjechałem po raz pierwszy, spotkaliśmy się u Tamary w mieszkaniu.

– Z kim? – nie zrozumiałem.

– No z gminą. Wtedy było ich całkiem niewielu. Rozumiesz, co jest grane: oni siedzą i patrzą na mnie. I rozumiem, że nawet nie mogę nic im powiedzieć, tak mi chujowo. I oni wszystko widzą i rozumieją. I wcale nie proszą, żebym coś mówił. Oni wszystko zrozumieli, Hera, oni wszystko widzieli, rozumieli, ale niczego ode mnie nie wymagali. Cała ta terapia grupowa to gówno, tam każdy stara się wyrwać, ocalić własną skórę i wszyscy mają głęboko w dupie, co będzie z resztą, kto dożyje do następnej sesji, a kto wyciągnie kopyta. Dlatego że kiedy ratujesz własną skórę – obojętni są ci wszyscy inni. I żadna terapia tu nie działa. Wszystko jest nieuczciwe i podłe i czujesz się przy tym jak ostatni palant, który stara się uratować za wszelką cenę. A tu było zupełnie inaczej. Widziałem, że oni, ogólnie rzecz biorąc, niczego ode mnie nie chcą, że spokojnie się beze mnie obejdą. No, ale jak już tu jestem, jak już mnie do nich zaniosło, to mnie nie zdradzą, żebym nawet nie wątpił. Nie zdradzą, chociaż jestem dla nich przypadkowym i nieznajomym chujem na stanowisku. Od razu pojąłem, że kiedy i tu nie wytrzymam, to będzie ze mną zupełnie źle. I żadne modlitwy mi wtedy nie pomogą.

– A oni wiedzieli o tobie?

– Pasza wiedział. Sam mu opowiedziałem. Pierwszego wieczoru. Po prostu zobaczyłem ich wszystkich i zrozumiałem, że nie trzeba nic ukrywać, że od tego tylko będzie gorzej. No i wszystko mu opowiedziałem. Powiedziałem, znaczy, żeby wszystko było uczciwie i jeśli nie pasuje im ojciec ćpun – oczywiście odejdę. Wiesz, co mi odpowiedział Pasza? Odpowiedział, że jakby miejscowe ćpuny zaczęły odchodzić z pracy, w mieście gwałtownie podskoczyłaby liczba bezrobotnych. Poprosił, żebym się nie napinał i zajął własnymi sprawami. Czyli śpiewał z nimi psalmy i chrzcił ich dzieci. I zostałem.

– Jasne.

– Ale to nie wszystko, Hera – kontynuował prezbiter – to nie wszystko. Jednak popłynąłem. Popracowałem pół roku i wszystko od nowa. Nawet pieniądze kościelne sobie przywłaszczyłem, niedużo co prawda tego było, ale zawsze. Wyciągnął mnie Pasza. Od razu zrozumiał, co się ze mną dzieje, nie dał odjechać na całego. Zamknął mnie w domu i trzymał, dopóki nie odzyskałem przytomności. Leczył ludową medycyną. Wszystkim mówił, że mam grypę. I właśnie wtedy powiedziałem sobie: koleś, naprawdę możesz pierdolić własne zdrowie, to rozumiem. I karierę też możesz osrać, to też jasne. I na przykazania Chrystusowe, wbrew wszystkim swym służbowym zaleceniom, możesz położyć laskę. Ale, koleś, jeśli naprawdę nie chcesz się przypiekać w piekle na małym ogniu, jak półprodukt w kuchence mikrofalowej, to trzymaj się tych dziwnych, nie całkiem dzisiejszych, ale nadzwyczaj szczerych i otwartych parafian. Nie porzucaj ich. Bądź razem z nimi. Chcesz, czytaj im psalmy, chcesz, chrzcij ich dzieci. Zresztą, nie takie ważne, czym właściwie się tu zajmiesz. Najważniejsze, żebyś został z nimi. Oni cię nie zdradzą, u nich się tak nie robi. No, jakoś tak to wszystko było – zakończył prezbiter i włączył telefon. – A Szury – dodał po chwili milczenia – prawie nie znałem. Raczej prawie z nim nie rozmawiałem. Ale to niczego nie zmienia. Oni wszyscy są tu razem. My, Hera, wszyscy jesteśmy tu razem, rozumiesz? Wiem, o czym mówię. Rzecz nie w kościele i nie w narkotykach. Chodzi o odpowiedzialność. I wdzięczność. Jeśli to masz, masz szansę umrzeć nie jako ostatnie bydlę.

– Wszystko prawda – zgodziłem się. – Prawdę mówisz. Ale widzisz: Traumowanego zastrzelili, mój brat gdzieś spierdolił. Oni wszystko robią jak należy, zgadzam się z tobą, ale dziwna rzecz: oni się tu okopali i myślą, że uda im się obronić.

A wychodzi na to, że ich po jednym odstrzeliwują, wypierają stąd i niebawem wszystkich wyprą.

– Myślisz, że wyprą?

– Myślę.

– Może i wyprą – zgodził się prezbiter. – Może tak być. Ale wszystko jedno: póki nie wyparli, oni będą trzymać się razem, rozumiesz? Ja, Hera, widziałem w życiu różnych ludzi. Bardzo różnych. Większość była słaba i bezbronna. Większość zdradzała swoich. Myślę, że właśnie przez bezbronność. W każdym razie życie robi z ludzi słabiaków i zdrajców, jako ksiądz ci to mówię. Dlatego jeśli naprawdę wszystkich wyprą, jak mówisz, to mnie wyprą razem z nimi. Bo ja, Hera, też się okopałem. Mamy wspólną odpowiedzialność. I wspólną wdzięczność.

Znów wyciągnął i włączył komórkę. Słuchał trawy, która szeleściła na wietrze. Popołudniowe słońce staczało się za mur szpitala, czerwienią dotykając okien reanimacji.

– Poza tym pokazuję im sztuczki – niespodziewanie powiedział prezbiter.

– Co? – nie zrozumiałem.

– Sztuczki – powtórzył. – Cyrkowe. Kiedy się leczyłem, mieliśmy taką terapię, uczyli nas sztuczek. Mówili, że ma nas to przenieść do dzieciństwa. Tam jeden narkoman był, pracował w cyrku jako żongler. Przywieźli go w cyrkowym trykocie. Właśnie on nas uczył. O, popatrz.

Niepostrzeżenie wyciągnął z kieszeni marynarki buteleczkę ze spirytusem, nachylił się, jakby wiązał sznurówkę. Szybko napełnił usta z buteleczki i równie szybko ją schował. Potem błyskawicznym ruchem wyciągnął skądś, jakby z powietrza, zapalniczkę zippo, przysunął ją do twarzy i nagle wypuścił z ust potężny strumień niebieskiego ognia.

Z przestrachem odskoczyłem. A on znów siedział spokojny i z zadumą w oczach.

– To się właśnie nazywa – powiedział – terapia grupowa.

I nie wiedziałem nawet, co odpowiedzieć.

– Gdzie teraz idziesz? – zapytał.

– Muszę zakończyć pewne sprawy – odpowiedziałem. – Bardzo ważne.

– Słusznie – zachęcił mnie. – W razie czego masz mój telefon.

– Znaczy, mówisz, wdzięczność i odpowiedzialność? – chciałem się upewnić.

– Tak – skinął twierdząco głową. – Wdzięczność i odpowiedzialność.

*

W hotelu na pierwszym piętrze stały automaty do gry. Na wysokich stołkach siedziało kilku pionierów ze szklanymi oczami, na parapecie spała na siedząco dziewczynka w trampkach, z włosami farbowanymi na czerwono. Po korytarzu snuli się jacyś Czeczeni, wynosili skrzynki, w których głucho przetaczały się grejpfruty. Podszedłem do kobiety w recepcji. Przedstawiłem się i zapytałem, czy nikt mnie nie szukał. Od razu podała mi numer pokoju. Dobrze, gdy jesteś oczekiwany, pomyślałem i poszedłem na górę.

Hotel przypominał na pół zatopiony statek – nie wszyscy stąd uciekli, ale tylko dlatego, że nie bardzo było dokąd uciekać. Poszedłem ciemnym, długim korytarzem. Czuć było zapach farby i hotelowych mebli.

Drzwi były uchylone. Słychać było, jak woda cieknie z prysznica. Zapukałem, ale nikt nie odpowiedział. Pchnąłem drzwi i wszedłem. W pokoju stały dwa łóżka, między nimi biurko. Panował bałagan, wszędzie walały się dżinsy, bejsbolówki, wymięte prześcieradła i zachlapane musztardą pisma dla kobiet. Jedno łóżko było puste, na drugim siedział młodszy ode

mnie koleś, miał jakieś dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Siedział z podciągniętym pod brodę kłującym hotelowym kocem i trzymał jogurt owocowy. Na krześle przed nim stał włączony laptop, na ekranie leciał ostry film pornograficzny. Bez dźwięku. Jakby główni bohaterowie nie chcieli nikomu przeszkadzać. Koleś nawet nie zauważył, że wszedłem, chyba, dostrzegł dopiero moje odbicie w monitorze. Jogurt wyślizgnął mu się z ręki i spadł na podłogę, rozlewając się słodką truskawkową plamą. Koleś zaplątał się, coś sobie poprawiając i doprowadzając do porządku, gwałtownie, może zbyt gwałtownie, i jakoś demonstracyjnie odrzucił na bok włochaty koc i skoczył na równe nogi. Miał na sobie spodnie od dresu, zauważyłem nawet, że były firmowe, i białą podkoszulkę, przypominał pasażera wagonu sypialnego, który właśnie zdjął biznesowy garnitur i został w domowym dresie i z gołymi stopami. Z boku rzeczywiście miał łysinę, tak jak mówiła Olga, ale to nie czyniło go doroślejszym. Z lewego ucha wystawała mu słuchawka bezprzewodowa, która przypominała aparat słuchowy. Odwrócił się do komputera i usiłował wyłączyć pornosa, po czym znów odwrócił się do mnie, patrząc bezczelnie, choć nie całkiem pewnie. Obraz na ekranie zatrzymał się i za jego plecami zarysowała się mgliście złotawa kobieca głowa rozpaczliwie do czegoś przyssana, ale on nawet tego nie widział.

– Herman? – zapytał trochę arogancko. – Dima – wyciągnął rękę. – Siadaj – wskazał krzesło przy drzwiach.

Zrzuciłem umazany czymś lepkim „Cosmopolitan" i usiadłem. Dima rzucił się, żeby podnieść pismo, ale w ostatnim momencie się powstrzymał. Stał i ostentacyjnie oglądał mnie od stóp do głów, stopniowo odzyskując przytomność i zastanawiając się, jak właściwie się przy mnie zachować. Blondynka za jego plecami dalej wsysała w siebie coś z tamtego świata, barwnie kontrastując z jego dresem.

Nie zdążył jeszcze nic powiedzieć, kiedy woda pod prysznicem ucichła i po jakiejś chwili do pokoju wtoczył się jego partner – puszysty i długowłosy, w niebieskiej piżamie i jakichś puchatych damskich kapciach. Idąc, wycierał głowę pasiastym ręcznikiem. Mnie początkowo w ogóle nie zauważył, jednak czując napięcie w spojrzeniu tamtego, zerknął w moją stronę i szybko zapiął wszystkie trzy guziki.

– To jest Herman – z nieszczerą radością w głosie poinformował go Dima.

– Władik – przemówił chłodno długowłosy, mierząc mnie ciężkim spojrzeniem.

Bujnął się w moją stronę i zawisł, rozważając chyba, czy uścisnąć mi dłoń, czy nie. Uznał, że nie ma potrzeby. Ja też nie rwałem się do powitań.

– Wyobraź sobie – ciągnął Dima, bezceremonialnie mi się przyglądając – żeśmy cię szukali, dobrze, że przyszedłeś. Prawda, Władik?

– Prawda – powiedział z niezadowoleniem Władik.

Wiedziałem, do czego zmierzają. Władik wyglądał na prostszego i Dima przydzielił mu rolę niezadowolonego. Miał wisieć nade mną, wywierać presję i straszyć. Władik rzeczywiście wisiał. Dosłownie – stał nade mną, tak że poczułem nawet zapach jego kremu po goleniu. Dima był chyba bardziej cwany, nauczył się sprawiać wrażenie swojego chłopaka, otwartego i dość bezczelnego. Oczywiście miałem się otworzyć właśnie przed nim, a Władik chyba był tu po prostu w charakterze mebla.

– Byliśmy nawet u ciebie w pracy – mówił Dima. – Dzwoniliśmy do twojego brata. Prawda, Władik?

– Piąty dzień się z tym pierdolimy – groźnie dorzucił Władik.

Znów spojrzałem na ekran, gdzie mgliście pobłyskiwała blondynka, nie wypuszczając z ust swej zdobyczy. Władik

przechwycił moje spojrzenie i nagle też ją zobaczył. I Dima, zauważywszy, że obaj uważnie przyglądamy się czemuś za jego plecami, gwałtownie się obejrzał i wszystko zobaczył. Władik rzucił się i szerokim ruchem zamknął laptop. Chciał wrócić na swoje miejsce, jednak szybko przestawiłem krzesło i teraz stali przede mną jak uczniowie. Od razu to zauważyli. Widać było, że to im się nie podoba i dlatego jednocześnie usiedli na łóżku Dimy, ostrożnie przestąpiwszy rozlany jogurt. Ale siedzieli też jak uczniowie, nie wiedząc, co zrobić ze szkodliwymi rękami. Jednym słowem, wszyscy czuliśmy się nie najlepiej. Ale trzeba było kontynuować znajomość.

– Tak – znów odezwał się Dima – telefon byś sobie chociaż założył.

– Po co?

– No, żeby można cię było złapać – wyjaśnił Dima.

Władik tylko chłodno łypał w moją stronę.

– Czego wy chcecie?

– Mamy do ciebie sprawę – przerwał Dimie Władik. – Borysa Kolisnyczenkę znasz?

– Bolka?

– Borysa – chłodno poprawił mnie Władik. – Kolisnyczenkę.

– No, znam – odpowiedziałem równie chłodno.

– Mieliście jakieś problemy? – zapytał wesoło Dima. – Z pieniędzmi?

– Z czego wnosisz?

– Oni sami nam opowiedzieli – zaśmiał się Dima.

– Tak? I co wam opowiedzieli?

– Powiedzieli, że zrobili cię na kasę – znów się zaśmiał Dima.

– Jak frajera – dodał Władik.

– Tak mówili? Jak frajera? – zapytałem z niedowierzaniem.

– No, „jak frajera" nie mówili – wycofał się Dima. – Ale w zasadzie o to chodziło.

– No, ale przecież nie mówili „jak frajera", mam rację? – nalegałem.

– No, nie mówili – musiał przyznać Dima.

– Widzicie – powiedziałem uspokojony.

– Krótko mówiąc – znów ostro wtrącił się Władik – co za różnica. Naszych klientów też zrobili na kasę. Wszystkich robią.

– Tak – podchwycił Dima – już dawno pora im spiłować kły. Tylko złapać ich na gorącym uczynku się nie udaje. Sprytne chujki.

– No, a co ja mam do tego? – nie rozumiałem.

– Znaczy, tak, Herman – mówił poufale Dima – pomożesz nam, to ich nakryjemy.

– Słuchaj – dodał groźnie Władik.

– Czyli jak zaczniesz zeznawać, to mają przejebane. Przecież cię zrobili, mam rację?

– Masz – przyznał za mnie Władik.

– Naszych klientów też zrobili! – zawołał wesoło Dima. – Krótko mówiąc, musimy trzymać się razem. Wspólnie ich nakryjemy.

– Zrozumiałeś? – srogo zapytał Władik.

– Pewnie – odpowiedział za mnie Dima. – Nie martw się, bierzemy wszystko na siebie. Po prostu zeznasz w sądzie, dostaniesz z powrotem swoją kasę i się rozejdziemy, jasne? Dalej już sami załatwimy.

Przez chwilę pomilczałem, oglądając pieski na kapciach Władika.

– Czyli chcecie – postanowiłem uściślić – żebym zeznawał przeciwko Bolkowi?

– Tak – chłodno potwierdził Władik. – Przeciwko Borysowi.

– A z jakiego chuja wzięliście, że się zgodzę?

– No, przecież cię zrobili? – zdziwił się Dima. – Na kasę – dodał na wszelki wypadek.

– I co, twoim zdaniem to jest powód, żeby zdradzać przyjaciół?

– Jakich przyjaciół, Herman? – gorączkowo zaprotestował Dima. – Przecież cię oszukali.

– Jak frajera – zdążył dorzucić Władik.

– Zamknij się – powiedziałem do Władika. – Słyszysz? Zamknij się.

Władik jakoś się zmieszał.

– Dobra – próbował wstawić się za nim Dima. – Wszystko w porządku.

– Nie – dalej mówiłem do Władika. – Zrozumiałeś? Zamknij się.

Władik schował głowę w ramionach, tak że mokre włosy rozsypały się po nich. Zamknął usta i w ogóle milczał. Ale ja i tak postanowiłem z tym skończyć.

– Zrozumiałeś? – dopytywałem się Władika. – Zrozumiałeś mnie? To dobrze – uspokoiłem się. – Znaczy tak: możecie tu przenocować, ale jutro spadajcie stąd pierwszym autobusem. Jeszcze raz was zobaczę i macie, chłopcy, przesrane.

– Herman – próbował sprzeciwić się Dima. – Co ty? Jesteśmy z tobą. Chcemy ich ukarać. Przecież cię oszukali, Herman.

– Ile masz lat? – zapytałem go.

– Dwadzieścia cztery – odpowiedział Dima.

– A ja dwadzieścia trzy – z jakiegoś powodu dodał Władik.

– A ty, zamknij się – przerwałem mu. – Koleś, masz dopiero dwadzieścia cztery lata i już tyle w tobie gówna. Rozumiesz? Myślisz, że przez kasę zacznę osrywać swoich przyjaciół? Myślisz, że ich zdradzę z powodu pieniędzy? Skąd was biorą, chłopcy? Co studiowaliście?

– Prawo – ledwo słyszalnie odpowiedział Dima.

Wyglądał na zagubionego. Zdaje się, że nieco inaczej wyobrażali sobie nasze spotkanie.

– Kurwa, skąd jest tylu prawników? – zdziwiłem się. – Wszystko już wam powiedziałem. Żeby was tu jutro nie było. A ja z moimi przyjaciółmi sam sobie poradzę, bez prawników.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Już kiedy wychodziłem, Dima nagle zerwał się z łóżka.

– Herman! – krzyknął rozpaczliwie. – Ale my mamy wszystkie dokumenty! Wszystko już zebraliśmy! Musisz nam pomóc, to w twoim interesie! No, jak to nie rozumiesz! Zobacz!

Złapał laptop, gwałtownie otworzył i wyciągnął do mnie, usiłując coś mi pokazać. Komputer się obudził, na ekranie pojawiła się znajoma blondynka i z nowymi siłami wzięła się do dossywania niewyssanego.

– Sam patrz, walikoniu – poradziłem i zamknąłem za sobą drzwi.

*

I powiedziałem mu jeszcze coś takiego:

– Słusznie mówisz. Prawie we wszystkim się z tobą zgadzam. Ale mówisz: słabi i bezbronni. A ja myślę, ni chuja, ojcze. Ni chuja oni nie są słabi. A czemu uważasz ich za bezbronnych? Oni wszyscy tu się urodzili i tu mieszkają. Ale zachowują się jak na dworcu, rozumiesz? Tak, jakby pociąg już został zapowiedziany i oni żegnają się z wszystkimi. I już nikomu nic nie są winni i można wszystko rozpierdolić i spalić, dlatego że pociąg już czeka. Właśnie tak się zachowują. I nie rozumiem: dlaczego? Oni, kurwa, tu mieszkają. W tych miastach. Tu dorastali. Chodzili do szkoły, na wagary, grali w piłkę. Mieszkali tu całe życie. Dlaczego palą za sobą wszystko? Całe to paskudztwo, które naciera ze wszystkich stron, które teraz porządnie staje na nogi. Cała ta bankowa hołota, gliniarze, biznesmeni, młodzi adwokaci, politycy z perspektywami, analitycy, właściciele, kurwa, kapitaliści… dlaczego zachowują się tak, jakby

ich tu przysłano na wakacje? Jakby jutro mieli stąd wyjechać? Przecież nigdzie nie pojadą. Zostaną tutaj, robimy z nimi zakupy w tych samych sklepach. Jacy bezbronni, ojcze? Jacy słabi? Oni mają stalowe szczęki, koleś, zagryzą cię, kiedy będzie im to potrzebne. Gdzież ta ich bezbronność?

– Ty też słusznie mówisz – odpowiedział na to – ale zapominasz o jednej rzeczy: agresja rodzi się właśnie z bezbronności. I słabości.

– Twoim zdaniem całkowicie im odpierdala z powodu ich własnej słabości?

– Tak. I bezbronności.

– I co z tym robić?

– Rób, co robiłeś, Hera – odpowiedział prezbiter. – Rób, co robiłeś. Nie ignoruj żywych. I nie zapominaj o umarłych.

*

Wieczorem tego samego dnia znów pojechaliśmy z Siewą do szpitala, żeby zabrać Olgę. Już wiedziała o Traumowanym, była cicha i zapłakana, pozwoliła przenieść się do samochodu i położyć na tylnym siedzeniu. Mieszkała rzeczywiście obok szpitala, kilka przecznic dalej. Siewa jechał ostrożnie, starając się omijać dziury. W domu czekały na Olgę dwie ciotki. Razem z Siewą wnieśliśmy ją na przestronne, zupełnie zarośnięte winoroślą podwórko, weszliśmy na ganek niewielkiego domu, przeszliśmy przez werandę, zanieśliśmy ją do salonu i ostrożnie ułożyliśmy na kanapie. Ciotki krzątały się wokół nas, przynosiły to gorący czajnik, to malutkie puszyste poduszki, to znikały i wracały z wodą mineralną, to wyciągały skądś czarnego wychudłego kota i wkładały w dłonie chorej. W końcu Olga nie wytrzymała i poprosiła wszystkich, żeby wyszli. A mnie poprosiła, żebym został.

– Kiedy pogrzeb? – zapytała cicho.

– Pojutrze. W sobotę.

– Przyjedziesz po mnie, dobrze?

– Dobrze.

– Idź, dobra? – poprosiła. – Później przyjdziesz.

– Dobra – zgodziłem się. – Poczekam, aż zaśniesz, i pójdę.

– Zgoda.

Z podwórka słychać było głosy ciotek, które coś omawiały. Olga leżała, przykryta ciepłym pledem, i patrzyła za okno, gdzie rozlewał się gęsty fioletowy mrok.

– Pamiętasz, opowiadałeś mi o pocztówkach – powiedziała nagle.

– Jakich pocztówkach?

– Turystycznych. Kompletach z różnych miast. Mówiłeś, że wykorzystywaliście je na lekcjach.

– A – przypomniałem sobie. – Pocztówki z Woroszyłowgradu.

– Tak – potwierdziła Olga. – Z Woroszyłowgradu.

– Czemu ci się przypomniały?

– Znalazłam całą paczkę.

– Poważnie?

– Tak. Nie pamiętałam, skąd je mam. Dopiero potem mi się przypomniało. Razem z przyjaciółkami korespondowałyśmy z niemieckimi pionierami. Pisał do mnie chłopiec z Drezna. Wciąż zapraszał w gości, przysyłał pocztówki. Też mu wysyłałam. Kupowałam całe zestawy, wybierałam te, na których było dużo kwiatów, żeby myślał, że tu u nas jest wesoło. A resztę, te z pomnikami, zostawiałam dla siebie. A teraz znalazłam. Całą paczkę. Dziwne – powiedziała – nawet nie ma takiego miasta i chłopczyk z Drezna od dawna do mnie nie pisze, i wszystko to jakby nie mnie się zdarzyło. Jakby w innym życiu, z innymi ludźmi. Inne miasto, inny kraj, zupełnie inni ludzie. Może te obrazki to właśnie jest moja przeszłość. Coś takiego, co mi

zabrano i zmusza się mnie, żebym zapomniała. A ja nie zapominam, dlatego że to naprawdę część mnie. Możliwe nawet, że lepsza część – dodała po zastanowieniu.

Dotknęła mojej dłoni i przez jakiś czas milczała, patrząc gdzieś za okno.

– Wiedziałam, że coś się stanie – powiedziała nagle. – Czułam. Ale nie udało mi się pomóc.

– Jak mogłaś pomóc?

– Nie wiem – powiedziała Olga. – Nie wiem. I co teraz robić, też nie wiem. Nie zapomnij po mnie przyjechać, dobrze? – poprosiła znowu.

– Nie zapomnę – zapewniłem. – Nie martw się.

Wyjęła z kieszeni telefon i podała mi.

– Połóż gdzieś – poprosiła.

Wziąłem od niej komórkę.

– Mogę? – zapytałem i szybko znalazłem w kontaktach numer Traumowanego.

Słychać było długie sygnały. Pierwszy, drugi, trzeci. Już miałem zamiar zrezygnować, kiedy nagle usłyszałem dziwny dźwięk, jakby włączyła się sekretarka, i po drugiej stronie pojawił się ledwie słyszalny przeciąg, który stopniowo narastał. Tak, jakby zimny morski wiatr wywiewał z powietrza wszystkie dźwięki i głosy, zatykając wszystko swoim lodowatym oddechem. Wiatr zrywał się i wył, dobiegając z pustki. Wrażenie było takie, jakbym trafił na tajne fale radiowe, z których korzystają piloci, przelatując nad zamkniętym terenem. Stopniowo w szumie i przeciągach usłyszałem niezrozumiałe głosy. Przekrzykiwały się w dalekim eterze, zwracały się do siebie, powiadamiając się o czymś ważnym. Ale choćbym się nie wiem jak wsłuchiwał i usiłował rozróżnić poszczególne słowa, nic mi nie wychodziło. Tylko daleki równy szum wypełniał sobą zaświaty. Stopniowo głosy znikły i ciężka, niewymowna

cisza zapanowała w eterze. Wyłączyłem telefon i położyłem na parapecie.

– Co tam? – zapytała Olga.

– Nic – odpowiedziałem. – Zupełnie nic.

Jeszcze przez jakiś czas leżała w ciemności z otwartymi oczami, dotykając mojej dłoni, i lekko wzdychała, i podśpiewywała coś półszeptem. Po jakimś czasie zasnęła, oddychając równo i obojętnie.

*

Siewa się na mnie nie doczekał. Kiedy wyszedłem na dwór, już go nie było. Trzeba było jakoś dostać się do domu. Poszedłem ulicą, zanurzyłem się w ciemnych gałęziach jabłoni, skręciłem skrótem i niebawem znów znalazłem się pod murem szpitala. Po raz trzeci dzisiaj.

Powietrze zupełnie ostygło, niebawem nadciągnęły chmury. W mieście było cicho i pusto, światło księżyca wyławiało z ciemności ciężkie gałęzie drzew owocowych i zimne od rosy metalowe znaki drogowe. Szedłem, przypominając sobie, co jest za budynkami. Minąłem szpital, w którym kiedyś leżał na wyrostek mój brat. Przypomniałem sobie, jak, młodsi, biegaliśmy do niego, przełaziliśmy przez ceglany mur. Minąłem biały kwadrat więzienia, gdzie przychodziliśmy z bratem gadać ze strażnikami – brat miał z nimi jakieś interesy, a ja się po prostu przy nim kręciłem. Minąłem klasztor – kiedyś stacjonowała tam jednostka wojskowa, w której służył nasz stary. Za klasztorem była moja szkoła: plac z drabinkami, liniowany asfalt, kryjówki z papierosami, dziury w płocie, przez które można było przejść. Dalej ciemny hotel. Przypomniałem sobie, jak przyprowadzaliśmy tu kobiety, już kiedy byliśmy całkiem dorośli, kiedy mieliśmy kieszonkowe i niezbyt wielki uliczny autorytet, jakieś wyobrażenia o miłości. Naprzeciwko ciemniała

centrala telefoniczna, gdzie swego czasu otworzyli salon wideo i gdzie nie chodziliśmy, bo pokazywali głównie filmy karate, które nas, dorosłych, nie bardzo ciekawiły. Dalej była poliklinika, gdzie kiedyś kupowaliśmy spirytus, a za nią – całodobowy na rogu, w którym kiedyś nalewano wszystkim spragnionym, niezależnie od stanu, wieku i wyznania. Potem po prawej na moment pojawiła się przeciwpożarowa wieża obserwacyjna, pod którą kiedyś urządziliśmy dziwaczne mordobicie. Za nią był posterunek, na który nas później zabrali. Dalej zaczynały się ciche podwórka zarośnięte trawą i zaklejone pajęczynami, ciemne zaułki z dokładnie rozwalonym asfaltem, potem trasa ciągnęła się za miasto i wychodząc nią, czułem się tak, jakbym kolejny raz na zawsze porzucał te uliczki i budynki, porzucał to miasto, zostawiając w nim przyjaciół, rodzinę i ukochane. Dziwaczne połączenie straty i lęku owładnęło mną na chwilę, ale szybko ustąpiło i słodkie poczucie rytmu wskazywało na to, że trasa dopiero się zaczyna i można nią jechać dowolnie długo w każdym kierunku. Za ostatnimi domami zaczynały się puste pola, dalej ciemność przecinała tama. Za nią ostro błyszczała w świetle księżyca powierzchnia rzeki. Za rzeką ciemniały wzgórza, a już na wzgórzach leżało nocne powietrze, jak płótno, z którego szyje się pokrowce na meble. W czasie, kiedy mnie nie było, nic się tu nie zmieniło. Szkło, żelazo i wypalona trawa na zboczu. Światła budynków daleko za tamą. Cisza wokół. Głosy i szepty, które się w niej rozpływały. Ostrożne zwierzęta. Śpiące ryby. Wysokie niebo. Czarna ziemia.

PS

Cześć, Herman.

Wybacz, że tak długo nie pisałam. Po pierwsze, mało mam wiadomości, po drugie, wątpiłam, czy zaciekawią cię moje nowiny. Teraz piszę, żeby opowiedzieć ci starą historię. Nie

pamiętam czemu, ale jeszcze ci jej nie opowiedziałam. Historia jest o Pachmutowej, znałeś nieboszczkę, więc mam nadzieję, że to zdarzenie będzie dla ciebie interesujące i pouczające. Mój stary przyniósł Pachmutową na wieżę, kiedy miałam trzy lata. Dorastałyśmy razem. Szybko się do niej przyzwyczaiłam. Życie na wieży było jednostajne, szczególnych rozrywek nie było, więc cały wolny czas spędzałam z Pachmutową. Razem spałyśmy, jadłyśmy, chodziłyśmy na spacery. Latem, wracając z miasta, zawsze zatrzymywałyśmy się nad rzeką i długo się kąpałyśmy, wpływając pod most i słuchając, jak dudnią nad nami wyładowane ciężarówki.

Tego dnia było jakoś nadzwyczaj cicho i słonecznie. Dobiegała połowa lata, dni były ciepłe i bezkresne. Przyszłyśmy nad rzekę już po południu. Przedtem Pachmutowa pół dnia ganiała po wzgórzach wokół wieży, zmęczyła się i niechętnie wlokła się za mną do miasta, ciężko dysząc. Pierwsza weszła do wody. Trzymałam się przy brzegu, nie mając ochoty walczyć z nurtem. Pachmutowa natomiast rzuciła się naprzód, wypływając coraz dalej i ciesząc się ze świeżej, zimnej wody. Prąd znosił ją w dół, nie martwiłam się jednak za bardzo, bo sam wiesz, że nasze psy pływają o wiele lepiej od nas. Ale tu było inaczej – woda niosła Pachmutową coraz dalej, aż do mostu i tam zakręciła nią jak gałęzią. W ogóle rzeka w tym miejscu była spokojna i cicha, jednak pod mostem, tam, gdzie pogłębiono koryto, zdarzały się wiry. Do jednego z nich trafiła Pachmutowa. Przestraszyłam się i od razu rzuciłam się do niej. I im bliżej podpływałam, tym wyraźniej rozumiałam, że chyba nie starczy mi sił, żeby wyciągnąć psa na brzeg. Prąd złapał mnie i poniósł na głęboką wodę, tam, gdzie widać jeszcze było Pachmutową. Szybko się do niej dostałam i uczepiłam się przestraszona jej szyi. Ona wzięła to chyba za zabawę i też rzuciła się na mnie, obejmując łapami. Zaczęłam się krztusić.

Przez jakiś czas usiłowałam krzyczeć, odegnać od siebie psa, uderzałam rękami w wodę. Jednak nic to nie dawało, całkowicie straciłam siły i zaczęłam tracić przytomność ze strachu i obrazy. Jak to, myślałam, chciałam tylko uratować moją suczkę. A wychodzi na to, że nie dość, że jej nie uratowałam, to zaraz się sama utopię.

I już kiedy naprawdę szłam na dno i woda zamknęła się nade mną niebieskozielonym światłem, Pachmutowa zrozumiała, że nie bawię się z nią i zanurkowała za mną. Dobrze, że wystarczyło mi rozumu, by złapać się jej i już nie puszczać. Zniosło nas daleko w dół. Trafiłyśmy na płyciznę i padłyśmy na brzegu, długo łapiąc oddech, aż dostałyśmy dreszczy. Pachmutowa szybko się uspokoiła i pobiegła wąchać przy brzegu. Siedziałam na mokrym piasku i myślałam: jak dziwnie wszystko wychodzi – najpierw starałam się ją uratować, potem ona uratowała mnie i teraz łączy nas coś ważnego i poważnego, coś takiego, o czym nigdy nie będziemy opowiadać. Ja – dlatego, że nie będę miała odwagi, a Pachmutowa – dlatego, że jest owczarkiem.

Myślę, że tak właśnie mniej więcej się wszystko odbywa. Musimy ratować bliskich, nie czując czasami, kiedy zmieniają się okoliczności i nas samych zaczynają ratować bliscy nam ludzie. Zdaje mi się, że właśnie tak powinno być i że sama bliskość zależy od wspólnych przeżyć, wspólnego życia i możliwej wspólnej śmierci. Gdzieś dalej zaczyna się właśnie miłość. Inna rzecz, że nie wszystkim udaje się jej dożyć.

Potem jesień staje się bardziej odczuwalna, słońce nie nagrzewa już drzew i wody, wieczorami robi się naprawdę zimno. Prawie nie wychodzę z domu, siedzę w kuchni i obserwuję, jak szybko i niepostrzeżenie ściemnia się co wieczór. Pozostaje czekać, aż wszystko wróci na swoje miejsce, kiedy nagrzeje się powietrze i woda w rzece znów wypełni się

światłem, a przybrzeżne wzgórza będą oślepiać, odbijając poranne promienie.

No i tyle
Całuję

p.PS

– Co wam chciałem opowiedzieć – zaczął, uważnie się im wszystkim przyglądając. – Zajmujecie się tu rolnictwem. W związku z tym przypomniała mi się historia o proroku Danielu. Jesteście w ogóle ochrzczeni?

– No, ochrzczeni – odpowiedzieli niepewnie.

– To dobrze – ucieszył się prezbiter. – Więc zrozumiecie. Chodzi o to, że często nie znamy swych możliwości, boimy się przekroczyć granice, które sami sobie wyznaczamy. A granicę naszych możliwości określa wyłącznie Bóg, więc lekceważąc swoją wiedzę i umiejętności, lekceważymy dary Pana. Jasno się wyrażam? – zapytał rolników.

– Tak, tak – zapewnili.

– Dobrze – znów ucieszył się prezbiter. – Co było z Danielem? Stało się tak, że z pewnych powodów o charakterze, można powiedzieć, społecznym, znalazł się w jamie razem ze lwami. Prawdziwymi lwami, żywymi. Jego śmierć w łapach zwierząt była tylko kwestią czasu. Nie miał żadnych szans. Więc klęknął i zwrócił się do Pana z modlitwą. „Panie", powiedział Daniel, „te lwy, które ryczą na mnie wściekle i niewiernie, czyżby z własnej woli obdarzone były taką wściekłością i krwiożerczością? Czyż to nie Ty włożyłeś w ich serca tęsknotę i złość? Czyż to nie na Twe zawołanie budzą się rano i zasypiają wieczorem? Więc kogo, jeśli nie Ciebie, prosić o ratunek, do kogo, jeśli nie do Ciebie, zwrócić się ze słowami wdzięczności i odpowiedzialności?" I kiedy się modlił,

zwierzęta zaczęły tulić się do niego, ogrzewając go swymi ciałami, i ich serca biły prężnie, przysłuchując się tym cichym słowom. Gładził ich złote grzywy, wyciągając z nich suche liście i źdźbła trawy, a kiedy zasypiał, lwy czujnie strzegły jego głębokiego, spokojnego snu. Co chcę powiedzieć – znów zwrócił się do rolników. – Wyszło tak, że mieszkacie tu wszyscy razem, i chrzczeni, i niechrzczeni, i sztundyści, i jakaś hołota, co czytać nie potrafi jak należy. Różnych tu widziałem. Urodziliście się tu i tu dorastaliście, tu są wasze rodziny i biznesy. Wszystko jak należy. Ale walczycie ze sobą, nie rozumiejąc, że wrogów między nami naprawdę nie ma. Ustawiają was, zmuszają, żebyście stawali przeciwko sobie, osłabiając was i czyniąc bezbronnymi. Tymczasem póki jesteście razem, nie macie się czego bać. I w ogóle nie trzeba się bać. Nawet wtedy, kiedy wrzucą was do lwiej jamy i znikąd nie będzie można oczekiwać pomocy. Po prostu musicie polegać na sobie i na swojej pomocy. No i nie zapominać o modlitwie. Jak to zrobił Daniel. Rozumiecie? – zapytał surowo prezbiter.

– Rozumiemy – posłusznie odpowiedzieli rolnicy.

– I jeszcze – powiedział prezbiter – lwy go nie ruszyły dlatego, że zionął ogniem. Lwy uznały to za znak Boży i nie chciały mieć z nim do czynienia.

– Jak to? – zapytali zdziwieni rolnicy.

– A tak – ochoczo odpowiedział prezbiter, schylił się, żeby poprawić sznurówkę, wyprostował się, uniósł dłoń do modlitwy i nagle wydmuchnął z gardła niebiesko-różowy płomień, obdzielając wszystkich gorącym ogniem i słodką, niewymownie bolesną radością.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, lukasz.augustyn@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550

Wołowiec 2013
Wydanie I
Ark. wyd. 14,5

Cena: 31,90 zł